

SŁUGA NIEBIOS

Przez blisko dwa tysiące lat od swego powstania Kościół przeżywał okresy słabości, czasem nawet błędził, lecz opoka, na której zbudowano jego potęgę, była wciąż pewna i nienaruszona. Ludzie przybywający na wezwanie do Rzymu wierzyli, że jest ona niezniszczalna, a jeżeli nawet potęga ta zostanie zagrożona, gotowi byli użyć wszelkich środków dla ratowania Kościoła i obrony wiary. Tej nocy i w nadchodzących dniach mieli być poddani najtrudniejszej próbie.

Urodzony w 1940 roku w Bombaju, wczesne lata dzieciństwa spędził GLOVER WRIGHT w Indii. W 1947 powrócił wraz z rodziną do Wielkiej Brytanii, tam zdobył wykształcenie w Boy's High School w Harrow.

W latach sześćdziesiątych odniósł sukces (pod pseudonimem Buddy Britten) jako profesjonalny piosenkarz i gitarzysta. W 1969 opuścił Zjednoczone Królestwo, aby rozpocząć pracę dla rządu USA.

Organizował przedstawienia dla żołnierzy amerykańskich na całym świecie.

Z myślą o swojej karierze pisarskiej spędził sporo czasu wśród najemnych żołnierzy walczących przeciwko rebeliantom w Sultanacie Oman.

Obecnie mieszka w Jersey i pracuje nad swoją piątą powieścią.

Uznany przez krytyków za jednego z najlepszych żyjących pisarzy powieści sensacyjnych. Oto, co Jack Higgins pisze o *Studze Niebios: Powieść o wątku tak niezwykłym, że tworzy własny gatunek ! Wartka akacji, świetna narracja; nie można odłożyć tej książki, nie przeczytawszy jej do końca.*

GLOVER WRIGHT
SŁUGA NIEBIOS

Przełożył Bernard Stępień

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK 1991

Tytuł oryginału

The Hound of Heaven

Redaktor

Piotr Wiktor Lorkowski

Opracowanie graficzne Maria Dylis

Projekt okładki Radosław Dylis

© Geoffrey Glover-Wright 1984 © Copyright for the Polish edition

by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

GDAŃSK 1991

Printed and bound in Great Britain Wydanie I

ISBN 83-85432-13-2

Ukochanej Carmeli...

Uciekałem przed Nim przez noce i dni; Uciekałem przed Nim na zakrętach lat; Uciekałem przed Nim splątanymi ścieżkami Mego umysłu; I wreszcie w łez ulewie Skryłem się przed Nim, wśród nieustającego śmiechu.

Francis Thompson "The Hound of Heaven"

WIETNAM 1967

Zabijali powoli, bez litości, metodycznie. Uśmiercali nie tak, jakby odbierali życie, ale tak, jakby pozbywali się leniwie czegoś zupełnie niepotrzebnego. W strugach monsunowego deszczu wąskie, srebrzyste ostrze unosiło się powoli, a potem szerokim łukiem opadało na pochylone karki ofiar.

Splukiwana przez ulewę krew szybko mieszała się z błotem; pozostały tylko białe, zwrócone ku górze twarze, z ustami i oczami szeroko otwartymi w śmiertelnym przerażeniu.

- Trzy - powiedział niemal bezdźwięcznie Cardin i jeszcze raz popatrzył przez lornetkę na człowieka przybitego gwoździami do drzewa.

- Zostało pięć - odezwał się Rent, były żołnierz piechoty morskiej. - Myślicie, że zrobią to z nimi jeszcze raz?

- Dureń - mruknął Kreol Gaillard, wpatrując się w polanę przed nimi. Rent uśmiechnął się ironicznie.

- Bez habitów to tylko nagie kobiety! Na co ty tak patrzysz czar-nuchu?

Gaillard zmusił się, by spojrzeć na płaską, piegowatą twarz Renta i jego półprzytomne oczy, ginące w rozmazanych pasach maskującej farby. Odwrócił się, osadzając głębiej na czapce stożkowy, wietnamski kapelusz.

- Dureń - powtórzył.

- Skończcie z tym - polecił Cardin. Gaillard westchnął.

Cardin wyczuł, że Rent uśmiecha się z trudem, lecz nie odwrócił się do niego.

- Lubisz swoją robotę, Rent? - zapytał cicho, wciąż patrząc przed siebie. - Lubisz to? Sprawia ci przyjemność oglądanie czegoś takiego? Rent wytarł nos mokrym rękawem czarnego munduru Vietcon-gu i z dezaprobatą przyglądał się, jak woda zmywa ślad śluzu z kiepskiego materiału kurtki.

- Czy właśnie dlatego nie możesz poradzić sobie bez trawki? -pytał go dalej Cardin. Jego pytanie mogło być równie dobrze skie-

rowane do ukrzyżowanego człowieka, tak bardzo koncentrował się na umęczonej postaci.

"Umrzyj - Cardin powtarzał w myślach nagłaco. - Umrzyj, przerwij to!"

- Nie potrzebuję trawki. Niczego nie potrzebuję - powiedział Rent.

- Potrzebujesz nas - warknął Gaillard. - Siedzimy tutaj, a wokół łazi milion skośnookich.

- Plus jeden - poprawił go San Li, niosąc do ust kolejną łyżkę ryżu.

- Masz zamiar pójść tam i zarobić na swoją działkę? - zapytał go Rent. San Li mlasnął głośno i połknął następną porcję.

- Jeszcze nie w tym roku - odpowiedział z idealnym amerykańskim akcentem. - Kiedy wy, głupki odejdziecie stąd ze swoją coca-cola z automatu, ja przejdę na inną stronę. Teraz jestem z wami, później przyłączę się do rewolucji. Tutaj, w Indochinach, tylko tak można przeżyć.

Od strony polany rozległ się przeraźliwy krzyk.

- Cztery? - Rent zapytał niecierpliwie. Gaillard potrząsnął przecząco głową.

- Jeszcze z nią nie skończyli.

Rent przyglądał się z przejęciem, przygryzając wargi.

- Dlaczego robią to w ten sposób? - rzekł z wyraźną irytacją w głosie i pytająco spojrzął na San Li.

- Wy, biali, macie zły oddech. Twarzą w twarz to niemożliwe. Rent wyszeptał coś nieprzyzwoitego i pociągnął Gaillarda za lornetkę.

- Daj mi też popatrzeć - syknął.

Kreol zdjął z szyi pasek lornetki i usiadł, przeklinając deszcz, który ani na chwilę nie przestawał padać. Rent przycisnął szkła do oczu i bezwiednie zaczął poruszać językiem między wargami.

Cardin niechętnie odwrócił wzrok od ukrzyżowanego i spojrzął na stłoczoną grupkę nagich zakonnic, których białe habity leżały w nieładzie na ziemi.

Nie opodal, z otwartymi szeroko w przestrachu oczyma, siedziały dzieci ze szkółki misyjnej. Podobnie jak Cardin i jego trzej

towarzysze, dzieci również zostały zmuszone do przyglądania się upokorzeniu, cierpieniom i śmierci zakonnice.

Partyzanci popchnęli zgwałconą przed chwilą siostrę zakonną w kierunku drzewa. Kobieta zanosila się płaczem, wiedząc już, jaki los jej zgotowano. Dla Cardina loskot monsunowego deszczu, bębniącego o zielony dach dżungli, stał się nagle jedynie odległym szumem, przez który usłyszeć mógł wyraźnie swój własny oddech.

Zakonnica krzyczała z bólu i przerażenia, kiedy usta ukrzyżowanego poruszyły się i wypowiedziały słowa, które miały dodać jej siły do męznego znoszenia prześladowań.

Cardin żałował, że nie może usłyszeć tych słów.

Oczy mężczyzny były stale otwarte, gdyż powieki podparto kawałeczkami bambusa. Pomimo potwornego bólu, jaki zadano ukrzyżowanemu, nie dostrzegało się w jego wzroku ani cierpienia, ani nienawiści. Oczy miał spokojne, zaskakująco błękitne i przepelnione współczuciem.

"Jestem teraz w innym miejscu, w innym czasie - pomyślał Cardin. - Jestem centurionem sprzed wieków, rzymskim żołnierzem, który musi wykonać rozkaz. Nie mogę nic na to poradzić."

Ogarniało go poczucie nierealności, zaczął się zastanawiać, co jest tego powodem.

"Dlaczego właśnie mnie umieszczono tutaj? - żądał odpowiedzi sam od siebie. - Nie wierzę. Nie wierzę w Boga, w miłość ani w pokój. Jestem tylko najemnikiem, ale nie chcę patrzeć, jak zabija się człowieka, który w oczach ma tylko współczucie dla swych oprawców."

Ostrze błysnęło i partyzant pochylił się po leżący w błocie zakonny krzyż. Śmiejąc się owinał łańcuszek krzyżyka wokół genitaliów ukrzyżowanego. Niezwykle, błękitne oczy przebaczyły mu, więc partyzant uderzył w przebitą stopę kolbą karabinu. Nie usłyszał żadnego jęku, okrzyku, żadnego protestu.

"Umrzyj! - Cardin błagał w myślach człowieka przybitego do drzewa. - Po prostu umrzyj i pozwól mi stąd odejść."

Cardin dobrze wiedział, że nie było dla nich ucieczki, dopóki nie skona ukrzyżowany, dopóki nie zgładzą ostatniej zakonnicy.

Jeszcze wczoraj Cardin miał suche ubranie, był zawiany i bardzo pewny siebie. Rozmyślał o Sajgonie, mieście dziwek i rajy dla ludzi żyjących uludą.

Teraz wspomnienia były jego jedyną ucieczką.

Michael Cardin był przystojnym, ciemnowłosym mężczyzną o bystrym spojrzeniu. Dawno już stracił złudzenia, nie wierzył iluzjom.

Leżąc pod nim dziewczyny używał dla zaspokojenia seksualnych pragnień. Jej oczy płonęły z rozkoszy i z czegoś, co mogłoby być miłością. Miłość tę Cardin wycenił na pięćdziesiąt dolarów.

Nagle rozległo się gwałtowne, natrętne pukanie do drzwi.

- Poruczniku? Poruczniku Cardin? - zawołał ktoś ostrym, nieprzyjemnym głosem.

Cardin odepchnął dziwkę i usiadł na łóżku, przymykając na chwilę oczy, aby ochłonąć z podniecenia. Dziewczyna okryła cienkim, wzorzystym szlafrokiem z jedwabiu swe małe, jędrne piersi i zgrabnie wygolone łono. Miała ciało dziewicy i знаła wiele sposobów dawania rozkoszy, co podbijało jej cenę.

Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe.

Cardin położył pieniądze na malutkim stoliku z laki, potem spojrzał na dziewczynę i nie odzywając się, wskazał banknot.

- Przyjdź do mnie następnym razem - zachęcała. - Dam ci godzinę ekstra, dobrze? Może pokażę ci coś innego - mówiła, dumna ze swej techniki seksualnej. - Pytaj tylko o mnie, nie bierz innej dziewczyny, OK?

- Poruczniku! Powiedzieli, że natychmiast...

- Karta identyfikacyjna - zażądał ostro Cardin. - Wsuń pod drzwi!

Pchnięta przez szparę, plastikowa karta zakręciła się na podłodze.

Cardin przydepnął dokument bosą stopą, podniósł go, obejrzał i cisnął na łóżko. Z kabury wiszącej na oparciu krzesła wyjął magnum z rękojeścią oklejoną taśmą i stając z boku, szeroko otworzył drzwi.

Dziewczyna uśmiechnęła się do żandarma. Nie przerażały jej mundury. Mundury to była miłość, a miłość oznaczała pieniądze.

- Wejść - powiedział Cardin. - Jak mnie znaleźliście?

- Objechaliśmy bary, potem burdele, sir.

- Hasło?

- Hailstone, sir - odparł żołnierz.

Cardin schował broń i szybko zaczął się ubierać.

- Czym jedziemy? - zapytał.

- Samochodem. Jest na zewnątrz, tarasuje chodnik. Polecono mi zawieźć pana do...

Błyskawicznym ruchem Cardin pchnął chłopaka czterema wyprostowanymi palcami w brzuch tak, że żandarm zgiął się w pół i bezwładnie padł na kolana.

- Dziewka jest zapłacona, ale nie kupiona! Ona jest wrogiem! Oni wszyscy są naszymi wrogami. Kiedy wreszcie wbijecie sobie to do głowy? Wstawaj!

Michael pomógł mu się podnieść. Żołnierz z trudem chwycił oddech. Cardin zapiął kaburę pod pachą i założył bawełnianą kurtkę.

- Chodźmy - powiedział.

Trzymając się wciąż za brzuch, żandarm poprowadził na dół, do wojskowego jeepa zaparkowanego na chodniku i prawie całkowicie blokującego ruchliwą, wąską uliczkę. Kierowca siedział w samochodzie, podejrzliwie obserwując tłum. Co chwila odpędzał od wozu żebrzące dzieci.

- No i co? - zapytał kolegę.

- Nic. Ruszaj! - polecił Cardin.

Kierowca włączył starter i jeep wcisnął się w gęsty tłum.

Żandarm siedział skulony z bólu, z głową opuszczoną w dół.

Bezskutecznie usiłował zwymiotować na podłogę pomiędzy lśniące czubki butów.

- Jak pan to zrobił? - wydyszał. - Nie widziałem nawet, jak pan się poruszył!

Cardin odwrócił się od niego, siadając głębiej w fotelu. Pod kurtką trzymał zaciśniętą na rękojeści pistoletu dłoń.

Trzydzieści kilometrów za miastem, z dala od drzew, na poboczu, stał zaparkowany długi osobowy oldsmobile. Kierowca jeepa zahamował gwałtownie, przeklinając nagły, nieoczekiwany deszcz. W kilka minut wewnątrz wozu wypełniło się wodą.

Cardin zdążył już przesiąść się do oldsmobile'a.

- Hailstone - powiedział.

- Cholera - rzucił szpakowaty mężczyzna rozparty niedbale na siedzeniu. - Przeklęty kraj!

- Dokąd teraz jedziemy? - zapytał Cardin, gdy samochód ruszył z miejsca.

- W góry. Pewien zasrany donosiciel ma na zbyciu paru skośno-okich.
- Wykończyć czy pogadać?
- Rozmówca Cardina odwrócił się, ukazując na ogorzałej, pomarszczonej twarzy okazałe wąsy i równo przystrzyżoną brodę.
- Pogadać. Na razie zostawcie ich w spokoju, ale wyciągnijcie z nich nazwiska. Tym razem mamy szansę dostania w nasze ręce kilku doskonale wyszkolonych komisarzy, a to, co oni wiedzą, zaoszczędzi nam wielu kłopotów. Zdejmiemy ich później. - Podał Cardinowi opakowaną wodoszczelnie kopertę. - Zapłaćcie naszemu człowiekowi i uważajcie w wiosce na Charliego. Jest tam na pewno.
- Vietcong jest wszędzie - obojętnie stwierdził Cardin.
- Na pewno.
- Czy szlak jest bardzo brudny? - zapytał Cardin, mając na myśli oddziały komunistów.
- Może wyobrażasz sobie, że mam agenta w Hanoi? Jest brudno. Jeżeli chcesz, żeby było czysto, poproś o przeniesienie.
- Czy mamy kogoś stamtąd wyciągnąć, aby wypełnić tę misję?
- "Misja". To odpowiednie słowo. Katolicka szkoła i mały szpital. Prowadzi to jeden ksiądz i chyba osiem zakonnic. Niosą dzieciom żółtków Boga. Kiedy w to wszystko uwierzą, wtedy komuniści powiedzą im, że jedynym prawdziwym bogiem jest skośnooki wujek Ho, a niebo to miasto zwane Hanoi.
- W takim razie, jakie są instrukcje?
- Macie rozpoznać teren tak, żeby nie zdradzać swojej obecności. W misji można uzyskać pomoc medyczną, ale nawet jeżeli trafią któregoś z was, nie korzystajcie z niej. Odejdźcie.
- Nie będziemy potrzebować ich pomocy. W czym problem?
- Ten problem, to ci faceci w sutannach mieszkający w Rzymie. Sądzą, że to nie ich sprawa. Nie ich sprawa, proszę pana! Myślą zupełnie tak, jak ci cholerni Anglicy i wszyscy inni durnie, których uważamy za naszych sojuszników.
- Tak czy owak, damy sobie radę.
- W porządku. Zrzucimy was przed świtem, kiedy kosoocy ciągle jeszcze będą dochodzić do siebie po wieczornym nalocie. Przeczytaj to. Masz tutaj nazwisko agenta i jego zamiary. Wszystko jasne?

Cardin skinął głową potakująco. Deszcz wciąż jeszcze wygrywał werble, bębniąc o blaszany dach samochodu, gdy oldsmobile zahamował na błotnistej drodze.

Jeep stał z podniesionym dachem i opuszczonymi bocznymi osłonami z brezentu. Dwóch żandarmów tkwiło w środku, paląc papierosy.

Cardin wgramolił się na siedzenie za nimi.

- Jazda! - rozkazał kierowcy.

Fairchild AC-119G Shadow niezgrabnie siadł na pasie startowym.

Cardin z oddali obserwował jego ciemny, obły kadłub, stateczniki i proste skrzydła. W szybie dzielącej go od lotniska Cardin mógł dojrzeć swoje własne odbicie: posępne czarne oczy, głęboko osadzone w bladej twarzy i ciemne włosy, obcięte krótko dla ochrony przed wszami.

"To nie jest moja twarz - pomyślał. - Ja właściwie nawet nie znam swojej twarzy."

Nie była to twarz wykwintnego, młodego Francuza o zadziwiająco regularnych rysach i szlachetnym profilu. Także jego piękne, długie, kruczoczarne Włosy, obiekt drwin kolegów ze szkoły, należały już do przeszłości.

"To ta wojna" - powiedzieliby w domu, gdyby Michael pojechał tam na urlop. Nigdy tego nie zrobił. "To jednak nie wojna - rozmyślał dalej. - To sposób, w jaki postanowiłem ją prowadzić. W dżungli straciłem twarz, z którą tutaj przyjechałem. Została zmieniona przez dotyk liści, słońce, deszcze i pot. Spadła w błoto, okaleczona, zapomniana. Jak ciała naszych jeńców, z których wyciągnęliśmy potrzebne nam informacje. W penym momencie zaczęło mi być wszystko jedno."

Szklanka z Krwawą Mary przy jego łokciu była lodowato zimna i kłujący ból przy jej zetknięciu ze skórą na szczupłym, ale silnym ramieniu nieomal sprawił Cardinowi przyjemność. Przywrócił mu poczucie realności otaczającego świata, a Michael Cardin był ponad wszystko realistą.

- Czy jest pan upoważniony do przebywania tutaj? - Pułkownik lotnictwa stał nad Cardinem, przyglądając się z obrzydzeniem jego kurtce zwiniętej niedbale na stole, wymiętym džinsom i podkoszulkowi. - To jest pomieszczenie dla oficerów.

Cardin wyjął z tylnej kieszeni spodni czarny, skórzany portfel, otworzył go i z wysokiej, oszronionej szklanki pociągnął łyk koktajlu. Pułkownik dotknął dokumentów, ostrożnie, jednym palcem, jakby czuł do nich wstręt. Spojrzał na kartę identyfikacyjną i odepchnął portfel z powrotem.

- To przez takich jak wy, ludzie na świecie myślą, że ta wojna, to bagno - wycedził przez zęby. - Cholerni dziwacy!

Cardin zapalił papierosa.

- Musi się pan ogolić, zanim przyjdzie pan tutaj następnym razem - dorzucił złośliwie pułkownik i wrócił do baru.

Podszedł do grupy stojących tam oficerów i wskazując kciukiem za siebie, w kierunku Cardina, rzucił jakąś grubiańską uwagę.

"Wróg się nas boi, a swoi nienawidzą - pomyślał Cardin z wściekłością. - Pewnie jest też i na odwrót. Każdy kto na ochotnika zgłosił się do Operacji Specjalnych, a zwłaszcza oficer, automatycznie zostaje wyrzucony poza nawias społeczności wojskowej. Półwojskowy - półcywil - wprowadzie ze stopniem, ale pracujący dla cywilnej instytucji. Nikt mu nie dowierza, nikt się do niego nie przyznaje. Jedyny moment, kiedy nas akceptują, to gdy wysyłają nas w plastikowych workach do Stanów - myślał, kończąc drinka i wstając od stolika. - Wtedy to już i tak nikogo nie obchodzi."

Podniósł kurtkę, wyjął schowany w niej pistolet, potem ruszył w kierunku wyjścia.

- Cholerni dziwacy! - Znów usłyszał Cardin, gdy podwójne oszklone drzwi zamknęły się za nim, odcinając dostęp gorącego powietrza do klimatyzowanego pomieszczenia.

Złość i rozdrażnienie szybko opadły, ustępując miejsca poczuciu bezsilności. Tamci siedzą sobie wygodnie, w czystym klimatyzowanym klubie, wierząc, że to do nich właśnie należy zwycięstwo, a wietnamskich chłopów oglądają przez przyciemnione, dźwiękoszczelne szyby. Zwycięstwo nie powstaje z pustej puszkii po coca-coli. Zwycięstwo rodzi się, jak twierdzi sam Mao, z ziejącej ogniem lufy karabinu. Tutaj jest wystarczająco wielu wieśniaków, którzy bardzo dobrze wiedzą, że nigdy nie uda im się osiągnąć amerykańskiego raję i którzy aż palą się do tego, by nacisnąć spust. Wydzielone miejsce, zajmowane przez Cardina i jego ludzi, znajdowało się na samym skraju rozległego lotniska. Odseparowa-18

no je od reszty bazy lotniczej, zarówno dla celów bezpieczeństwa, jak i dla ochrony pozostałych żołnierzy przed "złym wpływem" ludzi z Operacji Specjalnych. Na Michaela czekali już Rent, Gaillard i San Li, sprawiający wrażenie pasażerów na dworcu, pogodzeni z beczynnością, zaczynający się już trochę niecierpliwić. Na metalowym stole w kartonowym pudle leżały ubrania partyzantów, które mieli założyć na akcję, a obok ulubiona broń Cardina i jego towarzyszy: radzieckie pistolety maszynowe Kałasznikowa; niezastąpione, bo używane przez nieprzyjaciela, który najlepiej wiedział czego potrzeba w dżungli; śrutówki z uciętymi lufami, pozwalające jednym strzałem zdmuchnąć listowie i ukrytych w nim ludzi; granaty, bomby zapalające i amunicja. Były tam też noże o czarnych ostrzach, pistolety z tłumikiem i pętle ze stalowego drutu. Cardin, Rent, Gaillard i San Li byli mistrzami w nakłanianiu przeciwników do zmiany poglądów politycznych. Stosowali najprostsze metody - przemoc i strach. Byli prawdziwymi mistrzami skrytobójstwa.

- Prześpijcie się trochę - powiedział Cardin, wchodząc na kwaterę. - Czy ktoś czegoś potrzebuje?

Rent zwinął kolejnego skręta, a Gaillard wolno potrząsnął głową. San Li uśmiechnął się szeroko.

- Nie zostawiłeś adresu - odezwał się Rent, skulony na zniszczonym fotelu. - Ci idioci pieklili się godzinami.

Cardin zignorował go.

- Dokąd? - zagadnął Gaillard.

- W góry - odpowiedział mu Cardin.

- Po co?

- Pogadać, to wszystko.

- Oby - sceptycznie mruknął Gaillard. San Li otworzył puszkę piwa i zapytał:

- Kto ma dostarczyć informacji? Ktoś z naszych czy od Charliego? Cardin wzruszył ramionami.

- Charlie - wymamrotał Rent. - Ile razy Charlie nabrudzi, my zawsze musimy to po nim sprzątać!

- Od tego jesteśmy - odparł filozoficznie Gaillard.

- Amen! - mruknął Cardin.

Siedzieli w ciszy, podczas gdy Cardin odpinał swój rewolwer, odwijał taśmę z rękojeści i smarował wazeliną wnętrze skórzanej kabury.

- Idę spać - oświadczył w końcu i ruszył w stronę jednego ze znajdujących się obok ciasnych pomieszczeń.

Wentylatory szeptały i pomrukiwały. Był to jedyny dźwięk wypełniający wnętrze nisko sklepionego, betonowego bunkra. Nagle Cardin usłyszał głos Gaillarda:

- Wiecie czego się najbardziej boję? Boję się, że nie będę już więcej mieć pietra.

Cisza.

Rent parsknął głośnym śmiechem.

Leżąc na pryczy, Cardin zastanawiał się: "Weźmy jakiegokolwiek przyzwoitego człowieka, dajmy diabłu pełnię władzy nad nim, to w efekcie otrzymamy kogoś takiego właśnie jak my". Uśmiechnął się do siebie i zasnął.

Fairchild AC-119G Shadow był samolotem szturmowym. Niektórzy nazywali go Spooky, czyli "przerażający", inni Puff of the Magic Dragon - "ogień czarodziejskiego smoka". Żadna z tych nazw nie pasowała doń w pełni. Shadow i Douglas AC-47 były po prostu maszynami do zabijania, zalewającymi cel miazdzącym gradem pocisków ze sprzężonych, sterowanych elektronicznie działek.

Wszystko, co znalazło się w ogniu, przestawało istnieć. Drzewa obracały się w trociny, ludzie - w krwawą miazgę.

- Przygotować się do skoku! - krzyknął pilot. - Zatoczmy łuk i poświecimy trochę tym na dole. Mamy dosyć rakiet, żeby oślepić żółtków. Nikt nie będzie was widział.

Ryk silników przedostający się do środka przez otwarte furty działek był ogłuszający, więc Cardin tylko skinął głową.

- Świetny kapelusik - zawołał pilot, wskazując głową na stożkowy, słomiany kapelusz, przymocowany ma piersi Cardina.

Michael odwrócił się i ruszył w głąb ciemnego wnętrza samolotu, trzymając się mocno poręczy. Przykucnął wraz z innymi między bateriami działek. San Li uśmiechnął się do niego i białe zęby Wietnamczyka zalśniły w bladym świetle kontrolnych lampek elektronicznego systemu kierowania ogniem.

Jeden ze strzelców pokładowych tutaj mający za zadanie tylko ła-
dować amunicję i usuwać awarie karabinów, gdyż czynności celo-
wania i strzelania ze sterowanej przez automat broni wykonywał pilot
klepnął Cardina w ramię, po czym wskazał głową w stronę luku.
Wyskoczyli kolejno, otwierając czarne spadochrony tak nisko, jak to
tylko możliwe. Wylądowali ciężko, ale bez obrażeń. W chwili, gdy się
już odnaleźli i zebrali, niebo od południowej strony zajaśniało kulą
białego światła. Do ich uszu dotarł przeraźliwy jazgot działek. Odeszli
w ciemność: mordercy, perfekcyjnie wyćwiczeni i idealnie
przystosowani do życia w dżungli.

Wkrótce miało wzejść słońce.

* * *

W wilgotne powietrze poranka nagle wdarł się krzyk. Zatrzymali się
natychmiast, wytężając wzrok.

- Dziecko? - zapytał Cardin.

- Kobieta - odparł Gaillard.

- Jedna z waszych - mruknął San Li.

- Skąd ty to wiesz? - zainteresował się Rent.

- Jest różnica. - Twarz San Li była nieprzenikniona.

- Zakonnica - powiedział Cardin. - Przed nami jest katolicka misja.

- Była - uśmiechnął się Rent.

- Mamy się trzymać z daleka - wyjaśnił Cardin. - Takie są instrukcje.

- Jest przed nami - zauważył Gaillard.

- Obejdziemy ją.

- Nie mamy żadnych szans - przerwał mu San Li. - Jeżeli Charlie
wybrał się do misjonarzy w odwiedzin, to obstawił wszystkie wzgórza
wokół tej kotliny.

- Przejdziemy więc przez ich linie albo poczekamy - stwierdził Cardin.

- Jak dokładny jest nasz rozkład jazdy? - zapytał Gaillard. Cardin
wzruszył ramionami.

- Tak dokładny jak nasz człowiek w wiosce, do której idziemy. Jeżeli
popęłił błąd - nie żyje, a nazwiska, które miał nam podać,

przypadły. Płacą nam za efekty. Musimy dotrzeć tam jak najszybciej.

-1 przeżyć - dodał Gaillard.

Cardin odwrócił się do Wietnamczyka.

- Jakie mamy szanse przedostania się przez linie Charliego? W odpowiedzi San Li pokręcił głową z powątpiewaniem. Porucznik i jego ludzie usłyszeli trzask serii z pistoletu maszynowego, stłumiony przez wilgotną dżunglę.

- To AK - powiedział Rent. - Charlie tam jest.

- Jest tutaj - poprawił go San Li. - Wszędzie dookoła.

Jakby na potwierdzenie jego słów rozległ się chór cienkich, przerażonych głosów. Potem usłyszeli strzały.

- Właśnie zajęli się dziećmi - powiedział Rent. San Li zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, Cong oszczędza dzieci, żeby potem uświadomić je klasowo.

Likwidują miejscowych, którzy pomagali misji. Nic się nie zmieniło. Kiedy rządzą tu Francuzi, było to samo.

- Co za pajac prowadzi misję w takim miejscu! - wykrzyknął Rent.

- Nawiedzony - powiedział San Li. Wskazał głową w dół wzgórza. - Czy mam zejść i zobaczyć ilu ich jest?

- Nie - odparł Cardin. - Trzymajmy się razem. Jakie jest najslabsze miejsce Charliego podczas takich akcji?

Wietnamczyk wy dobył swój nóż, zakreślił nim krąg na wilgotnej, parującej ziemi i wbił ostrze dokładnie w sam środek.

- Charlie nie obawia się tego, co jest tuż obok niego. Tylko dlatego, że nie wierzy, aby cokolwiek mogło znaleźć się tak blisko. Przeważnie ma rację. Dlatego przegrywamy tę wojnę. Uderzyć zniemacka, a potem zmykać, to jego ulubiona strategia. Nieważne, ilu naszych żołnierzy będzie go ścigać. I tak nie zdołają go wytropić. Regularne oddziały zagubią się w dżungli i jeden po drugim zostaną zlikwidowane. - Li wbił głębiej ostrze. - Dlatego powinniśmy ukryć się dobrze w środku i przeczekać. Jeżeli zostaniemy tutaj, patrole Charliego schodzące z obrzeży kotliny, na pewno nas wykryją. Cong nie szuka nas.

Gdybyśmy zostali zdradzeni, dla pewności sprzątnąłby nas już na lądowisku. On szuka tylko ludzi z górskich plemion, którzy zainteresują się tym, co się dzieje w misji.

To ich sposób na wykrycie wierzących w Boga. Mamy zwyczajnie pecha: wylądowaliśmy w dobrym miejscu, ale w złym momencie.

- W dobrym momencie, tyle że dla Charliego - zauważył chłodno Gaillard.

- A więc? - zapytał Cardin, patrząc wciąż na San Li.

- A więc wyprzedzimy patrole, podejmiemy do misji tak blisko jak to tylko możliwe i poczekamy w ukryciu.

Cardin zmarszczył brwi.

- Co będzie, jeśli ugrzęźniemy tam na kilka dni? - powiedział z namysłem. - Nie wiadomo, ile czasu potrzebuje Charlie na zakończenie swojej akcji.

San Li rozejrzał się i znów spojrział w dół.

- On nigdy nie działał otwarcie zbyt długo - wyjaśnił. - Tylko jeden dzień. Dla siostr, tam na dole, to najdłuższy dzień w ich życiu.

-1 ostami - mruknął Gaillard. San Li uśmiechnął się smutno.

- Będą szczęśliwe, gdy to się skończy.

- Niezależnie od tego, co się wydarzy, nie wtrącamy się w to! - ostrzegł Cardin, patrząc na nich uważnie. - Po drugiej stronie tych wzgórz czeka nas zadanie.

Gaillard obojętnie wzruszył ramionami.

- Tak jest! - powiedział Rent.

- Czy któryś z was widział już kiedykolwiek robotę Vietcongu? Chodzi mi o przyglądanie się temu z bliska, kiedy to wszystko się staje...? - zapytał San Li.

- Wszyscy widzieliśmy, do czego zdolni są ludzie wuja Ho

-odpowiedział Cardin.

Li westchnął ciężko i schował nóż do pochwy.

- Tak jak mówilem, będzie to bardzo długi dzień.

- W takim razie rozpocznijmy go - rzucił Cardin przeciągając się.

Bezszelestnie ruszyli w dół zbocza, kierując się w stronę misji.

Partyzanci nie zadawali pytań. Było to dla nich jedynie ćwiczenie w terrorze, który już od dawna był ich najskuteczniejszą bronią w walce z lepiej uzbrojonymi Amerykanami. Broni tej używali bezwzględnie.

Siali wokół postrach, nie cofając się przed aktami najbardziej wyrafinowanego okrucieństwa.

Pierwszy był ksiądz. Gdy przyszli po niego, wiedział kim są i po co zjawili się w misji. Czekał na nich, gotów własną śmiercią zaświadczyć o swej wierze. W jego niebieskich oczach nie było ani strachu, ani pogardy dla oprawców. Jego twarz, którą Cardin obserwował przez lornetkę, wydawała się dziwnie młodzięcza, choć kapłan był człowiekiem niemłodym. Cardin nie potrafił określić jego wieku. Spojrzenie księdza wydawało mu się pełne dojrzałej mądrości. Mówiło ono, że ksiądz gotów jest przebaczyć bliźniemu, nawet wtedy, gdy ten podnosi na niego rękę.

W porównaniu z męczeństwem księdza, któremu długimi, zarzewiałymi od deszczu gwoździami przybito do drzewa ręce i nogi, pozostałe okrucieństwa wydawały się mniej wstrząsające, nawet wymordowanie wietnamskich katolików i zbiorowy gwałt na zakonnicach.

Cardin i jego ludzie przyglądali się temu bez słowa. Odwaga księdza przekraczała ich najśmielsze wyobrażenia.

W pobliżu drzewa, na którym ukrzyżowano księdza, jeden z partyzantów zaostrzył dokładnie bambusowe pręty, potem opuścił spodnie i przykucnął. Po chwili umoczył zaostrome końce w swych odchodach i wbił patyki w ziemię tak, aby oparły się na nich przebite gwoździami stopy wiszącego. Potem kolbą karabinu uderzył torturowanego w głowę. Z rozbitej czaszki księdza powoli płynęła krew, zlepiając jego jasne włosy.

Misję niszczone systematycznie, zwracając szczególną uwagę na przedmioty i znaki kultu religijnego. Pozostawiono jedynie w spokoju zapas lekarstw i sprzęt medyczny. Później, gdy ze wzgórz zeszyły patrole prowadzące schwytanych tam nieszczęśników, żołnierze Vietcongu zaczęli zabawiać się okrutnymi grami, w których zawsze zwyciężali, każda z nich kończyła się śmiercią jeńca.

W południe rozpadało się i okoliczne wzgórza pociemniały, a w kotlinie zapanował mrok, jakby była już noc. Oprawcy skryli się w jednym z budynków misji, dla rozrywki zabierając ze sobą zakonnice, których krzyki, podobne do głosów rannych zwierząt, dobiegały Cardina przez strugi wody.

Ksiądz konał. Jego ciało bezwładnie zawisło na gwoździach. Ale misjonarz wciąż jeszcze patrzył przed siebie wzrokiem pełnym miłosierdzia i przebaczenia.

Gdzieś na dnie duszy Cardina, w jedynym miejscu, które nie było jeszcze skalane brutalnością, odezwał się płacz. Michael starał się go ukryć pod maską chłodu i opanowania.

Krople deszczu spływające po jego twarzy wyglądały jak łzy. Czuł się straszliwie spustoszony, wyzbyty wszelkich ludzkich uczuć. Wciąż jeszcze nie pojmował, co się stało.

Późnym popołudniem, pomimo deszczu, partyzanci opuścili budynek misji i rozpoczęli uśmiercanie zakonnic u stóp ukrzyżowanego człowieka.

- Cztery - przerwał milczenie Rent.

Cardin ocknął się z zamyślenia. Odwrócił się tyłem do polany, walcząc z narastającą w nim potrzebą działania.

Jego wzrok spotkał się z oczyma San Li. Doskonale czuł, że i Gaillard przyglądał mu się wyczekująco.

- Cest impossible - powiedział po francusku Wietnamczyk.

- On i tak umrze - również po francusku odezwał się Gaillard. - Nawet jeżeli uda nam się dostać do niego.

Cardin badawczo przyglądał się Gaillardowi.

- Ty też to czujesz? - zapytał nieśmiało.

- Czuję.

Rent opuścił lornetkę i spojrzał na nich.

- O co tu chodzi? - zniecierpliwził się, nie mogąc zrozumieć wypowiedzianych łagodnie słów, a jego niespokojne oczy obserwowały ich badawczo.

Deszcz przestał padać. Zapadła niepokojąca cisza, przerywana jedynie delikatnymi odgłosami pojedynczych kropeł spadających z mokrych liści. Nawet hałas dochodzący z polany nagle ucichł.

Krople wody zbierały się powoli i opadały na ziemię, odrywając się od brzegu wietnamskiego kapelusza na głowie Renta.

- Nie! - wyszeptał, choć mógł to być również pomruk gniewu. - Nie ma żadnych szans!

- Muszę spróbować - powiedział Cardin. Sam z trudnością mógł uwierzyć, że wypowiada te słowa.

Rent, w furii, szarpnął się do tyłu.

- Nieważne co będzie się działo, nie wtrącamy się - wyrzucił z siebie. - To twoje własne słowa!

- Muszę... - powtórzył Cardin. - Muszę spróbować.

- Teraz? Kiedy wszędzie dookoła jest Charlie? Niech cię diabli!
 - Muszę!
- Rent uniósł swój AK-47 i klęcząc odchylił się do tyłu, strącając na siebie strugi wody zgromadzonej na liściach.
- Strzelisz z tego i wszyscy jesteśmy martwi - ostrzegł go Gaillard.
 - Jeżeli on tam pójdzie, też będziemy martwi! Czyście wszyscy powariowali? - Rent nie ustępował.
 - Masz rację - przytaknął Gaillard po namyśle i przesunął się w stronę klęczącego na ziemi Renta. Wyrwał zza cholewy nóż i wbił mu go w plecy. Rent upuścił karabin i padł twarzą w błoto. Gaillard wyciągnął nóż z ciała ofiary i liściem starł z niego krew. Wszystko to odbyło się błyskawicznie i bezgłośnie.
 - Skierował broń przeciwko nam - stwierdził obojętnie.
 - Zabity podczas akcji - dodał San Li.
- "Szaleństwo! - pomyślał Cardin. - W końcu nas to dopadło."
- Możecie obydwaj spróbować przedrzeć się na drugą stronę pasma wzgórz. Odszukajcie nasz cel - wioskę i spotkajcie się z tym człowiekiem. Niech wam poda nazwiska, a potem użyjcie lotniczej częstotliwości ratunkowej dla załóg strąconych samolotów. Lotnicy was stąd wydostaną.
 - To się zawsze udaje - zgodził się San Li.
 - A więc, wezwijmy samolot już teraz - powiedział Gaillard. Cardin patrzył na nich uważnie.
 - Dlaczego?
- Gaillard wspierając się na karabinie Renta, przykucnął. Spoglądając w stronę polany, głośno wspominał:
- Kiedy byłem dzieciakiem, moja matka kopała mnie w tyłek za każdym razem, gdy opuszczałem niedzielną mszę. Pewnego dnia zapytałem ją: "Jeżeli Jezus był kimś tak szczególnym, że musi mi psuć teraz każdą niedzielę, to dlaczego ci ludzie, którzy Go ukrzyżowali, nie wiedzieli o tym?" Ona mi na to odpowiedziała: "Wiedzieli, tylko bali się do tego przyznać. Dobrze wiedzieli, tylko właśnie zdali sobie sprawę, że w żaden sposób nie są w stanie tego powstrzymać." - Z powrotem umocował nóż za cholewą. - Niektóre rzeczy nie mają powodu. Po prostu wiesz to i już!
- San Li popatrzył na ciało Renta.
- Niektórzy nie wiedzą.

- Jego chyba nikt nie kopał w tyłek, żeby wybrał się na niedzielną mszę - uśmiechnął się Gaillard. - Wezwijmy lotnictwo. Amerykanie nadlecieli we wzorowym szyku, jak na manewrach, ufni w swe zwycięstwo.

Pierwszym znakiem ich obecności był głęboki, basowy ton wielosilnikowego samolotu lecącego na dużej wysokości. Cardin wiedział, że powinien to być Lockheed EC-21, noszący kryptonim "Warning Star", latająca stacja radiolokacyjna, wykrywająca radzieckie rakiety ziemia-powietrze typu SA-2. Za nim nadleciał OV-10 Bronco, straż przednia i zarazem wysunięty zwiadowca sił ratowniczych. Z tyłu widać było śmigłowce eskortowane przez sześć samolotów Douglas Skyriders napędzanych silnikami tłokowymi. Nieoczekiwanie pojawiły się też odrzutowe myśliwce szturmowe. Dżungla eksplodowała, jakby wszystkie rośliny usiłowały oderwać się od masakrowanej pociskami ziemi.

Spływające ze zboczy rzeki ognia niosły śmierć i zniszczenie. Wydawało się, że nadszedł sądny dzień i ogień z nieba wytraci wszystko co żywe w dolinie.

Pierwszy wypadł na polanę San Li. Jego wietnamska twarz dawała mu możliwość zaskoczenia nieprzyjaciół i przewagę, która tak bardzo była potrzebna. Serią z karabinu skosił strażników cofających się w kierunku zabudowań misji.

Cardin i Gaillard oskrzydłali ich z obu stron. Nie oszczędzali nikogo. Takie były okrutne zasady tej wojny. Partyzant był wyjętym spod prawa, a partyzantem mógł być każdy: dziecko z granatem w kieszeni, dziewczyna przenosząca materiały wybuchowe i członek zbrojnego oddziału Vietcongu. Wszyscy oni mogli okazać się równie niebezpieczni; dlatego też każdego z nich traktowano jednakowo - jak przestępcę. Gaillard wiedział, że to nie kula, granat czy ogień zabijają. Tak naprawdę, przyczyną śmierci może być wahanie, brak zdecydowania w działaniu... Fizyczna śmierć jest tylko ich skutkiem. Cardin przedarł się w końcu do zakonnic dających jeszcze znaki życia. Ich jęki, połączone z wybuchami bomb i świstem rakiet, brzmiały jak muzyka szaleńca. Kobiety leżały twarzami do ziemi.

Były nagie. Można by pomyśleć, że bezwstydnie zapraszają przybyłych do uciechy. Na ich udach widać było krew. Z czasem ślady gwałtu mogłyby się zbliznić. Ale ślady ukąszeń kul na brzuchach kobiet, poszarpane plecy i wylewające się wnętrzności ukazywały straszną prawdę o czekającej je nieuchronnej śmierci.

Jeden z partyzantów przykucnął w błocie, z podniesionymi rękami. Był rozbrojony. Jego karabin leżał z boku, a magazynek, kształtem przypominający banana, znajdował się w ręku San Li. Cardin mógł dostrzec spłaszczone czubki naboii. Przez chwilę popatrzył na ukrzyżowanego i kolejno dobił wszystkie siostry. Strzelał szybko, celując w głowy, a odrzut magnum podrzucał mu rękę wysoko w górę. Białe kończyny zadrgały konwulsyjnie i znieruchomiały. Dar śmierci został przyjęty.

San Li pochylił się nad swoim jeńcem i zaraz odskoczył do tyłu, by uniknąć tryskającego z przeciętej szyi strumienia krwi. Mężczyzna zaczął kręcić się, usiłując bezskutecznie zatamować krwotok. Cardin ruszył biegiem ku drzewu.

Gaillard już tam był, na ziemi, oparty o pień, u stóp ukrzyżowanego księdza. Kreol leżał z rozrzuconymi nogami w kałuży własnej krwi. Był ranny w pachwinę, miejsce najbardziej wrażliwe. Twarz mu poszarzała.

- Morfiny? - zapytał Cardin i przykucnął przy nim, przygotowany na atak z wnętrza misji.

- Zdejmij księdza - powiedział Gaillard.

Cardin zwrócił się ku wiszącej bezwładnie postaci i spojrział na przebite stopy. Nie był w stanie spojrzeć w błękitne oczy ukrzyżowanego.

- Sam nie dam rady tego zrobić - odparł.

- Musisz! - mimo potwornego bólu wykrztusił Gaillard. Wstrząs podwójnej eksplozji sprawił, że Cardin odwrócił się.

Ujrzał jak San Li rzuca trzeci granat i odwraca się, gotowy do biegu. Nagle Wietnamczyk zatoczył się, padł podcięty, jakby trafił na niewidzialny drut i skonał.

- Zdejmij go! - przez zaciśnięte zęby poleciał Gaillard.

Cardin zaczął wyciągać długie, pokryte rdzą gwoździe, używając do ich podważenia kabłąka spustu swego AK-47 i reszty karabinu jako dźwigni. Nie był sobie w stanie wyobrazić cierpienia, jakie sprawiał wiszącemu człowiekowi. Ksiądz znosił 28

ból w milczeniu. W końcu zmaltretowane ciało opadło w ramiona porucznika.

- O mój Boże drogi! - wyszeptał Cardin.

Krwawiąca głowa znalazła się tuż przy twarzy. Dziwne, błękitne oczy wciąż wpatrywały się w niego, a wargi kapłana poruszyły się.

- Ratuj dzieci - powiedział cicho ksiądz.

Głośny łoskot dużego, transportowego helikoptera - Sikorsky-'ego zagłuszył odpowiedź Cardina. Krzyknął znowu.

- Nie mogę! Nie ma czasu! Nie mogę tego zrobić!

I wtedy, cicho, lecz wyraźnie, pomimo głośnego łopotu śmigieł, ponownie rozległy się słowa:

- Ratuj dzieci!

Cardin, wzruszony, poczuł, jak łyzy płyną mu po twarzy. Nie pamiętał już, kiedy ostami raz płakał. W pewnej chwili wydało mu się, że umęczone ciało straciło już resztkę życia, gdyż zwisło mu w ramionach bezwładnie. Łzy Cardina mieszały się z krwią płynącą z roztrzaskanej głowy opartej o jego twarz. Poczuł, że Gaillard ściska go mocno za łokieć.

- Weź to! - krzyknął Kreol, podnosząc z ziemi misjonarski krzyż na łańcuszku.

- Załóż mu to! Zaraz!

Cardin chwycił krzyżyk, lecz założył go sobie na szyję.

- Rozwalili mu czaszkę! Nie mam zamiaru dotykać jego głowy. Silny podmuch spod wirnika prawie przewrócił Cardina i tylko dzięki sporemu wysiłkowi udało mu się utrzymać na nogach. Od strony misji porucznik usłyszał jazgot ciężkiej broni maszynowej i okrzyki bólu. Gaillard wstał, a Cardin mógł tylko domyślać się, ile wysiłku musiało to kosztować Kreola.

- Chodźmy - wydyszał Gaillard.

Cardin zrozumiał, że Kreol jest już u kresu sił i porusza się tylko dzięki nadludzkiej sile woli.

- Wezmę go - powiedział Gaillard.

- Nie możesz!

Gaillard i Cardin stali teraz twarzą w twarz.

- Wezmę go i pójdziemy razem. Będziesz nas osłaniał.

- Gaillard!

- Ruszamy!

Wyszli na otwartą przestrzeń. Gaillard niósł księdza na plecach, a Cardin strzelał nieprzerwanym ogniem z dwu karabinów. Dziesięć stóp od śmigłowca, Gaillard padł na kolana, a niesione przez niego ciało osunęło się na ziemię. Cardin zatrzymał się przy nich. Jego czarny wietnamski strój łopotał w podmuchu śmigieł helikoptera. Krople błota osiadały mu na twarzy, a ryk silnika kaleczył uszy.

- Pamiętaj o mnie - wykrztusił umierający Gaillard do leżącego na ziemi misjonarza.

Ksiądz uniósł powieki. Rany na nich, w miejscach skąd Cardin usunął przed chwilą ostre, bambusowe drzazgi, otworzyły się na nowo. Pomimo słabości, mimo hałasu maszyn i odgłosów walki, odpowiedź kapłana była całkowicie wyraźna.

- Będiesz przy mnie na zawsze.

Gaillard skonał z uśmiechem na ustach, klęcząc i wciąż próbując podtrzymać bestialsko okaleczone ciało.

Gdzieś z oddali, Cardin usłyszał czyjś głos. Odwrócił się do helikoptera. Jakaś postać w helmie krzyczała w jego stronę, a obracająca się tuż obok lufa karabinu maszynowego wyrzucała strugi ognia.

- Ruszaj się, ty cholerny wariacie! Już po nich! Zostaw ich tam!

Michael Cardin uniósł bezwładne ciało księdza i przeniósł je do helikoptera. Poczul, jak maszyna uniosła się lekko, gdy pilot zaczął odrywać ją od lepkiego błota.

- Cholera! Poczekaj! - wrzasnął i wyskoczył po Gaillarda. Wewnątrz budynku misji dostrzegł gwałtowne rozbłyski, lecz nie słyszał strzałów. Upadając zdążył jeszcze zapamiętać odór napalmu, wciąż klęczące, martwe ciało Gaillarda i to niezwykle, uduchowione spojrzenie kapłana.

Cardin wracał powoli do przytomności. Z zamkniętymi oczyma metodycznie badał wnętrze swego organizmu. Sprawdzał czy kończyny pozostały nienaruszone, wysyłał nerwowe impulsy do najdalszych zakamarków ciała, usiłując określić rozmiary obrażeń poprzez umiejscowienie bólu.

Był już wcześniej ranny i wiedział, jakie obrażenia mogą zostać wywołane przez upadek, materiały wybuchowe, ogień czy też szarpiące ciało odłamki i kule.

Skóra piekła go mocno, lecz uczucie to nie było gorsze od ostrego poparzenia słonecznego. Głębszych urazów nie było, tylko powierzchowne obrażenia wywołane przez wysoką temperaturę. Śluzówka nosa była uszkodzona i przykre klucie przeszkadzało mu w oddychaniu. Musiał dosięgnąć go otwarty płomień. W nozdrzach Michaela pozostał jeszcze zapach benzyny. Napalm!

Nagle Cardinowi wróciła przytomność, jakby ktoś kopniakiem otworzył drzwi. Przypomniało mu się pole walki. Pamiętał spokój emanujący z oczu księdza. Poczł, że fala takiego samego spokoju, jak tam w dżungli, przepływa przez niego teraz. Poznał przyjemny, delikatny dotyk raj. Nie czuł bólu.

- Nieźle oberwałeś - powiedział wąsaty mężczyzna, który pracując z zespołem Cardina, używał nazwiska North, dla każdej z grup nazywając się inaczej. - Będiesz żył, ale jeszcze tego pożałujesz. Cardin odwrócił głowę na śnieżnobiałej poduszce.

- A ksiądz?

- Nie miał szczęścia tak jak ty. Ostatnio widziano go jak konał. Zmarnowałeś wszystko dla tego martwego ciała.

- Nie żyje?

- W tej chwili... na pewno. A czego się spodziewałeś? Widziałeś przecież jego rany. Zabrali to, co z niego pozostało.

- Zabrali? Kto?

- Jego ludzie. Jacyś zakonnicy.

- A on już nie żył?

- Jego serce stanęło, gdy przenosili go z samochodu do karetki. Przez cały czas był nieprzytomny. Było to już ponad tydzień temu. Jeden z zakonników próbował pobudzić jego serce, a drugi udzielał w tym czasie księdzu ostatniego namaszczenia. Może liczyli, że Bóg nie zdecydował jeszcze, jaki będzie los swego sługi?

Cardin, nie odzywając się, odwrócił twarz.

- Nikt nie przeżyje takich obrażeń - ciągnął North. - Kiedy helikopter go tu przywiózł, lekarze wezwali od razu tych braci zakonnych, żeby zajęli się jego duszą, skoro dla ciała już nic nie można było uczynić. - North wstał. - Za to ty masz w tej chwili spore kłopoty. Pomyśl o tym. Teraz lotnictwo chce ukrzyżować ciebie, a nikt nie będzie na tyle szalony, żeby próbować zdjąć cię z drzewa. - North wskazał głową na zamknięte drzwi. - Na zewnątrz jest

dwóch żandarmów, a dalej, na korytarzu kilku fircykowatych oficerów w lotniczych mundurach, którzy aż się palą, żeby móc się wreszcie z tobą porachować. Właściwie, to powinienem im pomóc. Zmarnowałeś przecież moich najlepszych ludzi. Nie przejmuj się, Mike i zapomnij o tym księdzu. On sprowadził już dosyć nieszczęść. North zastukał w drzwi.

- Odzyskał przytomność - powiedział otwierającemu je żandarmowi i nie odwracając się, wyszedł.

W drzwiach pojawił się lekarz wojskowy, który w asyście pielęgniarki dokładnie zbadał Cardina. Przyglądali się temu, w ciszy, pułkownik i major lotnictwa. Ostatni z nich kurczowo ścisnął przed sobą aktówkę.

- Woalałbym, żeby panowie poczekali na zewnątrz - powiedział do nich lekarz, lecz żaden z oficerów nie poruszył się.

W końcu lekarz odwrócił się w ich stronę.

- Teraz trzeba zostawić go w spokoju. Jego stan jest nadal ciężki. Miną tygodnie, zanim w pełni odzyska siły. Absolutnie nie będzie w stanie znieść dłuższego przesłuchania. Jego obrażenia...

- On wcale nie zasługuje na leczenie - uciął pułkownik. -1 tak rozniesiemy go na kawalki.

Młodo wyglądający major poruszył się niespokojnie, jeszcze mocniej przyciskając swą teczkę do piersi.

- Ten człowiek przebywa pod moją opieką! - zirytował się lekarz. -

Mam obowiązek go ratować. Pański stopień nic tutaj nie znaczy, więc niech pan nie próbuje mnie straszyć.

- Jeśli nawet chce się panu go latać, marnuje pan tylko swój czas, doktorze. Prędzej czy później i tak skręcę mu kark!

- Pułkowniku! Ostrzegam pana...

- Niech będzie tak, jak chcą - odezwał się Cardin. - Oni już sobie to postanowili i są uparci. Może mają rację.

- Cholerną rację! - rzucił pułkownik.

- Macie tylko pięć minut. Pięć! - lekarz cofnął się.

- To wszystko, czego nam trzeba, żeby odczytać wstępny akt oskarżenia - powiedział spokojnie major. - Nie będziemy przesłuchiwać tego oficera w jego obecnym stanie. Przedstawimy mu tylko zarzuty.

Przystawił sobie krzesło do łóżka, pułkownik nadal stał przy nogach Cardina.

Major otworzył teczkę, wydobyl papiery i rozpoczął:

- Michael Alain Cardin, porucznik... Mam powiadomić pana, że na skutek niewłaściwego użycia przez pana lotniczej i ratunkowej częstotliwości radiowej, przeznaczonej wyłącznie dla załóg sił lotniczych zestrzelonych na skutek akcji nieprzyjaciela za linią frontu, zniszczeniu uległa łączna liczba pięciu samolotów Stanów Zjednoczonych, a ich załogi zaginęły. Ponieważ wykonywał pan zadanie na terytorium wroga, jest oczywiste, że ci spośród członków załóg, którzy ewentualnie przeżyli, znajdują się obecnie w niewoli. Muszę pana uprzedzić, że pańskie działanie zostanie rozpatrzone w trakcie przesłuchań przed sędziami sądu polowego. Podczas tych posiedzeń podjęte zostaną wszelkie wysiłki, aby udowodnić, że działał pan świadomie, zdając sobie sprawę z możliwych strat w ludziach i w sprzęcie. Będzie panu oczywiście zagwarantowane prawo do zabrania głosu w swojej obronie, jak i do pomocy oficera, który udzieli panu porady w kwestiach prawnych.

Oczy pułkownika ciskały gromy, gdy przerywając majorowi zaczął wliczać zarzuty:

- Jeden samolot rozpoznania radarowego EC-121, zestrzelony przez myśliwce Północnego Wietnamu w strefie przyfrontowej. Rozerwany w powietrzu. Osiem osób załogi. Nikt sienie uratował. Jeden samolot rozpoznawczy OV-10, zestrzelony przez raketę SA 2. Dwie osoby, nikt nie przeżył. Jeden śmigłowiec HH53C, zestrzelony ogniem z broni ręcznej. Załoga - cztery osoby. Martwi lub w rękach wroga. Dwa Skyridery z osłony, zestrzelone przez artylerię przeciwlotniczą. Jeden pilot katapultował się i jest w niewoli, drugi - nie zdążył.

---Trzech członków oddziału Operacji Specjalnych pod pana komendą - dodał major. - Razem: dziewiętnastu żołnierzy zginęło lub trafiło do niewoli.

- Cholernie wysoka cena za jednego martwego cywila i do tego jeszcze nie-Amerykanina - wycedził chłodno pułkownik.

- Ponadto nie wypełnił pan swojego zadania - znowu wtrącił się major

- co z pewnością będzie nas kosztowało jeszcze więcej ofiar, tyle że dopiero później. To będzie zresztą tematem oddzielnego

aktu oskarżenia. Myślę tu o niewykonaniu rozkazu i o porzuceniu służby na polu walki.

Pułkownik pochylił się nad łóżkiem.

- W tej wojnie nie zabijamy swoich, Cardin, ma pan szczęście.

Przyrzekam panu jednak, że będzie pan miał wystarczająco dużo czasu, by pożałować, że nie zostawił pan tego księdza tam na drzewie w dżungli.

Cardin z wysiłkiem uniósł się na łokciach. Ból przeszył całe jego ciało.

- Pana tam nie było. Nigdy nie będzie pan w stanie tego zrozumieć.

- Zostawmy tego drania - powiedział pułkownik.

- Nigdy nie uda się wam doprowadzić do posiedzenia sądu wojennego,

majorze - mówił dalej Cardin. - Moja misja była tajna. Nie miała nigdy miejsca. Ja oficjalnie nie istnieję. Czy wy tego nie rozumiecie?

Oskarżając mnie, będziecie musieli wyciągnąć na światło dzienne sprawy, za które nikt nie przyjmie na siebie odpowiedzialności.

Niezależnie od tego co zrobiłem, choć rzeczywiście ponoszę za to pełną odpowiedzialność, nikt nie pozwoli wam na postawienie mnie przed sądem.

- Uzyskamy zgodę na przeprowadzenie rozprawy przy drzwiach zamkniętych - odparł major wstając.

- Nawet na to wam nie pozwolą. Pułkownik stanął w otwartych drzwiach.

- Załatwimy cię, Cardin. Nie wiem jeszcze jak, ale załatwimy cię.

Nieważne, ile wysiłku będzie nas to kosztowało. Żaden z twoich kumpli nie będzie cię chronił. Jesteś jak robak, który nagle wypelza z ziemi i oni odwrócą się od ciebie. Nigdzie się nie ukryjesz. Jeszcze się spotkamy!

Lekarz odsunął na bok obu oficerów i podbiegł do łóżka.

- Proszę wyjść! - warknął, pochylając się nad Cardinem. - Siostro! - szybko przygotował strzykawkę i wbił igłę w ramię leżącego. -

Spokojnie - powiedział. - Tylko spokojnie.

Cardin chciał otworzyć powieki, lecz stały się nagle zbyt ciężkie.

- Obudźcie mnie, jak już to wszystko się skończy - powiedział.

- Chciałbym, do diabła, żeby to było możliwe - odparł lekarz, ale Cardin już go nie słyszał.

LONDYN 1970

Siedział na ławeczce w parku, wpatrując się w ogromnego, odlanego z brązu orła - symbol amerykańskiej potęgi. Był wdzięczny losowi, który pozwolił mu przetrwać straszliwą zemstę tego ptaka. Najpierw jego szpony rozdarły na pół życie Michaela, potem wypuściły go, orzeł jednak był zawsze gotów ponownie zapolować, gdy tylko Cardin wróci na jego tereny łowieckie.

Mężczyzna wyprostował nogi i ostrożnie zmienił pozycję. Ból, będący rezultatem niesubordynacji, nigdy go nie opuścił.

Z szerokich schodów ambasady dolatywał narastający odgłos antywojennej demonstracji. Cardin patrzył na protestujących ludzi. Na to, jak na gruncie idealizmu wyrasta frustracja i gniew.

- Ręce precz od Wietnamu! - brzmiały okrzyki, intonowane przez przywódców demonstracji, dla których motywem działania była bardziej polityka niż szczytne idee. Zostaną oni z łatwością wychwyceni z tłumu, a ich twarze zarejestrowane na kliszy przez milczących mężczyzn, stojących w oknach wielkiego, betonowego gmachu. Nazwiska demonstrantów będą zapamiętane i później, nawet gdy już wyrosną ze swego czynu, ich życie będzie przez to trochę trudniejsze. Michael Cardin wiedział bardzo dobrze, co ci milczący panowie potrafią.

- Ho! Ho! Ho-Szi-Minh!

Blżej, w parku, jakaś mniej przedsiębiorcza grupa śpiewała protest-song i do Cardina docierało brzęczenie ich gitary. Potrząsnął głową. To wszystko było przecież bezcelowe. Nie potrafił pojąć, dlaczego ci ludzie w ogóle zawracali sobie tym głowę. Oni przecież już dawno zwyciężyli, tylko nie byli w stanie tego dostrzec. Ameryka przegrała wojnę, zanim jeszcze na dobre do niej przystąpiła. Rząd od samego początku postępował według zasady "nie wygrywać", co w praktyce oznaczało "przegrać".

Cardin wstał z ławki i ruszył przed siebie, nie oglądając się na budynek ambasady. Po wyjściu z parku minął budynek American Library i przypomniał sobie znajdujące się z tyłu pomieszczenia. Wspominał długie godziny spędzone w tych pokojach pilnowanych przez strażników i urządzenia przeciwpodśluchowe. Myślał ^o tym tak, jakby to było częścią jakiegoś zupełnie innego życia.

Przejechał metrem do West Kensington, gdzie zajmował pokój w suterenie. Pokój był bardzo chłodny latem i z pewnością wilgotny w zimie. Nie zamierzał jednak wcale się o tym przekonać. Nigdy nie pozostawał zbyt długo w jednym miejscu.

Jego potrzeby były naprawdę niewielkie, wręcz skromne: cztery ściany, łóżko i miejsce do umycia się. Poza tym jeszcze dostęp do trawki u ostrożnego dostawcy z naprzeciwka, kiedy miał ochotę zapalić i czasami - butelka czegokolwiek, gdy chciało mu się pić. Udawało mu się mieszkać w jednym miejscu najwyżej przez sześć miesięcy. Zawsze nieuchronnie znowu trafiali na jego ślad i życie ponownie stawało się pasmem nie kończących się kłopotów. Rozpoczęły się włamania - głównie po to, aby przerwać mu chwilowy spokój. Zwykle tylko niszczyli wszystko, czasem zabierali też pieniądze, jeśli je znaleźli. Gdy zorientowali się, że Cardin wszystko co cenniejsze nosi stale przy sobie - spróbowali pobicia. Zdarzyło się to jednak tylko raz i po nauczce, którą im dał, więcej nie próbowali. Przekupni policjanci rozśmieszali go, szukając narkotyków. Był przecież mistrzem w ukrywaniu. Nęcano go regularnie fałszywymi oskarżeniami - błahymi i bez odpowiednich podstaw. Pociągało to jednak zwykle konieczność spędzenia kilku nocy w cuchnącym areszcie. Zdarzało się to tylko wtedy, gdy wyjeżdżał z Anglii. Widocznie brytyjskie więzienia uznano za zbyt luksusowe. Były też ciągle problemy na granicach, gdzie złośliwi urzędnicy imigracyjni nękali go, najczęściej kwestionując legalność dokumentów. Czasami zdarzało się i coś więcej. Nie potrafił wzruszać na to ramionami i żyć dalej, najlepiej jak potrafi. Wiedział, że wciąż usiłowali go złamać, ale postanowił im się nie dać. Był jednak już zmęczony i zastanawiał się czy to wszystko ma sens. Po tym, co dane mu było przeżyć w dżungli, nic już nie miało znaczenia. Przenosił się nie tylko z powodu ich stałej presji, ale też dlatego, że zaczął szukać sensu życia. Pragnął ujrzyć jeszcze raz tę krótką jak mgnienie oka, lecz na zawsze pozostającą w pamięci wizję, którą pokazał mu ów umierający na drzewie człowiek - wizję raj.

Michael miał teraz długie włosy, prawie do ramion. Zapuścił też wąsy, gdyż zapewniało mu to poczucie anonimowości w dzielnicy, gdzie praktycznie każdy mężczyzna wyglądał podobnie. To oni właśnie tworzyli nowe pokolenie. Byli dziećmi tego czasu. Pełni nadziei i miłości wierzyli, że odkryli nową filozofię. Dobrze wie-36

dział, że w rzeczywistości oszukiwali samych siebie, a ich uzależnienie od narkotyków było formą ucieczki przed rzeczywistością.

Wiedział, że to wszystko któregoś dnia zmieni się, gdy kwiaty, używane przez nich jako broń, zwiędną i uschną, a oferowana wszystkim miłość zostanie odrzucona o jeden raz za dużo. Gdy to nastąpi przylączą się do innych, wyrównując krok, a to wszystko pozostanie tylko snem. Niczym więcej. Może będą się śmiać z nie-dorzeczności swoich dawnych marzeń.

"Na razie jednak w nie wierzą" - pomyślał Cardin, schodząc do piwnicy po wytartych stopniach kamiennych schodów. Na dole ujrzał kartkę przypiętą pinezką do jego drzwi: *Przyjście! Pod czwórka. Przyjdź z butelką.*

Dobiero teraz dobiegło go z góry dudnienie heavy-rocka. Uświadomił sobie, że słyszy ją przecież już od pewnego czasu. Wszedł do swego pokoju, zwinął skręta i wypalił go z namaszczeniem. Poczul się trochę lepiej.

Muzyka docierała aż tutaj. Głębokie dźwięki basowej gitary przenikały do fundamentów starego budynku. "Dep Purple" - pomyślał i wyobraził sobie, jak zmaterializowane dźwięki, odbijając się po stopniach, spadają w dół aż do jego kryjówki.

"Ukrywam się przecież - rozmawiał sam ze sobą. - Właściwie, to przed czym? Przed wstydem? Przed poczuciem winy? Przed wyrzutami sumienia z powodu tych wszystkich ludzi, którzy stracili przeze mnie życie? Nie wstydzę się tego, co zrobiłem."

Wstał, znalazł w szafie butelkę, pociągnął z niej łyk, usunął resztki skręta i starannie schował zapas trawki. Przypomniało mu się, że jeszcze nie jadł, lecz myśl o przygotowywaniu jedzenia napawała go obrzydzeniem. Z pewnością na przyjęciu znajdzie się coś do przegryzienia.

Drzwi do mieszkania numer cztery były otwarte i wszyscy powitali go jak starego znajomego, chociaż znali się tylko z przypadkowych spotkań na schodach. To był jeden z kanonów ich filozofii - natychmiastowe braterstwo.

Siedzieli grupkami na poduszkach lub na podłodze. Nie potrzebowali mebli. Wszyscy ubrani byli identycznie. Ich jednakowe kurtki, dżinsy, przepaski i koraliki przypominały mu mundur, który oni przecież tak gwałtownie potępiali. Również i włosy mieli podobne. Patrząc z tyłu, Michael nie był w stanie odróżnić płci.

Dojrzał wolne miejsce przy ścianie, z dala od olbrzymich głośników. Przeszując siedzących, dotarł tam i usiadł. Ktoś podsunął jedzenie. Gdy podano mu pogniecionego skręta - odmówił. Obok, na poduszce, siedziała dziewczyna z przewiązanymi bandażem oczami. Jej bandaż pomalowany był plakatowymi farbami w abstrakcyjne wzory. Wsunął butelkę do jej rąk.

- Co to jest? - zapytała, chwytając dłoń Cardina i przysuwając się ku niemu. Akcent miała amerykański, musiała pochodzić z Nowej Anglii.

- Bourbon - odpowiedział.

- Z Ameryki?

- Ja czy bourbon?

- Bourbon jest z Ameryki, na pewno! A ty?

- Tak, z Ameryki - powiedział. Pochyliła głowę w jego kierunku, jakby nasłuchując lub czekając na coś. - Przekrzywiła ci się przepaska na włosach - powiedział do niej.

Roześmiała się, a jej zęby w świetle wkręconej w kinkiet ultrafioletowej żarówki wydały się nienaturalnie białe.

- Poczekaj - powiedział i zaczął wykręcać żarówkę.

- Hej! Co robisz? - ktoś się sprzeciwił, więc Cardin wskazał na zabandażowane oczy dziewczyny.

- Tak, w porządku. Świetnie, że o tym pomyślałeś. Usiadł znowu.

- Co zrobiłeś? - zapytała. Podał jej ciepłą żarówkę.

- Niezdrowe światło. Ultrafiolet. Szkodzi na oczy, a ty już i tak masz z nimi problem.

Roześmiała się, lecz tym razem wyczuł w jej śmiechu napięcie.

Ostrożnie dotknęła bandaża. -1 tak nic przez to nie widzę...

Sięgnął po butelkę i napił się. Wyglądało na to, że nigdzie tutaj nie ma szklanek.

- Jak to się stało? - zapytał i zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź.

Dziewczyna sięgnęła po butelkę. - Może nie chcesz o tym rozmawiać? - upewnił się.

- To minie. Oślepiło mnie zbyt ostre światło. Wybuchł pocisk oświetlający. Byłam wtedy zbyt blisko. To u mnie normalne, zawsze gdzieś się sparzę - roześmiała się znowu, lecz wyraźnie widać 38

było na jej twarzy wywołany wspomnieniem strach. Naskórek na jej ustach, brodzie i policzkach wciąż niszczał się płatami. Miała szczęście. Widział nieraz, jak oświetlająca rakietą wypala ciało do kości.

- Wietnam - powiedziała sama, nie doczekawszy się pytania z jego strony. - W śmigłowcu. Wychyliłam się. Byłam fotoreporterką i sama tego chciałam - podkreśliła, jakby oczekując zarzutów.

- Dlaczego jesteś w Londynie? - zapytał Michael.

- Mają tutaj świetny szpital okulistyczny. Moorfields. Jest najlepszy. - Dziewczyna przysunęła się jeszcze bliżej i dotknęła jego twarzy, chcąc zapamiętać rysy.

- Nie zgłosiłeś się do poboru! - stwierdziła bez potępienia w głosie. Nie zaprzeczył, więc uznała, że odgadła właściwie.

- Boże! Tam jest strasznie. Gdybym była mężczyzną, nigdy nie zgodziłabym się tam pojechać...

- Przecież pojechałaś.

- Chciałam pokazać, jak tam jest naprawdę. -Ico?

- Nie potrafię tego opisać.

- Ale musiałaś?

Odwróciła głowę i przez chwilę kołysała się w rytm muzyki.

- Czy ty palisz? - zapytała w końcu.

- Palę, kiedy to jest bezpieczne.

- A gdzie jest bezpieczne?

Wskazał palcem w dół i wtedy dopiero przypomniał sobie o jej ślepcie.

- W piwnicy. Mieszkam tam.

- Muszę zapalić. To co mają tutaj, to same śmiecie.

- Wiem, czuję zapach. Już teraz? Przytaknęła.

Chwycił ją za rękę i pomógł jej wstać. Zachwiała się i wybuchnęła śmiechem.

- Nie potrafię złapać równowagi - powiedziała. Wciąż nie mogę się przyzwyczać. Brakuje mi punktu odniesienia.

- Poprowadzę cię.

- Mój własny pies przewodnik! - krzyknęła, trochę zbyt głośno i chwyciła jego ramię obiema dłońmi.

Wyszli, powoli torując sobie drogę wśród gości.

- Jakie wspaniałe masz ramię! Takie silne mięśnie! - zachwyciła się, gdy schodzili po schodach. Czym ty się zajmujesz? Kruszysz skały? - wyszeptała, przyciskając się do niego. - Już wiem! Jesteś zbiegłym skazańcem, który po pięciu latach wyroku wyrwał się z obozu pracy.

- Cóż więc robię tutaj, w Anglii? - zapytał, podejmując jej zgardywanę.

- Głupi! W Ameryce było przecież zbyt niebezpiecznie. Uśmiechnął się.

- Masz rację.

Zaczął się zastanawiać jakiego koloru są jej oczy i czy ukryta pod bandażem część twarzy pasowała do obiecująco ładnych ust i delikatnie zarysowanej brody. Była chyba naturalną blondynką i jej włosy byłyby piękne, gdyby choć trochę o nie zadbała.

- Tak! To teraz na poważnie - zaczęła znowu, potrząsając nim. - Z czego żyjesz? Skąd masz pieniądze na chleb? A może masz spore konto w banku? - ostatnie pytanie zadała głębokim, poważnym głosem. - Jesteś pośrednikiem! - krzyknęła. - Trzymasz najlepszą na świecie trawkę w swojej piwnicy!

- Przykro mi, ale nie zgadłaś - odpowiedział. Wydęła wargi i wzruszyła ramionami.

- Niestety, Catherine W.! - zawołała. - Znowu spudłowałaś.

- Ten inicjał... Co on oznacza?

- Weston, nazwisko mojego ojca. Dobrze, amerykańskie, protestanckie nazwisko, a raczej to, co z niego pozostało. Czy zamierzasz się może ze mną przespać? Wolalabym wtedy wiedzieć jak i ty się nazywasz. Zeszli do sutereny. Wpuścił ją przodem, zapalił światło i pomógł usiąść.

- Co robisz? - zapytała, usiłując śledzić słuchem jego ruchy.

- Przygotowuję ci dymka.

- Dobry i wiemy pies przewodnik - zawahała się przez chwilę. - No więc? Czy chcesz?

- Przespać się z tobą? - Tak.

- Przecież nie możesz nawet zobaczyć jak wyglądam?

- Jesteś szczupły - powiedziała. - Wyposzczony i chyba bardzo głodny. Wysokie kości policzkowe. Szaleję za tym!

- Twoje palce mają wspaniałą wznak.
- Żart! - ucieszyła się. - On zażartował! Myślałam już, że uważasz śmiech za zbrodnię ściganą prawem federalnym. Gdzie masz tego przekłętą skręta?
- Wsunął papierosa między jej wargi, a ona zaciągała się powoli.
- Obserwował uważnie, jak pali.
- Dobry? - zapytał, gdy wreszcie wypuściła dym.
- Cudowny. Skontaktuj mnie ze swoim dostawcą. Uśmiechnął się i usiadł koło niej.
- Strzeliła palcami.
- Nazwisko? - zapytała.
- Michael.
- A dalej? - nie dawała za wygraną. - Jakiś Michael... - powiedziała do siebie.
- Właśnie tak. Uśmiechnęła się lekko.
- A więc mi nie ufasz. Boisz się, że jestem z prasy, no i w ogóle...
- Trzymam się teraz z dala od tego bagna. Dzięki Bogu!
- Może trochę whisky?
- Może później. Staram się nie mieszać trunków. Napelnił sobie szklankę i szybko wypił.
- Nie wiem przed czym uciekasz, ale jeżeli będziesz pił tyle, wykończysz się sam, zanim cię to dopadnie.
- Cardin wziął od niej skręta, pociągnął i włożył go jej z powrotem do ust.
- Nie mówisz zbyt wiele, Michaelu... Jakiś.
- Patrzyłem na ciebie.
- Przekrzywiona przepaska i tak dalej?
- Właśnie.
- Uśmiechnęła się i wtedy zrozumiał, że jest piękna.
- Chłodno tu u ciebie - powiedziała.
- W zimie będzie jeszcze gorzej.
- Nie zamierzam zostać aż tak długo, ale to miłe z twojej strony, że mnie uprzedziłeś.
- Uśmiechnął się, a ona poczuła to tym niezwykłym zmysłem jaki mają niewidomi.
- Uśmiechnąłeś się. Pokój aż pojaśniał.
- Wydawało ci się. To od trawki.

Wyjął skręta z jej warg. Papier był lekko do nich przyklejony.

- Hej! Uważaj przyjacielu na moją skórę, jest delikatna.

- Jak długo...? - zapytał. - Od...

- Pewnego czasu - przerwała mu. Oddał jej papierosa.

- W porządku. Nie ma sprawy.

- Zbyt długo - powiedziała, zaciągając się głęboko i wstrzymując oddech.

- Musisz czasami wydychać - powiedział rozbawiony. Wypuściła dym.

- Masz naprawdę dobrego dostawcę. Teraz mam ochotę na łyk bourbona.

Nalał do dwóch szklanek i jedną włożył jej do ręki.

- Czy na zewnątrz jest ciemno? - zapytała, obracając głowę w stronę, gdzie, jak wyczuwała, mogło znajdować się okno.

- Jest wieczór.

- A tutaj?

- Zasłony są zasunięte. Pali się jedna żarówka.

- Jak tutaj jest?

- Tutaj? Zimno i ciasno. Dla mnie w sam raz.

- Opisz dokładniej.

- Stół, trzy krzesła, zwykle sprzęty kuchenne, łazienka jest za mną, łóżko po twojej lewej ręce.

- Czy na przyjęciu podobała ci się jakaś inna dziewczyna? - zapytała niespodziewanie Catherine.

- Nie szukałem.

- Dlaczego?

- Nie szukam nikogo.

- Znalazłeś przecież mnie.

- Chciałaś zapalić.

Skręt wypalił się. Wziął go od niej delikatnie, rozkruszył to co pozostało i splukał w zlewie, zostawiając na dłużej odkręconą wodę.

- Jesteś bardzo ostrożny - zauważyła, przysłuchując się jego ruchom.

Siadł przy niej znowu.

- Czy zgasiłbyś światło, gdybym cię o to poprosiła? - pytając przekrzywiła głowę.

- Teraz?

- Teraz.

Wstał, wyłączył lampę i wrócił na swoje krzesło.

- Bardzo dobrze umiesz poruszać się w ciemności.

- To prosta sztuczka. Zamykasz oczy na kilka sekund, zanim przekręcisz wyłącznik. Czy teraz mamy równe szanse?

- Może. Gdzie się tego nauczyłeś?

- Zapomniałem. Pytasz za dużo.

- Jestem dziennikarką - odparła.

Sięgnęła do przodu, odnalazła go i wsunęła mu rękę pod koszulę, dotykając nagiej skóry na plecach. Jej palce natrafiły na stwardniałą krawędź blizny. Znieruchomiała.

- Co ci się stało? - zapytała.

- To tylko blizna. Masz jeszcze ochotę na drinka?

- Potrafisz znaleźć butelkę w ciemności?

- Pamiętam, gdzie ją postawiłem.

- Następna sztuczka?

- Jesteś szalona. Czy ktoś ci to już powiedział?

- Wszyscy tak mówią, mój przyjacielu.

- Wierzę!

- Wiesz, co myślę, Michaelu Jakiś? Chyba jesteś trochę za stary jak na uchylającego się od służby. Myślę, że tam byłeś. Wyczuwam w tobie obecność śmierci. Najprawdopodobniej zdecydowałeś po prostu, że masz już dosyć.

- Zdezercerowałem?

- Miałeś dosyć i w jakiś sposób cichcem udało ci się stamtąd wydostać. Dlatego teraz się ukrywasz.

- Czyżby? - Tak!

- Czy to jest to, w co chcesz wierzyć, Catherine? Dlatego, że jesteś pacyfistką? Czy może chcesz coś ze mnie wyciągnąć jako dziennikarka?

Chwyciła go mocniej.

- Pierwszy raz wypowiedziałeś moje imię. Podoba mi się sposób, w jaki je wymawiasz. Chyba cię nie puszczę tak łatwo. Słuchaj! Ja to rozumiem. Naprawdę. Czasami potrzeba znacznie więcej odwagi, aby uciec od czegoś, niż żeby zostać i być tego świadkiem od początku do końca.

Sięgnął po butelkę, nalał z niej ponownie i przysunął szklankę do jej twarzy. Ustami odnalazła brzeg i wypila.

- Ognista woda być mnóstwo dobra dla squaw - mruknęła. Cardin wypił to, co pozostało na dnie szklanki.

- Czy w twoim łóżku mieszczą się dwie osoby? - zapytała, pochylając się w jego stronę.

- Z trudnością.

Przytulił jej głowę do piersi i poczuł, że dziewczyna cała drży.

Wiedział, że powodem tego drżenia nie jest wcale panujący w pokoju chłód.

- Chcę, żebyś mnie przytulił mocno, mocno - odezwała się do niego. - Już od dawna bez przerwy się boję, bo światło ode mnie odeszło i więcej nie wróci.

- Wiem - powiedział cicho.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, poruszając się uważnie w ciemności. Usiadła. Wyciągnęła ku niemu ręce.

- Pozwól mi - poprosiła i powoli zaczęła go rozbierać. Później, leżąc już na łóżku, słuchał jak dziewczyna się rozbiera. Zbliżyła się powoli.

Usta odnalazły jego wargi i odsunęły się, a

wtedy poczuł dotyk jej nagich piersi. Była ciepła i miękka. Nagle znów zapragnął spokoju, który tak dawno go opuścił. Przytulił ją mocno i poczuł, że Catherine płacze, choć jej łzy nie mogły wypłynąć spod bandaża.

Dostrzegł w tym wszystkim niespodziewaną i okrutną ironię losu. Był przecież prześladowany dniem i nocą przez oczy martwego człowieka, a teraz szuka ukojenia i daje swą siłę niewidomej dziewczynie.

- Odzyskasz wzrok - obiecał jej. - Któregoś dnia będziesz znów mogła widzieć. Przysięgam ci to.

Dyszała nad nim ciężko, gdy przyszło doń spełnienie. Potem i ona je znalazła.

W dwa dni później przyjechała do niego taksówką.

Michael, pijąc przy stole, usłyszał dobiegający z góry, od ulicy warkot dieslowskiego silnika. Zobaczył rozmazaną sylwetkę człowieka na matowej szybie w drzwiach i odstawił szklankę. Przyjrzał się obcemu dokładnie przez okno, a potem otworzył drzwi.

Na progu stał taksówkarz, trzymający w jednej ręce walizkę, a w drugiej pękatą podróżną torbę. Pod pachą niósł małą, przenośną maszynę do pisania, a na jego szyi wisiały trzy aparaty fotograficzne w futerałach.

Catherine stała u szczytu piwnicznych schodów, ściskając kurczowo obiema rękami metalową poręcz.

- Zgubiłam się! - zawołała nieomal ze śmiechem. - Ciągle na coś wpadam. Mój wspaniały taksówkarz powiedział mi, że wie, gdzie mieszka mój najwspanialszy pies przewodnik. To prawie cud! Michael zauważył, że dziewczyna ma białą laskę. Taksówkarz zakaszłał.

- Zabrałem ją spod szpitala Moorfields, z tego, gdzie leczą oczy, wie pan? - odezwał się, stawiając bagaż przed drzwiami, wciąż jednak ściskając maszynę do pisania. - Siedziała na walizce na środku chodnika...

Dziewczyna postawiła stopę w wysokim, sięgającym uda zamszowym bucie, na niskim murku między zardzewiałymi słupkami poręczy i zaczęła kołysać się wolno z boku na bok.

- Niech pan nie opowiada historyjek, panie taksówkarzu - powiedziała beztrosko. - Niech on sam sobie coś wymyśli.

Głowa opadła jej pomiędzy wyciągnięte do przodu ramiona i Michael mógł usłyszeć stłumiony szloch.

- Jest załamana - powiedział kierowca.

- Proszę wstawić te rzeczy do środka - poprosił Michael, usiłując przejść obok niego na górę.

- Jeździliśmy w kółko - mówił taksówkarz - aż wreszcie udało mi się wyciągnąć z niej ten adres. Trochę czasu mi to zajęło, chłopcze. Nie mogłem przecież jeździć tak bez celu.

- W porządku. Porozmawiam z nią.

- To wspaniała dziewczyna.

Michael skinął głową i wspiał się szybko po schodach. Dotknął jej włosów.

- Co się stało? - zapytał.

- Niech to diabli! - zaklęła.

- Co oni ci tam powiedzieli? Uniosła rękę z białą laską.

- Standardowy model - odrzekła. Głowę trzymała wciąż opuszczoną, jej słowa były zdławione.

- Na stałe? - spytał delikatnie.
 - Jasne, że nie. To tylko taka laska do okładania nią po drodze staruszek na ulicy!
 - Sprowadzę cię na dół. Dziewczyna nie poruszyła się.
 - Catherine?
 - Czy na pewno chcesz wziąć na siebie taką odpowiedzialność? Czy potrzebny ci dodatkowy kłopot?
 - Chodź na dół.
 - Powiedz mi!
 - Pogadamy o tym pewnego dnia. Kiedyś... - sprowadził ją ze schodów przez otwarte drzwi pokoju.
 - Czy ona jest panu coś winna? - zapytał kierowcę Michael.
 - Zapłaciłam mu! - wtrąciła gwałtownie. Mężczyzna przytaknął.
 - Jestem bardzo panu zobowiązany - powiedział Michael.
 - Zawsze do usług - odpowiedział mu taksówkarz. - Czy na pewno się pogodzicie i będzie jej u pana dobrze?
 - Będzie dobrze.
 - W takim razie już pójdę. Niech pani na siebie uważa. Cardin ulokował ją na łóżku i usiadł przy niej.
 - Czy oni są tego całkiem pewni? - zapytał.
 - Mają próbować jeszcze raz, za sześć miesięcy. Sześć miesięcy! Boże!
 - Czyli jeszcze nie zrezygnowali?
 - Ja zrezygnowałam.
 - Tylko na chwilę. Teraz to szok, ale wyjdiesz z tego.
 - Łatwo ci powiedzieć, Michaelu Jakiś. Zamień się ze mną! Chociaż na jeden dzień!
- Przycisnęła ją mocno do siebie.
- Nawet gdybym chciał, nie mogę tego zrobić, Catherine. Mogę ci pomóc, ale sama wiesz, że zamienić się z tobą nie mogę.
- Wyzwolila się z jego uścisku i położyła na boku, z podkurczonymi nogami.
- Nie chcesz, żebym ci przeszkadzała. Masz swoje własne życie. Swoje problemy. Swoją własną drogę.
 - Akurat w tej chwili nie zamierzam donikąd iść, więc równie dobrze możemy posiedzieć razem.

- Jesteś pewien? Przez sześć miesięcy? A co będzie, kiedy w końcu... jeżeli...?

- Jestem pewien. Tym co będzie potem, pomartwimy się później.

Przytuliła się do jego kolan.

- Może masz teraz chęć na drinka? - zaproponował.

- Na razie nie, dziękuję.

- Czy jest ktoś, z kim chcesz się skontaktować? Rodzice, przyjaciele?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Czy twoi rodzice wiedzą?

- Być może. Rzuciłam college. Kazali mi iść do diabła, więc poszłam.

Pojechałam do Wietnamu.

- Jeżeli nawet twoja gazeta nie dała im znać, to wojskowi musieli to zrobić.

- Powiadomili. Miałam telefon z domu. Kazałam im się ode mnie odzepić.

- Nie odwiedzili cię?

- Nie wiem, możliwe, że się wybrali. Nie było mnie wtedy w domu.

Pewien reporter Reutera pomógł mi dotrzeć do Londynu. Żądał zapłaty w naturze. Zgodziłam się. Jesteś zaskoczony?

- Potrzebowałaś kogoś.

- Mało cię to obchodzi... Ty draniu!

- Dobrze, położyć się trochę. To przynajmniej oznacza, że umiesz jeszcze walczyć.

Poddała mu się zupełnie. Zawisła na nim, jakby jej całe życie zależało od siły tego jednego uścisku.

- Czy ktokolwiek wie, gdzie jesteś? - zapytał.

- Tylko ty - odpowiedziała wyczerpana.

- Nie opuszczę cię - mówił powoli. - Jeśli tego pragniesz. Uniosła się, szukając jego ust.

- Ani ja ciebie - wyszeptwała. Ich twarze prawie się dotykały.

- Cardin - rzekł - Nazywam się Michael Cardin. Zobaczył, jak jej wargi drgnęły. Odsunęła się lekko od niego.

- Tak... - odezwała się po chwili. - Pamiętam. Bardzo chcieli to śledztwo utrzymać w tajemnicy. Dużo naszych ludzi chodziło koło tego, aż wreszcie wygrzebali nazwisko. Wielu facetów z lotnictwa

było aż nadto chętnych, by je wyjawić po cichu. Imienia Michael nie udało nam się wtedy ustalić. Tylko Cardin - ucichła, a on patrzył na nią uważnie. - Było całe mnóstwo plotek o operacji zaprzepaszczonej przez jakiegoś oficera - zaczęła mówić znowu. - Jednego z tych "specjalnych" oficerów. Tajna, oficjalnie nieoficjalna operacja. Przepadło dużo samolotów, ludzie też. Wezwał kawalerię lotniczą, żeby ratować jakiegoś księdza. Mówili, że zwariował. Cała ta sprawa ucichła, kiedy kilka miesięcy później Calley spustoszył Mai Lai. Przerwała.

- Jeżeli to w ogóle był Calley - mówiła dalej z poważną miną, patrząc na Michaela. - Dlaczego cię nie sądzili? Nie, nie mów mi. Ciebie przecież wcale nie było, nie istniałeś, więc na jakiej podstawie by mogli...

- Sąd wojenny uznałby mnie winnym. Bez wątplenia. Miałbym wtedy jednak prawo do apelacji, a nie można przeprowadzać apelacji przy drzwiach zamkniętych. Wszystko musiałoby wyjść na jaw. Zamiast tego przeprowadzili szczegółowe śledztwo. Zamknięte, bez żadnych ludzi z zewnątrz. Nie mogli mnie skazać, więc kazali mi się wynosić. Dokądkolwiek, byle nie do Stanów. Właśnie to robię i robiłem przez cały czas do tej chwili.

- Nie ma nigdzie żadnych danych o tobie. Nasi ludzie sprawdzali.

- Usunięto je, jeśli w ogóle kiedyś istniały. Z punktu widzenia prawa wojennego przeprowadzane przez nas operacje były nielegalne. Zajmowaliśmy się tym, czego nikt nie chciał robić, a co wszyscy chcieli, by było zrobione. Znajdowaliśmy wroga tam, gdzie nie mógł dokonać tego nikt inny - w domu. Wtedy nie mógł nam zaszkodzić.

- Martwy. Zabijaliście go! W jego domu! Z jego rodziną, z dziećmi...

- Ich też. Byliśmy tam po to, by niszczyć i zabijać. Nasz przeciwnik, w którego godziliśmy tak okrutnie, świetnie rozumiał ten sposób walki. To była wojna, jaką sam prowadził. My byliśmy od niego lepsi.

- O Boże!

- To się już skończyło.

- Dla ciebie! Czy nie ma tam teraz, w tej właśnie chwili, innych, takich jak ty?

- Wątpię. Nie po sprawie Mai Lai.

Mógł wyczuć jej gniew nawet bez patrzenia.

'Tak jak wszyscy - pomyślał. - Uważa mnie za zwykłego lajdaka. Za wyzutego z litości i innych ludzkich uczuć potwora i najprawdopodobniej psychopatę.'

Nagle nieuchronnie wróciły nękające go stale wątpliwości: czy zabijał, bo nikt inny by tego za niego nie zrobił? Zabijał przecież kobiety i dzieci! Czy ma jakiś wrodzony defekt sumienia, który odbiera zdolność współczucia i litości? Może okrucieństwo czaiło się w nim zawsze, a długie miesiące wyjątkowego treningu i szkolenia nadały tylko temu fizyczny wymiar? No i wreszcie to ostatnie pytanie: czy uratował tego księdza w swoistym akcie skruchy? Nigdy się tego nie dowie. Zbyt wiele wydarzeń z jego przeszłości rozmazało się bądź znikło zapewne w jakimś wewnętrznym akcie samopotępienia. Wspomnienie twarzy uratowanego kapłana było za to wyraźne i czyste. Wręcz namacalne, trójwymiarowe. Wystarczyło, by zamknął na chwilę powieki, a ukazywały się tamte niezwykle oczy. Wczoraj, dziś, jutro i zawsze. Nie było i nie będzie dla niego ucieczki. Już zawsze będzie szukał tej tak surowej, lecz i pięknej prawdy.

- Wypiłabym teraz drinka - odezwała się Catherine. Dotknął jej policzka, lecz ona wciąż jeszcze była gdzieś daleko.

Znalazł butelkę bourbona i nalał jej odrobinę do szklanki. Upiła niedużo.

- Znów ogłoszono prohibicję? Za pierwszym razem, tam na górze, dawałeś mi całą butelkę.

- Teraz tego nie potrzebujesz.

- Kto tak powiedział?

- Ty. Wiesz, że nie powinnaś próbować takiego rozwiązania.

Westchnęła.

- Więc ty jesteś bezrobotnym mordercą, a ja inwalidką, była dziennikarką, która będzie musiała nauczyć się alfabetu Braille'a.

- Rozczulania się nad sobą lepiej nie próbuj.

- Do diabła! Co ty w ogóle o mnie wiesz, Michaelu Cardin?

- To nie jest w twoim stylu.

Wypiła resztę bourbona jednym haustem i trzymała teraz pustą szklankę. Nalał jej znów trochę.

- Więcej - zażądała.

Dolał jeszcze.

- Wystarczy - powiedziała. - Dlaczego? Dlaczego po tych wszy-skich rzeczach, które musiałeś robić - lepiej oszczędź mi szczegółów - postawiłeś wszystko na jednego człowieka, którego chyba nigdy przedtem nie widziałeś?

- Po co chcesz to wiedzieć?

- Po co? Bo przecież mam chyba prawo wiedzieć z kim tutaj jestem. Przyszłam do ciebie i chcę zostać. Bardzo chcę. Potrzebuję ciebie, a ponad wszystko muszę też wiedzieć, jaki ty jesteś. Po tym co zrobiłeś, nie możesz być przecież takim samym człowiekiem, jak przedtem.

Racja?

Michael wyjął z jej ręki szklanę, wypił i oddał z powrotem.

- Żałujesz mi? - zapytała uśmiechając się. Dawne ciepło powróciło do niej.

- No, zaczynaj! - poleciała.

- Od czego?

- Od tego, co ma dla ciebie największe znaczenie. Zastanawiał się przez chwilę, aż powiedział:

- Od księdza.

- Właśnie - wpadła mu w słowo. - Zaczynaj od niego. To on tak dużo dla ciebie znaczył.

- Wciąż znaczy.

- Przecież jest martwy.

- To co mi dał, to co pozwolił mi dostrzec, wciąż żyje i będzie żyło zawsze.

Sięgnęła do niego, przysunęła się tak blisko, że poczuł ciepło jej ciała. Dzień na zewnątrz poszarzał, ustępując niechętnie miejsca wieczorowi.

- Opowiedz mi - wyszeptała, kładąc głowę na jego kolanach.

- Ukrzyżowali go - rozpoczął, bawiąc się kosmykami jej włosów. -

Najpierw tortury i bestialskie pobicie. Potem ukrzyżowanie. Nie na krzyżu, na drzewie. Zaplanowali to sobie wcześniej, bo specjalnie przynieśli ze sobą gwoździe. - Opowiedział całe zdarzenie, nie pomijając niczego. Groza tamtego dnia powróciła niepostrzeżenie i wypełniła mroczny pokój.

Siedzieli w ciszy, każde w swojej własnej ciemności. Catherine odezwała się pierwsza.

- Opowiedziałeś mi: jak, lecz nie wyjaśniłeś: dlaczego?

- Gdybym to wiedział, znalazłbym odpowiedź, której sam usilnie szukam. Mój niepokój, mój problem byłby rozwiązany. A tak, w tej chwili, to wszystko jest jakby... niedokończone.

- Ty nadal szukasz?

- Zawsze.

- Dlaczego użyłeś tego słowa - "niedokończone"? - Catherine czuła, że Michael wciąż porusza się niecierpliwie, jakby chciał gdzieś odejść, więc objęła go mocniej. - Powiedz mi!

- Myślałem o tym nieustannie przez ostatnie trzy lata. To co mnie najbardziej przeraża, gdy spojrzę wstecz, to nieuchronność tego wszystkiego. Zrobiłem, to co zrobiłem. Usiłowałem go ocalić, ale działanie moje i dwóch moich ludzi było jakby poza naszą kontrolą. Nie mogliśmy się zatrzymać, chociaż dobrze wiedzieliśmy, że to zwyczajne szaleństwo, nawet samobójstwo. Wiem już teraz, że ten dzień nie mógł inaczej się zakończyć.

- Ten ksiądz miał taką moc? - zapytała z niedowierzaniem, wyraźnie jednak usiłując to zrozumieć. - Mógł kierować tobą i twoimi ludźmi? Michael zastanawiał się nad odpowiedzią. Sam nie był teraz tego pewien. Z nikim dotąd tak otwarcie o tym nie rozmawiał. Podczas śledztwa w Sajgonie nie wspomniał o swoich odczuciach. Przedstawił tylko fakty, gdyż cokolwiek więcej upewniłoby śledczych, że jest szaleńcem. "Ciągły stan niepewności i poczucie stałego zagrożenia, czyli załamanie nerwowe" - zdecydowałiby. Czegóż innego można było po nich oczekiwać? Zamknęliby go w szpitalu psychiatrycznym, z cichym zaleceniem, by nigdy stamtąd nie wyszedł i byłoby to wspaniałe rozwiązanie, satysfakcjonujące wszystkich oprócz Cardina. Dlatego nie przedstawił im niczego oprócz gołych faktów.

- Tak - powiedział i zaraz się poprawił. - Nie! - potrząsnął głową. - Oczywiście nie mógł mieć nad nami takiej władzy. Było jednak coś takiego, co panowało nad tą całą polaną. Nie potrafię, nie wiem, jak to opisać, ale coś takiego tam było. Przysięgam.

- Ale ksiądz musiał w jakiś sposób zapanować nad wami. Musiał!

- Tak. Rzeczywiście. Może miał jakąś szczególną moc - głos Michaela stał się tak cichy, że Catherine potrząsnęła nim, jakby chcąc zbudzić go ze snu.

- **Opowiedz mi! Opisz to!**
- **Nigdy mi nie uwierzysz.**
- **Przecież ci ufam, więc mi powiedz! Co było jego siłą?**
- **Przebaczenie - odpowiedział dziwnym głosem. Zdawało się, że oddala się coraz bardziej od rzeczywistości, wracając na tamtą polanę w dżungli.**

W pewien sposób i ona była tam razem z nim, dodając mu otuchy pośród ożywionych nagle wspomnień. Catherine znajdowała się jednakże wciąż w terażniejszości, tymczasem jego głos dochodził jakby sprzed lat. Zadrżała ze strachu, bo w pewnej chwili poczuła, że przekroczyła swą ograniczoną, ludzką świadomość.

Ciepłe ciało mężczyzny chroniło ją przed lękiem, jak kołdra chroni dziecko w chłodną, mroczną, zimową noc.

Powietrze w pokoju stało się lodowate, jakby zło skoncentrowało w tym jednym miejscu i czasie wszystkie swe siły. "Nic nie mogłoby być bardziej przerażające niż śmierć teraz, w tej chwili" -pomyślała Catherine rozpaczliwie.

Kiedy Michael odezwał się ponownie uczucie ciepła powróciło i wydało się jej, że pośród mroku swej ślepoty dostrzega światło słońca.

- On miał moc przebaczenia - mówił powoli Cardin. - On widział swych wrogów, oprawców, tych którzy zabijali bliskich mu ludzi i potrafił im przebaczyć. I zostało im to przebaczone. Naprawdę. Przysięgam, że miał moc przebaczenia.

Siedziała cicho, przytulona do Michaela.

- Catherine?

- Mów dalej - odpowiedziała tak cichutko, że z trudem mógł ją usłyszeć. Uniosła twarz. Nowy bandaż, który założono jej w szpitalu, lśnił białą w resztkach światła wpadającego przez okno z ulicy.

Mężczyzna objął jej głowę, ich czoła zbliżyły się.

- Jestem tak samo ślepy jak ty. Nie rozumiem, nie widzę sensu tego wszystkiego, jeśli to w ogóle miało jakiś sens. To jest coś, co mnie przerasta. Wiem jednak dobrze, że to nie skończyło się jeszcze. Nie pytaj mnie o wyjaśnienie, bo go nie znam. Wiem tylko, iż to co zaszło, nie zostało jeszcze zakończone. To był dopiero początek. Nawet w tej chwili mam niejasne uczucie, że czekam na coś! Czasem niecierpliwość aż mnie rozsadza.

- Michaelu, boję się. Boję się o siebie.

Przytulił ją do siebie. Wiedział, że jej obawa o samą siebie powróci, gdy go przy niej nie będzie.

- Czy będziesz mnie kochał? Nie, nie teraz, nie w łóżku. Myślę o prawdziwej miłości?

- Spróbuję. Chcę tego. Łatwo mógłbym cię pokochać, Catherine.

- To on cię powstrzymuje, ten ksiądz. Odsuwa na dalszy plan wszystko inne.

Michael poczuł, że łzy przeciskają mu się przez zamknięte powieki i musiał poczekać chwilę, aż znowu będzie mógł mówić.

- Wiem o tym. Wiem i chciałbym zrozumieć, dlaczego tak jest.

Chciałbym to pojąć, bo myślę, że bez zrozumienia tego wszystkiego nie potrafię żyć.

- Michaelu - powiedziała delikatnie. - Jestem ślepa, nie odtrącaj mnie.

Leżał przy niej, pieszcząc ją delikatnie, a ona płakała cichutko. Kochał ją coraz bardziej z każdą mijającą chwilą i z każdą następną łzą.

Wciąż jednak jego dusza była gdzieś daleko, czekała i, tak jak Catherine, płakała w oczekiwaniu na pomoc.

- Czy ty jesteś katolikiem, Michaelu? - zapytała, jakieś pięć miesięcy później, w niedzielę, gdy spacerowali wzdłuż brzegu Tamizy.

Ruch na rzece i na ulicach był niewielki. Nawet wycia syren mijających ich wycieczkowych statków wydawały się odległe i przytłumione.

Trzymała się mocno jego ramienia, a jej kroki, gdy tak spacerowali razem, były znacznie pewniejsze.

- A więc? - zażądała odpowiedzi, udając złość i zniecierpliwienie. - Mów do diabła!

- Jeśli chcesz iść do kościoła, pójdę z tobą.

- Pytałam, czy jesteś katolikiem?

- Bylem.

Ścisnęła mocniej ramię Michaela. Obok nich jedna za drugą przepływały barki. Było około dziesięciu i wyglądały jak jakieś bezsensowne zdanie napisane alfabetem Morse'a, z którego wymazano kropki.

Cardin zatrzymał się.

- Chodzi ci o ten krzyżyk? - zapytał, obracając ją delikatnie.

Skinęła potakująco głową.

- Nigdy go nie zdejmujesz. Zawsze, gdy cię dotykam, masz go na sobie. Spojrzał na bliźniacze wieże zwodzonego mostu. Most był otwarty, by przepuścić płynący statek.

- Należał do niego - powiedziała. Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Czekala cierpliwie na odpowiedź. Poznała już te jego chwile milczenia, nawet je rozumiała. Były jak chwile kultu, jak milczący hold.

- Ten krzyżyk nie był jego własnością - wyjaśnił w końcu, gdy most został już opuszczony. - Przywiązali to do niego. To była zniewaga. Oni chcieli poniżyć jego wiarę.

- Zatrzymałeś to jednak. Wykrzywił twarz i spojrzał na rzekę.

- Założyłem go sobie na szyję - wtedy. Przywiązali mu to, możesz zgadnąć gdzie, a Gaillard chciał, żebym to zdjął. Oszalał z bólu, lecz nie mógł ścierpieć tego, że ten krzyżyk tam wisi. To nie miało nic wspólnego z wiarą. Po prostu założyłem ten łańcuszek na szyję.

- Gaillard?

- Jeden z moich ludzi. On zginął.

- Dobrze, że to nie ty wtedy zginąłeś. Chyba jej nie usłyszał.

- Ocknąłem się w szpitalu i znalazłem ten krucyfiks przy łóżku. Pewnie pomyśleli, że był mój.

Odgłos holownika sprawił, że Catherine bezwiednie odwróciła twarz ku rzece.

- Gdybyś to teraz wyrzucił. Gdybyś zdjął łańcuszek z szyi i wrzucił do rzeki, czy poczułbyś się wyzwolony? Czy to uwolniłoby cię od niego?

- Nie! - odparł ostro. - Gdy odszukam prawdę, znaczenie tego wszystkiego, gdy poznam choćby tylko początek prawdy, wtedy ten krzyżyk nie będzie mi już potrzebny.

- A co będzie, jeżeli nigdy nie trafisz na ślad tej swojej prawdy?

Obrócił ją tak, że stanęli twarzą w twarz. Nosila teraz ciemne okulary przysłaniające niewielkie opatrunki. Ujrzał swe odbicie w lustrzanych szklach: swoją szczupłą, wymizerowaną twarz, prze

śladowaną i rozdartą przez wewnętrzną agonię podczas długich bezsennych nocy.

- Trafie - powiedział z przekonaniem. -1 co? Czy wtedy mnie zostawisz?

Dotknął jej twarzy i przesuwał palcami po zanikających już bliznach. Nawet w okolicach oczu skóra była już prawie zagojona.

- Nie potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie, dopóki nie stanę przed takim wyborem.

Pochyliła głowę, a niespodziewany podmuch wiatru strącił jej włosy na twarz. Nie próbowała ich poprawić.

- Jeżeli tak, to powiedz mi chociaż, co czujesz teraz? Zapomnij o tym, co może być później. Co czujesz do mnie teraz, w tej chwili?

- Czego oczekujesz? Co mam ci powiedzieć?

- Nie unikaj odpowiedzi! Powiedz, co teraz czujesz?

- Potrzebuję ciebie.

- Potrzebujesz mnie? Jak? Potrzebujesz mojego ciała? Chcesz, żebym była z tobą?

- Potrzebuję ciebie tutaj, teraz.

- Tylko teraz?

Bez wysiłku uniósł dziewczynę, chociaż opierała się, walcząc ze złością i posadził ją na obmurowanym nabrzeżu, trzymając ją, by nie wpadła do rzeki.

- Gdyby ta chwila była przed tym, co się stało - odezwał się - lub gdyby nigdy to się nie stało, kochałbym cię. Może kocham cię teraz, ale to uczucie jest zamglone. Czy ty tego nie widzisz? Nie mogę ci wyznać miłości aż do chwili, gdy ujrzę prawdę. Na razie jestem wciąż ślepy.

- Tworzymy zgraną parę? Ty jesteś ślepy, a ja niewidoma. Wykrzywił wargi.

- To było bezmyślne, przepraszam.

- Nie przepraszaj. Powiedziałeś mi szczerze to, co sobie pomyślałeś. A raczej to, o czym wciąż myślisz, niezależnie od tego, jakich użyłeś słów. Dlaczego bez przerwy uważasz, że każde zdanie jest jak... pole minowe, na które wchodzisz? Słuchaj! - krzyknęła nagle bez ostrzeżenia. - Czy słyszysz je?

- A co mam słyszeć?

- Dzwony! Boże, mój słuch z każdym dniem staje się coraz ostrzejszy.

- Dzisiaj jest niedziela - stwierdził oczywisty fakt, lecz ona nie słyszała już niczego oprócz dzwonów, których czysty odgłos był dla niej niemal czymś materialnym. Michael słyszał tylko słabe, melodyjne bicie, niknące prawie w szumie ulicy.

- To jest coś takiego... jakby mały cud - powiedziała, powracając znów myślami do niego. - Mogę prawie widzieć dźwięki. Oswajam się już powoli ze ślepotą.

- To dobrze, ale zbytnio się do niej nie przyzwyczajaj. Pozostało ci tylko kilka tygodni, a tym razem specjaliści mają coś więcej niż nadzieję.

Zobaczył, że zamarła nagle, jakby przerażona niespodziewaną, złą wiadomością.

- Catherine, oni mówili poważnie! Rozmawiałem z nimi. Byli absolutnie pewni.

Sięgnęła ku niemu i chwyciła go mocno.

- Jeżeli im się uda, jeżeli będę mogła znowu widzieć, zostawisz mnie. Nie pozostanie nic, co zatrzymałoby cię przy mnie.

- Nie jestem z tobą tylko dlatego, że jesteś ślepa! - krzyknął dotknięty tym, że tak go osądziła.

- Nie, ale jesteś ze mną, bo ja jestem od ciebie całkowicie uzależniona. Nie mogę ci pomóc odnaleźć tego, czego szukasz. Za to ty musisz pomagać mi we wszystkim. Gdy nie będziesz więcej musiał tego robić - odejdziesz. Wiem, że odejdziesz.

- Chodźmy do domu - powiedział Michael.

- Widzisz! Nawet sam przed sobą nie potrafisz się do tego przyznać.

- Za to ty nie widzisz nic! - odparł.

- Bum! - krzyknęła i roześmiała się. - Właśnie wszedłeś na minę.

- Pamiętaj, masz mnie w ogóle nie odwiedzać - powiedziała w miesiąc później Catherine. Jej podróżna torba była już spakowana do szpitala.

Na ulicy czekała już taksówka z tym samym, teraz ulubionym, kierowcą, który zdążył się przyzwyczaić do przejazdów w stronę Moorfields. Siedział w swym samochodzie, paląc z zadowoleniem papierosa. - Kiedy to wszystko się skończy - mówiła dalej - wrócę także sama. W każdym przypadku, niezależnie od wyniku operacji.

- To głupie - rzekł Cardin.

- Chcę, żeby tak było.

- Będziesz tam kogoś potrzebować!

. Zawsze będę potrzebowała ciebie, Michaelu. Musisz jednak zdecydować, czy pozostanie ze mną to krok w przód, czy też krok do tyłu. A może to w ogóle jest stanie w miejscu?

Westchnął, zdając sobie sprawę z bezcelowości ewentualnej sprzeczki.

- Wszystko będzie dobrze. Wiem, że tak będzie.

- Możliwe. Tym razem byli... prawie pewni. Ale jeżeli... kiedy... sprawią, że będę już widzieć, kiedy znów będę w pełni sobą, wszystko się zmieni, wszystko musi się zmienić. Zmienimy się oboje. Ja nie będę już więcej całkowicie zależna od ciebie, a ty nie będziesz już czuł się za mnie odpowiedzialny. Możliwe, że będziemy starali się ukryć te zmiany, ale one będą... i to będą całkiem poważne.

- O czym ty mówisz?

- Chcę po prostu wejść tutaj nieoczekiwanie, przez te drzwi, żebyś ujrzał mnie jako zupełnie nową osobę, tak jak ja po raz pierwszy ujrzę wtedy ciebie.

- To niemożliwe. Nie możemy tak zrobić.

- Albo - kontynuowała, szukając dłońmi jego twarzy - albo nie zobaczę cię więcej.

- Czy wierzysz w to, że pozostawiłbym cię, gdybyś nadal pozostała niewidoma?

- Nie, nie wierzę. Ale nie o to wcale mi chodzi. Pozostawiam ci po prostu możliwość wyboru, Michaelu. Będziesz tutaj... albo cię nie będzie. To zależy od ciebie.

Jechali taksówką w milczeniu. Oboje byli świadomi, że niezależnie od wyniku operacji i leczenia, zakończył się właśnie pewien okres w ich życiu.

Kierowca zastukał w szklaną przegrodę za swoimi plecami.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Michael.

- Wiem, znam ten zapach. Słuchaj! Muszę cię ostrzec. Jeżeli będziesz w domu, gdy wrócę, ślepa czy nie, nigdy już nie pozwolę ci mnie zostawić.

Otworzył drzwi i wysiadł na chodnik.

- Odprowadzę cię do środka - powiedział.

Pochyliła się do przodu i odnalazła szybę dzielącą ją od kierowcy.

- Niech pan tutaj zaczeka - powiedziała, gdy mężczyzna opuścił przegrodę. - Niech pan z nim nie jedzie. Czy słyszy mnie pan teraz?
- Będę tutaj. Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze, panienko. Proszę zadzwonić, gdy będzie pani miała wychodzić ze szpitala. Tym razem już bez żadnego siedzenia na chodniku.

- Za tydzień - odparła. - Zadzwonię.

Michael ujął jej dłoń i z torbą podróżną w drugiej ręce poprowadził Catherine do izby przyjęć.

- Teraz już idź - poleciła. - Do diabła, idź wreszcie! Czeka! Pocałuj mnie jeszcze.

Pocałował ją, obrócił się na pięcie i szybko wyszedł. Na zewnątrz zapłacił taksówkarzowi.

- Chcę się trochę przejść - wyjaśnił.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział uspokajająco kierowca. - Tak.

- Więc za tydzień. - Taksówkarz przełączył licznik. Michael potwierdził skinieniem głowy.

- Za tydzień.

Patrzył jak taksówka włącza się do ruchu, potem poszedł przed siebie. Po ponad dwóch godzinach zatrzymał się, wszedł do małej kawiarenki i zamówił filiżankę kawy. Brakowało mu jednak Catherine. Siedział przy oknie, palił papierosa i przyglądał się przechodniom.

Zapadał zmierzch. Cardin widział przez szybę, jak z budynków wysypują się pośpiesznie pracownicy nie myślący wcale o czekającej ich drodze do domu. Miał wrażenie, że ich myśli zamknięte były w jakiejś szczelnej kapsule, otwierającej się dopiero gdzieś tam, na wolności.

Zaczęło mocno padać. Krople wody na szklanej tafli okna zdawały się łączyć z osadzającą się od wewnątrz parą. Położył rękę na szybie i starł trochę ściekającej wilgoci.

Kościół po przeciwnej stronie ulicy zbudowany był z szarego kamienia, pociemniałego od spalin. Przysadzista, ponura bryła, otoczona metalowym płotem. Tabliczka głosiła, że kościół jest pod wezwaniem Świętego Tomasza i chociaż na wywieszce wypisano porządek mszy, Michaelowi wydawało się, że świątynia jest nieczynna, była tak zniszczona i biedna. Potem dopiero dojrzał księ-58

dza. Sutanna idącego moczyła się w kałużach, a parasol pochylony był w stronę porywistego wiatru. Kapłan przystanął przy żelaznej bramie, walcząc równocześnie z zardzewiałą klamką i parasolem. Potem wspiał się po stopniach i zgiął w ciemnym wnętrzu.

Sądząc po jego sprężystym kroku i energicznych ruchach, ksiądz nie mógł być w zbyt podeszłym wieku, wydawał się jednak bardzo stary. Dzielił niejako razem z kościołem to samo zaniedbanie, opuszczenie, bezsensowne przemijanie. Po chwili, w brudnych oknach, załśnił poblask migotliwego światła. Michael bez trudu mógł wyobrazić sobie postać wewnątrz, zapalającą świece i potem krzątającą się dalej w niezachwianym przekonaniu, że Bóg istnieje, i że zaszczytem jest prowadzenie Jego domu, nawet chylącego się już ku ruinie.

Zastanawiał się, czy ów ksiądz widzi swój kościół takim, jakim on go teraz dostrzega. Czy dla niego też jest to tylko budynek, brudny i posępny jak stare magazyny kolejowe, czy też świątynia oznaczająca osobę samego Pana, złotą, a może lśniąca tylko, zależnie od tego, jak Bóg w ogóle wygląda.

Padający deszcz przeniósł nagle Michaela z powrotem do dżungli i w krótkiej, wstrząsającej chwili objawienia ujrzał niespodziewanie prawdziwy cud Boga, ukryty w parze zdumiewających oczu. Wstał, doznając dziwnego wewnętrznego niepokoju. Położył pieniądze na stoliku i wyszedł na deszcz. Po przeciwnej stronie ulicy, zwieńczone łukami, zakurzone witraże rzuciły kolorowe rozbłyski. Rozejrzał się uważnie dookoła, lecz nie dostrzegł niczego. Absolutnie niczego. Wkroczył na czarną, lśniąca jezdnię.

- Proszę lepiej poczekać - powiedziała Catherine do kierowcy, który otworzył drzwi taksówki.

- Sprowadzę cię na dół, panienko.

- Nie! Poradzę sobie sama. Chcę, żeby pan zaczekał tutaj. Zamknął drzwi i patrzył przez okno jak dziewczyna schodzi po stopniach prowadzących do sutereny. Była blada, lecz miała ostre rumieńce na policzkach i przywodziła mu na myśl malowaną porcelanową laskę, którą kiedyś dawno kupił dla córki. Nadal nosiła lustrzane okulary, więc tylko przelomie mógł dojrzeć jej oczy, gdy delikatnie i szybko dotykała swej twarzy czymś wydobytym z torebki. Oczekiwał, że będą niebieskie, stosownie do jasnych włosów, lecz okazały się być jasnobrązowe i błyszczące jak bursztyn.

Nie widział w swoim lusterku żadnych blizn na jej twarzy, lecz wiedział, że nawet gdyby jakieś pozostały, wciąż była piękna. Zazdrościł młodemu człowiekowi o twardym, surowym wyglądzie, temu, którego ona kochała tak bardzo. Uważał, że jej chłopak jest dziwny, nawet w jakiś sposób niebezpieczny. Było coś takiego w jego mrocznym, świdrującym spojrzeniu, że odwracało się głowę. Był on też zbyt spokojny i milczący. Tak jakby czekał na coś, co ma się dopiero wydarzyć. Dość przyjemny w kontaktach z ludźmi, uprzejmy, lecz nie całkiem w porządku. Było w nim coś podejrzanego.

Taksówkarz zapalił papierosa, wyłączył silnik i czekał.

Catherine wsunęła swój klucz w zamek i otworzyła drzwi. Wiedziała od razu, że Michael odszedł.

Kartka leżała na stole, tam gdzie siedzieli za pierwszym razem, po przyjęciu, oparta o butelkę bourbona. Obok leżał krzyżyk. Dostrzegła go najpierw i serce podeszło jej do gardła. Niepisana, zaszyfrowana w krucyfiksie wiadomość była wystarczająca. Catherine nie miała już żadnych wątpliwości.

Przeczytała:

Wiem, że potrafisz to odczytać, ponieważ dowiadywałem się w szpitalu. Cóż więcej mogę ci powiedzieć oprócz tego, że jestem tak bardzo szczęśliwy. Catherine, bywa czas i miejsce na wszystko, zwłaszcza na miłość. Mój czas się skończył, a moje miejsce teraz nie jest przy Tobie. To nie oznacza wcale, że nie kocham cię na tyle, by zostać. Dostrzegłem po prostu, że istnieje inna miłość i muszę odnaleźć do niej drogę.
Michael.

Nie wiedziała, jak długo tam stoi, trzymając krzyżyk i kartkę w opuszczonej dłoni. Nie poruszyła się, gdy kierowca zapukał mocno, kolejny już raz, do otwartych drzwi. W końcu odwróciła się ku niemu, zatrzymując łzy.

- Pojedziesz gdzieś, kochanie? - zapytał zaskoczony, patrząc najpierw na jej wciąż spakowany bagaż, a potem na opuszczony pokój.

- Do domu, proszę pana - powiedziała. - Do domu!

CZĘŚĆ DRUGA ZMARTWYCHWSTAŁY ŚWIĘTY

1.

Południowy Atlantyk. Następnego dnia.

Lśniący srebrzyście samolot pasażerski - mały, dyrektorski odrzutowiec przecinał ciemnoszare niebo nad Południowym Atlantykiem, uciekając całą mocą swych czterech silników przed nadciągającą burzą.

W kabinie, na dziobie, drugi pilot z niepokojem obserwował wskazania paliwa. Był straszliwie zmęczony. Podczas krótkich międzylądowań, które wystarczały mu na uzupełnienie zapasu paliwa w zbiornikach, nie było czasu na odpoczynek. Sen podczas lotu także go nie dawał, a świadomość powagi zadania i dostojności pasażera były powodem nieustannego napięcia nerwowego i wyczerpywały ciało.

Lotnik otarł pot z czoła. Mimo włączonego ogrzewania skórę na twarzy miał wciąż zimną i wilgotną. Było tak od czasu, gdy ich pasażer - krępy, ubrany w gruby płaszcz, kapelusz z szerokim rondem i owinięty po uszy szalem - wszedł na pokład na małym, prywatnym lotnisku w okolicach Rzymu. Dokładniej od chwili, gdy po zdjęciu wierzchniego okrycia wyjaśniła się tożsamość niezwykłego człowieka lecącego teraz z nimi.

Kapitan samolotu, siedzący w fotelu po lewej ręce pilota i masujący właśnie skronie, utkwiał nagle swe przekrwione od ciągłego wysiłku oczy w obrazie na ekranie radaru.

- Trzy samoloty z lewej. Piętnaście mil. Idą na zbliżenie - rzucił szybko po włosku. Na ekranie pojawiły się jeszcze dwa echa, zbliżające się do trzech poprzednich. - Wznoszenie! Prędko!

Drugi pilot pociągnął natychmiast wolant ku sobie, a kapitan pochylił się w przód ku dźwigni silników.

Z tyłu, w głównej kabinie, człowiek, który drzemał w wygodnym, odchylanym fotelu, przebudził się nagle pod wpływem zmiany w monotonnym dotąd odgłosie pracy silników. Pokryta dywanem podłoga pod jego stopami uniosła się stromo ku górze i wiszące na oparciu fotela białe szaty, które ich właściciel miał włożyć po wylądowaniu, zsunęły się z lekkim szmerem. Dostrzegł to drugi pasażer znajdujący się dalej w tyle samolotu. Zerwał się natych-

miast ze swego siedzenia i z trudem zaczaj wspinać się ku przodowi samolotu, walcząc z pochyłością, chwycił się wreszcie oparcia fotela i przyklęknął, by podnieść leżący ubiór.

Białe szaty przesunęły się jednak niespodziewanie na bok, gdy samolot wszedł w głęboki zakręt. Mężczyzna spojrział z niepokojem na półleżącą postać i ujrzał, jak chwilowy skurcz bólu ustępuje miejsca niezwykle uśmiechowi.

- Ojcie Świąty?! - krzyknął klęczący ksiądz, a jego dłonie zacisnęły się mocniej na siedzeniu, gdyż samolot pochylał się coraz bardziej.

Papież, wciąż uśmiechając się, uniósł swą prawą dłoń i dotknął ustami ciężkiego, złotego pierścienia w kształcie prostego krzyża, wręcz surowego w swej formie. Czystym, spokojnym głosem zaczął mówić coś po łacinie, ale przenikliwy świst silników zagłuszał jego słowa.

Pilot, dowódca klucza myśliwców Mirage, należących do Fue-rza Area Argentina, śledził na ekranie radaru sygnały Phantomów Royal Air Force. Wiedział, że wystartowały z nowego lotniska na zamienionych w fortecę Falklandach.

Rozkazy pilota brzmiały jasno i wyraźnie: spowodować, by Brytyjczycy poderwali swe maszyny w powietrze i zawrócili do granicy obszaru powietrznego. Niepokoić nieprzyjaciela, nie wchodząc z nim jednak w kontakt. To była, w tej chwili, oficjalna polityka. Pilot wiedział jednak, że już wkrótce - może to tylko sprawa kilku dni - skończy się ta bezsensowna zabawa w podchody. Tym razem oni zwyciężą, a wyspy Malwiny wrócą w prawowite władanie.

Rzucił ostry rozkaz do swych skrzydłowych. Trzy Mirage wystrzeliły do przodu, uruchamiając dopalacze. Konieczność kolejnego odwrotu sprawiła, że poirytowany dowódca stracił na moment koncentrację. Nie zdążył zarejestrować w swym umyśle innego, większego echa, widocznego na radarze o 10 mil z przodu, idealnie na kursie. Przy prędkości dwukrotnie przewyższającej prędkość dźwięku to tylko dwa uderzenia serca.

Załogi Phantomów RAF-u ujrzały błysk, a po nim rozszerzającą się, pomarańczową kulę, na tle ciemnych, zwiastujących burzę chmur. Dopiero po chwili dotarła do nich fala uderzeniowa wywo-64

Jana wybuchem. Ulewny deszcz spadł niespodziewanie na wzburzone wody oceanu i rozpoczęła się burza, obwieszczając najpierw swój gniew głębokim, nieprzyjemnym pomrukiem. Parę minut później niebo eksplodowało. Dwa oszalałe Mirage umykały w stronę serca burzy, a Phantomy szukały bezpiecznego schronienia na wyspach.

Jerozolima

Wychudzona twarz zmarłego była surowa i biała jak klasztorna cela, którą zajmował. Jedyne małe okienko, umieszczone wysoko, wpuszczało do wnętrza cienką wiązkę promieni przedpołudniowego słońca, tworząc na wyszorowanej do czysta podłodze jasną, prostokątną plamę. Półmrok posępnego pomieszczenia rozświetlały także spokojne płomienie długich świec, ustawionych na czterech wysokich, drewnianych świecznikach w rogach łóżka.

Młody mnich w szarym, wełnianym habicie klęczał obok, pogrążony w żarliwej modlitwie. Obecność zmarłego, którego duszę tak gorąco polecał Bogu, zdawała się skupiać całą uwagę klęczącego. W pewnej chwili zakonnik uniósł głowę i otworzył oczy, by spojrzeć na twarz nieboszczyka. Poczul, jak przejmuje go dziwny dreszcz, gdy uświadomił sobie niespodziewanie, że może dotknąć, po prostu dotknąć, doczesnych szczątków świętego męczennika.

Nie mogąc się powstrzymać, sięgnął przed siebie, ku lodowatej, jakby wykutej z marmuru twarzy. Drżącymi palcami przesuwiał po zapadłych policzkach, twardej krawędzi prostego nosa i po szerokim czole, ponad zamkniętymi powiekami.

Młodziutki mnich tak był przejęty tym niezwykłym momentem fizycznego kontaktu ze świętym pięknem, że nie zauważył szkarłatnej plamy rozplywającej się spod złożonych na piersi rąk zmarłego. Dopiero ciepło spowodowało, że zerknął w tę stronę. Więcej niż ciepło, żar prawie! Zaparło mu dech w piersi. Krzyknął przeraził i zerwał się z klęczek. Powoli odsuwał się od pryczy, aż oparł się plecami o chłodną ścianę. Gdy zdał sobie sprawę, że to krew wypływa powoli z ran na martwym, nieruchomym ciele, zaczął głośno krzyczeć jakby nagle dotknięty szaleństwem. W końcu runął na podłogę z pobladłą twarzą, uderzając prawie o stojący Przy łóżku, wyłączony zestaw aparatury medycznej. Dźwięk

wielu obutych w sandały stóp rozległ się echem w korytarzu, urywając się nagle, gdy biegnący stanęli w drzwiach izby.

Leżący na matach człowiek uniósł się powoli, a jego zaskakująco błękitne oczy otworzyły się szeroko, wpatrzone w przestrzeń z niewinnością nowonarodzonego. Ostrożnie wstał z łóżka, na którym pozostał pokrwawiony całun i podszedł do okna. Tam, patrząc na Jerozolimę, wypowiedział półgłosem trzy słowa.

Mnisi padli na kolana, ich twarze płonęły w uniesieniu i zachwycie. Ponad wszelką ziemską wątpliwość uwierzyli wszyscy, że oto dane im było stać się świadkami niepojętej chwili chwały.

Wskrzyszony odwrócił się, spojrział z uśmiechem w ich stronę, a oni zapłakali.

- Niebiosa są tutaj - powtórzył.

Rzym

Z lotu ptaka Rzym zdawał się być wielką, antyczną broszką. Jego pomniki i budowle, arcydzieła sztuki oraz rzemiosła wielu epok były jego drogocennymi kamieniami, a lśniące światłami ulice - złotem.

Całe miasto otaczała owa aura nieśmiertelności i ponadczasowości, dla której Rzym nazwano Wiecznym Miastem. Na zachód od centrum widać było Watykan, najcenniejszy klejnot miasta Romulusa - twardy, bezcenny, szlachetny kamień, wielokroć obmyty ludzką krwią, przelaną za wiarę, której stolicą był już od stuleci.

Dla każdego z ubranych na czarno mężczyzn, wezwanych tu tej nocy, Watykan miał szczególne znaczenie. Kierował ich życiem. Był skałą, na której opierało się istnienie. Jego siła umacniała ich własną siłę, a jego słabość wzbudzała w sercach obawę.

Przez blisko dwa tysiące lat od swego powstania kościół przeżywał także okresy słabości, czasem nawet błędził, lecz opoka, na której zbudowano jego potęgę, była wciąż pewna i nienaruszona. Ludzie przybywający na wezwanie do Rzymu wierzyli, że jest ona wręcz niezniszczalna, a jeżeli nawet potęga ta zostanie zagrożona, gotowi byli użyć wszelkich środków i możliwości dla ratowania kościoła i obrony wiary.

Tej nocy mieli być poddani najtrudniejszej próbie.

Ponieważ przybywali różnymi drogami i z wielu punktów całego globu, również godziny ich przybycia znacznie się między sobą różniły. Na każdego jednak na lotnisku Fiumicino czekało kilku niepozornie wyglądających mężczyzn. Podróżnym polecono stawić się w Rzymie natychmiast bez formalnych zapowiedzi i incognito. Pomimo ich wysokiej pozycji w duchownej hierarchii nakazano im unikać poczekalni dla ważnych osobistości i biletów pierwszej klasy. Ich nieoficjalny przyjazd zorganizowano tak dokładnie, że tylko bardzo uważny, albo wcześniej poinformowany obserwator, mógł zauważyć przyjazd kilku księży Kościoła do stolicy Włoch. Sprzed portu lotniczego Fiumicino luksusowe, lecz nie zwracające niczyjej uwagi samochody, przewoziły przybyszów, każdego tą samą drogą w kierunku Citta del Vaticano, przez Łuk Dzwonów, za Bazyliką Świętego Piotra, następnie przez Cortille della Sentilla i dalej do Cortille San Damaso. Tutaj pasażerowie wysiadali z aut i podążali ku windzie, która zabierała ich do Sekretariatu Stanu. Wszyscy bez wyjątku, pomimo zmęczenia i podeszłego wieku, poruszali się zdecydowanie, jak żołnierze stawiający się na rozkaz dowódcy. Żaden z nich nie znalazł jeszcze powodu tego nagłego i nieoczekiwanego wezwania. Watykan nie był przecież nigdy całkowicie wolny od politycznych intryg czy walki o władzę. Niespodziewana wiadomość, jaką każdy z nich otrzymał osobiście, była tak sformułowana, by nie mogli się domyślić przyczyny, dla której tak pilnie zebrano ich razem. Polecenie brzmiało: "Proszę natychmiast przybyć do Rzymu. Bez zwłoki i dyskretnie". Tak też wszyscy uczynili.

Sekretariat Stanu mieści się na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego. Na czele Sekretariatu stoi kardynał sekretarz stanu. Podlega mu bezpośrednio jego zastępca - *sostituto*, organizujący całą działalność Sekretariatu. Następny w hierarchii jest asystent *sostituto* - *assessore*, a dalej zespół liczący około stu osób, wliczając w to dwunastu dyplomatów i dwudziestu przedstawicieli zgromadzeń zakonnych. Ponieważ Sekretariat bardzo blisko współpracuje z samym papieżem i ma bardzo wysoką pozycję w strukturze organizacyjnej Kościoła, kardynał sekretarz stanu posiada olbrzymie wpływy w państwie watykańskim. W przypadku niespodziewanej tragedii, gotów jest nawet przejąć w swe ręce pełnię władzy.

Piastujący aktualnie to stanowisko kardynał Giorgio Cinalli, Sycylińczyk i jezuita (nieszczęśliwa kombinacja), nigdy nie był bardziej niż tego wieczoru świadom ogromu ciężkiej na nim odpowiedzialności. Każdego ze swych starannie dobranych braci w Chrystusie powitał w drzwiach prywatnych apartamentów. Dalej o potrzeby przybywających kardynałów troszczył się *sostituto Cinal-lego* - *monsignore Benito Marco*, rzymski arystokrata, mały i skrupulatny, również jezuita. Szybko awansował w hierarchii Watykanu. Niektórzy twierdzili złośliwie, lecz chyba nie bez powodu, że zbyt szybko. Dla Cinallego jednak, Benito Marco był idealnym *sostituto*. Świetny jako przedstawiciel władzy, (może tylko trochę zbyt bezwzględny) był uosobieniem perfekcji i skuteczności. Był też nieustępliwy w stosunkach z innymi księżętami Kościoła, częstokroć usiłującymi zajmować cenny czas sekretarza stanu prośbami i skargami osobistej lub, co gorsza, politycznej natury. Kardynał sekretarz Giorgio Cinalli już dawno zdecydował, że jeżeli ktokolwiek w Watykanie mógł być niezastąpiony, to był to właśnie Benito Marco. Ponad wszystko zaś cenił sobie lojalność swego *sostituto*. Tutaj, gdzie intrygi i walka o władzę były na porządku dziennym, lojalność stawała się tak bezcenna jak potrójna papieska korona. Cinalli wiedział, że ta korona przeznaczona jest właśnie dla niego. Był pewien, iż Marco uczyni wszystko co tylko możliwe, by umieścić tę koronę na jego głowie, używając do tego swego uroku, pochlebstwa lub łagodnej perswazji. We władaniu tą bronią był przecież mistrzem. Gdy w Stanach Zjednoczonych wybuchła afera Watergate, na korytarzach Watykanu opowiadano sobie złośliwą historyjkę o tym, jak to *monsignore Benito Marco* doradził Nixo-nowi zainstalowanie podsłuchu w siedzibie opozycji. Dalej padało pytanie: "Dlaczego Nixon został złapany?" - odpowiedź brzmiała: "Bo Giorgio Cinalli chciał się ubiegać o prezydenturę". Żart wzbudzał sporo rozbawienia, lecz ostrożność zakazywała go tłumić. Wiadomo było przecież, że ludzkie uszy słyszą tak samo dobrze jak elektroniczne mikrofony, a Benito Marco korzystał z usług donosicieli.

Kardynał Cinalli, z rzadka tylko zadając jakieś przypadkowe pytanie, w milczeniu przechadzał się po pokoju, w którym zgromadzili się przybysze. Pozwalał mówić innym, podczas gdy sam odświeżał w pamięci wspomnienia dotyczące siedzących obok *paste-68*

rzy Kościoła, starając się przewidzieć ich reakcję na to, co zamierzał im wyjawiać.

W końcu ostatni z wezwanych przyleciał opóźnionym samolotem z Atlantyku i dotarł wreszcie na spotkanie. Cinalli nie dał mu nawet chwili czasu na odświeżenie się po podróży. Skinął jedynie głową na Marco, by ten podał Amerykaninowi coś do picia, a następnie zaprosił wszystkich do sąsiedniego pomieszczenia, w którym ustawiono okrągły stół i fotele. Kardynał sekretarz stanu poczekał, aż Marco zamknie drzwi. Podsekretarz pozostał na zewnątrz w oczekiwaniu na zakończenie spotkania.

- Zostaliście tu wszyscy wezwani, gdyż stanęliśmy w tej chwili zarówno w obliczu katastrofy, jak i przed wielkim dylematem - rozpoczął brutalnie, rezygnując z subtelności protokołu. - Tylko my, tutaj zgromadzeni, jesteśmy w stanie poradzić sobie z obydwoma sprawami. Wymaga tego nasza pozycja, która daje nam też władzę podjęcia koniecznych, natychmiastowych decyzji.

Słowo "władza" wywołało wyraźne poruszenie. Używając tego wyrazu, sekretarz stanu popełniał ogromną niezręczność, gdy jednak wspominał też o "natychmiastowych decyzjach", wszyscy kardynałowie umilkli.

- Po pierwsze, muszę z najgłębszym smutkiem poinformować, że Ojciec Święty, z całkowitą niemal pewnością, nie żyje - powiedział powoli i umilkł, pozwalając, by pierwsze zaskoczenie wywołane tą wiadomością ustąpiło miejsca przygnębiającej, głuchej ciszy. Widać było wyraźnie, że pragnie jednak kontynuować. Ta niecierpliwość zdumiała kilku z przyglądających się mu dostojników Kościoła. Zastanawiał także dający się odczuć brak nie tylko szczerego bólu, ale nawet szacunku w głosie mówiącego.

- Kiedy? - przerywając milczenie, zapytał wreszcie jeden z zebranych.

- Jak to się stało?

Cinalli uniósł obie ręce.

- Wypełniał misję, która warta była, jak uważał, nawet jego życia. Wpatrzone w niego twarze wyrażały zatroskanie i bezgraniczny smutek.

- Wszyscy jesteśmy świadomi licznych zagrożeń dla światowego pokoju - mówił dalej. - W wielu punktach kuli ziemskiej lokalne konflikty przerodziły się w wojny, które mogą zagrażać wybuchem

światowego konfliktu i konfrontacją supermocarstw. Weźmy choćby Amerykę Środkową czy Bliski Wschód. Najbardziej jednak groźna obecnie jest następna nieunikniona wojna o Falklandy. Po raz kolejny upadła w Argentynie demokracja, a nowa junta wojskowa jest gorsza jeszcze od tej, której przewodził Galtieri.

Napięcie wśród zebranych rosło. Cinalli dobrze to wyczuwał, lecz nadal wystawiał ich cierpliwość na próbę.

- Proszę mnie wysłuchać do końca. Istotne są bowiem wszelkie szczegóły - podkreślił. - Ojciec Święty postanowił powiadomić Brytyjczyków, że lepiej tym razem przygotowana inwazja na Falklandy jest już bliska. Oni jednak nie przejęli się tym zbyt. Mieli zresztą podobne wiadomości od własnego wywiadu. Pomimo tego, że intencje junty były dobrze znane, Ministerstwo Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii zaleciło najwyższą ostrożność w podejmowaniu jakichkolwiek akcji militarnych. Na wyspach nie ogłoszono nawet stanu podwyższonej gotowości. Stosunki handlowe, finansowe i dyplomatyczne ich kraju z Argentyną uległy znacznej poprawie i nie życzyli sobie, by ten stan rzeczy został zagrożony lub uległ zmianie na skutek nie przemyślanych akcji militarnych. Będąc w pełni świadomym tego wszystkiego i głęboko przekonany, że junta nieodwołalnie przygotowuje się do nowego najazdu na Falklandy, Ojciec Święty podjął fatalną decyzję. Wbrew mojej radzie wyruszył w podróż lotniczą na wyspy. Jego wyjazd utrzymywany był w najwyższej tajemnicy. Po przybyciu na miejsce zamierzał ogłosić swoją obecność przez radio i przekazać posłanie do rządów obu państw. Sądził, że żaden atak nie nastąpi, jeżeli on, głowa Kościoła, będzie tam przebywał. Chciał zyskać w ten sposób trochę czasu, niezbędnego, by emocje ustąpiły miejsca rozumowi. Niestety, misja ta nie została zrealizowana. Czarterowy samolot zaginął w drodze. Ponieważ jako pasażer samolotu figurował pewien przedsiębiorca z Mediolanu, będący jego właścicielem, nikt dotychczas nie wie, że to właśnie Ojciec Święty znajdował się na pokładzie. Rozmawiałem już z właścicielem samolotu - to jeden z nas, członek Opus Dei i rycerz Świętego Kolumbana. Jest tym bardzo wstrząśnięty, co zresztą wydaje się być zrozumiałe, pozostaje jednak w gotowości, oczekując naszych decyzji.

Dookoła stołu wymieniano szybkie, niepewne spojrzenia. Na twarzach gości oprócz dezorientowania i niepokoju malowała się wyraźna troska.

Cinalli skinął szybko głową, jakby akceptując te emocje.

- Prócz nas, tutaj zebranych, tego przedsiębiorcy i mojego sostituto, nikt więcej nie wie, że Ojciec Święty nie przebywa w murach Watykanu. Dla całego świata żyje nadal, wypełniając swe pasterskie obowiązki wobec Kościoła. Wyraz twarzy Cinallego ostrzegł wyraźnie, że praelat nie wysłucha żadnego pytania, żadnej wątpliwości, dopóki nie wyjawি wszystkiego. - Biorąc pod uwagę obszar, w którym zaginął papieski samolot, nasuwa się pytanie, czy wypadek nastąpił na skutek jakiejś mechanicznej usterki, czy też może samolot został zestrzelony, przypadkowo lub umyślnie. Według naszych informacji, w czasie, gdy nastąpić musiało całe zdarzenie, miały miejsce działania lotnictwa wojskowego Wielkiej Brytanii i Argentyny w tym właśnie rejonie.

Nawet powaga sytuacji nie była w stanie powstrzymać wrzawy, wywołanej tymi słowami. Kilka razy kardynał uderzył o polerowany, drewniany blat stołu, zanim ponownie zapanował spokój. Począł jeszcze chwilę, aż zapadła zupełna cisza.

- To przerażająca katastrofa. Wątpię jednak, czy jest ona równie groźna, jeśli spojrzeć na przyszłe losy Kościoła, jak problem, przed którym stanęliśmy również w tej chwili.

Oparł obie dłonie na stole, wstał ociężale z fotela i podszedł do kominka. Mosiężnym pogrzebaczem poprawił płonące węgle, potem oparłszy się o marmurowy gzyms paleniska rozłożył szeroko ręce i mówił dalej:

- Możemy wybrać nowego papieża. Wręcz musimy to uczynić, jeżeli będzie wolą Pana, by obecny następca Piotra Apostoła nie wrócił do nas szczęśliwie. Nie wolno nam jednak, w żadnym przypadku, dopuścić do upadku Kościoła, a może i do zraty wiary. -Cinalli uśmiechnął się ponuro i splótł dłonie za swymi plecami. -Widzę, że mówię nie dość jasno. Dobrze, postaram się wyjaśnić całą sytuację bez niedomówień. Oczywistym jest, że Ojciec Święty nie żyje. Szanse przeżycia w odkrytej tratwie ratunkowej na Południowym Atlantyku są minimalne, nawet jeśli pilotowi udałoby się wodować, nie rozbijając samolotu. W tej chwili znamy tylko garść

faktów. Wiele szczegółów może, lecz wcale nie musi, wyjaśnić się później. Na razie, z przykrością trzeba założyć, że wszyscy obecni na pokładzie samolotu zginęli. Co jednak najgorsze, nastał obecnie czas, w którym Kościół nie może znaleźć się bez swego najwyższego duchowego przywódcy. Kościół teraz właśnie musi dać dowód największej siły. Nie możemy dopuścić do tego, by został powalony straszliwym i tak nieoczekiwanym ciosem. Nie możemy doprowadzać do podziałów wobec konieczności wyboru nowego papieża. Nie wolno nam - i to jest chyba najważniejsze - zamykać się przed światem na czas trwania konklawe. Moi drodzy przyjaciele, moi bracia w Chrystusie! Kościół Powszechny, a może i cały świat, stanął przed najpoważniejszym zagrożeniem od zarania wiary. Pismo Święte ostrzega nas, że epoka, w której żyjemy, będzie decydująca dla całej ludzkości, że będzie to czas, gdy Szatan - upadły anioł, znajdzie się na swobodzie w swej największej sile i mocy, by siać na Ziemi rozpacz i spustoszenie. Wierzę, iż teraz właśnie rozpoczął on swe dzieło zniszczenia. Oto zesłał zło, używając najper-fidniejszego z możliwych sposobów - Pierre Labesse zmartwychwstał!

Nie było żadnej reakcji ze strony siedzących sztywno kardynałów. Na ich twarzach malowała się nieufność i niedowierzanie. Ci-nalli skinął głową i powiedział:

- Niektóre rzeczy są ponad naszą świadomością, lecz nawet i w tej naszej śmiertelnej niedoskonałości musimy stawić im czoła. Właśnie my. My jesteśmy tymi, którzy są do tego powołani. Na nasze głowy spada cała odpowiedzialność! Pierre Labesse był odważnym człowiekiem. Łączył w sobie łagodność, delikatność, ogromną siłę i powołanie by służyć Panu. Jego cierpienia w imię wiary stawiają go w rzędzie największych męczenników chrześcijaństwa. Nikt nie wiedział o tym lepiej od Ojca Świętego, który tak bardzo go sobie umiłował, a właściwie umiłował pozbawione życia ciało, pozostające w pozornej śmierci przez ponad dziesięć lat. Szeroko dyskutowana była decyzja Ojca Świętego, by rozpocząć proces beatyfikacji Pierre'a Labesse'a, gdy ciało jego jeszcze żyło, chociaż było to możliwe wyłącznie dzięki urządzeniom podtrzymującym funkcje organizmu. Sprawa ta przez wiele lat wywoływała ostre polemiki na naszych najbardziej sekretnych zgromadzeniach. Usiłowano bowiem poddawać w wątpliwość, czy papież, 72

pomimo swej nieomyślności powinien podjąć taką decyzję. Niezależnie od tego, rozpoczęto jednak proces beatyfikacji.

Cinalli podszedł do stołu, wypił łyk wody z kryształowej szklanki i usiadł. Atmosfera wokół stołu nadal była napięta, wręcz jakby naładowana jakimś potężnym prądem, płynącym w stronę zgromadzonych od człowieka, stojącego teraz praktycznie na czele Kościoła i na straży wiary.

Kardynał sekretarz stanu przygryzł wargi i odezwał się ponownie: - Ojciec Święty postanowił, że powinna zostać ustalona data i czas, kiedy urządzenia medyczne podtrzymujące życie Pierre'a Labesse'a powinny zostać wyłączone, pozwalając jego ciału umrzeć śmiercią naturalną. Nasi najlepsi lekarze orzekli, że zgon powinien nastąpić po upływie kilku zaledwie minut - Cinalli zerknął na swój złoty zegarek. - Ustalony termin wyłączenia aparatury upłynął dzisiaj. Prawie dwadzieścia jeden godzin temu. Możecie o tym myśleć co chcecie, lecz prawie w tym samym momencie, co do minuty, zagiął papieski samolot. Proszę, wytrzymajcie jeszcze chwilę! - nalegał. - Musicie wysłuchać wszystkiego, zanim wyrażicie swoje zdanie. O wyznaczonym czasie bracia z klasztoru, w którym przebywał Labesse, opiekujący się chorym od tak dawna, wyłączyli urządzenia podtrzymujące funkcje organizmu i Labesse zmarł. Skonał po kilku minutach. Jego fale mózgowie nie wykazywały żadnej aktywności przez wiele lat, lecz teraz serce przestało bić i ustało oddychanie. Życie opuściło ciało i wystawiony został akt zgonu. W dziewięć godzin później, rany jakie zadano Labesse-'owi podczas ukrzyżowania, przed ponad dziesięcioleciem, otworzyły się i zaczęły niespodziewanie krwawić. Jestem pewien, że potraficie wyobrazić sobie, jakie pandemonium rozpętało się w klasztorze. Bracia zakonni wiedzieli, że została już podjęta papieska decyzja w sprawie kanonizacji Pierre'a Labesse'a zaraz po jego nieuniknionej śmierci. Labesse zmarł. Przez całe dziewięć godzin leżał martwy. Teraz znów żyje - Cinalli zawahał się. - Jeżeli jeszcze nie dostrzeżliście tego, pozwólcie mi wyjaśnić znaczenie owych dziewięciu godzin, tak jak zostało też ono odczytane przez zakonników. Wszyscy wiecie, że tak długo Pan Nasz cierpiał na krzyżu. Przez około dziewięć godzin... Przypadek? Mnisi nie tak to odczytali. Wydarzenie, którego byli świadkami to przecież cud. Cud o niewyobrażalnym wręcz wymiarze.

- Może lekarze pomylili się? - czyjś głos wtrącił się ostrożnie. - To zdarzało się już wcześniej.

Cinalli potrząsnął głową.

- To nie był przypadek.

- W takim razie to b y l cud! - wykrzyknął ktoś inny. Amerykanin pochylił się nad stołem i patrzył przenikliwie na Cinallego.

- Jest coś jeszcze... - powiedział. - Lepiej wysłuchajmy wszystkiego do końca.

Cinalli uroczyście skinął głową w jego stronę.

- Co więcej - potwierdził. - Labesse otworzył oczy, powstał z łoża śmierci i bez niczyjej pomocy podszedł do okna. Bez pomocy!

Człowiek, którego ciało leżało bezwładne i wyczerpane w śpiączce trwającej ponad dziesięć lat! To nie wszystko... Potem ów niedawno jeszcze martwy człowiek spojrział przez okno na Górę Oliwną i na całą Jerozolimę, wypowiadając trzy słowa. Powiedział: "Niebiosą są tutaj". W pokoju zapanowała absolutna cisza. Kilku spośród kardynałów przeżegnało się szybko.

Cinalli spojrział ku nim, potrząsnął powoli głową i uśmiechnął się.

- Nie oszukujcie się. Ten "cud" nie pochodzi wcale od Boga. Jeden z tych, którzy uczynili znak krzyża, Hiszpan, odezwał się ostrożnie.

- Przecież to może być prawdziwy cud! Te słowa wypowiedziane przez ojca Labesse mogą być objawieniem Pańskim!

Cinalli przytaknął posępnie.

- Rozumiem dobrze, co możecie odczuwać. W naszych ciężkich czasach byłoby czymś wielkim, gdyby taki cud miał rzeczywiście miejsce. Pokusa, by szukać Słowa Pańskiego w tym prostym, lecz tak wieloznacznym zdaniu, które wypowiedział Labesse, jest rzeczywiście bardzo silna. Nie możemy jednak dać się zwieść. Te słowa to zło, zgotowane przez największego z kłamców, Szatana, by nas omamić i podzielić.

- Co więc miał na myśli Labesse, mówiąc, że niebiosą są tutaj? - zapytał Amerykanin. - Czy on sam rozumie swe słowa?

- Czy powiedział coś więcej? - spytał ktoś inny.

Cinalli wydobyl jakieś dokumenty z kieszeni obszytej purpurą czarnej sutanny.

- Bracia zakonni błagali go, by wyjawil im znaczenie tych słów. poznacie teraz rzeczywiste rozmiary zła, poznacie skrajne bluźnierstwo ukryte w tym zdaniu. Oto przekazane nam telefonicznie przez jednego z braci słowa Labesse'a:

"Byłem u Boga. Przebywałem w Jego świętej obecności i dane mi było wysłuchać Jego mądrości. Niebiosa są tutaj! My, ludzie, jesteśmy twórcami naszego własnego rajy i naszego własnego piekła. Widziałem przyszłość i jest ona nieskazitelnie czysta, doskonała. Wydobywamy się sami z piekielnego ognia ku wspaniałości niebios. Niebiosa są tutaj, na Ziemi. Bóg jest architektem i nadzorcą, lecz my idziemy naszą własną drogą. Ludzkość kroczy po tej drodze, walcząc z przeciwnościami, a wszystkie znaki wskazywać będą na to, że człowieczeństwo zmierza nieuchronnie ku swemu upadkowi i całkowitej zagładzie. My, ludzie, zwyciężymy jednak. Dostrzeżemy i poznamy prawdę. Osiągniemy stan najwyższej doskonałości. Tutaj, na naszej starej Ziemi".

- Herezja! - rozległ się czyjś głos.

- Bluźnierstwo! - zawtórował mu drugi, a po nim rozległy się następne okrzyki oburzenia.

Spokojny głos Amerykanina przebił się przez ów nagły wybuch gniewu.

- A co z duszą? On mówi o "przyszłości", doskonałej ziemskiej przyszłości. Przecież świetlana przyszłość na ziemi może dotyczyć tylko tych, którzy żyją na niej w jednej, określonej chwili! Pan Nasz przyrzekł całej ludzkości miejsce u swego boku, jeżeli żyć będziemy według Jego słowa. Każdej generacji rodzaju ludzkiego, od stworzenia świata, dane będzie to samo prawo do zbawienia i życia wiecznego.

Cinalli westchnął.

-1 na to Labesse ma odpowiedź. Twierdzi, że "dusza człowieka przechodzi z pokolenia na pokolenie, nie w drodze reinkarnacji, lecz przekazywania ducha w ramach chemicznej struktury naszych ludzkich ciał. Medycyna przyszłości odkryje i wyjawia zaskakującą tajemnicę tej dziedziczności, skrytą w komórkach człowieka. Każda generacja przekazuje następnej boskie znamię, posuwając rodzaj ludzki o jeden krok dalej do doskonałości. Wyobrażenie Boga

jest ukryte wewnątrz każdego z nas i wszyscy dążymy ku jego objawieniu. Chrystus był takim objawieniem". W pokoju zawrzało. Cinalli powstał znowu, pochylając się nad stołem.

- Nasz gniew nie doprowadzi do niczego! Zrozumcie ten problem! Jeden człowiek oferuje naszemu szalonemu światu dokładnie to, czym Szatan kusił Pana. Ów świat właśnie! Labesse nie określa, kiedy ma nadejść "wspaniała przyszłość", ten tak przezeń nazwany "stan doskonałości". Nigdy tego nie powie. To może nastąpić jutro, w tej generacji, a może w następnej. Musimy sobie uświadomić, jak niszczące to będzie i zarazem jakie kuszące. Chrześcijanie, jeśli mu uwierzą, wejdą na drogę unicestwienia własnej duszy! Przestaną poszukiwać duchowego raj, nie będą dążyli do jedności z Bogiem. Wymienią to na płytką obietnicę życia wiecznego na Ziemi.

- Labesse musi zamilknąć! Jego diabelska ewangelia nie może się rozprzestrzenić! Musi pozostawać w odosobnieniu! Nigdy nie można dopuścić do tego, by mógł przemówić! - wołali kardynałowie.

- Uciszcie się! - rozkazał sekretarz. - Nadal niewiele rozumiecie. Obwołaliśmy go błogosławionym za jego szlachetne uczynki, za jego oddanie Panu. Utrzymywaliśmy przy życiu jego ciało, aż do chwili gdy skonał. Z chwilą jego śmierci uczyniliśmy z niego świętego. Pierre Labesse może być najgroźniejszym wrogiem chrześcijaństwa, lecz jest również zmartwychwstałym świętym!

Kardynałowie spoglądali na siebie. W ich oczach widać było niepewność. Ci pobożni i mądrzy ludzie stanęli teraz w zakłopotaniu wobec ironii wypadków. Zapomniano na chwilę o tragicznym losie papieża. Powoli stawało się jasne, dlaczego sekretarz stanu okazywał tak niewiele troski, gdy informował o wypadku.

- Możemy chyba coś zrobić? Możemy podjąć jakieś działania? - Anglik zapytał bez przekonania.

- Oczywiście, że możemy - zgodził się Cinalli. Musimy w imię Pańskie zburzyć to, co zbudował niechcący Ojciec Święty. Musimy podjąć walkę, używając wszystkich naszych sił, ponieważ nie wolno nam przegrać batalii, która nas czeka. Wykorzystamy wszystkie nasze możliwości i wpływy, by to, co głosi Pierre Labes-76

se straciło znaczenie. Nie możemy jednak oczekiwać, że pokonamy go ostatecznie. Na pewno bowiem skorzysta z każdej okazji, by głosić swą diabelską naukę. Nie zdołamy utrzymać wiecznie zła na wodzy. Nawet teraz poza mury klasztoru wydostają się pogłoski, że Labesse umarł i znów żyje. Lekarz, którego sprowadzono by wystawił akt zgonu, musi być wezwany powtórnie. I on nie będzie milczał. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że w chwili gdy tutaj rozmawiamy, rośnie już legenda Labesse'a. Nie zdołamy tego zahamować. Dziennikarze mają niezawodne sposoby dowiadywania się o wszystkim, co dzieje się na świecie. Już wkrótce odkryją całą sprawę, jeśli już tak się nie stało... Zmartwychwstały święty! Dla dziennikarzy ktoś taki, to nie tylko jeszcze jedna wiadomość więcej. To fenomen! Nie upłynie zbyt wiele czasu, a usłyszy o nim cały świat. Wszyscy poznają historię jego cudownego wskrzeszenia i usłyszą jego słowa. Tak więc, jeżeli nie powiodą się nasze wysiłki, by zamknąć mu usta, wtedy niezależnie od tego, jak niemoralne może się to wydawać, będziemy zmuszeni uciec się do innych środków. On musi zostać skompromitowany, gdyż w przeciwnym razie może zachwiać podstawami wiary.

- Skompromitowany? - zapytał Anglik. - W jaki sposób? Cinalli obejrzał swe duże dłonie i powiedział:

- Skompromitowany jako człowiek. W życiu każdego z ludzi są jakieś tajemnice. Nikt nie jest w stanie bez skazy przejść przez życie. Każdy kiedyś upada, chociaż raz w życiu. Również Pierre Labesse musiał się potknąć. Gdzieś musi być sekret, który skrywa.

Z przeciwnej strony stołu rozległ się głęboki głos Amerykanina.

- W Ameryce coś takiego nazywa się szantażem.

- We Włoszech również - odparł Cinalli. - Już ostrzegałem, że inne metody, do użycia których możemy zostać zmuszeni, mogą wydawać się niemoralne - sekretarz czekał na reakcję zebranych. Jednak nikt sienie odezwał. - Czas jest naszym wrogiem. Jak długo będziemy w stanie utrzymać w sekrecie przed środkami masowego przekazu i wiernymi prawie pewną śmierć Ojca Świętego? Jeśli będziemy działać jednomyślnie i żaden z nas nie zdradzi tej tajemnicy, możemy ukrywać ten fakt przez dłuższy czas. Wystarczająco długo, jak myślę, dla realizacji naszych celów. Po pierwsze, należy przygotować wyjaśnienie powodów, dla których papież nie będzie mógł realizować ustalonego wcześniej rozkładu swoich za

jęć. Możemy dziękować Bogu za to, że w ciągu najbliższych miesięcy nie była zaplanowana żadna oficjalna papieska pielgrzymka.

- A samolot? Z pewnością ktoś widział jak Ojciec Święty wsiadał na pokład? - wtrącił się Hiszpan. - A pracownicy lotniska? Urzędnicy celni? Członkowie załogi mogli coś wspomnieć kolegom?

Niebezpiecznie jest przypuszczać... - słowa zamarły mu w gardle. Siedział w fotelu przygarbiony i pełen trwogi.

- Nie - oświadczył stanowczo Cinalli. - Z tej strony jesteśmy bezpieczni. Na pokład samolotu papież wszedł w zwykłym ubraniu. Jego głowa i twarz były zasłonięte. Ponadto samolot startował z małego, prywatnego lotniska należącego do tej samej korporacji przemysłowej, co samolot. Na lotnisko odwiózł Ojca Świętego mój sostituto, który przez cały czas pozostał wewnątrz samochodu niezauważony. Limuzyna nie miała numerów rejestracyjnych Watykanu. Monsignore Marco zapewnił mnie, że lotnisko było puste, godzina bowiem była późna. Wszelkie formalności zostały załatwione już wcześniej przez załogę odrzutowca. Nie ma powodu do obaw, jeśli o to chodzi.

Hiszpan skinął głową i uśmiechnął się z ulgą. Jednak uśmiech szybko znikł na dźwięk następnych słów Cinallego.

- Musimy podjąć natychmiast działania przeciwko Pierre'owi Labesse'owi, bowiem gdy w związku z nieobecnością Ojca Świętego zaczną narastać podejrzenia - a z pewnością tak się stanie, bo przecież wciąż będzie on nieosiągalny - trudniej może być nam przeciwdziałać herezji Labesse'a. Cała sprawa stanie się jeszcze bardziej zawikłana i wtedy czas zacznie działać na naszą niekorzyść.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że gdy śmierć papieża wyjdzie na jaw i stanie się jeszcze oprócz tego wiadome, że jesteśmy odpowiedzialni za próbę ukrycia tego tragicznego zdarzenia, nasze działania przeciwko Pierre'owi Labesse'owi obrócą się przeciwko nam? - wtrącił się Amerykanin. - Zostaniemy oskarżeni o próbę uciszenia go. Łatwo będzie można wywnioskować, na podstawie naszych działań, że nie mamy żadnych konkretnych argumentów przeciw niemu. Nagle wydamy się wszystkim słabi i bezradni. Gorzej! Może wszyscy pomyślą, że mylimy się i że to właśnie Labesse ma rację. Moim zdaniem, nie powinniśmy ukrywać tej wstrząsającej tragedii, jaka spotkała Kościół. Kościół jest bowiem wystarczająco

silny, by przeciwstawić się słowom każdego człowieka. Niezależnie od tego, z jakiej wygłosi on je pozycji. Wiara była atakowana już wcześniej. Marcin Luter tego próbował, lecz nie udało mu się zburzyć świątyni Pańskiej.

Wokół stołu rozległ się szmer aprobaty.

- Marcin Luter - odparł ociężale Cinalli - rozpętał reformację. Nie był on przecież świętym! - w głosie kardynała wyczuwalny był gniew.

Widać było, że jest zniecierpliwiony i zawiedziony postawą zgromadzonych. - Luter nie został ukrzyżowany! Nie był męczennikiem! Marcina Lutera papież nie wybrał do kanonizacji! Marcin Luter był tylko zakonikiem, zwykłym mnichem, który uzyskał doktorat z teologii i nie zgadzał się z Rzymem. A przecież udało mu się przeciąć Kościół na pół! - swe ostatnie słowa Cinalli wymówił stojąc. - Marcin Luter - powiedział szorstko - nie był świętym, który powstał z martwych!

Amerykanin i Sycylijczyk ciskali w siebie nawzajem poprzez stół piorunujące spojrzenia. Wyraźnie widać było, że żaden z nich nie zamierza się opanować.

Angielski kardynał z niezadowoleniem zmarszczył brwi i odezwał się spokojnie:

- Bądźmy realistami. Zdarzyło się już wiele przypadków ludzi, pozornie zmarłych, którzy potem powrócili między żywych. Ciało człowieka to skomplikowany mechanizm i przy obecnym stanie wiedzy medycznej wciąż odsuwamy rzeczywisty wymiar śmierci poza coraz dalsze granice.

Cinalli opadł na fotel, potrząsając w zatroskaniu głową.

- Jeżeli chcecie podjąć ryzyko utraty władzy przez Kościół, nie mogę was powstrzymać.

- Nie! - rozległ się czyjś stanowczy głos. Sekretarz stanu uniósł brwi i spojrzał w stronę drobnego Francuza w drucianych okularach, który odezwał się po raz pierwszy.

Francuz również był jezuitą. Był też znany z autokratyzmu z jakim wypełniał w imieniu Rzymu swe pasterskie obowiązki we Francji. Siedział teraz chmurny, kręcąc głową. Skoncentrował na moment swe spojrzenie na Cinallim, potem przeniósł wzrok na Amerykanina, obierając go sobie za obiekt ataku.

- Święty Kościół Powszechny naucza, że jest "Kościółem Chrystusa" lub "Kościółem Nowego Testamentu". Oznacza to, że Ko-

ściół nasz jest wspólnotą wierzących, żyjących według nauki Nowego Testamentu. To definicja, lecz cóż ona oznacza? Przypomnę wam. Nie po to oczywiście, by was pouczać - potraficie zapewne wyjaśnić definicję i istotę Kościoła lepiej ode mnie - lecz po to, byście mogli lepiej zrozumieć, jak niebezpieczna dla nas wszystkich jest zaistniała sytuacja. Cała nasza wiara wywodzi się ze słów jednego człowieka. Słowa jednego człowieka są teraz źródłem wiary milionów. Słowa Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Oczywiście w tej chwili widzimy w nim Syna Bożego, lecz wtedy gdy Chrystus stąpał po ziemi, dla współczesnych Jemu był tylko prostym cieślą, niosącym słowo nadziei. Dlaczego ludzie tysiącami gromadzili się by słuchać Jezusa? Nie dlatego wcale, iż jest On Synem Bożym. Słuchali Go, ponieważ miał niezaprzeczalną charyzmę. Znaćcie przecież znaczenie tego słowa. Oczywiście... Oznacza siłę duchową - Francuz poprawił okulary i spojrzał w górę zamyślony. - Pierre Labesse posiada siłę duchową. I on również ma charyzmę. Wiem o tym. Spotkałem się kiedyś z nim i sam to odczułem. Jeśli papież ogłosił go świętym, to wierzcie mi, że ludzie również przyjmą Labesse[^] jako świętego. Każdy z nas spotykał w swym życiu kapłanów takich właśnie - łagodnych, lecz jednym spojrzeniem umiejących obudzić w człowieku lęk. Nigdy nie awansują oni wysoko w hierarchii kościelnej, nie pozwalamy im na to. Są niebezpieczni, ponieważ są inni niż my. Możliwe, że są nawet od nas lepsi... Niebezpieczna jest jednak także sytuacja, w jakiej się teraz znajdujemy. Powiedziałem to już i w to wierzę. Nie ośmielimy się zamknąć przed światem na czas trwania konklawe. Nie możemy pozostać w przymusowym milczeniu. Nie w takiej chwili, gdy posłaniec Szatana będzie miał tyle możliwości, by ogłosić swoją piekielną naukę. Kardynał sekretarz stanu ma rację! Będziemy walczyć z Labesse'em używając wszystkich sił pozostających do dyspozycji Kościoła. Nasze głosy nie mogą zamilknąć. Nie! Papież żyje i przebywa tutaj, w Watykanie. Jest wyczerpany, w odosobnieniu, lecz żyje!

- Jak więc Ojciec Święty, głowa Kościoła, odpowie na słowa Pierre'a Labesse'a? - spytał Anglik. - Musi to przecież uczynić!

- Teraz my jesteśmy jego głosem - przemówił znów Cinalli. -my powinniśmy odpowiedzieć w jego imieniu. Możemy jednak czynić to tylko z tych samych pozycji, z jakich zdecyduje się prze-80

mawiać Labesse. Udzielenie odpowiedzi na jego słowa bezpośrednio z Rzymu, w oczach wiernych dodawałoby jego osobie powagi. Gdziekolwiek on wystąpi - w prasie, w radiu, w telewizji czy na publicznych zgromadzeniach - nasza obecność musi dać się odczuć. Rzecz jasna - nieoficjalnie. Mam już przygotowaną listę osób, które mogą okazać się nam pomocne. Staralem się nie tracić cennego czasu. Przygotowałem również do waszej akceptacji oświadczenie, które musi ukazać się z papieską pieczęcią, jako pochodzące wprost od Ojca Świętego. W dokumencie tym stwierdza się, że pomimo otwarcia procesu kanonizacji Pierre'a Labesse'a, pozostaje on nadal tylko zwykłym śmiertelnikiem i jak każdy Śmiertelnik może ulegać ludzkim słabościom. Jak wielu pobożnych ludzi przed nim, wziął własne urojenie za objawienie Pana. Również jego stwierdzenia dotyczące pobytu u Boga zostaną odpowiednio, choć delikatnie, naświetlone. Ojciec Święty stwierdzi, że obrażenia jakich doznał Labesse podczas ukrzyżowania i następujące po nich lata śpiączki, mogły spowodować w umyśle chorego nieodwracalne uszkodzenia. Sądzę, że takie założenie nie jest bezpodstawne. Oczywiście wydanie takiego oświadczenia nastąpi tylko w razie najwyższej konieczności.

-1 słusznie - parsknął Amerykanin. - Byłby to koronny dowód naszej dwulicowości!

Cinalli zignorował tę uwagę i badawczo rozejrzał się po twarzach zebranych.

- Sądzę, że powinniśmy uczynić wszystko, co potrzebne - powiedział Anglik bez przekonania.

- Wszystko, co konieczne! - rzucił Francuz. - Tak! - potwierdził.

Pozostali kardynałowie również przytaknęli.

Cinalli spojrzął na Amerykanina, a ten z rezygnacją opadł na fotel, potem wzruszył ramionami, godząc się z przegraną.

- Nie mam innego wyboru, jak tylko przyjąć do wiadomości to, co postanowiliście - stwierdził amerykański kardynał. - Myślę, że w tej sprawie musimy uciekać się do oszustwa, bądźmy pewni, że zostanie ono popelnione mądrze i dokładnie. Wzięto pod uwagę wszelkie szersze aspekty, to prawda. A co ze szczegółami? Co z osobami należącymi do najbliższego otoczenia papieża? Co z jego osobistym sekretarzem i siostrami zakonnymi, które troszczą się o Porządek w apartamentach Ojca Świętego?

- Osobisty sekretarz papieża również znajdował się w samolocie - przerwał mu Cinalli.

Na moment zapanowała cisza. Amerykanin głośno westchnął.

- Z każdą minutą to wszystko wygląda coraz gorzej - powiedział ironicznie.

- Niekoniecznie - rzekł Cinalli. - Siostry zakonne wierzą, że papież wraz z sekretarzem podróżuje gdzieś w sprawach Kościoła. Nic więcej nie wiedzą. Zakonnice, jak wszystkie kobiety, plotkują między sobą, można więc założyć, że już zdały sobie sprawę ze stopnia tajności papieskiej misji. Ojciec Święty wyjeżdżając, zabrał swe osobiste rzeczy, więc od razu musiały powstać plotki na ten temat. Na razie pozwólmy siostronom wierzyć w to, co chcą, lecz gdy trzeba będzie oficjalnie wyjaśnić przyczyny nieobecności Ojca Świętego w Watykanie lub ogłosić oświadczenie, o którym wspomniałem, zachowają się one na pewno zgodnie z naszymi poleceniami.

- Zakonnice nie mają tutaj znaczenia, lecz nieobecność osobistego sekretarza na pewno natychmiast zostanie zauważona- wtrącił się Francuz. - To on przecież organizuje wszelkie audiencje, łącznie z wizytami rozmaitych osobistości, zbyt ważnych osób, by oddalić je z przeprosinami. Znam jednak sposób, w jaki można to rozwiązać...

- Tak? Jaki? - ożywił się Cinalli.

- Jeżeli Ojciec Święty byłby niedysponowany... prowadzenie codziennych spraw Kościoła spada na sekretarza stanu. Podobnie, gdyby los papieża był znany, sekretarz stanu aż do konklawe musiałby stanąć u steru Kościoła. Proponuję, by sostituto waszej eminencji zajął się udzielaniem wszelkich wyjaśnień. To wystarczy. Wszyscy mieliśmy w swoim czasie okazję by poznać jego zręczność i kompetencję.

Kardynałom spodobała się propozycja Francuza.

- Zgoda - powiedział Cinalli. - W takim razie, rozumiem, że zgadzamy się również co do pozostałych, omówionych tutaj spraw? Bardzo dobrze. Teraz wszyscy musicie powrócić tam, skąd przybyliście. Jeżeli będą jakieś plotki na temat naszego dzisiejszego zgromadzenia, wyjaśnimy, że wiązało się ono z decyzją Ojca Świętego o pozostaniu przez jakiś czas w odosobnieniu. Powiemy,

że papież życzył sobie ujrzeć nas razem i przedyskutować problemy mogące pojawić się podczas jego niedyspozycji.

- Jeszcze ostatnia sprawa - pokornie odezwał się Anglik. - Proszę o wybaczenie. Wiem, że wracam do tego, co już zostało omówione, lecz sądzę, że problem jest poważny.

- Tak? - zapytał Cinalli, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Anglik zakaszlał i rozejrzał się wokół stołu. Niektórzy z zebranych zdążyli już powstać z foteli.

- Wszyscy zgodziliśmy się, że ojciec Labesse był... jest człowiekiem wyjątkowym, wręcz nadzwyczajnym. Jest człowiekiem posiadającym, jak to zostało tutaj stwierdzone, charyzmę. Człowiekiem, który mógłby, gdyby nie pozostawał tak długo w stanie śpiączki, stać się jednym z nas. Wiemy, że człowiek tak uduchowiony, o takiej charyzmie, może ubiegać się o godność papieża. Ojciec Święty jest... był... właśnie takim człowiekiem. On również cierpiał w imię Pana. Miał też ten szczególnie dar docierania do prostych ludzi.

Kardynałowie zamarli w oczekiwaniu.

- To prawda i co dalej? - zapytał Cinalli.

- Co się stanie, jeśli Labesse pokrzyżuje nasze plany mające zdyskredytować znaczenie jego szatańskich słów? Jeżeli badania lekarzy wykażą, że jest on całkowicie zdrowy na ciele i umyśle? Jeżeli nasi... inkwizytorzy nie znajdą w jego życiu niczego co będzie mogło być użyte przeciwko niemu? Przecież przeszłość Labesse musiała być bardzo szczegółowo sprawdzana przez samego papieża przed podjęciem decyzji o kanonizacji. A jeżeli w następstwie tego wszystkiego zbyt wielu ludzi uwierzy w tę diabelską nowinę? Co będzie, jeśli to co chcemy uczynić, nie okaże się wcale takie proste? Cinalli opuścił głowę i spojrzał na swe splecione dłonie.

- Musimy pokładać naszą nadzieję w Panu - odpowiedział cicho.

Kiedy kardynałowie opuszczali pomieszczenie, w którym odbyła się konferencja, przyciszonymi głosami rozmawiając pomiędzy sobą, Francuz cofnął się i poczekał, aż wszyscy wyjdą. Podszedł do Cinallego, który znowu stanął obok pięknego, marmurowego kominka.

- Bóg powierzył nam swój Kościół Święty - głos Francuza był cichy, lecz surowy. - My jesteśmy jego strażnikami.

Cinalli spojrzal na mówiącego te słowa, a jego odpowiedź zabrzmiała lodowato:

- Pismo Święte, słowo Pana, ostrzega nas o pojawieniu się wielu antychrystów. W tej chwili stanęliśmy wobec jednego z nich. Może nawet najsilniejszego i najgroźniejszego ze wszystkich, a przecież jest nim jeden z nas! Szatan obudził swego sługę - my musimy znaleźć naszego.

Kiedy Francuz wyszedł, sostituto Benito Marco wślizgnął się do pokoju. Z kryształowej karafki nalał koniaku do dwu kieliszków i podał jeden z nich swemu przełożonemu.

- Czas jest naszym wrogiem - powiedział Cinalli zatroskany. - Nie wolno nam go tracić. - Opróżnił kieliszek i odstawił go na gzyms kominka. - Uczynisz tak! - polecił zdecydowanie. - Wyszukasz człowieka, któremu można zaufać, najlepiej spośród pracowników Sekretariatu. Powinien biegle mówić po francusku, najlepiej by był rodowitym Francuzem. Masz go zaprzysiąc i polecić mu, by dokładnie prześledził cały życiorys Pierre'a Labesse'a. Musimy wiedzieć o wszystkim, co Labesse kiedykolwiek uczynił, o każdym jego ruchu. Gdzie i jak żył, zanim stał się jednym ze sług Kościoła. Musimy poznać jego pochodzenie, wrogów i przyjaciół, jeśli ich miał. Labesse jest jak uzbrojona bomba zegarowa, umieszczona w sercu Kościoła i jeżeli to ja mam tę bombę rozbroić, muszę dokładnie poznać jej mechanizm.

Marco obracał w dłoniach kieliszek z koniakiem.

- Eminencjo, znam takiego człowieka. Nie należy do personelu Sekretariatu, lecz uważam, że w tej roli będzie niezastąpiony. Jest też absolutnie pewny.

Cinalli uśmiechnął się.

- Wiedziałeś, że nie będę chciał czekać. Kto to taki?

- Ojciec Philippe Recamier.

- Znam go. Pracuje dla Radia Watykańskiego.

- Jest redaktorem naszych audycji zagranicznych - powiedział Marco.

- Recamier to Francuz. Jest inteligentny i potrafi być przebiegły.

Podczas kryzysu "Solidarności" w jakiś sposób udało mu się nawiązać kontakty w Polsce. Utrzymał te związki w czasie stanu wojennego.

Gdy Recamier coś sobie postanowi - nigdy nie ustę

puje. Od razu zabiera się do rzeczy i walczy aż do zwycięstwa.

Wszelkimi środkami.

- Jesteś przekonany, że będzie lojalny i dyskretny?

- Recamier jest doświadczonym, niezwykle sprawnym dziennikarzem i ma niezliczone kontakty. Może wszędzie poruszać się swobodnie i potrafi zadawać właściwe pytania. Jeżeli jakieś tajemnice w życiu Labesse'a mogą zostać odkryte, to Philippe Recamier dokona tego na pewno.

- Wspaniale. Przydziel mu to zadanie. Czy można mu bez obawy powierzyć całą prawdę?

- Tak sądzę. Patrząc jednak realnie, eminencjo, czy nie wystarczy, by znał tylko część naszego planu?

- To zależy wyłącznie od ciebie - powiedział wymijająco Cinalli.

- Zarówno Labesse jak i Recamier są Francuzami. Co prawda pochodzą z różnych części Francji, Labesse urodził się w Bretanii, a Recamier na Korsyce, ale obydwaj to niewątpliwie Francuzi. Jeśli nie będzie znał prawdziwego celu swego śledztwa i jego wagi, Recamier ulec może pokusie pominięcia pewnych, jakby to powiedzieć... mniej znaczących szczegółów z życia Labesse'a, które mogą wydawać się tylko grzechami młodości. Z naszego punktu widzenia mogą one jednak stać się czymś znacznie ważniejszym, a nawet istotnym dla całej sprawy.

Cinalli uniósł swój kieliszek, a Marco napelnił go ponownie.

- Zgadzam się z tobą - rzekł sekretarz stanu, tym razem delektując się smakiem złocistego płynu. Obecność *sostituto* zawsze budziła w nim pewność siebie. - Powiedz mu o wszystkim. Przedtem musi jednak złożyć przysięgę, że zachowa całkowitą tajemncę. Musi przysiąc na swe śluby zakonne.

- Oczywiście, jeżeli takie jest życzenie waszej eminencji. Myślę jednak, że to nie okaże się konieczne. Recamier również ma takie sekrety, o których sądzi, iż są dostatecznie dobrze ukryte. Jego lojalność powinna okazać się wystarczająca.

Cinalli spokojnie przyglądał się Marco.

- Wydaje mi się, że prędzej włożyłbym rękę w gniazdo żmij, niż zawierzyłbym ci swą przeszłość. Na szczęście jesteśmy sprzymierzeńcami.

Sostituto pochylił głowę i powiedział:

- Recamier musi być w stałym kontakcie z Sekretariatem...

- Nie! - uciął ostro Cinalli. - Nie z Sekretariatem. Z tobą. Twoje prywatne mieszkanie znajduje się poza Watykanem. Rozkażesz mu, by swe sprawozdania składał bezpośrednio tobie. Musi być ostrożny, bardzo ostrożny, zwłaszcza co do treści swoich doniesień. Sądzę, że użycie telefonu będzie nie od uniknięcia. Zbyt dużą rolę odgrywa tutaj czas. Telefony są jednak niebezpieczne. Przydziel mu jakiś pseudonim, pod którym będzie się do ciebie zgłaszał. W swoich sprawozdaniach nie może wymieniać nazwisk osób i nazw urzędów związanych z Watykanem, ani też nazwiska Pierre'a Labesse'a. Nie życzę sobie, by w jakikolwiek sposób wiązano nas z tą sprawą. Zadbaj o to. - Cinalli odwrócił się, dając w ten sposób znak sostituto, by ten się oddalił.

- Czas - mrucał pod nosem Cinalli, przewracając znów węgle, gdy sostituto podążał ku drzwiom. - Wysilek wielu wieków może zostać zaprzepaszczony w ciągu kilku dni. Powiedz to Recamiero-wi. Powiedz mu, że mamy naprawdę mało czasu- rzucił za wychodzącym. Marco wyszedł tak samo bezgłośnie, jak się pojawił. Kardynał sekretarz stanu patrzył głęboko w płomienie. Modlił się szeptem: "Boże, jeśli ma droga teraz lub w przyszłości rozejdzie się z Twymi ścieżkami, wybacz mi. Jestem tylko samotnym, słabym człowiekiem, na barkach którego spoczęło brzemie Twego Kościoła. Gdy będę musiał zgrzeszyć, by móc utrzymać ten ciężar i ma dusza zostanie skazana na wieczne potępienie, niech tak się stanie. Bądź wola Twoja".

Wypowiedziawszy ostatnie słowa, kardynał gwałtownie wbił lśniący pogrzebacz w środek paleniska.

Catherine Weston zahamowała swym nowym sportowym coupé, zatrzymując samochód o kilka centymetrów od betonowej ściany garażu. Kiedy wysiadła z samochodu i opuszczała ku ziemi swe długie nogi, uważając, by nie zarysować drzwi samochodu o ścianę, na jej wargach pojawił się łobuzerski uśmiech zadowolenia. Popatrzyła z dumą na lśniący, czerwony kabriolet i machając torebką ruszyła ku budce parkingowego.

- Ładna sztuka! - rzekł chłopak okupujący oszkloną klitkę. - Co trzeba zrobić, żeby móc sobie kupić coś takiego?

- Dostać awans - odpowiedziała dziennikarka, rzucając mu kluczyki. - Tylko proszę bez żadnych stłuczek.

- Może mi się uda! - krzyknął, a jego głos odbijał się jeszcze echem w tunelu, gdy Catherine wyszła już na światło poranka. Normalnie wybrałaby przyjemniejszą drogę przez park, lecz dzisiaj, gdy czekała na nią nowa posada, zatłoczony chodnik zwyciężył nad pięknem natury.

Londyńskie biura magazynu "Fact" mieściły się w połowie Park Lane. Były wciśnięte między ekskluzywny salon samochodowy i znany klub dla gentlemenów. Zwykle na przejście z garażu do biura Catherine potrzebowała około trzech minut, dzisiaj, uskrzydłona radością, zgłosiła się do pracy jeszcze prędzej.

Na trzecim piętrze czekało już na nią nowe stanowisko - biurko redaktora technicznego. Czekał też naczelny redaktor pisma, Saul Luman, trzymający w ręce teleksowy wydruk serwisu informacyjnego agencji Reutera.

- No, gadaj wreszcie - jęknęła.

- Catherine, ta gazeta radzi sobie dobrze od momentu ukazania się jej pierwszego wydania, od pięciu lat. Bardzo dobrze. Ty byłaś częścią tego sukcesu. Jesteś najlepszym reporterem, z jakim dane mi było pracować.

- Czy ty aby nadal jesteś pewien, że wciąż mam moją nową posadę?

- Oczywiście. Masz ją nadal.

- W takim razie skończ z tym głędzeniem i jedź dalej. Nie musisz mi mówić, że jestem dobra. Wiem o tym. Masz już jednak

wreszcie kogoś na moje miejsce i jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa.

- Czy przypominasz sobie, jak może ze trzy lata temu... w każdym razie parę lat temu po tym, jak przyszedł pracować do nas... nie pamiętam już teraz dokładnie... poszliśmy raz wieczorem na drinka, który skończył się wspólną kolacją? Tylko ty i ja, pamiętasz?

- Pamiętam. Rozwiodłeś się właśnie z panią Luman numer jeden i nie wpadłeś jeszcze w sidła pani Luman numer dwa. Drinki były wytrawne, ty byłeś bardzo rozpalony i w końcu musiałam stoczyć trzecią wojnę światową, walcząc przez cały czas z twymi rękami. Oczywiście, że pamiętam!

- Nie byłem wtedy w formie - Luman uśmiechnął się ponuro.

- Po prostu nie miałeś wtedy szczęścia.

- Opowiedziałaś mi wówczas pewną historię, zapewne po to, żebym dał ci spokój. To było o facecie, którego kiedyś spotkałaś. Wróciłaś z Wietnamu, przez jakiś czas byłaś niewidomą. Zgadza się?

Catherine, milcząc, wpatrywała się w niego.

- Jeżeli rozdrapuję stare rany, przepraszam, ale to jest bardzo ważne. Ten człowiek, którego znałaś, też był w Wietnamie, tylko bawił się tam w coś zupełnie innego, w gry, do których my, Amerykanie nie lubimy się przyznawać. Czy mam dobrą pamięć?

Potwierdziła skinieniem głowy. Luman mówił dalej.

- On zmarnował wszystko, żeby wyciągnąć jakiegoś innego faceta zza linii Vietcongu. Zmarnował swój oddział, operację ratunkową, swoją karierę - wszystko, co było do zmarnowania. Czy tak?

- Myślę, Luman, że to ma jednak jakiś związek, bo jeżeli się zgrywasz... Jeśli to jakaś głupia zabawa...

- To nie zabawa, Cathy. To wiadomość numer jeden. Coś wielkiego.

- Mów dalej.

- Zmarnował wszystko dla ukrzyżowanego księdza. Wszyscy przepadli, uratował się tylko twój przyjaciel, no i ten ksiądz.

- Ksiądz zmarł w Sajgonie. Luman nic na to nie odpowiedział.

- O co więc do diabła chodzi?! - zirytowała się.

- Twój przyjaciel naprawdę mocno przejął się tym księdzem, prawda? Musiało tak być, biorąc pod uwagę to, co zrobił! Rozmyślał wciąż o tej sprawie, przeżywał wszystko od początku. Wtedy, wiesz, kiedy byliście razem... A gdy ty odzyskałaś wzrok, on zniknął.

- Musiałam być stuknięta, skoro ci to wszystko opowiedziałam.

- Nie bardzo. Chciałaś to z siebie wyrzucić. W porządku. Zostawmy twego przyjaciela, on nie jest ważny.

- A więc o co chodzi? Luman uniósł dłoń.

- Już kupiłaś sobie nowe cztery kółka? - uśmiechając się szeroko, zagadnął Luman.

- Widzę, że spędziłaś przyjemną noc - zauważyła Catherine na widok tego rzadkiego u niego wyrazu twarzy. - Samochód kupiłam dziś rano

- odpowiedziała. - Jest świetny. Powiedz im, żeby mój stary wóz utopili gdzieś w morzu.

Uśmiech Lumana przygasł.

- Musisz to odłożyć na jakiś czas.

- Co masz na myśli?

Luman objął ją mocno w tali i poprowadził wzdłuż korytarza do swego biura.

- Siadaj - polecił. - Nastaw dobrze uszu i słuchaj uważnie. Chcesz kawy? - Luman był bardzo dumny ze swej reputacji szarmanckiego nowojorczyka.

- Nie! Nie chcę twojej cholernej kawy! Chcę znaleźć się przy moim biurku, OK? Znam dobrze twoje metody, Luman. Na pewno usiłujesz mnie w coś wrobić. Zapomnij o tym. Mam już dosyć lotnisk, samolotów i samotności w podrzędnych hotelach. Od dzisiaj siedzę w biurze. Bardzo odpowiada mi ustalony rozkład dnia.

- Skończyłaś? To dobrze. A teraz ty mnie posłuchaj. Zobaczymy, czy nie wylecisz zaraz z za tego biurka. No, nie zaczynaj wrzeszczeć!

Ciągle masz tę pracę. Po prostu mnie wysłuchaj.

- Co takiego jest w tym przeklętym serwisie Reutera, którym tak wymachujesz?

Luman odchylił się na krześle, potem sięgnął w prawo, w stronę okna, po drugie już dzisiaj cygaro.

- Wielki dzień - powiedział.

- Poczekaj. Powiedziałaś mi, że chciałabyś opisać tę historię. Czulaś jednak wtedy, że brakuje jej zakończenia. Zabrakło fajerwerków na końcu. Cała ta sprawa po prostu powoli przycichła.

- A ty zasłoniłaś się tym, że pewne działania wojskowe w Azji Południowo-Wschodniej są nadal tajne i nie moglibyśmy tego opublikować.

Luman wręczył jej wreszcie wydruk serwisu Reutera.

- Tutaj jest twoje zakończenie. Myślę, że będziemy mogli przekonać naszych protektorów, że może być teraz jest dobry moment, by zaryzykować narażenie się rządowi Stanów Zjednoczonych i by wspomnieć coś o jego tajnych operacjach.

Catherine przeczytała wyrwaną z teleksu wiadomość.

JEROZOLIMA. Ojciec Pierre Labesse, rzymskokatolicki zakonnik, pozostający w śpiączce od roku 1967 zmarł wczoraj, w niedzielę, dwie minuty po północy czasu lokalnego, po tym, gdy zgodnie z bezpośrednim nakazem Watykanu, wyłączono aparaturę medyczną podtrzymującą życiowe funkcje organizmu chorego. Śmierć została potwierdzona przez władze izraelskie. O godzinie 9.00 rano czasu lokalnego życie powróciło do "ciała" Labesse'a. Według niepotwierdzonych relacji, wstał z łoża śmierci i był w stanie chodzić bez niczyjej pomocy. Wiadomość o jego "zmartwychwstaniu" została ogłoszona dzisiaj o godzinie 10.00 rano czasu lokalnego przez przełożonych klasztoru, w którym przebywał leżący w śpiączce La-besse. Opóźnienie nastąpiło prawdopodobnie za sprawą Watykanu, chociaż dotychczas nie ma w tej sprawie żadnych wyjaśnień. Klasztor utrzymuje, że Labesse został beatyfikowany podczas śpiączki i miał być kanonizowany z chwilą śmierci, po wyłączeniu urządzeń medycznych na polecenie Rzymu. Wiadomość ta nie została, jak na razie, potwierdzona ani zdementowana przez Watykan. Radio Watykańskie nie umieściło jej w swoich serwisach informacyjnych. W Jerozolimie, bracia zakonni ze wspomnianego klasztoru są wyraźnie wstrząśnięci tym co zaszło i wielu wypadkach określają "zmartwychwstanie" ojca Labesse'a jako "boską interwencję" lub nawet jako "cud". Innym dziwnym aspektem tej sprawy jest fakt, że Labesse zapadł w stan śpiączki po ukrzyżowaniu go przez komunistycznych

partyzantów w 1967 roku. Informacja o wydarzeniu w Jerozolimie rozprzestrzenia się szybko i tłumy pielgrzymów zaczynają gromadzić się pod murami klasztoru, oczekując ukaza-90

nia się "zmartwychwstałego świętego". Wielu nazywa go, od jego imienia, "nowym Świętym Piotrem". Co ważne, dwu lokalnych rabinów żydowskich odwiedziło okolice klasztoru, z powodu, cytata: "historycznej ważności tego miejsca dla Wyznania Mojżeszowego". Klasztor zbudowany jest w pobliżu szczytu Góry Oliwnej, w przewidzianym prorocctwem miejscu pojawienia się żydowskiego Mesjasza.

Catherine przeczytała informację ponownie i odłożyła papier na biurko Lumana. Spojrzała na twarz swego szefa.

- To nie musi być wcale on - powiedziała, wyraźnie wstrząśnięta. - Czy przypuszczasz...

- Przypuszczasz! - wykrzyknął Luman. - Pomyśl nad tym sama. W którym roku poznałaś swego przyjaciela?

- Późnym latem 1970. Brakuje trzech lat do 1967.

- Czym zajmował się twój przyjaciel przez te trzy lata? Catherine odwróciła się do okna.

- Kręcił się tu i tam. Mówił mi, że podróżował.

- Od tamtego czasu nie miałaś od niego żadnej wiadomości?

- Żadnej.

- A więc, nie mamy szansy odnalezienia go i naklonienia, by potwierdził, czy ten Labesse jest tym samym facetem, którego on wyciągnął z ognia.

- Zdjął z drzewa - poprawiła. Luman w zamyśleniu skinął głową.

- Czy oni są absolutnie pewni, że Labesse był martwy? Są przecież dokładne testy pozwalające to sprawdzić. Czy je przeprowadzono? - zapytała Catherine.

- Przeczytaj to jeszcze raz. Izraelczycy wydali świadectwo zgonu. Sprawdzalem - wezwano izraelskiego lekarza, gdy monitor zaczął wskazywać, że Labesse przestał żyć. Lekarz potwierdził, że życie wygasło. Dziewięć godzin? To znaczy... Chryste!

- Co z reakcją Watykanu? Dlaczego nie wspomnieli nic w wiadomościach? Wydaje mi się, że przecież powinni rozdmuchiwać to ze wszystkich sił. Zmartwychwstanie świętego! To powinno skierować ich wszystkie zbłąkane owieczki z powrotem do Kościoła jak...

- Właśnie - ucieszył się Luman. - Powiedz mi teraz, że nie czujesz w tym czegoś dziwnego!

- To jest faktycznie pozbawione sensu - zgodziła się. Czowała, że wbrew jej woli ta sprawa zaczyna ją intrygować. Ogarnęło ją również dziwne zdenerwowanie. - Z pewnością jedyna odpowiedź to sam Labesse. Czy komuś udało się z nim zobaczyć?

Luman pokręcił głową.

- Ostatnia informacja jaką mamy to ta, że przeor klasztoru polecił zamknąć bramy. Czekają na reakcję Rzymu. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Catherine wzruszyła ramionami.

- Więc i my tak powinniśmy zrobić.

- Cathy! Jedź do Izraela. Ty znasz pierwszą połowę tej historii.

Wyprzedzisz innych.

- Kiedy już tam dotrę, całe to miejsce będzie pełne reporterów i ekip telewizyjnych.

- To nie ma znaczenia. Niech oni sobie zbierają informacje dla codziennych gazet. Ty masz opowieść naocznego świadka, nie jakieś wymysły, o tym, jak Labesse zapadł w śpiączkę. Możesz napisać pełną historię zmartwychwstałego człowieka - Luman uderzył mocno dłonią w stół. - Chryste! Czy on wciąż jeszcze jest człowiekiem? Kim jest święty, który wraca z powrotem między żywych?

- Kimś szczególnym - mruknęła Catherine.

- O wiele więcej! A ten człowiek, który go wyciągnął? Czy nie można by pójść tym śladem... Mamy swoje źródła i sposoby. Może warto spróbować?

Potrząsnęła głową energicznie.

- To jest skończone, umarło.

- Labesse też umarł. Catherine wstała.

- W porządku, zapomnijmy o nim, ale napisz tę historię, Cathy! Nie możesz zmarnować tego, co od dawna masz w ręku! - Luman uważnie jej się przyglądał. - W porządku, złe wspomnienia. Rozumiem to - zawahał się i łagodniejszym już tonem powiedział:

- Mówiłaś wtedy, że oddałabyś wszystko, by móc zobaczyć człowieka, który jednym spojrzeniem może zmieniać życie innych ludzi. 92

- Widzę, że nie zapomniałeś ani słowa.
- Czy nadal tego pragniesz? Czy nie chciałabyś wiedzieć, dlaczego wtedy twój mężczyzna nie mógł z tobą zostać? Powód jest tam, zamknięty w klasztorze na Górze Oliwnej. Weź tę robotę, Cat-herine. Pojedź tam i znajdź klucz, który otworzy ci drzwi do La-besse'a. Musisz złożyć tę ofiarę.

Spojrzała na Lumana. Na jej twarzy pojawiła się pogarda.

- Jeśli Labesse jest tym, za kogo go uważasz, nie można będzie kupić jego czasu za pieniądze. Ty nawet nie zrozumiałeś dobrze historii, którą ci wtedy opowiadałam, Luman. Nie ma w niej niczego, co dałoby się określić, wykorzystując zwykłą skalę wartości. Tego po prostu nie można objąć naszym umysłem. Było to coś, dla czego warto poświęcić wiele istnień. Tutaj właśnie jest istota tej historii. Chodzi o odpowiedź na pytanie, co mogło sprawić, że działanie... Michaela warte było tak wielkiej ceny zapłaconej ludzkim życiem.

- Nie co - powiedział Luman - a kto? Ty dobrze o tym wiesz.

- Jest szansa, że Labesse zechce mnie widzieć - powiedziała po namyśle. - Ale ja nie pojedę tam dla ciebie, Luman. Jadę dla samej siebie.

- Po prostu jedź! Jak chcesz to załatwić?

- Moja sprawa.

Luman ponownie zapalił cygaro.

- W porządku.

- Co z wizą?

Otworzył szufladę biurka i wydobyl paszport Catherine, zwykle przechowywany w ściennym sejfie Lumana razem z dokumentami innych dziennikarzy, właśnie na wypadek takiej okazji. Wyciągnął rękę z paszportem w stronę dziewczyny.

- Byłeś dość pewny swego! - powiedziała chłodno. - Jest poniedziałek rano. Co zrobiłeś? Uwiodłeś sekretarkę ambasadora Izraela?

Luman wykrzywił usta.

- Jasne, że nie. Ona wygląda jak Golda Meir w jej najgorszym dniu. Jakiego, twoim zdaniem, wyznania są nasi protektorzy?

Wzięła z jego ręki dokument i schowała do torebki. Ponownie wyciągnęła rękę w stronę Lumana.

- Bilet?

- Pierwszej klasy. Tylko po to, by udowodnić ci moje uznanie i szacunek. Do odbioru w przedstawicielstwie El Al na Heathrow - odsunął krzesło i wstał, by odprowadzić ją do drzwi. - Zaparkuj swoją pocięgę koło lotniska. My się o nią zatroszczymy. Będiesz mogła jeszcze troszkę się nią nacieszyć w drodze. Nie wyląduj tylko czasem w areszcie za zbyt szybką jazdę. OK.? - Poprawił swoje rękawy. - Masz niewiele ponad trzy godziny, by się spakować i dotrzeć na lotnisko. Przyjemnej podróży, Catherine. Napisz o tym!

- Może Labesse to nie ten sam człowiek? Michael nigdy nie wyjawiał mi nazwiska tego księdza.

Luman obrócił ją ku sobie, uśmiechnął się tajemniczo i niespodziewanie pocałował ją mocno w usta. Oddała mu pocałunek, gdyż wymazywało to na chwilę jej wspomnienia.

- Wygląda na to, że nigdy się nie dowiem, jak wiele straciłem tamtej nocy - odezwał się ponuro Luman i wypuścił ją ze swego uścisku. Poruszyła delikatnie głowę.

- Taka szkoda...

Luman odprowadził Catherine do windy. Nacisnął guzik przy drzwiach i gdy kabina zatrzymała się, puścił ramię dziewczyny, pocałował ją wcześniej po raz drugi. Tym razem już nie tak mocno.

- Cały czas chcę zatrzymać moją nową pracę! - ostrzegła go i weszła do windy.

- Twoje biurko będzie na ciebie czekać. Powodzenia! Uważaj na Arabów w samolocie. Oni oddaliby wszystko za jasnowłosą nałożnicę. Chciała pogrozić mu palcem, lecz drzwi windy zdążyły się już zamknąć. Oparła się plecami o boazerię. "Niech cię szlag, Michae-lu Cardin" - powiedziała do siebie, potem powtórzyła to głośno.

Chodnik na zewnątrz budynku pocętkowany był pierwszymi kroplami deszczu. Umykając przed nimi, przebiegła do swojego samochodu.

"Myślałam, że napłakałam się już dosyć - pomyślała, wściekła na samą siebie. - Jestem kobietą około trzydziestki, ma-terialistką. Moja uroda zaczyna już więdnąć, a miłość jest dla mnie zawarta tylko w słowie: seks i można ją po fakcie łatwo splukać z siebie w łazience."

Przekręciła kluczyk i z furją nacisnęła pedał gazu, bezskutecznie usiłując zagłuszyć dźwięk brzęącego wciąż w jej głowie głosu. Głosu, który pokochała kiedyś tak głęboko, że aby go znowu usłyszeć, oddałaby nawet swój wzrok, który z tak wielkim trudem jej przywrócono.

Prowadząc swój wóz, szlochala z tęsknoty do człowieka, którego ciało i twarz czuła tak blisko, tak wyraźnie, a którego nigdy od tamtej chwili nie było dane jej zobaczyć.

- Do diabła, Michael! Dlaczego przez ciebie ciągle płaczę?

-wybuchnęła i przyspieszyła jeszcze bardziej.

Rozgłośnia Radia Watykańskiego mieści się niedaleko Rzymu, w Santa Maria di Galeria i zajmuje obszar prawie dziesięciokrotnie większy od samego Watykanu. Skrzydlaty posąg Archaniola Gabriela, patrona komunikacji, stoi na straży dwudziestu dziewięciu niebotycznych masztów radiowych - gigantycznej stalowej konstrukcji kratowej w kształcie krzyża, na której ulokowano cztery paraboliczne anteny odbiorcze skierowane na Bazylikę Świętego Piotra, a także największej na świecie 175-tonowej anteny obrotowej, mogącej przesyłać sygnały radiowe do każdego punktu na kuli ziemskiej.

Ojciec Philippe Recamier siedział obok kierowcy w zielonej limuzynie Alfa Romeo, należącej do sostituto Benito Marco. Studiował uważnie płataninę lśniących linek potężnej anteny, rozciągniętych jak metalowa pajęczyna między dwoma wysokimi masztami. Wydawać by się mogło, że zadanie jakie otrzymał przed chwilą, wcale go nie zdziwiło.

Recamier był człowiekiem okazałej postury. Na twarzy miał blizny, lecz nikt nie spytał jezuity o ich pochodzenie. Przełożeni cenili go za niezwykle przenikliwy umysł i wprost niespotykaną spostrzegawczość. Nic się przed nim nie ukryło. Podobnie jak wielu spośród sług Pana odkrył swe powołanie późno, podążając doń zawiłą drogą. Gdyby nie wstąpił do zakonu, mógłby z łatwością zostać asem jakiegoś wywiadu. Latem 1980, podczas strajków w Polsce, Recamier jako pierwszy przekazywał relacje z robotniczych protestów. Dziennikarz miał także bliskie kontakty z czeską opozycją, a przygotowane Przez niego audycje poświęcone działaczom "Karty 77" walczą

cym o prawa człowieka, spędzały sen z powiek funkcjonariuszom i urzędnikom komunistycznego aparatu władzy na Kremlu.

Benito Marco nie miał nawet cienia wątpliwości co do tego, że Philippe Recamier był właśnie człowiekiem idealnie nadającym się do wykonania delikatnego zadania odkrycia wszelkich tajemnic i niedyskrecji w życiu Pierre'a Labesse'a.

- Rozumiesz więc chyba teraz wagę tej sprawy, ojciec - odezwał się Marco po przedstawieniu trudnej sytuacji Watykanu.

Recamier ponuro skinął głową.

- Od czego zaczniesz? - Marco pytał dalej.

- Od samego początku, monsignore. Ojciec Labesse urodził się i został wychowany w mieście korsarzy St. Malo, we Francji. Poszukiwania rozpocznę od tego miejsca.

- Po co marnować czas? W jego dzieciństwie nie znajdziemy tego, czego szukamy.

- Klucz do życia każdego człowieka leży w jego dzieciństwie -zauważył obojętnie Recamier, obserwując dwie wrony wyrywające sobie w locie żer. Tuż przy samej ziemi ptaki rozdzieliły się i uleciały w górę.

Marco położył swą smukłą, wypielegnowaną dłoń na teczce z aktami, leżącej na desce rozdzielczej samochodu.

- Wszystko, co nam wiadomo o życiu Pierre'a Labesse'a, jest tutaj. Te materiały są bardzo obszerne, szczegółowe i w pełni wiarygodne.

Ojciec Święty osobiście dopilnował przygotowania tych informacji przed beatyfikacją. Oczywiście, jeśli chodzi o początkowy okres życia Labesse'a, musiano polegać na jego własnych oświadczeniach i relacjach sióstr zakonnych, które go wychowywały. Co

zastanawiające, jest w jego życiu okres, który znamy tylko

fragmentarycznie. Chodzi mi tu o lata, w których z nastolatka stał się mężczyzną, czyli od lat kilkunastu do dwudziestu paru. Jest oczywiście dokładny zapis przebiegu służby wojskowej, lecz brak informacji o jakiejś stałej pracy. Podobno wiele wówczas wędrował, pieszo - tak wspomina w swojej relacji. Wygląda na to, że był wtedy kimś w rodzaju amerykańskiego trampa. Może szukał swej drogi do Pana? Przyszedł do nas niedługo potem.

- To przypomina Jezusa Chrystusa - powiedział Recamier. Marco spojrział na niego ostro.

- Nie rozumiem?

- Okres, w którym jego losy są niejasne... Przypomina życie Jezusa - wyjaśnił Recamier.

Marco popatrzył na niego groźnie i znów zajął się zawartością teczeki.

- Wszystko jest tutaj - powtórzył z naciskiem. - Wszystko, o czym wiemy.

Recamier odwrócił głowę w stronę sostituto.

- Informacje, które znajdują się tutaj, to tylko to, co Labesse chciał, byśmy wiedzieli - mówił powoli. - Chodzi mi raczej o jego życie, zanim trafił na łono Kościoła. Nie ma na świecie człowieka, który mówiąc o swojej przeszłości, opowiedziałby całą prawdę. Niektóre fragmenty życiorysu pomija się, ponieważ zostały zwyczajnie zapomniane. Inne z różnych względów zostają upiękkszane i po jakimś czasie zaczyna się wierzyć w nie, tak jakby były prawdziwe. Można też mieć do czynienia ze świadomym kłamstwem, które bywa zarazem i najtrudniejsze, i najłatwiejsze do wykrycia. Trudne bywa dlatego, że jeżeli jest ono istotne, będzie bardzo dobrze zamaskowane, a ludzie potrafią posunąć się naprawdę bardzo daleko, by ukryć fałsz. Zwłaszcza gdy jest to dla nich ważne. Z drugiej jednak strony, monsignore, łatwo jest wykryć tak zamaskowany fałsz. Wystarczy podważyć chociaż jedno z drobnych kłamstewek, które go otaczają i potem podążyć dalej po nitce do kłębka. Czy monsignore wie, jacy ludzie są najgroźniejszymi kłamcami? Mogę powiedzieć: wszyscy ci, którzy ukrywają prawdę pod maską kłamstwa po to, by prawdę uznano za kłamstwo i nie szukano dalej. W ten sposób kłamcy są bezpieczni.

Mówiąc te słowa, Recamier pozwolił swojemu spojrzeniu ulecieć gdzieś daleko, w przestrzeń, lecz gdy przerwał, jego groźne, ciemne oczy patrzyły prosto w twarz sostituto.

- Monsignore chce mnie teraz pożegnać, ale przedtem zapewne uzna za konieczne uprzedzić mnie, że posiada pewne informacje, które mogą złamać moje życie?

Marco otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz Recamier uprzedził go.

- Odkryliście, że zabiłem dziewczynę, moją kochankę i nie przyznałem się do tego. Zamiast tego postąpiłem, jak wielu mężczyzn w podobnej sytuacji - wstąpiłem do Legii Cudzoziemskiej, z której potem zdezerterowałem. To już drugie moje przestępstwo w zew

nęlrznym świecie. Monsignore wie o tym, ponieważ gdy nawróciłem się, sumienie nakazało mi wyznać śmiertelny grzech. Nie ma znaczenia, kto to wyjawił, gdyż rozumiem dobrze, że każdy kapłan ma sumienie i czasem jest ono ważniejsze niż tajemnica spowiedzi - Recamier uśmiechnął się. - A może monsignore sam był swoim informatorem? Może to uszom waszej wielebności powierzyłem tajemnicę swej udręczonej duszy?

- Żałowałeś szczerze za swe grzechy, a Pan przebacza skruszonym grzesznikom.

- Bóg mógł mi przebaczyć, ale wy wciąż znacie mój sekret.

- Wszystko czego oczekuję, to to, by w żadnym wypadku nikomu nie wspominać o tym śledztwie. Wtedy i ja nikomu nic nie powiem...

Recamier wziął teczkę z deski rozdzielczej i otworzył drzwi samochodu.

- Wykonam zadanie, które monsignore mi zlecił. Nie dlatego jednak, że mogę zostać przez was zniszczony. Kościół Święty jest moim życiem i moim wybawcą. Sądzę za to, iż wasza wielebność dostrzega w Kościele jedynie drogę do realizacji własnych, nieposkromionych ambicji, uważając, że już samo pochodzenie uprawnia monsignore'a do używania siły i korzystania z przywilejów, nieważne, czy w hierarchii Kościoła, czy państwa. Wasza wielebność urodził się może do tego, ja - nie. Uczynię jednak wszystko, by powstrzymać upadek mej wiary. Będę się kontaktował z mon-signorem codziennie. Żegnaj! Benito Marco przyglądał się, jak wysoka, lekko pochylona postać oddala się. Uruchomił silnik swego Alfa Romeo, ruszył i wyprzedzając idącego, uniósł dłoń w geście pożegnania.

Recamier nie odpowiedział.

Philippe Recamier przyleciał do Paryża w takim czasie, że przejechawszy z lotniska do centrum miasta, prawie natychmiast miał połączenie kolejowe do St. Malo.

Podróż minęła mu praktycznie niepostrzeżenie, gdyż poza nielicznymi chwilami, kiedy jego uwagę rozpraszali rozbrykani uczniowie, skoncentrował się całkowicie na zawartości teczki, którą otrzymał od Benito Marco.

Z dokumentów jasno wynikało, że Labessee miał w zwyczaju znikać bez śladu. Zniknął w okresie, o którym wspomniał Marco i zniknął także później, gdy już był sługą Kościoła. Przepadał tak bez wieści w Chinach i Azji Południowo-Wschodniej. Oczywiście, przełożeni wiedzieli, do jakiego kraju trafiał Labessee. Ślad urywał się na całe miesiące dopiero wtedy, gdy wyruszał on w głąb kraju, zwykle z grupą pielęgniarek zakonnych, zebranych z centralnych misji. Sprawa tych siostr zakonnych przynajmniej dwukrotnie wywoływała umiarkowaną sensację, gdyż do Rzymu trafiały gorzkie skargi dotyczące "beztroski" i "arogancji" Labessee'a, składane przez księży zarządzających centralami misyjnymi. Odpowiadał on na te skargi później, podkreślając, że owe misje miały zbyt wielu pracowników, a potrzeby jego i wiernych były ważniejsze. Oczyszczano księdza z wszelkich zarzutów, a dwóch z zarządców misji musiało zweryfikować personel. Najwyraźniej Labessee pomimo swej niskiej pozycji w hierarchii duchownych potrafił wywierać wpływ na decyzje zwierzchników. Recamier zapoznał się z tymi przypadkami, lecz nie poświęcał im zbyt wiele uwagi, gdyż wiedział, że z powodu swej reputacji Pierre Labessee wzbudzał zawiść innych. Nie mogło być inaczej, biorąc pod uwagę jego silną i kontrowersyjną osobowość. Rola zakonnic zasługiwała na bliższą uwagę. Recamier wiedział, że nie było rzadkością, iż siostry zakonne, w różnym wieku, otaczały czasem nabożną czią jakiegoś księdza, traktując jego słowa na równi z Pismem Świętym. Błąd taki, chociaż stosunkowo rzadki, wydawał się naturalny u kobiet, które wyrzekły się przeciw swej natury. W sprawie Labessee'a nie mogło to być zignorowane. "U podstaw wszelkich uczynków człowieka leżą często dwa zupełnie różne powody - rozmyślał Recamier, powtarzając jedno ze swoich ulubionych stwierdzeń - jeden jasny i łatwy do wyjaśnienia, a drugi niewyraźny, mroczny i niezrozumiały."

Przerzucał kolejne strony dokumentów.

Jako sierota Labessee został wychowany w katolickiej ochronce i szkole w pobliżu St. Mało, otrzymując od zakonnic opiekę i wykształcenie. Nie był wyróżniającym się uczniem, chociaż w jednej z opinii o nim zauważono, że miał wyraźne zdolności, które, jak się wydawało, świadomie ukrywał. Odznaczał się wewnętrznym spo

kojem, zapewniającym mu popularność, a potem nawet i spory autorytet zarówno wśród uczniów, jak i zakonnych opiekunek. Młody Labesse miał również wrodzoną zdolność leczenia ran - "cielesnych, nie duchowych" - jak skrupulatnie określiła to jedna z siostr - wielokrotnie kurując skaleczenia i sińce, jakie przydarzały się jego kolegom podczas zabaw. Życie w sierocińcu było surowe i trudne, a zabawki oraz urządzenia gimnastyczne zniszczone i stare. Nie brakowało więc wypadków, na które Pierre zawsze był przygotowany, mając pod ręką kojący balsam, czysty bandaż i krzepiące słowa. Co zastanawiające, rany, które opatrywał, goiły się zaskakująco szybko. Siostry zakonne uważały już wówczas, że ma on powołanie do kapłaństwa. W wieku młodzieńczym przejawiał jednak nikłe zainteresowanie Kościołem, poza tym, armia powołała go do zasadniczej służby wojskowej. Dane dotyczące okresu od jej zakończenia do wejścia w stan kapłański siedem lat później były niekompletne, luźne i nie zawierały możliwych do dokładnego sprawdzenia faktów. W zapiskach znajdowały się jedynie wyjaśnienia udzielone w tej sprawie przez samego Labesse, a te, w najlepszym razie były - jak to trafnie określił Benito Marco - fragmentaryczne.

Po odliczeniu dwóch lat, pochłoniętych przez przygotowania do kapłaństwa, długie miesiące namysłu, rozważań i zgłębiania własnej duszy pozostało jeszcze pięć. "Cóż mógł robić nocami dojrzały człowiek przez całe pięć lat?"

"Trzeba posuwać się powoli - rozmyślał Recamier. - Cierpliwie i dokładnie." Zaczął więc od badania okresu służby wojskowej. Zapis jej przebiegu zdradzał od razu to, co dopiero później stać się miało faktem. Właśnie tutaj, czarno na białym, widniały pierwsze oznaki tego, że Labesse słyszał nagłą, choć może jeszcze niezbyt wyraźny głos Pana. Natychmiast odmówił udziału w ćwiczeniach militarnych, uzasadniając to swymi przekonaniem religijnymi. Zgodził się jedynie przejść szkolenie medyczne. Powołano go do służby w Indochinach, lecz nie zasłużył tam ani razu na pochwałę za bohaterstwo na polu walki pod ogniem nieprzyjaciela. Przynajmniej tak wynikało z dokumentów. Recamierowi nie wydało się to dziwne. W tej wojnie ranni byli zwykle siekani na kawałki zanim dotarli do nich sanitariusze. Nikt nie miał ochoty zostać bohaterem z powodu poćwiartowanych zwłok.

Ostatecznie wiec Labesse wypełnił swój patriotyczny obowiązek, a potem został zdemobilizowany.

Recamier przewrócił kartkę i ponownie stanął wobec garści nic nie mówiących szczegółów odnoszących się do tak przecież długiego okresu życia. "Bardzo dobrze - pomyślał. - Rozwiązanie tej zagadki może się okazać interesujące."

Przy podejmowaniu ważnych życiowych decyzji lub w chwilach rozczerowań, każdy człowiek odczuwa pragnienie powrotu do swych korzeni. St. Mało było więc na pewno idealnym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań. Rówieśnicy lub przyjaciele Labesse'a, o ile w ogóle miał on jakichś przyjaciół - gdyż według dokumentów miał opinię samotnika - mogli dopomóc w wypełnieniu obrazu tych lat jego życia.

Pierwszym miejscem, które Recamier miał zamiar odwiedzić był sierociniec. "Najpierw poznam chłopca - postanowił - mężczyzna przyjdzie do mnie sam, krok po kroku."

Gdy jezuita wysiadł z pociągu, poczuł przeszywające go na wskroś przenikliwe zimno, chociaż słońce wciąż jeszcze mocno świeciło. Ten nagły chłód zatrzymał go w miejscu. Uderzony przez kogoś niespodziewanie upadł na ziemię, a dokumenty z teczki rozsypały się dookoła.

- Patrz którądy idziesz! - Recamier krzyknął ze złością na ucznia, który wypadł na niego i biegł teraz dalej, nie zaprzatając sobie głowy upadkiem księdza.

Młody człowiek zatrzymał się gwałtownie, obrócił i podszedł do leżącego, nie pomógł mu jednak wstać.

Recamier zebrał rozrzucone papiery i wyprostował się, otrzepując z kurzu swą czarną sutannę.

- Powinieneś uważać, którądy idziesz! - narzekał.

- Stałeś mi na drodze, klecho - zimno powiedział uczeń. Jego rówieśnicy, dziwnie groźni, zgromadzili się dookoła.

- Odejdźcie - rzucił Recamier. - Idźcie sobie!

- Co zrobisz, jeśli nie odejdziemy? - zapytała ładna, ciemnowłosa dziewczyna. - Przeklniesz nas, skazując na ogień piekielny i wieczne potępienie? Zamkniesz przed nami bramy niebios?

Wszyscy wokół wybuchnęli równocześnie nagłym śmiechem, jakby chodziło o dowcip, którego ksiądz nie zrozumiał. Recamier niszył, przeciskając się do przodu. Młodzi ludzie po obu stronach

naśmiewali się z niego. Nieoczekiwanie zaczęli skandować, a on nie mógł zrozumieć, co wołają, dopóki ta sama dziewczyna nie przebiegła przed nim, unosząc ku górze popularną paryską popo-ludniówkę. Słowa, które wykrzykiwali, wydrukowane były wielkimi czarnymi literami, a poniżej widniała nieaktualna, zamazana fotografia młodego, jasnowłosego człowieka, który je wypowiedział.

- Niebiosa są tutaj! - powtarzali, przyspieszając kroku, by zrównać się z Recamierem, który zaczął biec przed siebie. - Niebiosa są tutaj!

Niebiosa są tutaj!

Uciekając ksiądz zdał sobie nagle sprawę z przerażającego faktu: człowiek, którego przyjechał odszukać, znalazł go sam.

98

Jonathan Barton wkroczy.

londyńskim studiu JTN Vy^{cxy} do pomieszczeń redakcji dziennika został przez gorączkowy $stu,^{*^}$ przy Wells street. Od progu powitany oraz przez jęklive odgłosy $Q. >$ stukot maszyn do pisania i dalekopisów papieru i perforowanej taśm $;$ sy dalekopisów wyrzucających kilometry Zatrzymała go Mary Edg(my). Wciąż brak reakcji Wat/tg g ington redaktor wydania, cje Labesse'a. Na pewno je $\bullet/'$ Watykanu na zmartwychwstanie i rewela-. Wobec tego, jak dalek jeSzcze nie wiedzą co o tym powiedzieć, zapytał Barton, poddając $s;^i$ eko zamierzasz prowadzić tę sprawę? -zatorki, która dostrzegła ja c sie równocześnie zabiegom charaktery-

. Do samiutkiego końca., t potySk na jego czole, zamach na życie papieża $v,-jca$ j0 może być coś równie wielkiego, jak

. To może być coś więa w i og i roku. co jakiś czas, a nigdy je i ęcej - zauważył Barton. - Papieże umierają świętego! jeszcze nie mieliśmy zmartwychwstania

Mary Edgington zmars,

- Rzym nie potwierdził z czyja brwi.

- Tak, lecz mamy oświ, z,j oficjainie faktu jego kanonizacji, limie. Jest ono dosyć $sWi\ '*i\ <jc7\ £me$ mnichów z klasztoru w Jerozo-pliwości.

Gdzie jest twój łowcze. Raczej nie powinniśmy mieć wāt-

- W pogotowiu. Piek k^j ekspert od teologii?

- Piekielnie? To chyba celnie zdenerwowany.

narobi odpowiedniego $s\ a$ raczej niebo tak go denerwuje. Myślę, że

Tak go przycisnę, że by SZUMU. Tym razem wyprzedzamy BBC.

syjnego. będzie musiał powiedzieć coś kontrower-

- Tylko nie posuń się s

katolików, którzy przeży L czasem zbyt daleko, Jon. Jest bardzo wielu

- To wstrząśnie nie ty! y ją wstrząs.

połowa tego, co powied i ko katolikami, kochanie. Jeśli nawet tylko

siat dziewięć koma dzie ział Labesse, jest prawdą, to dziewięćdzie-
dogmatów trafi na śmie $>$ tewięćdziesiąt dziewięć procent wszystkich

- Bądź ostrożny - u t nk.

- Nie bój się. Czy $\&\$ Pomniała go Mary.

ailey Boy już tutaj jest?

- Przyjechał dwadzieścia minut temu. Wyglądał, jakby uczestniczył w bardzo ciężkim meczu rugby.

- Kto grał w przeciwnej drużynie?

- Z tego co mówił, to przynajmniej połowa całej światowej prasy. Nawet Rosjanie wysłali ekipę telewizyjną do Jerozolimy.

- Na pewno. To dla nich tydzień dobrych nowin. "Niebiosa są tutaj"? Bez wątpienia spróbują to zinterpretować w kontekście komunizmu.

- Już to zrobili. "Prawda" wypuściła specjalne wydanie, w którym w oparciu o tezy marksizmu wyjaśnia słowa Labesse'a.

- Dobrze! Coś z tego zrobię. - Barton zerknął na zegarek. - Gdzie jest Sara?

- W studiu. Właśnie poprawiają jej fryzurę.

- Zaraz z nią popracuję. Zaraz powtórzmy całość według scenariusza.

- Pamiętaj, tylko spokojnie, Jon - przypomniała mu Mary.

- Wszyscy na dół! - zawołał realizator, prowadzący swój zespół techników i obsługi planu do reżyserki na parterze.

W studiu ktoś pieczołowicie usuwał szczotką ślady łupieżu z czarnego garnituru Bartona. Jon powtarzał szybko najważniejsze wiadomości mające zmieścić się pomiędzy uderzeniami Big Bena na początku dziennika.

Barton przerwał i opuścił głowę, spoglądając na kartki, które trzymał w ręku. Milczał. Po chwili podniósł głowę, ukazując widzom kamienną twarz i nieruchome oczy. Był to chwyt, którego używał zawsze, by wzbudzić w widzach nastrój niepewności i oczekiwania. Trzeba przyznać, że czynił to po mistrzowsku.

Zaczął powoli mówić:

- Wczoraj, w świętym mieście Jeruzalem, nieznanemu mnichowi rzymskokatolicki, pozostający od ponad dziesięciu lat w stanie śpiączki został przez izraelskiego lekarza oficjalnie uznany za zmarłego. Dziewięć godzin później, w niezwykle dramatycznych okolicznościach, zmarły powrócił do życia. Przedstawimy teraz państwu sprawozdanie naszego reportera, Richarda Bailey'a, który przed niespełną godziną wrócił z Jerozolimy, przywożąc bezpośrednią relację o tym niezwykłym fenomenie. Relację o człowieku, który powstaje z martwych, będąc wcześniej kanonizowanym i

wyglasza zdanie, które wstrząsnęło posadami całego świata chrześcijańskiego.

Twarz Richarda Bailey'a pomimo telewizyjnego makijażu wyraźnie zdradzała ślady zmęczenia. Jego czysty, dźwięczny głos był zachrypnięty w wyniku przesilenia gardła podczas prób przekrzywienia lawiny pytań, którymi zarzucono w Jerozolimie skonsternowanych mnichów. Do burzliwych konferencji prasowych zaimprovizowanych w pobliżu cichego klasztoru na Górze Oliwnej dodać należałoby jeszcze szaloną podróż do Izraela i z powrotem w źle klimatyzowanym wnętrzu pasażerskiego odrzutowca.

Mimo trudów podróży Bailey był podekscytowany jak człowiek będący świadkiem historycznego wydarzenia.

- Pierre Labesse... Zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu to nazwisko mogło być znane tylko kilku osobom spoza ścisłych kręgów Kościoła katolickiego. Dzisiaj pojawiło się na tytułowych stronach niemal wszystkich gazet codziennych w różnych stronach świata. Nawet Związek Radziecki zwrócił uwagę na to niezwykle zjawisko. Jak dotychczas niewiele wiadomo o ojcu Labessie, gdyż jedyne państwo, które powinno z radością zareagować na zmartwychwstanie nieznanego mnicha, milczy. Państwem tym jest Watykan.

Cóż właściwie wiemy o Labessie? Był on misjonarzem, który przez wiele lat pracował wśród biednych w kilku krajach świata.

Najprawdopodobniej, nie ma bowiem na razie potwierdzenia miejsca i czasu, zapadł w śpiączkę na skutek ran zadanych mu na Dalekim Wschodzie przez komunistycznych partyzantów, którzy ukrzyżowali ojca Labesse'a - Bailey przerwał, by ostatnie słowa wywarły na słuchaczach odpowiednie wrażenie.

- Szczegóły na temat jego wybawienia z rąk partyzantów nie zostały dotąd udostępnione i jeżeli Watykan nie zdecyduje się przerwać swego milczenia w tej sprawie, możliwe, że nigdy owych szczegółów nie poznamy. Ponad wszelką wątpliwość wiadomo za to, że ojciec Pierre Labesse zmarł, co potwierdzono oficjalnym świadectwem zgonu. Był martwy przez okres dziewięciu godzin. Najdłuższy zanotowany dotąd czas, po którym osoba uznana za zmarłą powróciła do życia, wynosił trzy godziny i trzydzieści dwie minuty. Ten "rekord" został teraz pobity.

Minutę po północy, w pierwszej godzinie niedzieli zostały wyłączone urządzenia podtrzymujące życie Labesse'a podczas śpiączki.

Wstrzymano sztuczne oddychanie, usunięto dreny i kroplówki, po raz ostami sprawdzono wskazania monitora pracy serca i encefalografu.

Choremu pozwolono wreszcie umrzeć. Skonał na pewno.

Rozmawiałem z izraelskim lekarzem, który przeprowadził szereg testów i badań pozwalających z całkowitą pewnością stwierdzić zgon, eliminując możliwość pomyłki, o którą łatwo zwłaszcza teraz, gdy postęp medycyny i techniki coraz bardziej zaciera granice pomiędzy życiem a śmiercią.

Bailey odprężył się, dalszy ciąg relacji został odtworzony z taśmy video.

- Doktorze Levin - Bailey zwrócił się do małego, grubego człowieka, siedzącego w wysokim skórzanym fotelu. - Czy jest pan absolutnie pewny, że Pierre Labesse był martwy podczas pańskiego badania?

- Ponad wszelką możliwą wątpliwość - stwierdził stanowczo lekarz. -

Po wyłączeniu respiratora nastąpiło około piętnastu sekund agonii.

Zaraz potem monitor przestał rejestrować uderzenia serca, a urządzenie informujące o pracy mózgu - EEG - wykreślało linię prostą. Przez całe lata ciało ojca Labesse'a nie wykazywało już żadnej aktywności mózgowej.

- Czy ta linia prosta mogła oznaczać tak zwaną "śmierć mózgową"?

- Niekoniecznie. To jedynie informuje nas, że nie ma elektrycznej aktywności wewnątrz mózgu.

- Serce chorego definitywnie przestało bić? - pytał uparcie Bailey.

- Definitywnie.

- I już w tym momencie uznał pan, że Labesse jest martwy? Levin uniósł do góry swój krótki, tłusty palec.

- W tym momencie przeprowadziłem standardowe testy, które pozwoliły mi stwierdzić, bez cienia wątpliwości, że życie zanikło.

- Mówiąc w nieskomplikowany sposób, chodzi tu o...

- Badanie oczu, polegające na sprawdzeniu reakcji źrenic na światło oraz badanie innych odruchów, czyli reakcji ciała na uderzenia młoteczkim neurologicznym i na zimną wodę wlaną do ka

nahi usznego. Ostatnią moją próbą było dotknięcie rogówki oka watą.

- Czy po tych wszystkich testach mógł mieć pan jakiegokolwiek podstawy sądzić, że Labesse może nie być martwy?

- Absolutnie żadnych. Instrukcje, jakie otrzymałem od przeora klasztoru, wymagały ode mnie całkowitej pewności zanim stwierdziłem zgon ojca Labesse'a. Ja byłem zupełnie pewny.

- A więc obawiano się, że nawet w takim stanie życie mogło nie wygasnąć do końca?

Levin poruszył się niespokojnie.

- Wcześniej podsłuchałem przypadkowo rozmowę ojca przełożonego z jakimś starym mnichem. Wynikało z niej, że Watykan wydał polecenia, które wymagały, by nie było żadnej wątpliwości. Żadnej. Labesse po bezdyskusyjnym i niepodważalnym stwierdzeniu jego śmierci miał zostać kanonizowany. Tak! Kanonizowany z chwilą swej śmierci.

- Jednak pomimo wszystkich tych rygorystycznych testów i badań Pierre Labesse żył nadal?

- Nie! - Levin zaprzeczył głośno, powodując przesterowanie mikrofonu. - On powrócił do życia. Ojciec Labesse zmarł, jak tylko może umrzeć śmiertelnik! - Lekarz rozłożył bezradnie ręce. - Proszę nie pytać mnie o wyjaśnienie. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ten człowiek był martwy. Przez dziewięć godzin, martwy! Teraz żyje! Proszę nie pytać mnie dlaczego. Nie potrafię udzielić odpowiedzi.

- Czy może pan uznać to, co się wydarzyło za "cud", doktorze Levin?

- Zajmuję się medycyną. Cuda pozostawiam Bogu!

Gdy taśma się skończyła, Bailey, pochylony lekko do przodu, podjął ponownie swoją relację.

- Ludzie już wcześniej budzili się ze stanu śpiączki i zdarzało się to wielokrotnie. Zdarzało się również, że ci, których uznano za martwych, później, w niewytłumaczalny sposób powracali do życia. Żaden z nich jednak nie został beatyfikowany podczas śpiączki 'nie był kanonizowany z chwilą śmierci. Mówiąc prościej, nigdy przedtem nie było "zmartwychwstałego świętego", jak ojca Labesse'a nazywa prasa. Watykan na razie milczy. Nie wydano dotąd żadnego oświadczenia w tej sprawie, potwierdzającego lub zaprze

czającego wiadomościom o kanonizacji. Labesse przetrzymywany jest w odosobnieniu, lecz najwyraźniej czuje się dobrze, chociaż, co zrozumiale, jest bardzo osłabiony. Dotychczas nie rozmawiał z nim nikt spoza klasztoru. Dziwnym zbiegiem okoliczności jest on zbudowany na zboczu Góry Oliwnej, czyli w miejscu, gdzie według proroctwa pojawić ma się ponownie na ziemi w całej swej chwale inna ofiara ukrzyżowania - Jezus Chrystus. Przełożony klasztoru wyraził zgodę na uczestnictwo w krótkiej konferencji prasowej i to, powiedział, wydaje się potwierdzać informacje, że Rzym wyniósł Labesse'a na ołtarz. Przeor zdradził również, co państwo za chwilę usłyszą, kilka istotnych szczegółów dotyczących samego "zmartwychwstania" Pierre'a Labesse'a.

Oczy Bailey'a skierowały się w bok, ku ekranowi monitora, na którym pojawiła się scena kompletnego zamieszania. Flesze aparatów fotograficznych błyskały nieprzerwanie, mikrofony i małe reporterskie dyktafony wycelowano w twarz starzejącego się, wyraźnie poddenerwowanego człowieka w długim, szarym habicie.

- W niedzielę rano, o godzinie dziewiątej - oświadczył ojciec przełożony - Pierre Labesse powrócił do nas z za grobu. Zgodnie z poleceniem Ojca Świętego, brat Pierre został ogłoszony błogosławionym podczas długiego okresu swej śpiączki, spowodowanej ranami i cierpieniami zadanymi mu przez tych, którzy odrzucili światło Pana. Doznał on, w imię Pańskie, śmierci za życia, aż w końcu odszedł z tego świata. - Twarz przeora nagle pojaśniała. - Pan przywrócił go jednak pomiędzy żywych! Nie mamy wątpliwości, że oto dane nam było uczestniczyć w najprawdziwszym cudzie, który wydarzył się tutaj, w tym świętym miejscu. W cudzie dokonanym przez samego Boga i potwierdzonym przezeń krwią z okrutnych ran ukrzyżowania w chwili, gdy ojciec Pierre powrócił na ten świat.

Nagrany na taśmie głos Bailey'a przebił się przez panujący rozgardiasz:

- Czy otrzymaliście jakąś wiadomość z Rzymu potwierdzającą kanonizację Pierre'a Labesse'a?

Mnich popatrzył na pytającego i przecząco potrząsnął głową.

- Czy oczekujecie takiego potwierdzenia? - krzyknął ktoś inny.

- Na ten temat nie mam na razie nic więcej do powiedzenia. Bailey zawołał szybko:

- A te słowa, które miał wymówić ojciec Labesse: "Niebiosa są tutaj"? Czy to prawda, że według niego słowa te pochodzą od Boga?

- Nie mogę udzielić odpowiedzi za niego. We właściwym czasie on sam odpowie na to pytanie.

- Kiedy? - rozległ się tuzin głosów.

- Wkrótce - spokojnie odparł przeor. - Już niedługo.

- Czy on naprawdę uważa, że rozmawiał z Bogiem? - znów pytał Bailey.

Mnich przytaknął.

- Tak, on w to wierzy.

- A ojciec w to wierzy? - ponownie dal się słyszeć głos Bailey'a.

- Wierzę - odpowiedział krótko mnich, potem odwrócił się i zniknął w bramie klasztoru.

Monitor w studiu wygasł i Bailey zwrócił się ponownie w stronę kamery.

- Jedno wydaje się tutaj być oczywiste. Z wypowiedzi ojca przeora wynika oczywisty brak porozumienia między Watykanem i klasztorem. Można interpretować to w różny sposób. Między niewielkim klasztorem a zwierzchnikami Kościoła występować może różnica zdań lub może nawet zasadnicza sprzeczność w sprawie Labesse'a. Nie ulega raczej wątpliwości, że przeorowi i zakonnikom polecono zachować milczenie, czego oni jednak nie mogli lub nie chcieli uczynić. Tajemniczy brak oficjalnej reakcji Watykanu jest również dość oczywisty. Kościół stanął nieoczekiwanie przed wielkim, jeśli nie największym w swej historii dylematem. Chodzi tu o to, jak teraz odwołać edykt papieski kanonizujący Pierre'a Labesse^? Pamiętajmy, że papież jest nieomylny w sprawach wiary. Jak to uczynić, by nie podważyć autorytetu Ojca Świętego? Kościół nie może sobie pozwolić na zaakceptowanie istnienia zmartwychwstałego świętego, którego już pierwsze słowa zdają się zaprzeczać podstawowym prawdom wiary. Mówiąc inaczej, uznanie Labesse'a za zmartwychwstałego świętego i wynikające stąd konsekwentne potwierdzenie boskiego pochodzenia jego słów, byłoby równoznaczne z uznaniem Pisma Świętego za kłamstwo. Jeżeli naprawdę "niebiosa są tutaj", to gdzie w takim razie znajduje się obiecane przez Chrystusa Królestwo Niebieskie?

- Świetnie - szepnął reżyser siedzący w pomieszczeniu realizatorów. -
Zaczynaj, Jon!

Barton był gotowy. Po obu jego stronach siedzieli dwaj mężczyźni.

- Postawione przed chwilą pytania wymagają odpowiedzi - rozpoczął
dziennikarz. - Dziś wieczorem gościmy w studiu dwóch ludzi, którzy
spróbują odpowiedzieć na to pytanie. Przedstawiam państwu
pierwszego z moich gości. Jest nim pan doktor Harold Lovelace,
wykładowca teologii na uniwersytecie w Cambridge. Doktorze
Lovelace, czy może pan spróbować ocenić rozmiary szkód, jakich
doznać może obecna doktryna chrześcijańska, jeżeli przesłanie
Pierre'a Labesse'a - nie będziemy go jeszcze na razie nazywali
świętym - będzie miało jakiegokolwiek znaczenie dla współczesnego
chrześcijaństwa.

Lovelace, szczupły, lekko siwiejący mężczyzna w eleganckim
garniturze siedział, bawiąc się rogiem bładoniebieskiej chusteczki,
schowanej w prawym rękawie marynarki.

- Jeżeli Rzym zdecyduje się potwierdzić fakt kanonizacji Labesse'a,
wtedy każde słowo wypowiedziane przez tego człowieka będzie
równoznaczne z wyrwaniem kolejnego kamienia z fundamentów
Kościoła. Powiedziałem świadomie "człowieka", gdyż dopóki
kanonizacja nie zostanie potwierdzona w sposób oficjalny i nie bu-
dzący zastrzeżeń, Labesse jest tylko zwykłym człowiekiem. Spróbujmy
spójrzeć na całą sprawę perspektywicznie; z całkowitą pewnością
Pierre Labesse pozostając przez tyle lat w stanie śpiączki, doznał
znaczących i raczej nieodwracalnych uszkodzeń mózgu. Uszkodzenia te
podczas dziewięciogodzinnego okresu "śmierci" mogły się jedynie
pogłębić. Zaskoczony jestem tym, że ten człowiek w ogóle jest w stanie
mówić, zważywszy, jak długo mózg jego pozbawiony był dopływu
Uenu.

- Pomimo to - powiedział Barton - przemówił on jednak. Bracia z jego
klasztora są zgodni co do słów, jakie wypowiedział. Wiemy, co to za
słowa. Pańską odpowiedzią jest więc to, że może on zburzyć
przekonanie chrześcijan?

- Wiarę! - poprawił Lovelace. - Wiarę chrześcijańską. Jeśli bowiem
chrześcijanie uwierzą w tę nedorzeczną ideę, iż niebo znajduje się
tutaj, na Ziemi, to w oczywisty sposób utracą wiarę we wszystko, co
napisano w Nowym Testamencie. W większą część Starego
Testamentu również... Nie możemy jednak wydawać na

razie żadnych opinii, gdyż nie wiemy dokładnie, co właściwie miał na myśli Labesse. Czy chodziło mu o to, że nadejście Boga jest bliskie? A może należy rozumieć, jak uczyniła to prasa, że niebo fizycznie jest tutaj? Mówiąc innymi słowy, że świat, w którym żyjemy, jest naszym miejscem ostatecznym. Jak dotąd nie mamy bliższego wyjaśnienia owego stwierdzenia. Osobiście pokładam jednak nadzieję w Panu, iż ludzie odsuną od siebie to wszystko, co mówi Labesse, gdyż niezależnie od tego w jaki sposób zinterpretuje on swoje słowa, rezultatem jego działalności będzie z pewnością chaos.

- Czy wierzy pan, że Labesse rozmawiał z Bogiem po swej śmierci? Tak przecież twierdzą mnisi?

Lovelce uczynił gest zniecierpliwienia.

- Ten człowiek jest nieodpowiedzialny. Środki masowego przekazu robią stanowczo zbyt wiele hałasu wokół całej tej sprawy. Uważam, że przez nadawanie takiemu... cyrkowi pozorów ważności i informowanie o tym wszystkim nazbyt serio, niczego się nie osiągnie.

- Dziękuję panu bardzo, doktorze. Barton odwrócił się w swym fotelu.

- Jest dzisiaj z nami również ojciec Timothy O'Hara, katolicki ksiądz znany ze swych szczerych, czasem wręcz rewolucyjnych poglądów na temat Kościoła. - Ojciec Timothy, dziękujemy za przybycie tutaj, dosłownie w ostatniej chwili.

Ciemnowłosy Irlandczyk pochylił głowę w stronę kamery. Na skroniach księdza wyraźnie było widać siwiznę. Jego cera była ziemista.

- Ojciec, rozumiem, że w czasie swej pracy jako jezuicki ksiądz w Azji Południowo-Wschodniej spotkał ojciec Pierre'a Labesse'a osobiście?

- Tak, to prawda - głos O'Hary był zaskakująco głęboki, a jego akcent wyraźnie zdradzał irlandzkie pochodzenie.

- Czy mógłby ojciec opowiedzieć nam, jaki był to wówczas człowiek? Czy istniały jakieś zewnętrzne oznaki tego, iż Labesse miał stać się kimś niezwykłym?

O'Hara uśmiechnął się szeroko, prawie wybuchając głośnym śmiechem.

107

- Nic, co łączyło się z osobą Pierre'a Labesse'a, nie było zwyczajne!

- A więc już wtedy, około piętnastu lat temu, było w nim coś szczególnego?

- On zawsze był kimś "szczególnym", jeśli to jest właściwe słowo.

- A jakie jest inne określenie pozwalające go bliżej skonkretyzować?

- On był ponad wszystkim - odparł bez wahania O'Hara. On

przebywał z nami, ale nie był jednym z nas.

- Jak się to objawiało? Czy może ojciec podać jakiś przykład?

Znowu odpowiedź księdza była natychmiastowa, lecz bynajmniej nie pochopna. Została wypowiedziana wyraźnie i wydawała się być głęboko przemyślana. Absolutnie zaskoczyła Bartona.

- Tak samo jak Jezus Chrystus nie był normalnym człowiekiem.

- Porównuje ojciec Pierre'a Labesse'a z Chrystusem! - krzyknął Barton.

- Labesse w swojej samotności upodobił się do Chrystusa. Byłem jego współpracownikiem, ale nie udało mi się go poznać ani zbliżyć do niego. Zawsze był daleko od tak bardzo przywiązanych doń zakonnic i biednych, którym służył oraz chorych, którymi się opiekował.

W studiu zapadła cisza. W pomieszczeniu realizatorów pani reżyser oparła się mocno dłońmi o konsolę, modląc się, by Barton przerwał to milczenie.

- Na Boga, powiedz coś! - rzuciła do mikrofonu.

Barton odruchowo dotknął schowanej w uchu słuchawki, w której rozległ się ponagląjący go głos. Odezwał się wreszcie:

- Ojcie Timothy, czy jest to możliwe, że Pierre Labesse mówi prawdę? Że nie cierpi wcale na zaburzenia mózgu i nie ma urojeń, jak to zasugerował doktor Lovelace?

O'Hara usiadł wygodniej w fotelu, było widać, że czuje się studiu swobodnie.

- Rzeczywiście, Labesse doznał ciężkich obrażeń. Nie byłem przy tym, lecz słyszałem, a później również widziałem, w jakim stanie się znajdował, gdy został uratowany.

- Kto go uratował? - zapytał szybko Barton.

- Oczywiście, że Amerykanie. Któż inny mógł to zrobić? 112

- A więc miało to miejsce w Wietnamie? O'Hara potwierdził.
- Misja leżała na północy kraju. Komuniści wyrznęli wszystkich. Labesse został ukrzyżowany. Dowiedziałem się o tym znacznie później. Sądzę jednak, że to prawda. Wówczas takie rzeczy się tam zdarzały.
- Jak doszło do tego, że zjawili się tam Amerykanie?
- Nie jestem pewien, ale opowiadano, że w pobliżu rozbił się amerykański samolot i należało ratować załogę. Prawdopodobnie wypadek miał miejsce bardzo blisko misji i piloci wezwali pomoc przez radio. Labesse również został wtedy uratowany. Gdy przejeżdżałem przez Sajgon kilka miesięcy później, chciałem poznać więcej szczegółów, lecz uwagę wszystkich pochłonęła klęska i nikt nie zwracał sobie głowy ciekawskim księdzem.
- Udało się jednak ojcu ustalić, że Labesse żyje?
- Nie, powiedziano mi wtedy, że zmarł. Znacznie później, gdy odwiedziłem w Jerozolimie klasztor należący do jego zakonu, poznałem prawdę. Żył, lecz pozostawał w stanie śpiączki. To wszystko miało oczywiście miejsce wiele lat temu.
- Czy widział go ojciec jeszcze kiedyś w tym klasztorze?
- Jeszcze tylko jeden raz. Nie starałem się tego powtórzyć. To było zbyt wstrząsające widzieć Labesse'a w takim stanie. Cieszę się, że Ojciec Święty postanowił, że jego życie zakończy się.
- Barton pochylił się ku Irlandczykowi.
- Jednakże Pierre Labesse nie zakończył życia, prawda? Był martwy przez dziewięć godzin i potem zmartwychwstał?
- O'Hara uśmiechnął się ironicznie.
- Dziewięć godzin. Tyle samo Chrystus cierpiał na krzyżu. Barton pochylił się jeszcze bardziej w stronę księdza.
- Ojcie Timothy, chciałbym się upewnić... Czy sugeruje ojciec, że istnieje jakikolwiek związek, jakieś podobieństwo, między Jezusem Chrystusem, Synem Bożym, a francuskim misjonarzem o nazwisku Pierre Labesse?
- W pewien sposób wszyscy jesteśmy związani z Jezusem - powiedział O'Hara z uśmiechem.
- Nie o to mi chodzi.
- Wiem doskonale, o co panu chodzi, panie Barton. Ja wierzę po prostu, że jesteśmy świadkami najważniejszego dla naszego poj-

mowania Boga zdarzenia od czasu narodzin i śmierci na krzyżu Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

- A słowa Labesse'a: "Niebiosa są tutaj"? Jak ojciec rozumie ich znaczenie?

- Panie Barton, czy rozumiemy wszystko, co powiedział do nas Chrystus?

- Ojcie Timothy?! - zawołał Barton. - Chyba nie twierdzi ojciec, że Pierre Labesse może być powracającym na ziemię Chrystusem?

- Może tak być. Czas nadszedł.

- Jeśli więc zgodzimy się z tym, co ojciec nam przed chwilą powiedział, powinniśmy uwierzyć słowom tego... nieznanego francuskiego misjonarza!

- Panie Barton - powiedział powoli O'Hara. - Przez wieki wierzyliśmy słowom "nieznanego" żydowskiego cieśli!

- Nasza centrala telefoniczna zostanie zablokowana w ciągu paru sekund - szepnęła pani reżyser, gdy Barton podziękował swym rozmówcom i przeszedł do następnych wiadomości serwisu. Odwróciła się do Mary Edgington stojącej po jej prawej stronie.

- Wydaje mi się, że ojciec O'Hara wkrótce zostanie ekskomunikowany - powiedziała.

- Watykan nie będzie mógł dłużej trzymać się od tego z daleka. W końcu będą musieli coś powiedzieć - odezwał się cicho któryś z techników.

Mary Edgington milczała. W napięciu obserwowała migocące ekrany. Barton odczytywał kolejne informacje:

- "Ministerstwo Obrony oświadczyło dzisiaj, że myśliwce typu Phantom, należące do RAF-u, przeprowadziły pościg za trzema argentyńskimi samolotami Mirage, które naruszyły wczoraj obszar powietrzny Falklandów. Jeden z argentyńskich odrzutowców eksplodował w powietrzu, w sporej odległości od Phantomów RAF-u i już poza granicą obszaru brytyjskiego. Nowa argentyńska junta oskarżyła Wielką Brytanię o zestrzelenie ich samolotu i uśmiercenie pilota. Pomówienie to zostało stanowczo oddalone przez Londyn.

Ministerstwo Obrony jest zdania, że argentyński Mirage zderzył się z jakimś niezidentyfikowanym samolotem, który niespodziewanie pojawił się na ekranach radarów, a następnie zniknął po wybuchu myśliwca. Do chwili obecnej nie zgłoszono zaginięcia 114

żadnego innego samolotu. Podjęto jednakże akcję ratowniczą, przyczyną wypadku najprawdopodobniej jest obecność w rejonie zderzenia innego argentyńskiego samolotu, który nie został w porę dostrzeżony i zidentyfikowany przez pilota myśliwca, uciekającego z bardzo dużą prędkością przed pościgiem. Wobec siły wybuchu i obecnych warunków pogodowych, eksperci z RAF-u nie mają większych nadziei na odnalezienie rozbitków lub szczątków maszyn. Ten incydent może pogłębić stan napięcia pomiędzy Wielką Brytanią a Argentyną, trwający od czasu, gdy odżył spór o Falklandy. Wydaje się, że pokojowe rozwiązanie tego konfliktu staje się coraz trudniejsze. A teraz pozostałe wiadomości ze świata..."

Telefon stojący obok pani reżyser zabrzęczał cicho.

- Tak? - zapytała, podnosząc słuchawkę. - Dziękuję, spodziewałam się tego. Centrala została zablokowana przez telefony od widzów - rzuciła w stronę Mary Edgington i przekazała Bartonowi informację z nakazem jej natychmiastowego nadania.

Barton odebrał polecenie i w przerwie między doniesieniami poprosił widzów, by nie telefonowali do ITN. Czytał dalej;

"... W Moskwie, przewodniczący Vaigauskas ponownie ostro zaatakował rząd izraelski w związku z ostatnimi ruchami wojsk Izraela, które przekraczały granicę syryjską. Powiedział między innymi, że jeśli okaże się to nieuniknione, Związek Radziecki zdecydowany jest wysłać do Syrii swe wojska, by powstrzymać syjonistyczną agresję sąsiednich państw arabskich. Libijski przywódca, generał Kadafi powitał z radością słowa przewodniczącego Vaigauskasa, nazywając je "zapowiedzią końca nielegalnego państwa Izrael".

"... Najświeższe dane, ogłoszone dzisiaj przez Światową Radę ds. Ubogich wskazują, że prawie dwie trzecie ludności Ziemi znajdują się obecnie na skraju nędzy. Rada stwierdziła, że jeśli nie zostaną podjęte natychmiastowe środki zaradcze, w najbliższym czasie świata grozi katastrofa ekonomiczna".

"... Wyniki badań przeprowadzonych przez Światową Radę Kościółów na temat stałego wzrostu przestępczości i upadku wartości moralnych, mogą być powodem niepokoju. Jak stwierdza się w przygotowanym specjalnie raporcie, nasza cywilizacja może ulec rozpadowi, jeśli ta przerażająca eksplozja zbrodni nie zostanie powstrzymana".

"... W Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim zapowiedziano znaczne powiększenie arsenałów nuklearnych. Już obecny stan zbrojeń atomowych wielokrotnie przekracza poziom wystarczający dla całkowitego zniszczenia życia na Ziemi".

"... I teraz jeszcze wiadomość, którą otrzymaliśmy przed chwilą z Rzymu: W związku z przemęczeniem i komplikacjami wywołanymi wyjątkowo złośliwą gripą, Ojciec Święty zmuszony będzie przez jakiś czas pozostać w swych prywatnych apartamentach, ograniczając liczbę widywanych osób do grona najbliższych współpracowników oraz lekarzy. Okres odosobnienia nie został dokładnie określony, lecz przedstawiciel Watykanu podkreślił, iż nie ma najmniejszych powodów do obaw o stan zdrowia papieża i że podjęte decyzje mają jedynie charakter zapobiegawczy. Przez cały okres niedyspozycji głowy Kościoła Rzymskokatolickiego, wszelkie sprawy oficjalne prowadzić będzie jego eminencja kardynał sekretarz stanu, Giorgio Cinalli. Jak dotąd nie wydano żadnego oświadczenia w sprawie ojca Labesse, nazywanego przez prasę »zmartwychwstałym świętym«".

"... Kończąc, pragnę poinformować, że dziennik "Prawda", oficjalny organ Komunistycznej Partii Związki Radzieckiego, uznał słowa Pierre'a Labesse'a za "zgodne z podstawowymi zasadami marksizmu". Zdaniem komentatora "Prawdy" niebo nie jest niczym innym, jak tylko pokojową koegzystencją proletariuszy wszystkich krajów po ostatecznym zwycięstwie ludzi pracy, w historycznej walce klas z kapitalistycznymi wyzyskiwaczami. Walka ta, jak zaznacza "Prawda", jest już bliska zakończenia, ponieważ system kapitalistyczny umiera i na ziemi nastaje czas robotniczego raj". Barton uśmiechnął się do kamery.

- Wydaje mi się, że jeśli kiedykolwiek ma nastąpić powrót Chrystusa, to rzeczywiście nigdy nie był on bardziej oczekiwany niż obecnie. Dobranoc państwu!

Oświetlenie w studiu przygasło, po czym nadano sygnał kończący wiadomości wieczorne.

Barton szybko pożegnał się z Haroldem Lovelace 'm i Timot-hym O'Hara, którzy pozostali, by obejrzeć dalszą część programu. W reżyserce czekała na niego Mary Edgington.

- No i jak? - zapytała.

- Co jak? - odpowiedział jej pytaniem na pytanie.
- Nie uważasz, że O'Hara posunął się trochę za daleko?
- Właśnie z tego jest znany.
- Jonty - zwróciła się do niego, używając zdrobnienia, na które pozwalała sobie tylko wtedy, gdy mówiła śmiertelnie poważnie.
- Możesz mi powiedzieć, że jestem zbyt podejrzliwa i wszędzie doszukuję się niestworzonych rzeczy, ale mam przeczucie, że ktoś umiejętnie nami pokierował.
- Pokierował? Kto?
- Rzym!

Barton uśmiechnął się.

- Rzeczywiście, jesteś niesamowicie podejrzliwa i doszukujesz się wszędzie na wiadomo czego!
- Posłuchaj mnie! Dopóki Labesse jest zmartwychwstałym świętym, ludzie mogą mu wierzyć. Jego historia wydaje się trochę niesamowita, ale można w to uwierzyć. Jest trochę faktów, którym trudno byłoby zaprzeczyć. Chodzi mi o badania tego lekarza i tak dalej.
- W porządku, więc dlaczego twierdzisz, że ktoś próbował nami manipulować?
- Ludzie wierzący mogą widzieć w Labessie zmartwychwstałego świętego. Wciąż jest on człowiekiem, a wszystko co uczynił to to, że zmarł na chwilę i potem się przebudził. To rzeczywiście niespotykany przypadek. Zgadzam się, lecz Labesse jest przecież nadal jednym z nas! Pomyśl jednak, Jonty, jeżeli powie się ludziom, że w jego osobie Chrystus powraca na ziemię, potraktują tego misjonarza jak wariata. Żaden człowiek nie uwierzy nawet w jedno jego słowo.
- Chyba, że sam będzie wariatem.
- Ja też tak myślę. Prałaci z kurii rzymskiej myślą chyba podobnie. Watykanowi powinno zależeć na unieszkodliwieniu Labesse'a. Na razie cała to sprawa jest zbyt głośna, aby mogli otwarcie represjonować tego zmartwychwstałego świętego. Jeżeli po cichu uda się im odstawić Labesse'a z jego poglądami na boczny tor, wtedy tylko chorzy umyslowo będą chcieli go słuchać.
- Sugerujesz więc, że O'Hara został podstawiony, że przygotował wcześniej swoją teorię?
- Może ktoś inny wymyślił ją dla niego.

- Aco z Lovelace'em? Czy on też miałby z tym coś wspólnego?
- Wątpię. Sprawia wrażenie zwykłego akademickiego belfra. Nasi widzowie pomyślą pewnie, że zajmuje się doktryną chrześcijańską tylko po to, by zapewnić sobie regularny napływ nowych członków do uczelnianego chóru, który prowadzi. Lovelace nie jest przekonywujący, natomiast O'Hara - tak. Aż za bardzo.
- Dobrze. Muszę ci się przyznać, że uwierzyłem mu. Nie w to co mówił, ale w to, co jak sądzę, miał na myśli.

Mary przytaknęła.

- Właśnie tak go wszyscy odebrali. Oglądało go bardzo wielu ludzi, którzy teraz dokonują własnych ocen. Może niewłaściwych?

Barton otoczył ją ramieniem.

- Wiesz co? Za bardzo się tym przyjmujesz!

Po wyjściu z budynku, w którym mieściło się studio, Timothy O'Hara wsiadł do oczekującego go samochodu. Siedzący obok niego pasażer zastukał w szklaną przegrodę za plecami kierowcy i samochód ruszył.

- Widziałem to w moim klubie - odezwał się obcy. - Sądzę, wypadło bardzo dobrze. Odpowiednia doza szczerości, ale też trochę romantyzmu. W sam raz, by wzbudzić wątpliwości. Wspaniale zrobione. O niebios! Ten Lovelace z każdym rokiem staje się coraz bardziej nie do wytrzymania. Jeżeli trzeba będzie udzielić wywiadu prasie lub telewizji, nikt ciebie w tym nie może zastąpić.

Angielski kardynał usiadł wygodniej.

- Po tej nędzy, z którą stykasz się w swej pracy, przyjemnie musi być pomieszkać trochę w porządnym hotelu.

Ojciec O'Hara skinął głową. Samochód pędził przez opustoszałe ulice Londynu.

4.

Ojciec Philippe Recamier siedział przy prostym, drewnianym stole, naprzeciwko wiekowej siostry zakonnej. Uważnie wsłuchiwał się w jej każde słowo, starając się wszystko dokładnie zapamiętać.

Zakonnica była starsza niż spodziewał się tego Recamier, ale jej umysł pozostał nadal bystry, a pamięć dokładna.

Ręce zakonnicy były zniszczone od ciężkiej pracy. Bolesna choroba, która u schyłku życia dała się jej we znaki, zdeformowała stawy.

Teraz nawet klękanie wymagało od siostry ogromnego samozaparcia.

Zakonnica pochodziła z Irlandii. W jej poszarzałych i zmęczonych oczach można było dostrzec cierpienie. Okulary staruszki leżały na stole. Nie potrzebowała ich. Patrzyła w głąb siebie idealnie ostrym wzrokiem.

- Kochałam go - powiedziała bezbłędną francuszczyzną. -Wszyscy go kochaliśmy. Niemożliwe było go nie kochać. To przez tę jego delikatność, oczywiście. Jeżeli dotknął kogokolwiek, a rzadko to robił, następowało coś takiego... Jakby dotknięcie słonecznych promieni. Więcej niż dotknięcie, coś głębszego. Siła. -Uśmiechnęła się jasno, tak jak czyniła to przez cały czas od rozpoczęcia rozmowy. Nie uśmiechała się jednak do Recamiera. Śmiała się do swoich wspomnień o małym chłopcu, którego wszyscy kochali. Realność owych wspomnień zadziwiała zakonnice. Był przecież tylko jednym z wielu dzieci, jedną z owych małych, ludzkich istot, których przeszłość była pogmatwana, a przyszłość niepewna. Ona i inne siostry zastępowały sierotkom matki. Staraly się okazać dzieciom jak najwięcej miłości, zwykle jednak przegrywały wobec ogromu spustoszenia, dokonanego już wcześniej w sercach tych małych nieszczęśników przez los.

- Pierre był inny - powiedziała, wracając do tematu rozmowy.

- Dlaczego? - dopytywał się cierpliwie Recamier. - Dlaczego był inny?

- Trafił do nas jako niemowlę. Dziecko pozostawiono na naszym progu. Była to jedna z tych historii, o których można czasem przeczytać w gazetach.

115

- Tylko że tym razem nikt nie zgłosił się po dziecko. Nikt o nie nie pytał? Nie było matki, która miała zbyt wiele pociech do wykarmienia? Nie było młodej dziewczyny, która popełniła życiowy błąd?

- Niemcy - powiedziała. - Byli wtedy tutaj. To był czas wojny i ktoś zapamiętałby coś więcej?

Jezuita uśmiechnął się życzliwie.

- Rzeczywiście - powiedział półgłosem.

- To mogło być dziecko z nieprawego łoża któregoś z nich

- zasugerowała kobieta. - Urodzone przez miejscową dziewczynę. Może stąd ta jasna cera, blond włosy i niebieskie oczy? - Poruszyła ramieniem. Ból wykrzywił jej twarz.

Recamier uchwycił błysk w oczach zakonnicy oznaczający najwyraźniej, że minęła się z prawdą. Utkwił w zakonnicy badawcze spojrzenie.

- Może jest jeszcze jakaś inna teoria? Może istniały jakieś przypuszczenia co do jego rodziców? Coś, co wyjaśniło się później?

Zasuszone ciało staruszki drgnęło, a na jej twarzy znów pojawił się ból, który po chwili ustąpił miejsca podejrzliwości.

- Jak oni właściwie widzą w Rzymie to dziecko? To szczególne dziecko, teraz już mężczyznę? Wyjątkowego człowieka? Cel twej wizyty, ojcze, wciąż jest dla mnie niejasny...

- Już to wyjaśniałem...

- Proszę, wytłumacz mi jeszcze raz. Mój umysł jest stary i ciężko mu nadać za niektórymi sprawami.

"Rozumiesz wszystko bardzo dobrze - pomyślał Recamier. -Może nawet zbyt dobrze?"

- Rzym pragnie wiedzieć wszystko, co dotyczy Pierre'a Labes-se'a. Jeśli ma on zostać świętym, żadna sekunda jego życia nie może pozostać tajemnicą.

- Jeśli? - zareagowała ostro. - Czyż już tak nie jest? Czy gazety kłamią? A nasi bracia w Jerozolimie? Czy oni również kłamią? Nie! On już jest świętym!

- My wciąż musimy mieć pewność.

- "My"? Kto? Ojciec Święty? Powiedz, proszę, kogo masz na myśli mówiąc "my"?

- Kościół Święty musi to wiedzieć.

- Ach! Dostojne zgromadzenie. Ojcie, czasami nawet ludzie działający w imieniu Boga mogą daleko od Niego odejść. Może słowa, które wypowiedział Pierre nie spodobały się takim właśnie ludziom? Może nie spodobało im się, że wypowiedział je...

- Zmartwychwstały święty? - podpowiedział Recamier. - Jego słowa wymagają wyjaśnienia. Możliwe, iż mają one jakieś głębsze znaczenie. Powinno się mu pozwolić na dokładne wyjaśnienie sensu tych słów.

- Inkwizycja? - zapytała zakonnica. Jej oczy załśniły, a Recamier oprócz bólu i gniewu ujrzał w nich także strach.

- Już raz go ukrzyżowano - odezwała się z obawą w głosie. - Czy chcecie zrobić to ponownie?

- Nie zapominaj się! - ostro rzucił Recamier. - Jestem wysłannikiem Rzymu. Nie do ciebie należy zadawanie pytań. To ja przybyłem tutaj po twe odpowiedzi.

Staruszka umilkła, przyjmując naganę z pokorą. Recamier wyczuł, że zakonnica zastanawia się, ile jeszcze może powiedzieć o swoim wychowanku.

- Wyjaw mi swoje przypuszczenia, siostrzo Tereso. Jakie jest twoje przecucie co do rodziców dziecka?

Spojrzała mu prosto w oczy i zrozumiała, że musi z nim przegrać. Ten posępny ksiądz dobrze wiedział jak wydobywać na światło dzienne skryte głęboko tajemnice. Ona była już zbyt stara, by oprzeć się sile tego człowieka. Wskazała palcem w stronę okna.

- Więźniowie - powiedziała. - Przywieźli ich tutaj z Niemiec. Ze wszystkich krajów, które podbili. Używali ich tutaj do pracy. Na wyspach.

- Na Wyspach Normandzkich? Przytaknęła.

-1 Labesse mógł być takim dzieckiem? Synem kobiety przywiezionej tu przez Niemców na przymusowe roboty? Dzieckiem więźniarki? Żydem? Labesse mógł urodzić się jako Żyd?!

- Syn Żydów rodzi się Żydem - odparła spokojnie.

- Dlaczego tak sądzisz? Musi być jakiś powód? Nie odpowiedziała. Recamier położył obie ręce na stole, zmniejszając odległość dzielącą go od kobiety po przeciwnej stronie.

- Siostrzo Tereso, zadałem pytanie i żądam na nie odpowiedzi!
Oczekuję prawdy! Dlaczego sądzisz, że on był Żydem?
Milczała nadal, lecz jej łzy były dowodem, że coś w niej jednak pękło.
Głos Recamera stał się bardziej łagodny.

- Czy przy dziecku coś jeszcze znaleziono? List? Coś, co ukrywałaś przez te wszystkie lata? Nie obawiaj się, potrafię to zrozumieć.
Chciałaś zatrzymać to dziecko - pokochałaś je od razu. Nie chciałaś, by były jakiegokolwiek problemy z przyjęciem go do waszego sierocińca.
Musisz powiedzieć mi prawdę. Jeśli skłamiesz i tak będę to wiedział.
Przyglądał się jej, czekając, aż staruszka zdecyduje się wyjawić całą prawdę. Wiedział, że nie jest łatwo wyrzucić z siebie tak długo skrywany sekret.

Dopiero po chwili, opuściwszy nisko głowę by uniknąć wzroku księdza, zakonnica wydobyła skądś mały lśniący przedmiot, owinięty w kawałek tkaniny. Położyła go po środku dzielącego ich stołu. Jezuita ujrzał niewielką, złotą gwiazdę Dawida.

- Ochrzciliśmy go w wierze chrześcijańskiej - wyszłochała. - Tylko ja znalazłam prawdę.

- Czy on wiedział? Czy powiedziałaś mu o tym? Posłuchaj mnie, siostrzo, czy kiedykolwiek wyjawiałaś przed Labesse'em jego prawdziwe pochodzenie?

Potrząsnęła przecząco głową i zaczęła lamentować.

- Jest chrześcijaninem! Kapłanem Kościoła! Sam dokonał tego wyboru!

- Wyboru? - krzyknął Recamer. - Nie miał żadnego wyboru! Urodził się jako Żyd zanim został wam podrzucony. Jego matka nie miała innej możliwości. Czy był gdzieś tutaj żydowski sierociniec? Synagoga? To nie do pomyslenia pod rządami nazistów! Zostawiła go u was, bo nie było lepszego miejsca. Ta gwiazda Dawida miała być świadectwem, iż dziecko jest Żydem. Jego matka sądziła, że to zrozumiecie. Wy zawiedliście jej zaufanie, oszukaliście ją i jej dziecko. Wychowaliście go na chrześcijanina, wiedząc że jest Żydem. Ukrywając ten fakt, skłamaliście przed Bogiem. Ty skłamałaś! Czy Pierre Labesse mógł dokonać świadomego wyboru wiary? Nie! Miał tylko to, co mu narzucono!

- Są przecież żydowscy katolicy, ojczy - płakała. 122

Recamier uderzył dłonią w stół.

- Nawróceni! Labesse nie mógł się nawrócić. Nie dane mu było wcześniej żyć w wierze jego rodziców. Oszukałaś go!

- Ale przecież przyjął Chrystusa. Jego praca...

- Przyjął! - wykrzyknął Recamier. W jego głosie, oprócz irytacji wobec uporu starej kobiety, wyraźnie było można wyczuć nutę triumfu. - Cóż innego mógł on przyjąć? Chrystus został mu narzucony. Labesse nie miał innej drogi, prócz tej do Chrystusa. Gdybyś powiedziała mu prawdę, czy zostałby wtedy księdzem? A może raczej zostałby rabinem? Czy potrafisz odpowiedzieć na te pytania z absolutną pewnością?

- On był dzieckiem Boga. Jest dzieckiem Boga!

- Siostro - wstając powiedział Recamier. - Módl się, by tak naprawdę było. - Podszedł do drzwi. - Niedługo wrócę, czekaj na mnie. Są jeszcze inne pytania, które muszę ci zadać. Potem pojedziesz ze mną do Rzymu.

Zamknął drzwi, pozostawiając ją zapłakaną. Jego umysł pracował coraz szybciej. Powoli przyspieszał kroku. Zatrzymał się jeszcze na chwilę w ciemnym biurze przeorowskiego, wydał kilka poleceń i wyszedł.

- Oczywiście, że mamy go w kartotece - powiedział inspektor żandarmerii na posterunku w St. Malo. - Musiał zgłosić się u nas po demobilizacji. Najpierw po potwierdzenie prawa pobytu, potem po kartę zatrudnienia.

- Czy wiecie, gdzie w tym czasie mieszkał i pracował? - zapytał Recamier.

Inspektor strzelił palcami w stronę policjanta, który cierpliwie czekał przy drzwiach, ściskając teczkę z dokumentami, podobną do tej, którą Recamier otrzymał w Rzymie.

- Chodź no! Dawaj to tutaj! - zakomenderował, chcąc pokazać swą władzę i autorytet przed przybyciem z Watykanu. Nawet jeśli był to tylko dziennikarz radiowy z psią obrozą zamiast krawata.

Najważniejsze są dobre stosunki z ludźmi, no i przecież jego nazwisko zostanie wspomniane w radiu. Przerzucił szybko strony akt. Po chwili zatrzymał się.

- Mieszkał na małej farmie pod miastem. Odpracowywał swoje utrzymanie i miejsce do spania. Wiezorami pracował w barze.

- Inspektor uniósł pochyloną nad papierami głowę i spojrzał na du

chownego sponad swych okularów w rogowej oprawie. - To nie jest lokal, o którym można by było powiedzieć, że cieszy się dobrą opinią. Dla człowieka mającego później zostać księdzem... a teraz...

- Ma pan na myśli bar o złej reputacji, inspektorze? - spytał Recamier. - Bijatyki? Pijackie burdy? Chuligaństwo?

Inspektor zakaszłał.

- Obawiam się, że gorzej. Nie sądzę, by ksiądz zechciał tam pójść. To był dom... publiczny.

- Burdel?

- Tak, właśnie!

- Czy on w tym... uczestniczył?

- Uczestniczył? Hm... Raczej nie bezpośrednio. Ale z pewnością przebywał w złym towarzystwie. Dziewczeta lubiły go. Nawet bardzo go lubiły. On umiał z nimi postępować.

- Dlaczego pan tak powiedział?

- One go słuchały. Wiele gadał. Spędzały całe godziny, słuchając go.

- To wszystko, co z nimi robił? Rozmawiał? - zainteresował się Recamier.

- Możliwe, że im pomagał. Mam na myśli pomoc medyczną. Przeszedł przeszkolenie w wojsku - zasugerował inspektor.

- W jaki sposób? Jak mógł służyć im pomocą medyczną? Na pewno było je stać na lekarza. Kto potrzebował byłego sanitariusza?

Inspektor zaczerwienił się, zdając sobie zbyt późno sprawę z tego, że pozwolił zapędzić się w ślepią uliczkę. Niezręcznie było mu znaleźć się podczas przesłuchania po niewłaściwej stronie.

- Proszę księdza, przecież to jest miasto portowe. Wielu mężczyzn się tutaj przewija. Dziewczeta łatwo mogą się... zarazić. Myślę, że wie ksiądz, o co mi chodzi? Oczywiście przeprowadzamy specjalne badania, ale to się zdarza. Czasem również... coś innego jeszcze może się przydarzyć dziewczynom w takim zawodzie.

- Inspektorze! Czyżby sugerował pan, że Labesse przeprowadzał u tych kobiet aborcje?

- Nie jestem w stanie udowodnić czegoś takiego - odpowiedział pospiesznie inspektor. - Któż może dowieść czegokolwiek wśród dziwek? One trzymają się razem. Dla tych, których kochają, goto

we są zrobić wszystko. Chroniłyby go, nawet gdyby dla nich miało się to skończyć więzieniem.

- A więc to tylko spekulacje?

- Naturalnie. W każdym razie on tam pracował. To fakt. Stał za barem, sprzątał salę i rozmawiał z dziewczętami. Stale gadał.

- O czym?

- Trzeba zapytać o to dziwek, proszę księdza. Nigdy go nie słuchałem. Miałem ciekawsze sposoby na spędzanie wolnego czasu.

- Gdzie jest ten lokal, inspektorze? Policjant uśmiechnął się, ukazując zęby.

- Chce je ksiądz odwiedzić? Będą miały ubaw!

- Przebiorę się. Nie poznają, że jestem księdzem. Twarz inspektora nadal zdradzała powątpiewanie.

- Inspektorze - Recamier odezwał się niecierpliwie. - Mieszkam w Rzymie. Mamy tam więcej dziwek niż bezdomny pies pcheł na grzbiecie. Wysłuchiwałem spowiedzi prostytutek!

- To musiało być zajmujące!

Recamier uśmiechnął się w odpowiedzi na drwinę policjanta.

- Proszę mi powiedzieć, jaka jest nazwa tego baru?

- Bar "Corsaire", ale nikt go tak nie nazywa. Wszyscy nazywają go "U Simone". Jeśli ksiądz tak spyta, każdy wskaże drogę.

Recamier wstał, podając na pożegnanie dłoń.

- Dziękuję, jestem naprawdę bardzo wdzięczny. Poinformuję pana z odpowiednim wyprzedzeniem o planowanym terminie emisji mojego programu.

- Proszę księdza! - zawołał inspektor, gdy Recamier był już za drzwiami. - Niech ksiądz nie zapomni się przebrać!

Już po wyjściu na ulicę w uszach jezuity dźwięczał wciąż sprośny śmiech policjanta.

Wczesnym wieczorem, Recamier szedł powoli po chodniku osłoniętym od strony morza wysokim murem. Nieliczni, ostatni już w tym roku turyści jedli kolację w hotelach. Żeglarze gotowali coś w ciasnych wnętrzach swych jachtów, a okoliczni mieszkańcy odpoczywali w domach, szczęśliwi, że sezon turystyczny ma się wreszcie ku końcowi. O tej porze spotkać można było w mieście jedynie pijaków i ludzi samotnych.

Jaskrawe, krzykliwe neony oświetlały idącego. Jazzowa muzyka z szaf grających ogłuszała Recamera. Nie rozumiał tej muzyki.

"Przyszło nam żyć w szalonych czasach - myślał. - Ta muzyka jest tego najlepszym dowodem. To jakby zapowiedź zbrodni".

Bar "Corsaire" znajdował się w głębi wąskiej, brukowanej, pełnej kałuż ulicy. Wewnątrz tego lokalu również rozbrzmiewała muzyka. Była ona jednak przyciszona i bardzo francuska. Recamier miał wrażenie, że nieoczekiwanie cofnął się w czasie. Wysoko nad barem siedziały trzy duże tropikalne ptaki, żywe, lecz ponieważ prawie wcale się nie poruszały, można było równie dobrze pomyśleć, że są wypchane. Recamier usiadł na wysokim stolku i spróbował skłonić ptaka do wydania głosu.

- One nie mówią, monsieur - powiedziała szczupła kobieta o kruczoczarnych włosach. Siedziała za barem, trochę dalej, tam gdzie światło było słabsze. - To przez ten hałas. Kiedy jest tu pełno, trzeba krzyżeć. Tak jak na wojnie. Ludzie morza robią dużo hałasu, gdy schodzą na ląd. Głupieją od tej ciszy, która otacza ich na wodzie. Z bliska widać było, że kobieta jest stara, krzykliwy makijaż miał ją odmładzać o co najmniej dwadzieścia lat. Jej skóra była jak płótno, używane zbyt wiele razy i przez zbyt wielu malarzy.

Recamier rozpoznał bez trudu w niej prostytutkę: wyschnięte ciało i wyschnięta dusza.

- Madame Simone? - zapytał.

- Mademoiselle. Tak, to ja. Czym mogę służyć?

- Proszę o koniak... i może o chwilę rozmowy?

- Za koniak pan płaci, rozmowa będzie na koszt firmy. Gdy panuje tutaj taka cisza, to należy mówić - nalala mu drinka, drugi kieliszek napelniając dla siebie. Czyniąc to, uważnie obserwowała przybysza. - Ma pan włoskie ubranie, ale mówi pan jak rodowity Francuz. Czy przyjechał pan do St. Mało obserwować ptaki?

Recamier uśmiechnął się, wznosił kieliszek w stronę papug i pociągnął mały łyk koniaku.

- Jestem niezależnym dziennikarzem. Mieszkam teraz w P mie.

- Niezależnym? To trudne. Czy sporo pan na tym zarabia?

- Dla mnie wystarczy.

- W takim razie, mój przyjacielu, musisz mieć ograniczone trzeby lub bardzo duże dochody.

- Badam pewną sprawę - powiedział Recamier. - Życie pewnego człowieka.

- Po co sobie zawracać głowę? Życie wszystkich ludzi jest przecież takie same. Napisz o sobie i nikt na pewno nie zauważy różnicy.

- Ten człowiek jest inny niż wszyscy - Recamier wskazał wzrokiem w stronę małego telewizora stojącego w głębi baru. - Ostatnio było o nim głośno w telewizji. Może pani go znała? Człowiek, który zmarł, a teraz żyje znowu.

- On? - ściągnęła grubo pomalowane szminką usta. Jej oczy straciły przyjemny wyraz. - Kto pana tutaj przysłał? Gliny? Ten tłusty clown, inspektor, który lubi moje dziewczynki, lecz nie uznaje moich cen?

- Nie - skłamał Recamier. - Mam w Paryżu informatora, który poznał Labesse 'a w Dien Bien Phu w pięćdziesiątym czwartym. To o tę historię mi chodzi. Czy w Indochinach przydarzyło się Labes-se'owi coś, co spowodowało, że wybrał stan duchowny?

Simone uśmiechnęła się z politowaniem.

- Słuchaj, mój przyjacielu z Rzymu. Pierre wcale nie odkrył niespodziewanie tego, że Bóg go wzywa. Zawsze to wiedział. To było tylko kwestią czasu, kiedy ostatecznie zdecyduje się na ten krok.

Recamier zamarł jakby zaskoczony.

- Mój informator sugerował jednak, że Labesse nie miał też nic przeciwko bardziej przyjemnym zajęciom. Pani nazywa się Simone, a to jest dobrze znany bar "U Simone", w którym Labesse spędził wiele czasu. Przecież, z pełnym szacunkiem, nie jest to świątynia Pana. Przez sekundę oczy Simone zalśniły gniewem, kobieta pohamowała się jednak.

- Jest pan pierwszy - powiedziała zimno - lecz na pewno nie ostami z tych, którzy teraz wypełzną z rynsztoka i zaczną węszyć za jakąkolwiek sensacją w życiu tego człowieka. Ja sprzedaję seks, monsieur i przyznaję się do tego. Sprzedaję go otwarcie jak ryby na targowisku. Pan i panu podobni sprzedajecie to samo spod lady, ładnie opakowane. Po panu przyjdą następni i wszyscy będą chcieli wysłuchać pikantnej historyjki o tym, jak to święty chodził do burdelu, by spędzać czas z dziwkami. Czegoś takiego jeszcze nigdy n'e było. Wie pan o tym. Jest pan przecież dziennikarzem.

Simone znowu zaczęła uważnie obserwować Recamera, kołysząc się lekko w rytm miękkiej, płynącej z taśmy akordeonowej muzyki. Jedna z papug zaskrzeczała i to przywróciło Simone z powrotem do rzeczywistości.

- Dobrze! Powinien pan poznać prawdę. Może pan w to uwierzy, może nie. Taka jest prawda i tak powinna zostać wydrukowana.

Recamier podsunął kieliszek po następnego drinka.

- Przyjmę ją taką, jaka będzie.

Napełniła oba kieliszki, a potem opowiedziała historię swego życia.

Późnym wieczorem, prawie o północy, Philippe Recamier zatelefonował do prywatnego mieszkania Benito Marco w Rzymie.

Francuz nie zdradził żadnych szczegółów, lecz pod koniec rozmowy Marco nie miał najmniejszych wątpliwości, że jezuicie poszczęściło się w poszukiwaniach. Wyraźnym tego dowodem była prośba dziennikarza o pozwolenie na powrót do Rzymu.

- Kiedy wyjedziesz? - pytał Marco.

- Wczesnie rano. Zabieram kogoś ze sobą. Starą kobietę, jedną z nas - Recamier zawahał się, wyczuwając zaniepokojenie Marco. - Jej obecność jest konieczna. Odgadła cel naszych działań. Dużo wie o Labessie!

Sostituto zamilkł, pozostawiając Recamera na kilka długich sekund z trzeszczącą słuchawką przy uchu. W końcu odezwał się.

- Zgoda. Ale czy ta kobieta czuje się na tyle dobrze, by podróżować? A jej podeszły wiek?

- Nie ma wyboru, my też. To co ma nam do powiedzenia powinniśmy usłyszeć od niej samej.

- Postąpisz, jak będziesz uważał za stosowne - odparł Marco i rozłączył się.

Recamier wpatrywał się w milczącą słuchawkę, potem odłożył ją na widelki. Znowu poczuł chłód, jak wcześniej na dworcu. Tym razem uczucie to było jeszcze silniejsze. Przenikliwie zimno nieomal go sparaliżowało. Przerażony zaczął szarpać za klamkę w drzwiach budki. W końcu otworzył drzwi siłą i stanął na zewnątrz, ciężko dysząc. Domyślał się skąd pochodzi ten niezwykle chłód, lecz nie umiał tego nazwać. Zrozumiał jednak, że u początków tego, co czynił, było zło. 128

Po powrocie do hotelu ukląkł przy łóżku i zaczął modlić się żarliwie, jak nigdy przedtem. Gdy w końcu zasnął, spał z krucyfiksem w ręce tak mocno, że rano na jego dłoni widniał głęboki i wyraźny odcisk krzyża.

Nowy dzień i perspektywę czekającej go podróży powitał z obawą i niepewnością, gdyż cel jego działań, jeszcze niedawno tak oczywisty, stał się teraz mroczny, a droga do niego wydawała się pełna niebezpieczeństw. Kiedy Recamier wyszedł na ulicę, podnosząc kołnierz, by osłonić się przed mżawką, poczuł się jak żołnierz pozostawiony na terytorium nieprzyjaciela. Nie myślał już o tym, że wraca do domu. Wręcz przeciwnie; Rzym i Watykan zdawały się leżeć w samym sercu wrogiego państwa. Mimo to jak posłuszny rozkazom żołnierz, maszerował naprzód, gdyż nie było żadnej innej drogi. Nie było dlań odwrotu. Szedł naprzód, a chłód podążał za nim.

5.

Stojąc na szczycie Góry Oliwnej, wysoko ponad starą Jerozolimą, Catherine Weston zrozumiała, dlaczego trzy wielkie religie świata: chrześcijaństwo, islam oraz judaizm, roszczą sobie prawa do starożytnego miasta, otoczonego obronnym murem.

W tym miejscu, bardziej niż gdziekolwiek indziej, Catherine czuła bliskość Stwórcy.

Promienie zachodzącego słońca po królewsku przyozdobiły mury miasta we wszystkie odcienie czerwieni. Łatwo było pojąć, czemu chrześcijanie wierzyli, że z tego miejsca, w którym stała teraz Catherine, syn Boży wstąpił do nieba i dlaczego Żydzi oczekiwali tutaj nadejścia Mesjasza, który miał zstąpić z tej góry, by ocalić świat.

- I jak? - zapytał Ben Stein, reporter Reutera, który od momentu gdy Catherine stanęła na izraelskiej ziemi, nie odstępował dziewczyny ani na krok.

- Nie wszystko można wyrazić słowami - odrzekła i uśmiechnęła się - nawet jeśli się z opowiadania żyje.

- Przychodzę tu co jakiś czas, by ponownie odnaleźć swoje miejsce. Wtedy, gdy zaczyna mi się wydawać, że mam wpływ na to, co myślą inni ludzie. Zawsze wracam z Har Hayzetim z mniejszą pewnością siebie.

- Har Hayzetim? Czy to po hebrajsku znaczy "Góra Oliwna"?

- Teraz tak. Dawno temu, za czasów Króla Dawida nazywano ją Har Hameshiba - Góra Namaszczenia. Na długo przed narodzinami, ukrzyżowaniem i wniebowstąpieniem Chrystusa, Żydzi otaczali to miejsce nabożną czcią.

- Wierzysz, że Mesjasz pojawi się najpierw tutaj? Stein zachichotał.

- Jeśli ma zamiar pojawić się gdziekolwiek, znikąd nie będzie miał lepszego widoku niż stąd. Pomyśl sobie - gdy zobaczy, co się dzieje na świecie, może pożałować, że w ogóle zawracał sobie tym wszystkim głowę.

- Co robi z nas takich strasznych cyników? Nasza praca?

- Obserwacja życia. Widzimy wszystko tak, jak to wygląda naprawdę z poziomu ziemi, a może z miejsc położonych jeszcze niżej 130

- z kanałów ściekowych. To, co robią niektórzy przedstawiciele naszej profesji nasuwa mi pytanie, czy dla świata nie jesteśmy czasem czymś w rodzaju kloaki.

Catherine odrzuciła włosy spadające jej na oczy.

- Tylko niektórzy - przypomniała. Przez chwilę patrzyła na klasztor leżący u stóp góry. Potem znów spojrzała na Steina.

- Ścieki? Czy z ich poziomu powinniśmy na niego patrzeć?

- Na Boga?

- Na Pierre'a Labesse'a. Stein wzruszył ramionami.

- On jest sensacją przez duże S. Nie potrafię umieścić go na żadnym poziomie. Zresztą nie chciałbym tego robić. Najlepiej zachować dystans, pisząc o nim bez jakichkolwiek komentarzy. Komentowanie mogłoby tylko zatrzeć sens tego wszystkiego.

- Nie widziałeś go jeszcze?

- Nikt go nie widział, oprócz braci z jego klasztoru i lekarza, który wystawił świadectwo zgonu.

- Ja zobaczę się z nim - powiedziała z naciskiem panna Weston. Stein uśmiechnął się krzywo.

- Nie przedostaniesz się przez furtę klasztoru. Jak na razie nikomu się to nie udało.

- Wejdę tam. Co więcej, on sam będzie chciał mnie widzieć. Stein nadal się uśmiechał.

- Pewnie masz coś, czego nie ma reszta prasy. Catherine przytaknęła zupełnie poważnie.

- Tak, to prawda.

- Powiedz mi o tym - zaciekawiał się Stein.

- I oddaj mi swój artykuł? Do diabła! Po prostu patrz co się będzie działo.

Klasztor znajdował się niedaleko meczetu. W centrum klasztornych zabudowań stał mały, okrągły kościół Wniebowstąpienia. Początkowo gęsty tłum reporterów już się przerzedził. Wydawało się, że większość reporterów dzieli swój czas między obserwowaniem klasztoru a zabawę w barze hotelu "Intercontinental", zbudowanego na szczycie góry. Mimo to ślady obecności dziennikarzy były wciąż widoczne. Puste pudełka po papierosach, opakowania po filmach i gumie do żucia oraz inne odpadki pokrywały ziemię wokół masywnej, drewnianej, okutej żelazem furty.

Członkowie dwóch najbardziej wytrwałych ekip telewizyjnych - amerykańskiej i zachodnoniemieckiej, grali w karty o powiększającą się zawartość stojącego pomiędzy nimi naczynia. Chociaż wyraźnie znużeni oczekiwaniem, gotowi byli zareagować natychmiast na najmniejszy ruch za murami klasztoru.

Jeden z dziennikarzy, zamroczony przez słońce i alkohol, namówił małego chłopca, by ten wynajął mu swojego osiołka. Ale pijany reporter nie mógł utrzymać się na grzbiecie biednego zwierzęcia i spadał zeń ku dzikiej ucieście tłumów.

Izraelscy policjanci trzymali się w pobliżu, co jakiś czas podejmując wysiłki, aby przywrócić porządek. Przeważnie jednak przyglądali się tylko wielojęzycznemu zbiegowisku. Wcześniejszy nastrój oczekiwania ustąpił niemal całkowicie bezczynności.

Światło zmierzchu zabarwiało kamienne mury klasztoru na różowo.

Ciężkie, ciemne klasztorne wrota wyglądały jak ostrołuko-we, gotyckie okno. Tuż obok furty wisiał komunikat, przybity kilka godzin temu przez jednego z mnichów do popękanej belki. Catherine i Stein zatrzymali się przed wiszącą kartką.

- Mówiłem ci - potwierdził Stein. - Nikt nie może wejść i zobaczyć się z Labesse'em. On przemówi znowu, gdy będzie gotów. Wszystko tutaj pięknie wykaligrafowano.

- Na co on czeka? - zapytała półgłosem Weston. Stein chrząknął.

- Wypowiedział jedno zdanie, które wstrząsnęło Rzymem. Może teraz sądzi, że powinien uspokoić nastroje?

Catherine odwróciła się od niego.

- A może właśnie Rzym uważa, że Labesse powinien to uczynić?

- W końcu wszystko sprowadza się do polityki - zakończył Stein.

Dziewczyna sięgnęła ku ciężkiej kołatce, uderzyła nią mocno kilka razy. Ludzie zgromadzeni za plecami policjantów przyglądali się temu w milczeniu. Telewizyjni dziennikarze podnieśli głowy znad kart, przez chwilę wyraźnie zaciekawieni, lecz przewidując dalszy rozwój wypadków przestali się tym interesować

Jeden z nich, Niemiec, zawołał:

- Ciągle nic! Tylko pić albo spać! Żadnej wiadomości od tych drani. Może on znów stał się trupem?

Wywołało to kilka uśmiechów, nawet na twarzach policjantów, którym przez cały dzień szczególnie brakowało dobrego humoru. W małym, zakratowanym okienku furty pojawiła się blada twarz.

- W tej chwili ojciec Pierre nie ma nic więcej do powiedzenia - mnich z błaganiem w głosie mówił przez otwór. - Musi wydobrzeć po swych ciężkich przejściach. Poszę to zrozumieć.

Catherine sięgnęła do torby, wydobyła mały, irchowy woreczek przewiązany sznurkiem i przyłożyła go do kraty.

- Proszę mu to przekazać. Ja zaczekam tutaj. Mnich uśmiechnął się smutno.

- Dziękuję pani, ale on nie przyjmuje podarunków. Odmówił już...

- To nie jest podarunek - przerwała mu. - Nosił to kiedyś. Proszę mu powiedzieć, że to pochodzi od żołnierza, i że ja to zwracam. Dokładnie te słowa.

Błada twarz za drzwiami spojrzała najpierw na nią, potem na zdeorientowanego Steina.

- Proszę wziąć - nalegała Catherine. - On chciałby to odzyskać. To dla niego bardzo ważne.

Mnich wysunął palce przez kratę, sięgając po woreczek.

- To pochodzi od żołnierza - powtórzył. - Pani to zwraca.

- Właśnie tak. Proszę mu to powiedzieć.

- Jak się pani nazywa?

- To nie ma znaczenia. Proszę zapamiętać tylko te słowa. Zasuwa zamykająca okienko przesłoniła twarz mnicha.

- Nie uda ci się ich nabrać! - wykrzyknął Stein. - Przez cały dzień próbują na nich wszystkich znanych sztuczek i jeszcze paru nowych, wymyślanych na poczekaniu przez tych durniów! - Pokazał palcem na ekipy telewizyjne i małą grupkę dziennikarzy podążających chwiejnym krokiem w kierunku klasztoru od strony "Inter-contentintalu".

- To nie jest sztuczka - spokojnie odparła Catherine. Zaskoczony jej niezwykle pewnością Stein zapalił papierosa i przyglądał się jej poprzez obłok dymu. Nie odzywała się, papieros wypalił się do końca, minuty mijały. Odgłos otwieranej zasuwy wydał się ogłuszający. Drzwi furty nieco się uchylily. Za plecami Steina również inni usłyszeli ten odgłos.

- Sezamie, otwórz się! - mruknął Stein, unosząc brwi.

W wąskiej szparze pojawiła się nowa twarz, starsza i bardziej surowa. Przenikliwe oczy uważnie przyjrzały się Catherine i jej towarzyszowi. - Tylko pani - powiedział zakonnik. - On chce się widzieć z panią. Dziennikarze telewizyjni porzucili swe karty i dwaj mężczyźni gnali już biegiem w stronę bramy, pozostali zaś włączali potężne reflektory. Nieco dalej, na wpół pijani reporterzy, przypuszczając, iż coś się musiało wydarzyć, zataczając się ruszyli szybciej do przodu. Stein pchnął Catherine do drzwi.

-Idź.

- To może długo potrwać - powiedziała odwracając się i furta zamknęła się za nią.

Pierre Labessee stał przy małym okienku, jak w chwili, gdy wypowiedział swe pierwsze słowa po powrocie z tamtego świata. Spoglądał na biegnącą u stóp Góry Oliwnej drogę do Jerycha, prowadzącą przez pustkowia Judei i krainę Moab, gdzie jak mówi Biblia pochowano Mojżesza. Na horyzoncie, w oddaleniu ojciec Pierre widział Betanię, w której Jezus wskrzesił Łazarza a potem, w Niedzielę Palmową wraz ze swymi uczniami tam właśnie zatrzymał się w drodze do Jerozolimy.

Z izby, w której przebywał Labessee, na jego życzenie uprzątnięte zostały wszystkie urządzenia medyczne podtrzymujące chorego w czasie śpiączki. Uczyniono tak wbrew radom kilku starszych braci zajmujących się medycyną. W chłodnym pomieszczeniu pozostawiono tylko proste metalowe łóżko, na którym niegdyś leżał, dwa krzesła o twardym oparciu i mały ołtarzyk z wizerunkiem Ukrzyżowanego pośrodku.

Przy ołtarzu stał ten sam zakonnik - nowicjusz, który obecny był przy Labessie w chwili jego zmartwychwstania. Od tamtego czasu młodzieniec nie opuszczał wskrzeszonego ani na krok, a zmartwychwstały święty łagodnie, choć stanowczo, oddalił protesty braci i nalegał, aby pozwolono mu zatrzymać chłopca przy sobie.

Młody mnich przemówił teraz po raz pierwszy od momentu cudownego wskrzeszenia.

- Mistrzu, co widzisz?

Labesse nie odwrócił się, nie okazał też najmniejszego zdziwienia. Jego nieprawopodobnie błękitne oczy uniosły się w górę ku lśniącym gwiazdom, które nagle pojawiły się na niebie. W tej części świata noc zapada jak ciemna zasłona opuszczona przez zachodzące słońce.

- Dlaczego nazywasz mnie mistrzem? - zapytał Labesse nie odwracając się.

Młodzieniec był teraz przy nim, klęcząc na obu kolanach.

- Czyż nie jesteś moim mistrzem?

- Czy wierzysz w to?

- Wierzę, że mój Pan wstąpił z tego miejsca do nieba, by zasiąść u boku swego Ojca i wierzę, że powróci tutaj w całej swej chwale.

Labesse zsunął kaptur z głowy młodzieńca i położył obie dłonie na wygolonej głowie chłopca.

- Jak się nazywasz?

- Mateusz.

Labesse uśmiechnął się do niego.

- Mateuszu, znajdziesz swoją odpowiedź i znajdzie ją także wielu tobie podobnych. Znajdziecie odpowiedź na pytanie, którego jeszcze nie potraficie przedstawić. Zostań ze mną.

- Nigdy cię nie opuszczę!

- Więc powstań Mateuszu i otwórz drzwi - Labesse pomógł mu się podnieść z klęczek i skierował go w stronę zamkniętych drzwi. -

Otwórz - powtórzył.

Catherine Weston stała na zewnątrz, unosząc dłoń by zastukać.

Labesse wyjął rękę spod habitu i wyciągnął ją przed siebie. Na otwartej dłoni leżał mały, skórzany woreczek.

- Wejdz - powiedział.

Catherine posłuchała go i natychmiast przeniknęła ją panująca we wnętrzu białej izby aura niezwykłego spokoju. Dziewczyna poczuła, jak nagle wypełniają cisza, jak wszystkie tak ważne jeszcze przed chwilą sprawy powoli odchodzą w zapomnienie. Świat na zewnątrz tego pomieszczenia tak okrutny i bezwzględny, nagle przestał dla niej istnieć. Spojrzała świętemu prosto w oczy i doznała niewyobrażalnego dlań wcześniej uczucia miłości i pokoju ducha. "Och! Michael - pomyślała. - Oczywiście, że musiałeś uczynić to, co zrobiłeś. Musiałeś go uratować!" - Spojrzała na woreczek w ręku Labesse'a i dostrzegła, że nadal jest zawiązany.

- Nie otworzyłeś tego! - zdziwiła się. - Dlaczego więc zgodziłeś się ze mną zobaczyć?

- Powiedziałaś memu bratu, że to coś ważnego. Tak ważnego dla ciebie, że przechowywałaś to przez wiele lat i przywiozłaś tutaj z daleka. To wystarczające powody.

- Nie przybyłam tylko dlatego, by to przywieźć. Przyjechałam, ponieważ jestem dziennikarką, wcale nie inną, od tych tam na zewnątrz. Jestem tutaj, bo chcę poznać twoją historię.

Labesse delikatnie potrząsnął głową.

- Przyszedł, aby mnie zobaczyć. Oto jest prawda. Przyszedł, by spróbować zrozumieć, a może też by zaleczyć ranę, która mimo upływu czasu wciąż jeszcze się nie zabił.

Catherine zacisnęła jego rękę w swych dłoniach.

- Ojcie, otwórz to! Proszę, otwórz to!

- Czy jesteś pewna, że muszę to otwierać?

Nie mogła odwrócić wzroku od Labesse'a. Ta świadomość jego niepojętego panowania nad nią spowodowała, że nagle ogarnął ją strach.

- Nie! - odpowiedziała cicho. Powoli uspokajała się. Labesse rozwiązał sznurek i wytrząsnął zawartość woreczka, pozwalając, by długi łańcuszek i wiszący na nim krzyżyk zawisły mu na palcach. Pośrodku dłoni księdza, Catherine ujrzała teraz świeże rany.

- Nigdy się naprawdę nie zagoiły - wyjaśnił. Dziewczynie wydawało się, że mnich zna jej myśli jeszcze nim zostały wypowiedziane.

- Przecież minęły już lata!

- Tak - zgodził się z tym samym łagodnym uśmiechem. Sięgnęła ku chłodnej, metalowej poręczy łóżka. Jej świat zaczął się walić. Potrzebowała oparcia.

Labesse ujął ją za ramię i posadził na krześle.

- Zgubiłam się w tym wszystkim - powiedziała, patrząc na niego. - Nic nie rozumiem.

- Rozumiesz, ale tylko częściowo - odpowiedział. - Znasz tylko część prawdy. Wiesz, że to spadło na ziemię z szyi jednej z moich sióstr i zostało przywiązane do mego ciała przez jednego z tych, którzy pragnęli mnie zgładzić. Wiesz, jak zostałem uratowany. Znasz człowieka, który mnie ocalił. Żołnierza.

- Znałam - powiedziała półgłosem Catherine. - On odszedł dawno temu. Nie wiem dokąd.
- Kochałaś go, więc wciąż pozostaje z tobą. Jak możesz mówić, że odszedł?
- Nie ma go przy mnie. Odszedł z mojego życia.
- Ktoś, kogo naprawdę kochasz, nie może odejść z twojego życia.
- Skąd znasz moje życie? Nic ci przecież nie mówiłam?! Wygląda na to, że wiesz o mnie wszystko?
- Wierzysz, że naprawdę wiem wszystko o tobie? Skryła twarz w dłoniach.
- Tak, o Boże, tak!
- W takim razie - wiem.
- Czy nie widzisz, że nie potrafię zrozumieć? - Uniosła głowę. - Czy znasz chociaż moje imię?

Labesse uśmiechnął się do niej z wyrozumiałością.

- Gdybym nazywał cię po imieniu, czy to, co mówię, byłoby bardziej prawdziwe? Czy byłoby to coś więcej niż tylko prawda? A gdybym nazywał cię nie twoim imieniem, czy to zamieniłoby moje słowa w kłamstwa?

-Nie!

- Więc jakie znaczenie ma twoje imię?

- Jestem Catherine - powiedziała. - Jemu było na imię Michael. Żołnierz.

- Tak - powiedział Labesse. - Michael.

- Opowiesz mi o swoim życiu? - zapytała Catherine. - Wszystko!

- Chcę, byś ty opowiedziała o nim. Dlatego teraz tutaj jesteś. Czy pójdziesz ze mną wszędzie? Czy uczynisz to samo, co ja muszę uczynić?

- Co musisz uczynić?

- To o co prosisz. Muszę opowiedzieć moją historię. W Rzymie. To miasto wybrane.

- Więc dlaczego mnie potrzebujesz?

- Potrzebuję, byś napisała to, czego tłum nie widzi i nie słyszy. Labesse ujął jej rękę i płynąca od niego moc zawładnęła nią całą.

- Tłum widzi jedynie pozory. Prawda o człowieku nie leży w tym, co robi on na oczach ludzi. Ważne jest też to, co robi dla innych, będąc w samotności. Trzeba pokazać także i tę stronę człowieka.

- Tak, ale moja redakcja kontroluje publikacje pracujących w niej dziennikarzy. Być może to, co moi zwierzchnicy pozwolą mi opublikować, nie będzie tym, co chciałbyś przekazać ludziom.

- Chrystus powiedział kiedyś: "Zostaw swoje sieci i pójdź za mną". Rybacy, których powołał, posłuchali jego wezwania. On jednak nie zabronił im być nadal rybakami. Wciąż łowili, lecz robili to tylko wtedy, gdy mogli to czynić, podróżując z nim. On nawet im pomagał. Wciąż byli rybakami, nie będąc jednocześnie niewolnikami swej pracy.

Catherine skrzywiła się.

- Żądasz ode mnie, bym porzuciła pracę w redakcji, moją dobrze płatną posadę. Mam zostać twoim biografem, podróżując z tobą, dokądkolwiek się udasz?

- Czy sądzisz, że nikt nie zechce wydać mojej biografii i nauczania?

- W tej chwili każdy wydawca zgodziłby się na to. Otrzymałabym za to tyle, ile tylko zażądam.

- Czy tylko dla pieniędzy chciałabyś to zrobić? -Nie!

Labesse przytaknął, potem uśmiechnął się.

- Kiedy będziesz mnie potrzebował? - zapytała. -Jesteś już tutaj.

Nadal trzymał jej rękę w swej dłoni. Wciąż była jego częścią, jakby otaczał ją całą, chronił ją przed zatraceniem się w życiu. Pozwoliła, by przeszłość i terażniejszość uleciała gdzieś daleko. Nie było już wątpliwości, żalów i narzekań. Została tylko wolność i najwyższa ekstaza. "Jestem tutaj - powiedziała w myślach do siebie. - Nie pozwól mi odejść, nie teraz, nigdy." Wiedziała, że ją usłyszał.

- Muszę zadzwonić do Londynu i zawiadomić redakcję o rezygnacji z pracy - odezwała się Catherine.

- Powiedz im, co zamierzasz uczynić. Zgodzą się, byś ich opuściła na tak długo, jak zechcesz. Powiedzą ci też, że zawsze możesz wrócić.

- Gdy to się już skończy? - zapytała.

Labesse znów podszedł do okna, wyjrzał przez nie raz jeszcze, cofnął się. W końcu powiedział:

- Idź, uczynić to, co musisz uczynić i wróć tutaj do mnie. Jest coś, co wkrótce będę musiał powiedzieć tym wszystkim, którzy tam czekają. W Londynie, Jonathan Barton wysiadł z taksówki szybkim krokiem i poszedł do swej ulubionej włoskiej restauracji w Soho. Gdy zdejmowano zeń przemoczony płaszcz, dziennikarz pozwolił kierownikowi lokalu na trochę poufałości.

- Pański gość jest już tutaj - wyjaśnił właściciel restauracji. - Czeka zbyt długo, tak myślę, bo zamówił sporo ginu. Może to marynarz? Barton przeszedł przez zatłoczoną salę. Skinieniem głowy pozdrowił rozpoznających go ludzi, jedzących tutaj lunch.

- Przepraszam, James - usprawiedliwiał się, siadając przy swoim stoliku. - To ta cholerna sprawa Labesse. Nie mogłem wyrwać się wcześniej.

James Auslaire był rzeczywiście marynarzem, choć akurat teraz wyrzuconym na brzeg - pracował w Ministerstwie Obrony. Był potężnym mężczyzną, a jego włosy układały się w fantazyjne loki. Jeśli nawet kiedyś ich jasny odcień zdradzał jego szwedzkie pochodzenie, teraz były one po prostu siwe. Auslaire od lat był jednym ze słynnych "anonimowych, lecz godnych zaufania" informatorów Bartona, który bez skrupułów, chociaż dyskretnie, korzystał z jego współpracy. Auslaire uniósł szklankę z czwartą już dziś porcją różowego ginu. Oczy mu zabłysły.

- Niebiosa są tutaj! - wznosił toast.

Stolik, przy którym siedzieli mieścił się w loży oddzielonej przepierzeniem od reszty sali. Barton uprzedził właściciela, by zarezerwował dla niego właśnie to miejsce.

- Coś nowego z tym zaginionym argentyńskim myśliwcem?

-dziennikarz zapytał, wysuwając głowę do przodu.

- To nie nasi, kolego. Jesteśmy niewinni. Załogi Phantomów zostały dokładnie przesłuchane. Niezbyt delikatnie zresztą, chciałbym zauważyć. Trzymają się twardo swojej wersji wydarzeń; twierdzą, że nastąpiło zderzenie z pasażerskim odrzutowcem. To nie mógł być duży rejsowy samolot, ani malutka awionetka. Mógł to być dyrektorski odrzutowiec.

- Czy któryś z tamtejszych krajów zainteresował się tym wypadkiem?
- dopytywał się Barton. - Brazylia? Inne kraje południowo-amerykańskie?
- Pewnie tylko jakaś nieszczęsna firma ubezpieczeniowa. Zdajesz sobie sprawę, ile kosztuje taka zabawka?
- To dobry pomysł. Mam kogoś u Lloyda. Auslaire z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Wątpię, czy znajdziesz cokolwiek, kolego. Jeśli dotychczas nie zgłoszono zaginięcia takiej maszyny, ktoś musiał mieć cholernie ważny powód, żeby ukryć ten wypadek. Jest już trochę za późno, by złożyć wniosek o odszkodowanie.
- Zamach? Rosjanie? Sami Argentyńcy?
- Wątpię. Falklandy - nasza forteca, są jak otwarta księga. Zawsze, gdy coś nowego się tam dzieje, zaraz mamy na ten temat debatę w parlamencie. Cały świat wie, co mamy na tych wyspach.
- Więc kto, do diabła, może sobie pozwolić na zrezygnowanie z tak wielkiego odszkodowania? Ile to w ogóle może być? Pół miliona?
- Dwa razy tyle. Oczywiście w funtach, nie w dolarach. Barton uniósł brwi i zaczął sączyć drinka, którego podano im bez zamawiania.
- A co robią Argentyńcy w związku z utratą swojego samolotu? Mirage także nie kosztuje parę pensów. Pomijam plamę na narodowym honorze i całe to propagandowe łajno.
- Wrzeszczą. Ostre noty dyplomatyczne, graniczące niemal z wypowiedzeniem wojny, krążą teraz między naszym Ministerstwem Spraw Zagranicznych i Buenos Aires.
- A reakcja Ministerstwa Obrony? Pełne pogotowie na wyspach? Bierzecie pod uwagę możliwość inwazji?
- A co ty myślisz? Tym razem będziemy przygotowani.
- Czy mogę się na to powołać?
- Nie powiedziałem ci ani słowa.
- James, przecież prędzej czy później będą jakieś przecieki. Chciałbym być pierwszym, który to ogłosi.
Auslaire wzruszył ramionami.
- Wyspy stale są w stanie ostrego pogotowia. Na tym polega ta zabawa.

- Jednak tym razem naprawdę oczekujecie uderzenia Argentyńczyków?

- Powiedzmy, że jesteśmy przygotowani na wszystko.

- To twoja ostateczna opinia? Czy mogę ją wykorzystać?

- Świat się chyba od tego nie zawali, a może junta jeszcze raz przemyśli sobie wszystko od początku.

- Dzięki, James. Zasłużyłeś sobie na lunch!

Auslaire opróżnił swą szklankę i Barton zamówił kolejnego drinka dla swego gościa, potem szybko wybrał coś do zjedzenia. W połowie posiłku Auslaire odezwał się:

- A więc co z naszym przyjacielem Labesse? Wciąż, jak widzę, jego nazwisko wypisują wielkimi literami na pierwszych stronach gazet. Dzisiaj na śniadanie miałem jajecznicę, cynaderki i parę artykułów o tym facecie. Może powiedział coś nowego? Na przykład: "Raj będzie teraz na księżycu"?

Barton odłożył nóż i widelec na talerzu i odstawił nakrycie.

- Nic nowego.

- Więc co cię zatrzymało? Uroczą Mary Edgington?

- Jest szczęśliwa, kiedy może budować swoją karierę. Ja jestem tylko jedną z cegiełek tej monumentalnej budowli.

- A ty jesteś tak szczęśliwy, że musisz się umawiać z gwiazdeczkami pozbawionymi szans na sukces, które poważnie nadwyrężają twoje ego... i coś jeszcze? Ciężkie życie, kolego.

Barton chrząknął.

- Komuś udało się z nim zobaczyć. Dziewczynie ode mnie z pracy. Wyjątkowo natrętna i wścibska.

- Rozmawiała z Labesse'em? Barton potwierdził.

- Gazeta brytyjska?

- Amerykańska, ale ona pracuje w ich londyńskim biurze. "Fact" - znasz?

- Wykup mi prenumeratę na gwiazdkę.

- Ona jest jedynym człowiekiem z zewnątrz, który przeszedł przez bramę klasztoru. Reszta prasy szaleje. Wydaje im się, że zostali wykiwani.

- Książeczka czekowa może więc być przepustką nawet do tego zmarwychwstałego świętego? Mówię ci, nie ma już nic świętego na tym świecie! - Auslaire wyglądał na zaskoczonego.

Barton potrząsnął głową.

- Tam nie wchodziły w grę żadne pieniądze, "Fact" kategorycznie temu zaprzeczył. Wpuszczono ją do środka po tym, jak podała przez bramę jednemu z mnichów jakiś przedmiot. Później wyszła z klasztoru i dopiero tutaj zaczyna się cała zabawa.

Zignorowała wszystkich, nawet reportera Reutera, który ją tam przyprowadził, poszła do "Intercontinentalu" i zadzwoniła do "Factu", informując ich o swojej rezygnacji. Wyglądała jak zahnotyżowana. Bóg jeden wie, co Labesse jej powiedział lub co z nią zrobił.

Auslaire uśmiechnął się krzywo.

- Założę się, że to jednak nie Bóg przekazał ci te informacje.

- Ktoś podsłuchał rozmowę. Pewien włoski dziennikarz, z któregoś z ich konserwatywnych gazet. Dziwne, bo normalnie nie jest to raczej w ich stylu. Potem przekazał treść rozmowy wszystkim. Cholerny idiota. Jego redakcja chyba go za to powiesi.

- Musi być człowiekiem Watykanu, kolego, czuć to na miłę. -Auslaire zakaszłał między swoma łykami chianti. - Podsłuchał rozmowę?

Zajmujące. Wy, chłopcy, powinniście bawić się razem z nami w wojnę. Potrzebujemy czasem paru brudnych sztuczek.

- Na tym polega ta zabawa.

- A w co bawi się ta dziewczyna? Nie powiesz mi chyba, że nagle została nawrócona?

Barton wzruszył ramionami.

- Chryste! Jeśli Labesse potrafi owinąć wokół palca spryciarzy z prasy, to jakie szanse mamy my, biedne żuczki bez pancernej skorupki?

- Żadnej, bez wątpienia.

Auslaire wlał do swego kieliszka resztę chianti.

- A co u starszego pana w Rzymie? Wciąż nie w porządku? Zacięła się mu sprężyna?

- Watykan ogłosił, że powodem jest ten sam wirus, który rozłożył papieża po zamachu. Ojciec Święty przebywa w kompletnej izolacji.

- Może jest coś z prawdy w tych starych plotkach, że kule z browninga, które dosięgły papieża, były czymś zakażone. Prezent odKGB?

- Właśnie wykorzystujemy tę wiadomość jako część wieczornego wydania naszego programu. Trochę za bardzo przypomina to Jamesa Bonda, ale jest wystarczająco przerażające i może powstrzymać widzów od telefonowania do nas w sprawie Labesse'a. Musimy zatrudnić dodatkowych ludzi, by poradzić sobie z rozmowami, gdy tylko wspominamy to nazwisko. Sprawa KGB będzie dobra do rozbudzenia emocji, ale poważniej traktujemy możliwość "zakazanej krwi". Czy wiesz, że włoscy krwiodawcy są opłacani?

- Naprawdę? Na Boga! Może więc nie są zbyt uczciwi jeśli chodzi o to, co w tej ich krwi pływa... Niesamowite!

Barton skinął na kelnera, przyjął i podpisał rachunek, potem wstał. Auslaire siedział dalej, obracając w dłoniach kieliszek z resztką chianti.

- Wracasz więc, aby przyjmować telefony i przekonywać zwolenników Labesse'a, by za swe przekonania nie dawali się wyrzucać z pracy? Czy ten facet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wielkie jest u nas bezrobocie?

- Nie facet, święty - poprawił go Barton.

- Och, więc teraz już taka moda? Otrzymaliście wiadomość z nieba? Nadeszła kamienna tablica? "Niniejszym oznajmiam, że mój kolega Labesse nie jest już wcale zwyczajnym śmiertelnikiem jak wy, więc traktujcie go dobrze lub strąć was do Hadesu" ... albo gdziekolwiek indziej - dodał.

Barton zarzucił na ramiona podany płaszcz.

- W mojej robocie, James, jeśli któryś oficjalny urząd odmawia sprostowania jakiejś wiadomości, to znaczy, że może być ona prawdziwa. Watykan jest tak samo oficjalny, jak każda inna instytucja. Najważniejszy problem stanowi tutaj fakt, że na sprawę Labesse'a zareagował już cały świat. Chociaż na razie Labesse nie powiedział nic nowego, to wydanie aktu kanonizacji i jej oficjalne potwierdzenie przez Stolicę Apostolską schodzi na dalszy plan, wręcz nie należy do tematu. Ludzie na całej Ziemi, nie tylko chrześcijanie, zrozumieli już, że jest on kimś więcej niż tylko fanatykiem religijnym. Obejrzyj wyniki naszych sondaży ulicznych i poczytaj wiadomości prasowe.

- Oczywiście, że tak jest - wykrzyknął Auslaire, potem głośno chrząknął. - Ci biedacy muszą wierzyć, że tam, w górze wciąż ktoś się nimi przejmuje, bo tutaj na dole już nic nikogo nie obchodzi. Popatrz dookoła, kolego, to właśnie są prawdziwi ludzie, nie ci, których widzisz przez obiektyw kamery. Oni już stracili złudzenia i przestali wierzyć, że istnieje coś lepszego! Jak chcą, niech mają swojego zmartwychwstałego świętego, swojego Mesjasza, czy kim on tam dla nich jest. Wielki Boże! Nie mają większego wyboru, nawet gdyby chcieli zwrócić swoje nadzieje ku czemuś innemu. Obawiam się tylko, żeby czasem nie pomieszali wszystkiego, jeśli on jest naprawdę kimś takim, i nie ukrzyżowali tego biedaka, tak jak jego poprzednika. Barton uśmiechnął się i zacisnął wargi.

- Już to z nim zrobili.

- To nic nie znaczy, kolego. Rasa ludzka potrafi powtarzać swoje błędy, dopóki cały ten świat nie rozpadnie się na pojedyncze atomy. A to wcale nie jest takie nieprawdopodobne. Myślę, że Labesse zmierza donikąd. Będiesz tam razem ze swoim tłumem, relacjonując wydarzenia, kiedy znowu go ukrzyżują. Z nim pójdzie łatwo, prawda? Otwory na gwoździe już ma! Cześć.

Barton wyszedł na deszcz i wszedł do oczekującej przed lokalem taksówki. Rozparł się wygodnie na siedzeniu. "Czy naprawdę to zrobimy? - zastanawiał się. - Czy tak mało posunęliśmy się do przodu? A może zaszliśmy zbyt daleko? Może w końcu będziemy zbyt przerażeni, zbyt zaniepokojeni tym, co on mówi. Może przez to w pewien sposób go ukrzyżujemy?"

Usłyszał, że szklana przegroda odsuwa się i kierowca coś do niego mówi.

- Przepraszam, bardzo mi przykro - tłumaczył się Barton, nie rozumiejąc słów.

- Niebiosy są tutaj! - kierowca krzyknął przez ramię i wskazywał na tłum wypełniający Cambridge Circus. Ludzie skandowali jakieś hasło. Pomimo ulewy wznosili ku górze ciężkie, nasiąknięte wodą transparenty. Litery były zamazane, lecz wciąż można było je odczytać. NIEBIOSA SĄ TUTAJ!

- Czasem nawet w niebie pada! - zaśmiał się taksówkarz. Barton odprężył się.

- ITN - powiedział. 144

- W porządku, szanowny panie! - zawołał kierowca.

Gdy Barton wysiadł z taksówki na Wells Street, czekała na niego Mary Edgington. Sądząc po jej włosach, musiała gdzieś stać na deszczu. Teraz patrzyła zza szklanych drzwi, była przemoknięta i wyraźnie czymś podniecona.

Barton zapłacił kierowcy i podszedł do niej.

- Co się dzieje?

- Labesse. Wyszedł!

Podbiegli szybko w stronę redakcji. Mary mówiła całą drogę.

- Ta dziewczyna nazywa się Weston, z powrotem poleciała do Jerozolimy, została na noc i godzinę temu pojawiła się, informując prasę, że Labesse wyjdzie, by złożyć oświadczenie i odpowiedzieć na kilka pytań.

- Jak ona go nazywała? Święty Pierre? -Nie.

-Więc jak?

- Mistrz.

- Jezu!

- Właśnie tak - powiedziała cicho Mary.

- Co on powiedział?

- Wszystko jest na taśmie, sam zobacz. Prawie siłą zaciągnęła Bartona do studia video. Wszystko było już przygotowane do emisji.

- Dobrze, włączajcie! - polecił Barton.

Mary zapaliła papierosa i usiadła w fotelu, zasłaniając twarz dłonią. Paliła szybko, zaciągając się głęboko. Na ekranie ukazała się twarz Pierre'a Labesse'a.

- Nie! - krzyknął Barton. - Puście od miejsca, w którym wychodzi przez bramę.

Operator magnetowidu cofnął taśmę.

- Mamy dziewczynę - powiedział. - Chcesz ją zobaczyć?

- Tylko jego - odparł Barton. - Tylko Labesse'a.

Taśma ruszyła ponownie. Na ekranie otwierano furtę klasztoru i pojawiła się postać Labesse'a. Ubrany był w czarny habit, podobnie jak inni, stojący obok niego mnisi.

Jak na komendę eksplodowały flesze i Labesse oślepiony ich blaskiem przymknął oczy. Interweniowała izraelska policja, gdyż

niecierpliwi dziennikarze ruszyli do przodu. Obraz na ekranie zmienił się nagle. Kamera ukazała kordon policyjny i napierający tłum. Zewsząd wysuwały się mikrofony, aparaty fotograficzne i małe kasetowe magnetofony. Flesze błyskały tuż przed twarzami policjantów.

Barton pochylił się w fotelu. Z łatwością mógł wyobrazić sobie rozdrażnienie policjantów, niecierpliwość dziennikarzy i falowanie tłumy. Bywał już świadkiem podobnych scen. Chyba najbardziej szalony moment w swej karierze przeżył przed szpitalem w Dallas, tuż po tym, jak przewieziono tam po zamachu prezydenta Kennedy'ego. Wspomnienie to przygasalo jednak wobec obrazu, który teraz ujrzał. Tłumy opanowała niepojęta, obłąkana radość, która ogarnęła nawet cynicznych, zwykle obojętnych na wszystko dziennikarzy. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie zamieszanie uspokoiło się i operator skierował kamerę znowu w stronę Labesse'a. Uczynił to może zbyt szybko, wskutek czego obraz stracił ostrość, lecz udało mu się jednak wybrać właściwy moment. Pokazał, jak burza stopniowo cichła, gdy Labesse podnosił ku górze ramiona.

- Tam jest ta dziewczyna. - Mary szturchnęła Bartona w bok.

Catherine Weston stała obok zmartwychwstałego świętego, oddalona odeń o długość cienia. Była bardzo blada, lecz jej twarz promieniała. Dziewczyna wydawała się poddenerwowana, chociaż równocześnie dziwnie pogodna. Nawet na sekundę nie spuszczała oczu z Labesse'a. Tłum ucichł zupełnie. Nie padło ani jedno słowo, nie zadano żadnego pytania. Jedynym odgłosem był dźwięk migawek niezliczonych aparatów fotograficznych. Barton poczuł, jak ciarki go przechodzą. Wszystko, czego pragnął w tej chwili, to znaleźć się w tamtym miejscu. Mary położyła dłoń na ramieniu Bartona, lecz on nie zdawał sobie z tego sprawy. Dla niego istniał teraz wyłącznie Labesse. Dziennikarz zrozumiał natychmiast, co stało się z dziewczyną. Nawet gdy było się tysiące mil od miejsca zdarzenia, które przecież dawno już się zakończyło, nie można było uniknąć wszechogarniającej świadomości działania jakiejś potężnej siły. Odruchowo położył swą dłoń na ręce Mary.

Pomiędzy Labesse'em i tłumem stała w pogotowiu cała bateria mikrofonów. Zmartwychwstały święty podszedł tam i przemówił:
- Nie przyszedłem po to, by podwarzyć lub zburzyć odwieczne przekonania. Przyszedłem, by wyjaśnić to, co zostało zniekształcone przez ludzi, którzy nie potrafili zrozumieć słów Pana. By w imieniu Boga zinterpretować to, co zostało mylnie odczytane przez człowieka. Przyszedłem nie po to, by zniszczyć wiarę, lecz by ją umocnić. Nie po to, aby pomieszać wasze przekonania, nie po to, by zrujnować wasz system wartości. Chcę wszystko zebrać i uporządkować. Inni ludzie przywłaszczyli sobie prawo do decydowania, jakie znaczenie ukryte jest w słowach Chrystusa. To zadanie przekracza możliwości człowieka. Istota ludzka dostrzega bowiem jedynie powierzchnię obrazu, widzi kolory i kształty, ale tylko artysta zna nieskazitelną czystość płótna pod spodem.

Labesse wskazał palcem przed siebie, w stronę kamery.

- Na ekranach waszych telewizorów obserwujecie świat. Co będzie, jeśli jakiś robak wypełni skądś na środek ekranu? Cóż pojmie on z całego obrazu? Nic Dostrzeże tylko to, co leży w obrębie jego postrzegania. Poza tymi granicami nie zobaczy niczego. Jest absolutnie ślepy. Wszechświat i to, co go dotyczy, to właśnie taki ekran, a owadem jest człowiek.

- Kim jesteś? - zapytał czyjś głos.

- Narodzonym z kobiety człowiekiem, któremu dane było przebywać z Bogiem - odparł Labesse.

- Chrystus także był narodzony z kobiety - krzyknął ktoś inny. - Czy tak jak On dostąpiłeś boskości?

Labesse uśmiechnął się.

- Pytając o to, kwestionujecie moją ziemską postać. Stoję przed wami jako człowiek!

- Ale wcześniej umarłeś. Teraz powróciłeś do życia i twierdzisz, że przebywałeś u Boga? A może tak ci się tylko wydawało?

Rozpętała się prawdziwa burza pytań.

- Co sprowadza cię tutaj, na Górę Oliwną?

- Czy twierdzisz, że jesteś Mesjaszem? Czy jesteś, jak twierdzą niektórzy, powracającym Chrystusem?

Labesse uniósł ramiona i ze smutkiem pokręcił głową.

- Wszystkie pytania, jakie zadajecie, dotyczą mojej osoby. Pomijacie jednak to, które powinno paść jako pierwsze. Nie to jest

istotne, że jestem teraz tutaj. Powinniście zainteresować się, gdzie byłem wcześniej. Twierdzą przecież, że przebywałem u Boga. Lecz żaden z was nie zapytał mnie: "Jaka jest istota Boga?" Boga, w którego wierzą wszyscy ludzie, nazywając go tym lub innym imieniem.

- Czym więc jest Bóg? - zawołał ktoś zuchwale. Wydawało się, że Labesse chce się roześmiać. Znow pokręcił głową, jakby zdumiony taką naiwnością.

- Nie można Go porównywać z czymkolwiek!

- Dobrze, proszę więc nam powiedzieć, jak wygląda?

- Mówiłem wam już. Nie można Go porównywać z niczym. On jest. Nie istnieje żaden jego odpowiednik. Nie ma przedmiotu ani istoty, z którą można by Go porównać. Gdybyście stanęli w tej chwili przed Bogiem, nie rozpoznalibyście Go, gdyż nie wiedzielibyście w ogóle, co widzicie.

- Czy Bóg to siła, moc? Coś takiego jak elektryczność lub energia nuklearna?

Oczy Labesse'a zaiskrzyły się. Odszukał pytającego. Stał on pierwszym rzędzie, wśród dziennikarzy.

- Czy rozumie pan obie te rzeczy?

- Teorię - tak!

- A więc potrafi pan wyobrazić sobie wyładowanie elektryczne porażenie prądem lub ognistą kulę jądrowej eksplozji?

- Oczywiście!

- Bóg nie może być niczym takim.

Zadawano kolejne pytania, lecz Labesse uciał je stanowczo.

- Teraz wyjawię wam coś, w czym ukryta jest cała tajemnica. Tr co powiem, będzie wam bardzo trudno zrozumieć. Syn Boży powiedział: "Nienawidzili mnie bez powodu. Gdy jednak przyjdzie Pocieszyciel, którego Ja wam pošlę od Ojca, On będzie świadczył 0 Mnie. Gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie. O sądzie - bo władca tego świata został osądzony".

Powiedział również: "Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz jeszcze tego nie możecie znieść. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy. Bo nie będzie mówił od siebie, ale powie wszystko, cokolwiek usłyszy i oznajmi wam rzeczy przyszłe. On mnie otoczy chwałą, ponieważ z mojego weźmie 1 wam objawi".

Labesse znów uniósł ramiona, aby powstrzymać grad pytań domagających się wyjaśnienia słów, które wypowiedział. Po krótkim milczeniu odezwał się ponownie:

- Pomyślcie o tym, co wam powtórzyłem. Wyjaśnienia tych i innych słów udzielę wam wkrótce. Niedługo pojawię się w Rzymie i tam poprowadzę was ku prawdzie. Myślcie i czekajcie na to, co ma nastąpić. Bądźcie świadomi ludzkiej interpretacji Słowa Bożego. Zaprawdę napisano, że Księżę Tego Świata ma daną mu przez Boga władzę nad ludźmi. Wasze niebo jest tutaj! Zawsze tak było, od samego początku, zawsze też tak będzie, tylko że wy oddaliście klucze swego raju w ręce innych.

- Czy atakujesz Kościół Boży? - rozległ się czyjś rozgniewany głos.

- Jest wiele kościołów i wielu ludzi objaśniających słowo Boga. Są nawet ludzie, którzy to zapisują. Ale istnieje tylko jedno prawdziwe nazwisko, jedna prawda i wy usłyszycie ją od Boga za moim pośrednictwem.

Labesse odwrócił się, przeszedł przez otwartą furtę i zniknął we wnętrzu klasztoru, a z nim Catherine Weston oraz mnisi. Cisza, jaka zapadła po jego odejściu, przerwana została przez dziennikarzy prasowych, którzy ruszyli biegiem do telefonów i przez reporterów telewizyjnych, mówiących coś przed kamerami.

Wymizerowana twarz Richarda Bailey'a z ITN także ukazała się na ekranie. Bailey Boy zmrużył oczy i odezwał się, podnosząc głos, by przekrzyczeć narastający gwar:

- Te zdumiewające słowa, pierwsze wypowiedziane publicznie przez tak zwanego zmarwychwstałego świętego Pierre'a Labesse'a z pewnością zostaną uznane przez Watykan za herezję i niewątpliwie wywołają wrogą reakcję Świętego Oficjum. Czy więc ten zmartwychwstały święty jest oszustem, szarlatanem, czy też jak sam twierdzi, zapowiedzianym "Pocieszycielem od Boga"? Teraz zastanawiają się nad tym miliony ludzi na całym świecie. Według wyników badań opinii publicznej przeprowadzonych w Ameryce i Europie, włączając w to Włochy, kraj Stolicy Apostolskiej, miliony ludzi uznały boskość osoby Labesse'a. On sam wcale tego nie potwierdził, lecz także temu nie zaprzeczył. Sugeruje nam to jednak wyraźnie, jeśli weźmiemy pod uwagę wypowiedziane przezeń

przed chwilą słowa. Z Jerozolimy mówił dla państwa Richard Bailey, ITN.

Ekran wygasł.

Jonathan Barton siedział w milczeniu, przyciskając dłonią rękę Mary Edgington. Operator magnetowidu wpatrywał się w pusty ekran.

Barton odetchnął głęboko.

- Będziemy potrzebowali kontrargumentów. Czy możemy mieć dzisiaj wieczorem Lovelace'a i O'Hare?

- Obydwaj czekają na telefon.

- Dobrze. Niech obejrzą taśmę, ale nie chcę, żeby mieli na to zbyt wiele czasu. Pragnę, by byli wciąż pod wrażeniem tej relacji, gdy znajdziemy się na wizji, bez żadnych przemyślanych odpowiedzi. Potrzebujemy ich pierwszej, wręcz odruchowej reakcji. Prosto z głębi serca, jeszcze pod wpływem emocji.

- Lovelace na pewno będzie krzyczał o herezji, a O'Hara ogłosi drugie przyjście Zbawiciela - powiedziała Mary.

- O'Hara może mieć rację. Chodź, musimy zebrać parę mądrych głów i rozważyć to wszystko. Taka okazja zdarza się tylko raz. Musimy ją dobrze wykorzystać.

Mary zapaliła papierosa, lecz nie ruszyła się z miejsca.

- Jeśli Labesse jest tym, kim sugeruje - przedstawicielem Pana - czy jesteśmy przygotowani na jego przybycie?

Barton uśmiechnął się cynicznie.

- Przekazujemy przecież wiadomości ze świata. Czy kiedykolwiek rodzaj ludzki był bardziej gotowy?

- A jeżeli on jest kimś zupełnie innym? W Biblii znaleźć można również ostrzeżenie przed fałszywymi prorokami!

- Może po prostu sobie na to zasłużyliśmy? - odparł cierpko Barton.

- Pocieszyciel przysłany przez Boga? - zapytał Jonathan Barton, zwracając się do kamery. Właśnie zakończyła się pierwsza ogólnokrajowa emisja zarejestrowanej na taśmie video relacji z wystąpienia Labesse'a. Obracając swój fotel ku drugiej kamerze, mówił dalej:

- Dziś wieczorem, w studiu ITN są z nami ponownie: doktor Harold Lovelace, wykładowca teologii na Uniwersytecie w Cam-150

bridge i ojciec Timothy O'Hara. Głoszone przezeń, czasami bardzo radykalne, poglądy na temat Kościoła Katolickiego i całego zorganizowanego chrześcijaństwa, są dobrze państwu znane. Jego osobista, zaskakująca opinia w sprawie tak zwanego zmartwychwstałego świętego, wzbudziła ostatnio niemałe poruszenie w kręgach związanych z religią. Poproszę najpierw o zabranie głosu doktora Lovelace'a. Panie doktorze - Labesse jako przepowiedziany pocieszyciel przysłany przez Boga? Jako "Duch Prawdy"?

- To absurdalne! Ów człowiek najwyraźniej cierpi na mamę wielkości, jest jak najbardziej godny pożałowania i w żadnym razie nie powinien wystawiać się na pośmiewisko, tak jak to widzieliśmy przed chwilą. - Lovelace niemal trząśł się z oburzenia.

- Z pełnym szacunkiem, panie doktorze, osobiście nie uważam, by wystąpienie Labesse'a było w jakikolwiek sposób śmieszne. Wydawało się, że jest całkowicie poczytamy i świadomy. Nie było widocznych oznak żadnych odchyłeń psychicznych.

- W takim razie, to co głosi, to absolutna herezja!

- Wciąż jednak narasta wiara w jego słowa. Przecież sam pan widział to w pierwszej części naszego programu. U nas, w Wielkiej Brytanii, w Europie i Stanach Zjednoczonych ludzie wychodzą na ulice, obwołując go wybawicielem świata.

- I w tym właśnie leży największe zagrożenie - z wymówką w głosie odparł Lovelace. - Ten człowiek może mieć przewidzenia, lecz równocześnie jest nadzwyczaj niebezpieczny.

- Więc wciąż uważa pan, że to tylko zwyczajny człowiek?

- Wierzę, że jeżeli nawet nie jest zwyczajnym człowiekiem, to wszelkie siły, które reprezentuje, nie pochodzą od Boga! Wręcz przeciwnie...

Barton przerwał mu szybko.

- W takim razie jest pan zupełnie przekonany, że Labesse nie posiada jakiejś szczególnej mocy? Jakiejś nadprzyrodzonej siły?

- Adolf Hitler też miał szczególną moc, a wiemy, że nie był świętym! A pańskie drugie określenie: nadprzyrodzona siła? Obecnie nadużywa się tego słowa. Filmy grozy, satanizm, orgie seksualne, bezczeszczenie kościołów i cmentarzy - termin "nadprzyrodzony" stał się synonimem rzeczy złych, zdeprawowanych. To wręcz element rozrywki.

Tymczasem prawdziwe zło niekoniecznie musi mieć postać deprawacji. Szatan, Lucyfer - nazwijmy go dowolnie,

był upadłym aniołem. W rzeczywistości w Biblii przedstawia się jako nieskończenie pięknego i mądrego. W Księdze Ezechiela, w rozdziale 28. sam Bóg rozpacza nad upadkiem szatana. Opisuje go tak: "Byłeś odbiciem doskonałości, pełen mądrości i niezrównanie piękny". W tym samym tekście Bóg opisuje najwspanialszą istotę, jaką kiedykolwiek stworzył. Nazywają "synem poranka" i "Lucyferem", co oznaczają "niosący światło". W żadnym wypadku nie ma to być przeraźliwy demon ze skrzydłami, rogami i ogonem, w którego każe nam wierzyć tradycja i specjaliści od rozrywki. Pozory zła, tak jak i grzech są bardzo kuszące. Zło potrafi również być bardzo ujmujące... jak to widzieliśmy przed chwilą.

- A wzmianka Labesse'a o władcy, Księciu Tego Świata? Czy odczytuje pan tutaj znaczenie imienia "Lucyfer"? - pytał Barton. Lewa powieka teologa zaczęła mocno drgać. Lovelace dotknął jej, by uspokoić podrażniony nerw.

- Większość ludzi wie, że Biblia ostrzega nas, iż Bóg oddał Ziemię we władanie Szatana. Nastąpiło to po strąceniu zbuntowanych aniołów z niebios i trwać ma przez określony czas. Okres ten powinien zakończyć się przepowiedzianą bitwą o Armageddon. Pod Armageddon dobro zatriumfuje i Szatan zostanie zniszczony na zawsze.

- Tak więc Książę Tego Świata to Szatan, a przecież Labesse twierdzi, że przyszedł, by zniszczyć władcę świata. Czy mogą to być słowa kogoś pozostającego w przymierzu ze złem?

Lovelace zdawał się zbierać myśli. Przemówił po chwili bardzo wyraźnie, ważąc każde słowo:

- To są słowa właśnie kogoś, kto sprzymierzył się ze złem. Szatana znamy też pod innym imieniem: Arcyklamca. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że wielu ludzi zostało zwiedzionych przez Diabła. -

Lovelace spojrział na O'Hare. - Powinni oni naprawdę głęboko przemyśleć to, co się teraz dzieje.

Barton podążył za spojrzeniem doktora Lovelace'a i zwrócił się ku ubranemu na czarno irlandzkiemu duchownemu.

- Ojciec Timothy! Czy Labesse to sługa Szatana?

O'Hara pochylił się do przodu, na jego twarzy wyraźnie było widać napięcie.

- Jak wiemy, dobro i zło to nie są dwa pojęcia oddzielone nieprzekraczalną, ustawioną przez Boga granicą. Naiwnym byłby ten,

kto zechciałby tak twierdzić. Doktor Lovelace dał nam najlepszy przykład właściwego pojmowania istoty zła, gdy mówił o "doskonałym" Szatanie, o istocie, która w naszych czasach mogłaby być opisana na przykład jako piękniejsza od filmowej gwiazdy. W ludzkiej postaci mogłaby to być osoba inteligentna, dowcipna, interesująca, o niezaprzeczalnej charyzmie. Szatan, co nie ulega wątpliwości, posiada również wielką moc! Któż jednak wyposażył go w te wszystkie atrybuty? Oczywiście Bóg, gdyż Bóg jest stwórcą Szatana. Bez żadnych wątpliwości. Jak dowiadujemy się z Biblii, Szatan był ulubieńcem... Nie! Nie ulubieńcem - raczej synem Boga. Patrząc chronologicznie, Lucyfer został stworzony przed Chrystusem. Był jednak zbyt doskonały. Nie miał absolutnie żadnych wad, zanim nie rozwinął w sobie tego, co później miało stać się największym i najniebezpieczniejszym grzechem człowieka - zachłanności! Nie chciał być dłużej drugim z najdoskonalszych. Chciał być pierwszym. Próbował dokonać czegoś, co teraz nazywamy zamachem stanu. Przegrał i Bóg go ukarał, nie niszcząc jednak Szatana całkowicie. Oddał mu we władanie nasz świat, stąd tytuł Władcy Tego Świata. Dlaczego? Dlaczego to coś tak potencjalnie groźnego? Dlatego, że jest oczywiste, iż Bóg nie zwyciężył w tej walce ostatecznie. Wiedział, że nawet najlepsze z istot jakie stworzył, są ułomne. Podjął więc długotrwałą wojnę z upadłym aniołem. My jesteśmy ofiarami tej wojny, gdyż jeśli nie będziemy umieli wykazać różnicy między dobrem a złem, między wolą Pana a pochlebstwami Lucyfera, zostaniemy potępieni na wieki. Największą tajemnicą w tym wszystkim - zwróćmy uwagę, że słowa "tajemnica" użył również Labesse - jest to, że Bóg sam siebie określa jako niepodzielną istotę będącą Wszystkim. Jest częścią wszystkiego, co stworzył i równoznacznie my jesteśmy Jego częścią, gdyż On powołała nas do istnienia. - O'Hara przerwał i spojrzał w kamerę. - Tak więc Szatan również jest częścią Boga, gdyż tylko Bóg mógł go stworzyć. Najdoskonalszą definicją Boga, jaką dane mi było poznać są Jego własne słowa: "Jam jest Alfa i Omega", "Pierwszy i Ostatni", "Początek i Koniec". Znaczenie tego zdania jest zupełnie zrozumiałe. Wszystko, każdy przedmiot, każdy człowiek to nierozdzielna część Boga. Dlatego jestem przekonany, że nie można oddzielić dobra od zła. Te dwa pojęcia są niejako równoległe i czasami absolutnie nie do odróżnienia. Zaryzykowałbym

nawet twierdzenie, że niekiedy wręcz się łączą. Dlatego Bóg w swej mądrości obiecał nam Pocieszyciela, doradcę, który ma przyjść w chwili, gdy najbardziej będziemy go potrzebować. Wierzę, że ów czas nadszedł i że nasz Pocieszyciel zjawił się, by wyjaśnić nam Bożą prawdę, a proszę mi wierzyć, że potrzebuje ona wyjaśnienia.

- Więc ksiądz wierzy, że Labesse jest "Pocieszycielem" zesłanym przez Boga? - zapytał Barton.

O'Hara uśmiechnął się gorzko.

- Zwróciłem uwagę na słowo, którego Labesse użył tak zręcznie - "tajemnica". Tutaj właśnie leży ów sekret. Bóg ostrzegając nas, zapowiada również pojawienie się fałszywego proroka, który pojawić się ma w momencie największego zamieszania. W Księdze Apokalipsy został opisany jako czyniący cuda człowiek, udający Mesjasza. Według biblijnego kalendarza wysłannicy dobra i zła mają się pojawić niedaleko od siebie. Pomijając na razie wyższe sprawy, patrząc bardziej przyziemnie... Pierre Labesse nie czyni cudów. Pomijam tu sprawę jego zmartwychwstania. Nie jest on również Żydem.

Udokumentowanym faktem jest bowiem to, że Labesse to francuski sierota, wychowany przez siostry zakonne we francuskim mieście portowym St Malo. Innymi słowy, nie jest Żydem, którym, według biblijnej zapowiedzi, ma być fałszywy prorok. Może Labesse po prostu ostrzega nas, że musimy być czujni?

Barton z dezaprobatą zmarszczył brwi. Irlandczyk wyraźnie unikał jednoznacznych deklaracji, grał na zwłokę. Dziennikarz zamierzał jednak wszelkimi możliwymi sposobami zmusić księdza do zajęcia jakiegoś określonego stanowiska.

- Zmartwychwstały święty nie jest więc fałszywym prorokiem. Nie odpowiada bowiem biblijnej przepowiedni. Czy wobec tego, wierzy ksiądz, że Labesse może być tym, za kogo każe nam się uważać? Pocieszycielem? - zapytał Barton.

Lovelace wtrącił się szybko:

- Czy mógłbym jeszcze coś powiedzieć, zanim ojciec Timothy zajmie ostateczne stanowisko? W Biblii można odnaleźć dokładne ostrzeżenie, mówiące, iż Bóg ześle uludę na świat i wszyscy, którzy nie uwierzyli prawdzie, zostaną potępieni. Innymi słowy to, co każe nam się uznawać za prawdę, jest kłamstwem. Wychodząc z takiego założenia, jeśli Labesse jest boskim wysłannikiem, powinni

śmy być ostrożni, rozważając jego słowa. Może nie być, jak powiedziałem wcześniej, chorym człowiekiem ulegającym złudzeniu. Możliwe, że został przysłany tutaj właśnie po to, by dopiero je stworzyć.

- Zesłany przez Boga? - Barton pytał z niedowierzaniem. - Czy mamy rozumieć teraz, doktorze Lovelace, iż jednak bierze pan pod uwagę związek Labesse'a z Bogiem? Pomimo swoich wcześniejszych wątpliwości?

Lovelace przez moment zawahał się.

- Powiedziałem... jeśli jest boskim wysłannikiem.

- Ojciec Timothy? - odwracając się zagadnął Barton.

- To, co powiedział doktor Lovelace, jest całkowitą prawdą. Istnieje ostrzeżenie przed ułudą. To będzie nasza największa próba.

- Niezależnie jednak od zamierzeń Labesse'a, wracając do mojego poprzedniego pytania, czy ksiądz wierzy, że Labesse jest tym, za kogo się podaje? Czy jest Pocieszycielem, boskim wysłannikiem, mającym nami pokierować?

- Wierzę, panie Barton, w to, co powiedział Labesse, czyli w to, że przebywał z Bogiem podczas dziewięciogodzinnego okresu swej śmierci. Jest faktem, że ludzie, którzy według wszelkich objawów jakiś czas przebywali w stanie śmierci klinicznej, doznawali pewnych wrażeń. Niektórzy nazywają je snami, ja nie. Dalekie są one od tego, co można by nazwać normalnym marzeniem sennym. Wierzę, że tacy ludzie doświadczyli przebłysku czegoś, co znajduje się po drugiej stronie. Pierre Labesse przeżył coś więcej. Ujrzał Boga w całej Jego chwale i słyszał Jego słowa. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że powinniśmy wysłuchać tego, co Labesse ma nam do powiedzenia. Modłę się, byśmy ignorując go, nie popełnili błędu, lub co gorzej, byśmy nie powtórzyli tragicznej pomyłki, takiej, jaka zdarzyła się już niegdyś w Kalwarii.

- Doktorze Lovelace - poprosił Barton. - Jaki jest pański ostami, krótki komentarz?

Lovelace poruszył się niezgrabnie.

- Mogę tylko powtórzyć moje wcześniejsze ostrzeżenie, biblijne ostrzeżenie, o możliwości zesłania ułudy. Jeśli Labesse nie jest szaleńcem, to w oczywisty sposób stwarza niebezpieczeństwo i może być uosobieniem największego zła. Przecież ogrom wszelkiej nieprawości już teraz zalewa nasz świat. Możemy to odczuć, zobaczyć

przejawy tego codziennie w waszym programie. Módlmy się wszyscy, panie Barton, byśmy nie stali się świadkami godziny, w której owo zło będzie u szczytu swej potęgi.

Ojciec Timothy O'Hara dostrzegł czekający w głębi ulicy czarny samochód. Ruszył powoli w jego stronę. Twarz jego zdradzała napięcie i głębokie zatroskanie. Doszedł do zaparkowanego auta i wsiadł.

Angielski kardynał uśmiechnął się i zastukał w szklaną przegrodę.

- Czy eminencja to widział? - zapytał Irlandczyk. Kardynał przytaknął.

O'Hara zamilkł, obserwując przesuwaną się za oknami Londyn nocą. Zastanawiał się: "Ciekawe, jakie to musi być uczucie, gdy człowiek niczym się nie przejmuje. Nie wierzy w nic, poza zawartością koperty z wypłatą na koniec tygodnia?".

Kardynał odezwał się:

- Myślę, że przekroczyłeś dzisiaj nasze dyrektywy.

O'Hara spojrział na swego zwierzchnika, potem znów wyjrzał przez okno.

- Pomiędzy obejrzeniem filmowego doniesienia z Jerozolimy i rozmową w studiu nie dano nam zbyt wiele czasu na zastanowienie. Labesse poruszył kwestie, które wymagały wyjaśnień, a wydane mi polecenia nie były ścisłe. Musiałem udzielić odpowiedzi od ręki.

Kardynał uśmiechnął się gorzko.

- Tak właśnie odbierze to Rzym: że myślisz ręką, a nie głową. Ja jednak tak nie uważam. Wydaje mi się, ojcze, że twoje odpowiedzi były niemal całkowicie spontaniczne. Sądzę, że zaczynasz powątpiewać w opinię Rzymu. Czyż nie mam racji?

O'Hara spojrział mu w oczy.

- Jest we mnie pewne przecucie, które mówi mi, a raczej mnie ostrzega, iż możemy tutaj popełnić błąd, eminencjo.

- Proszę, ojcze o konkretną odpowiedź na konkretne pytanie: Czy wierzysz, że Labesse został przysłany do nas przez Boga?

- On nie został przysłany do nas przez człowieka, eminencjo.

- Czy przychodzi od Boga, ojcze, to było moje pytanie?

- Spoza człowieka, spoza naszego zrozumienia - tak. Kardynał przez dłuższą chwilę przyglądał się swoim dłoniom.

O'Hara obserwował go uważnie, dostrzegając po raz pierwszy zakłopotanie, a nawet niepewność, na wychudzonej twarzy dostojnika, który w końcu odezwał się prawie szeptem:

-1 ja tak myślę.

- Więc, eminencjo, powiedz to Rzymowi! Powiedz, by zaprzestał tej... gry.

- To strategia - poprawił go kardynał. - Oni tego nie uczynią. Ja też nie. Nie mogę. Nawet w imię sumienia. Złożenie jakiegokolwiek publicznego oświadczenia rozpoczęłoby w Kościele wyniszczającą walkę na szczycie władzy. Na to nie możemy sobie pozwolić, nie wolno nam nawet o tym myśleć. Obydwaj jednak zgadzamy się, że Labesse przychodzi... skądś poza naszym pojmowaniem...

To nie musi oznaczać, że jego zamiarem jest niesienie dobra. Są przecież siły, które przejawiają oznaki niezwykle niszczyielskiego wpływu na wiarę, niezależnie od tego, skąd pochodzą.

- Nawet jeżeli ta siła, to sam Bóg?

- Tak, nawet jeżeli to jest Bóg. Kościół Święty został zbudowany, ustanowiony na mocnych fundamentach, którymi są niepodważalne prawdy naszej wiary. Bez tych elementarnych zasad, bez niezachwianego przekonania o ich słuszności i bez absolutnego posłuszeństwa, stajemy przed niebezpieczeństwem upadku Świątyni Pańskiej. Największą moją obawą w tej chwili, ojcze, jest lęk, iż możemy zostać doprowadzeni przez Labesse'a do sytuacji, gdy obrona prawd wiary stanie się tak wielkim przymusem, że rozwinię w nas "kompleks Samsona". Prędzej sami zburzymy swą świątynię, niż dopuścimy, by została zrujnowana czy też odmieniona.

- Eminencjo! Poproś o audiencję u Ojca Świętego, zwiierz mu się ze swych obaw. On bardziej niż ktokolwiek inny z żyjących jest w stanie je zrozumieć.

- To niemożliwe.

- Ależ eminencjo, przecież niezależnie od tego, jak bardzo jest on chory, może cię wysłuchać?

- Powiedziałem już, że to niemożliwe.

- Więc co nam pozostaje? Kardynał westchnął.

- To co zawsze. Posłuszeństwo.

- Mary? - zdziwił się Barton, wchodzący właśnie do hallu budynku ITN, tuż po zakończeniu programu. - Myślałem, że już wyszłaś. Potrząsnęła głową.

- Coś nie w porządku?

- Widziałam właśnie, kto siedział w samochodzie, którym odjechał O'Hara.

- Kto taki?

- Pewien Anglik, do którego zwracamy się "wasza eminencjo". Ten ważny.

Barton uniósł jedną brew.

- To był on? A więc? Kolejne argumenty potwierdzające twoją teorię, że Rzym chce zagmatwać sprawę Labesse'a. Dobrze, mogę zgodzić się, że O'Hara jest księdzem, który ciągle sprawia kłopoty swoim zwierzchnikom i że dostojnicy Kościoła zwykle unikają go jak zarazy. Takie spotkanie, to rzeczywiście coś dziwnego. Pomyślmy jednak realnie! Może nie podobają im się jego odpowiedzi? Może znowu mają do niego pretensje? Chryste! Jeśli o to właśnie chodzi, to czyż nie mogli poczekać?

- Nie - powiedziała stanowczo. - Szofer zaparkowałby wtedy przed głównym wejściem. Po cóż stawałby dalej, na ulicy?

- Widziałaś?

- Zostawiłam notatki w swoim wozie. Poszłam po nie. Zobaczyłam O'Hare idącego wprost do tamtego samochodu. Czarna limuzyna, Deimler, jak sądzę. Z oddzielnym szybą przednim siedzeniem. Nie mogłam tego nie zauważyć...

-1 widziałaś właśnie jego?

- Zaprosił O'Hare do samochodu. Wiem, że próbują zdyskredytować Labesse'a.

- Mary, jeżeli przestaniesz być obiektywna, zaszkodziś nam wszystkim.

- Wiem o tym.

- Idź do domu i spróbuj zapomnieć o tej sprawie.

- Jeszcze jedno - dodała pospiesznie. - Zgadnij, gdzie O'Hara zatrzymał się w Londynie?

- Na pewno nie u tamtego kardynała.

- Co powiesz na "Brown's Hotel"? Barton zdziwiony uniósł w górę brwi.

- Trochę zbyt wysokie progi jak dla O'Hary. Czy jesteś tego pewna?
- Tak, zostawił u nas numer telefonu - w "Brown's Hotel".
- Daj spokój, O'Hara nie sprzedałby swoich radykalnych poglądów za apartament w najlepszym hotelu. Nie kupuję tego. Przykro mi, kochanie.
- Jak myślisz, Jonty, ile on ma lat?
- Pięćdziesiątkę... może więcej.
- I starzeje się. Nie będzie już kardynalskiego kapelusza dla ojca Timothy'ego O'Hary i on dobrze o tym wie. Dawno zrezygnował z takich marzeń. Wie też na pewno, gdzie skończy - na jakiejś katolickiej Syberii. Bez publicznej pozycji pozwalającej dostrzec jego radykalizm i bez odrobiny wygody dla starych kości. Jeśli go w ogóle kupili, to musieli obiecać mu coś lepszego.
- W porządku - ostrożnie zgodził się Barton. - I co z tego? O'-Hara został kupiony. Ma rozdmuchać sprawę Labesse'a jak balon, o którym doskonale wiadomo, że prędzej czy później pęknie. W Rzymie wiedzą dobrze, że każde sensacyjne wydarzenie może uzyskać tak wielki rozgłos tylko przed nieuchronnym upadkiem, klapą. Co zamierzasz z tym zrobić?
- Nic. Wiesz, że nie jesteśmy w stanie niczego udowodnić. Watykan dobrze strzeże swych tajemnic, lepiej nawet niż Kreml. Tak mówią ci, którzy się na tym znają. Pamiętasz aferę z Banco Ambrosiano?
- A więc nie ma sprawy. Po co w ogóle zawracać sobie głowę? Wyrzuć to przez lewe ramię i pozwól Rzymowi bawić się w ich brudne gierki. Wszyscy tak robią. Kogo to obchodzi?
- Powiem ci, dlaczego mnie to niepokoi. Mam po prostu dziwne przeczucie co do osoby Labesse'a. Ten człowiek jest przekonywujący. On mnie przekonał, Jonty, a ja jestem najbardziej odpornym ptaszkiem w tej klatce. Myślę, że O'Hara ma wątpliwości. Coś mi się zdaje, że słowa Labesse'a docierają również i do niego.
- Był dzisiaj inny, Lovelace też. Przecież nieomal zaprzeczył sam sobie, prawie zmienił swoje poglądy.
- Słyszałam - powiedziała Mary, wygrzebując z torebki papierosa. Barton podał jej ogień.

- Co powiesz na drinka i filiżankę kawy? - zaproponował. - Chyba wpuszczą nas jeszcze do tej greckiej knajpki za rogiem?
Pokręciła przecząco głową.
- Mam to szczególne przekonanie, że wszystko się teraz zmieni. To dobre przeczucie i nie chcę, byśmy się zatrzymywali. Wierzę, że Labesse jest dla nas bardzo ważny.
- Ważny dla ludzkości?
- Do diabła z ludzkością! Chodzi mi o nas... o ciebie, o mnie, o tych nam najbliższych. Nie potrafię spojrzeć na to szerzej. To jest coś... osobistego. Rozumiesz?
- Może. Labesse jest z pewnością wręcz... nadprzyrodzony. Zgadzam się z tym, bo sam to czuję. Jest obdarzony mocą, skądkolwiek lub od kogokolwiek ona pochodzi...
- Jonty, nie chcę dzisiaj jechać do domu. Nie chcę być sama. Czuję się taka ożywiona, taka pełna radości.
- To wpadnij do mnie. U mnie jest pełno miejsca i możemy gadać przez pół nocy.
- Jako przyjaciele?
- Nic więcej! Włóż płaszcz!
- Jon, posłuchaj! Jak myślisz, co oni z nim zrobią? Z Labesse-'em.
- Oni?
- Oni... Watykan... ludzie... my! Barton westchnął.
- Jimmy Auslaire powiedział, że pewnie go ukrzyżujemy. Mary zadrżała.
- Przecież go nie zgładzimy, prawda?
- Barton ujął ją za ramię i obrócił w swoją stronę.
- Ty przecież lepiej niż inni ludzie znasz świat, w którym żyjemy. Sama odpowiedz sobie na to pytanie!
- Nie chcę, nie ośmieliłabym się.
- Wobec tego zapomnij o tym, co do niego czujesz. Nam nie wolno się w nic angażować. Jesteśmy tymi, którzy stoją z boku i tylko przekazują informacje. Pierre Labesse ogłosił, że udaje się do Rzymu. Jeżeli tak uczyni, my to pokażemy. Jeżeli tam nie pojedzie, poinformujemy i o tym. Nic więcej nie możemy zrobić.
- Mary chwyciła go mocno za ramię.

- Opowiedzieliśmy o nim - powiedziała. - Przynajmniej tyle zrobiliśmy.

- To jeszcze się nie skończyło. - Poprawił ją Jonathan Barton. - Minęły zaledwie trzy dni.

Przytulił Mary i razem wyszli na ulicę. Wstawał już nowy dzień.

157

Kardynał sekretarz stanu Giorgio Cinalli stał w oknie na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego. Witał nowy dzień z niepokojem, jego pewność siebie została zachwiana wystąpieniem Pierre'a La-besse'a w telewizji. Każde słowo wypowiedziane przez Labesse'a było jak uderzenie bicia, smagającego i tak już udręczoną duszę kardynała. Szczególnie jedno zdanie do tej chwili kołotało się po najdalszych zakamarkach zmęczonego umysłu. Labesse zamierza przybyć do Rzymu. Cinalli zacisnął zęby i odwrócił się do okna.

- Niech tak będzie! - mruknął do siebie.

Korespondencja na jego staroświeckim biurku ułożona była systematycznie, w sposób pozwalający mu dostrzec od razu, co wymaga natychmiastowej uwagi, które ze spraw mogą okazać się kłopotliwe, a także jakie kwestie były czysto formalne i wymagały jedynie zatwierdzenia przez jego biuro. Wyraźnie było w tym widać rękę sostituto. Organizacja władzy Cinallego prowadzona była przez Benito Marco bezbłędnie, co czasem wręcz niepokoiło sekretarza stanu, który dobrze wiedział, że człowiek tak polegający na kimkolwiek, łatwo może się znaleźć pod kontrolą podwładnego. Cinalli postanowił, że po rozwiązaniu sprawy Labesse'a ograniczy wpływy swego sekretarza. Rozległo się stukanie do wielkich, rzeźbionych drzwi. Wszedł sostituto.

- Są tutaj, eminencjo - powiedział Marco. Cinalli skinął głową. Do obszernego gabinetu wszedł ojciec Philippe Recamier, podtrzymujący starą siostrę zakonną z sierocińca w St Malo. Jezuita ucałował pierścień Cinallego. Staruszka, choć wyczerpana do granic wytrzymałości, postąpiła podobnie. Kardynał zmarszczył brwi i usiadł za biurkiem.

- Może rozsądnie byłoby, gdyby lekarz zbadał siostrę Teresę, zanim rozpoczniemy?

Marco spojrzał znacząco na twarz kardynała sekretarza.

- Eminencjo, już wezwałem lekarza. Ta sprawa jest dosyć pilna i powinna zostać załatwiona natychmiast. Siostra Teresa otrzyma najlepszą opiekę zaraz po tym, jak wyjawí swoją tajemnicę.

- Jeżeli jesteś pewien, że będzie w stanie!... - C inai li powątpiewał nadal, zaniepokojony.

Zakonnica odpowiedziała mu sama, odzywając się wzruszająco słabym głosem.

- Zgrzeszyłam, eminencjo. Proszę, wysłuchaj mojej spowiedzi. Cinalli wstał.

- Zaczekajcie na zewnątrz - polecił obu mężczyznom. Sostituto i Recamier wyszli razem do przedpokoju. Czekali w ciszy. Zza podwójnych drzwi gabinetu gdzie odbywała się spowiedź, dobiegał lekki szmer. Sostituto wziął papierosa ze srebrnego puzderka leżącego na stole, poczęstował również Recamiera. Podając ogień, Marco zapytał:

- Czy możliwe jest sprawdzenie tych informacji?

Twarz Recamiera była wyraźnie zmęczona. Jego normalnie wystające nieco kości policzkowe sterczały bardziej niż zwykle. Policzki i oczy wydawały się głębiej przez to jeszcze zapadnięte, co nadawało całemu obliczu trupi wyraz. Sostituto zauważył już wcześniej ową zmianę, lecz tłumaczył ją sobie zmęczeniem i brakiem snu.

- Słucham, monsignore?

Marco wykonał gest zniecierpliwienia.

- Skoncentruj się ojcze! Co byłoby w przypadku jakiejś próby sprawdzenia ustalonych przez ciebie faktów. Na przykład, gdyby przedostały się one, powiedzmy, do pewnych gazet lub agencji informacyjnych?

- Przywiozłem wam prawdę. Wszystkie śledztwa wykazałyby to samo. Jedyną niemożliwą do sprawdzenia jest informacja o żydowskim pochodzeniu Labesse'a. Nie ma sposobu, by prasa to odkryła, chyba, że waszym zamiarem jest, aby siostra Teresa wypowiedziała się publicznie?

- Zamiarem kardynała sekretarza, ojcze, nie moim. Nie mam władzy podejmowania takich decyzji.

- Oczywiście - powiedział Recamier, spoglądając w twarz Marco.

- Mam najszczęśliwszą nadzieję, ojcze, że twoja lojalność wobec Kościoła nie osłabła. Czy wciąż zgadzasz się z potrzebą naszych działań?

- Rozumiem ich powód, lecz muszę przyznać, że obawiam się o swoją duszę.

- Twoja dusza nie jest zagrożona - chłodno powiedział Marco.

- Odkryłeś prawdę, czyż nie tak? Nie sfalszowałeś przecież tych faktów?

- Nie.

- Więc czego się obawiasz?

Wyraz twarzy Recamera zmienił się wyraźnie.

- To coś ciągnie się za mną jak upiór. Niewidoczny, lecz wyraźnie obecny.

- Nazwij to.

- Nie mam odwagi.

Marco wyprostował się w fotelu.

- Psychiatra określiłby to jako lęk lub poczucie winy. Lęk przed złamaniem wpajanych od dzieciństwa reguł postępowania. Doświadczasz podświadomej reakcji wywołanej właśnie dręczącym cię poczuciem winy.

Na twarzy Recamera pojawił się dziwny uśmiech.

- Monsignore jest człowiekiem o niezwykle wysokiej inteligencji, podczas gdy ja kieruję się bardziej instynktem. Po prostu czuję, gdy coś nie jest tak. Monsignore zaś dedukuje i następnie znajduje wyjaśnienie wszystkiego. Tym razem odczuwam paniczny strach.

Gorzej! Obecność Zła. To nie jest poczucie winy.

- Przesady? Trudno mi w to uwierzyć! Zostawmy zabobony tam, gdzie jest ich miejsce - w średniowieczu razem z inkwizycją.

- Inkwizycja przecież wciąż istnieje, sostituto. Czy nie stosujemy jej w praktyce? Właśnie teraz? Czyż Pierre Labesse nie jest jej ofiarą? Stos, rozpalone żelazo, tortury - odeszły w niepamięć, lecz cel i rezultat działań pozostał ten sam. Chcecie zniszczyć inną istotę ludzką, która nie godzi się z waszą doktryną.

- Z doktryną Kościoła - poprawił Marco. - Jeżeli już odczuwasz obecność Zła, to wiedz, iż jego źródłem nie jest nikt inny, jak właśnie Pierre Labesse. To on jest Złem. To jego widmo wlecze się za tobą. Recamer skulił się ze strachu.

- Modłę się do Boga, byście to właśnie wy mieli rację, gdyż jeżeli to nie Labesse, to tutaj właśnie leży źródło Zła.

- Ojciec - ostrzegł Marco. - Radzę ci, uważaj na to co mówisz. Narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich Cinalli podtrzymujący zapłakaną zakonnicę.

- Teraz niech zajmą się nią lekarze - polecił. - Później przedyskutujemy nasze dalsze postępowanie.

Marco odprowadził siostrę, rzucając w stronę Recamiera złowrogie spojrzenie.

- Ojciec! - odezwał się kardynał sekretarz stanu. Recamier wszedł za nim do gabinetu.

Kardynał Cinalli siedział za biurkiem naprzeciwko Benito Marco i Recamiera, który zakończył właśnie swoją relację z tego, czego udało mu się dowiedzieć w St Malo. Sekretarz stanu, wyraźnie zakłopotany, wpatrywał się w pokryty freskami sufit. Wreszcie odezwał się do nich, gdy długotrwała cisza zdawała się być już nie do zniesienia.

- Czy ktoś jeszcze wie o tym wszystkim?

- My trzej, eminencjo, nikt więcej - odpowiedział Marco.

- Więc niech tak pozostanie.

- Eminencjo! - zaproponował Marco. - Chcąc wykorzystać te fakty z życia Labesse'a, musimy doprowadzić do ich ujawnienia.

Cinalli spojrział na swego sostituto.

- Benito, czasami najmądrzejsi z ludzi potrafią być zaskakująco głupi.

- Eminencjo?

Cinalli wolno potrząsnął głową.

- Rozważ to, co ustalił ojciec Recamier. Po pierwsze, Labesse jest Żydem. Dalej, według kobiety prowadzącej dom publiczny w St. Malo, przebywał wśród prostytutek i degeneratów, nie zszedł jednak na drogę występku. On tylko próbował ich nawrócić, nauczyć lepszego życia. Chciał je skłonić do porzucenia społeczności grzeszników i przestępców. Ludzie ci, zlekceważyli Boga, Pana Naszego i Jego naukę, lecz słuchali Labesse'a. Nie był on przecież jeszcze wtedy wyświęconym kapłanem, ale według tamtej kobiety, Simone, mówił w taki sposób, jakby był już księdzem! Ona powiedziała ojcu Recamierowi, że niektóre z jej... kobiet... odmieniły swe grzeszne życie.

- Eminencjo - przerwał mu Marco. - Proszę o wybaczenie... Przecież Labesse został później wezwany do Boga, więc jeśli Duch był z nim, mogło się to objawić w takich właśnie okolicznościach. Dla naszych celów nie jest to jednak istotne. Gazety, pokroju tych, które otrzymują te informacje, nie są zainteresowane drukowaniem pobożnych historii. One istnieją i osiągają zyski dzięki odsłanianiu brudów, świństw. To co wydrukują na temat Labesse'a połączy jego nazwisko z seksualnym skandalem, nawet jeśli rzeczywiście przekazywał on tylko prostytutkom jakąś wersję Ewangelii.

Cinalli uniósł brwi.

-1 to będzie wszystko, co napiszą? Naprawdę jesteś ślepy, Marco. Już usiłowaliśmy, dla naszych celów, sprawić, by Labesse stał się dla ludzi nie do przyjęcia. Przygotowałeś ów plan, by wszyscy prawdziwie wierzący odwrócili się od niego. Bardzo dobrze... Proszę cię więc, byś przez chwilę pomyślał o rewelacjach ojca Recamiera. Czyje życie było podobnie potępiane za związki z nierządnicami i złoczyńcami? Kto posiadał również moc uzdrawiania? Według tego, czego dowiedział się ojciec Recamier, Labesse posiadał taki dar. Kto również był Żydem?

Marco wpatrywał się w kardynała.

- Nie! - rzucił. - Nie powiem tego.

- Ty nie, lecz gazety z pewnością to uczynią. Po kilku sekundach od uzyskania tej informacji zdadzą sobie sprawę, że istnieje podobieństwo pomiędzy życiem buntowniczego, radykalnie myślącego Żyda z Nazaretu, czczonego przez nas jako Syna Bożego i życiem prostego francuskiego mnicha, powstałego z martwych, kanonizowanego przez nas. Wstępujemy tutaj na niepewny grunt. Zbyt niepewny. Chciałbym, by nawet kardynałowie nie dowiedzieli się o tym. Ojciec Recamier, niech ojciec zapomni o wszystkim, czego się dowiedział. Czy to jest zrozumiałe?

- Tak, eminencjo.

-1 wypełni ojciec to polecenie?

Wychudzona twarz Recamiera zdawała się wygładzać i rozjaśniać, jakby w otaczającej go ciemności pojawiło się jakieś światło.

- Eminencjo, wypełnię twoje rozkazy z radością.

Cinalli pochylił się do przodu, nie spuszczać oczu z Francuza.

- To dobrze. Ponadto uda się ojciec z siostrą Teresą do pewnego spokojnego miejsca i pozostanie tam, aż wszystko się zakończy.

Przygotuję wszystko osobiście. Teraz, proszę, niech ojciec zaczeka za drzwiami.

Recamier wstał, ucałował pierścień Cinallego i wyszedł wyprostowany, jakby pozbył się przygniatającego go ciężaru. Gdy za Re-camierem zamknęły się drzwi, Cinalli nie miał swych trosk.

- Benito, szczerze niepokoję się tym, co muszą teraz myśleć wierni, widząc nasze niezdecydowanie w sprawie kanonizacji La-besse'a. Mnisi w Jerozolimie wiedzą, że miała ona miejsce. Jak długo możemy milczeć.

- Obawiam się, że nie wolno nam dłużej milczeć, eminencjo. Dekret o kanonizacji znajdował się w apartamentach Ojca Świętego.

Roztropnie pozwoliłem sobie przynieść ów dokument tutaj.

Cinalli spojrział na swego sostituto piorunującym spojrzeniem.

- Przekraczasz swoje kompetencje. Uważaj!

- Eminencjo, przyjmuję naganę, lecz działam w twoim dobrze pojętym interesie. Jak na razie Kolegium Kardynalskie, jako całość, nie wie, co się stało z Ojcem Świętym. O wszystkim wiedzą jedynie wybrane przez eminencję osoby. Wkrótce znajdzie się eminencja pod presją kardynałów, domagających się, by potwierdzić papieski dekret lub by zaprzeczyć.

- Zaprzeczyć? Jakże mógłbym to uczynić?

- Zgadzam się, że byłoby to niemożliwe. Mam jednak pewną sugestię, która może być rozwiązaniem twego problemu, eminencjo.

Cinalli zwrócił uwagę na zaimkę "twój", lecz dał znak ręką, by sostituto mówił dalej.

- Eminencjo, jestem pewien, że znasz nazwę, którą kiedyś nosiła obecna Święta Kongregacja Do Spraw Wiary?

- Oczywiście. Kongregacja Świętej Inkwizycji Błędu Herezji.

Utworzona w roku 1542.

- Błąd herezji - powtórzył Marco - zeszłej nocy Pierre Labesse wyznał swą herezję całemu światu. Gdybyśmy mieli teraz rok 1542, zostałby natychmiast wyklęty.

- W roku 1542 - powiedział Cinalli - Labesse byłby już skazany. Marco ostrożnie przytaknął.

- Nie żyjemy teraz w roku 1542, eminencjo. Nasze metody są teraz bardziej cywilizowane! Nasze zarzuty przeciwko Labesse'o-wi są jednak teraz takie same, jakie byłyby i wtedy. To wymaga, by

był on obecny w Rzymie dla zbadania i jeśli to będzie konieczne, dla skorygowania jego nauki. Powinien zostać osadzony za swą zbrodnię przeciwko wierze. Jego stwierdzenia zdają się być heretyckie, lecz należy dać mu możliwość obrony, zanim dekret o kanonizacji zostanie potwierdzony. Cinalli zaprotestował.

- Dlaczego miałby nas usłuchać? Po cóż przyjeżdżałby tutaj do... - powstrzymał się,

Marco uśmiechnął się niewyraźnie.

- On przyjeżdża do Rzymu - wydusił z siebie Cinalli.

- Na nasze wezwanie - powiedział Marco. - Przynajmniej tak powinniśmy powiedzieć światu. Złożone wczoraj przez niego oświadczenie było odpowiedzią na nasze wezwanie. Jest przygotowany na to, by zostać przesłuchanym w Rzymie.

- A jeżeli zechce temu zaprzeczyć? A jeśli nie wejdzie na teren Watykanu? Cóż wtedy powiemy?

- Nie może nie przyjechać do Rzymu. Zapowiedział już swoje przybycie. Prace Kongregacji są tajne. Jeśli nawet Labesse zaprzeczy, że zgodził się poddać przesłuchaniu, powiemy po prostu, że postępowanie prowadzone przez Kongregację jest tajne. Zasugerujemy, lecz nie stwierdzimy stanowczo, iż to właśnie jest powodem jego zaprzeczania. Co zaś się tyczy przybycia Labesse'a do Watykanu... -

Marco wzruszył ramionami. - Któż wystąpi przeciwko nam, jeśli oświadczymy, że potajemnie stanął przed sądem duchownym. Kardynał wstał i napełnił dwa kieliszki winem. Jeden z nich dał swemu sostituto.

-1 cóż nam da taki wybieg?

- Czas, eminencjo. Jeżeli nie opóźnimy potwierdzenia dekretu Ojca Świętego o kanonizacji, sami poddamy się Labesse'owi. momencie, gdy ogłosimy wyniesienie na ołtarz Świętego Pierre'a, sami skazemy się na przegraną.

- Święty Pierre - powtórzył cicho Cinalli. - Słodki Boże, Piotr!

- Święty Piotr, eminencjo.

Cinalli przestał patrzeć na sostituto. Jego oczy spoczęły na lanej z brązu postaci ukrzyżowanego Chrystusa.

- Jak daleko musimy się posunąć - wyszeptał. - Jaka jest wola Pana?

Marco wstał, ujął dłoń sekretarza stanu i dotknął wargami kardynalskiego pierścienia.

- Wolą Boga jest, by chronić Kościół Święty Matkę Naszą.

- Za wszelką cenę?

- Nawet za cenę zbawienia naszych dusz, eminencjo. Chrystus polecił, by ci, którzy weń wierzą, odnaleźli i zniszczyli Antychrysta. Nie musimy go szukać. On sam do nas przychodzi.

Marco skłonił się i wyszedł. Giorgio Cinalli nadal siedział zgarbiony. Jego duże dłonie obejmowały kieliszek z winem. Odpowiedzialność za to, co miało się stać, przygniatała go straszliwym brzemieniem. Z trudem wyprostował się i nagle przysła mu na myśl strofa z angielskiego wiersza. Nauczył się go, będąc jeszcze uczniem. Już wtedy uświadomił sobie niezwykle znaczenie tych słów. Napisano je o Zbawicielu, o Jezusie Chrystusie:

Uciekałem przed Nim przez noce i dni; Uciekałem przed Nim na zakrętach lat; Uciekałem przed Nim splątanymi ścieżkami Mego umysłu; I wreszcie w łez ulewie Skryłem się przed Nim wśród nieustającego śmiechu.

Teraz, w chwili udręki, gdy przypomniał sobie nagle te słowa, wydało mu się, że poeta miał na myśli także Pierre'a Labesse'a. Tak jak przed Chrystusem, również i przed Labesse nie było ucieczki.

Klasztor w Jerozolimie na swym dziedzińcu miał ogród otoczony łagodnymi łukami krużganków. W ich cieniu mieściły się cele zakonników, kaplica i refektarz, w którym mnisi gromadzili się na posiłki. Ogród żywił braci zakonnych i dawał im wypoczynek. Był także miejscem przewidzianych regułą medytacji. W ogrodzie rosły drzewa pomarańczowe i daktylowe palmy, ciężkie od owoców. Były także krzewy winorośli pełne winogron, z których mnisi sporządzali wino. Mieściła się tam również sadzawka zasilana czystą, źródlaną wodą, służącą, między innymi, do podlewania roślin. Na kamiennej ławeczce otaczającej murek dookoła sadzawki, siedział wysoki, odziany w habit mężczyzna. Człowiek, w którym Rzym widział swego najgroźniejszego na Ziemi wroga. Przed nim, na

trawie, siedziała kobieta, która znalazła się pod jego urokiem, i która w przeciwieństwie do Watykanu wierzyła, że człowiek ów jest wysłannikiem Boga, czasami nawet myślała, że jest on kimś więcej niż tylko wysłannikiem. Pierre Labesse zwrócił twarz ku słońcu.

- Co mam zrobić w Rzymie? - pytała Catherine Weston w odpowiedzi na jego polecenia.

- Przygotować drogę - odparł wciąż odwrócony ku słońcu Labesse.

- Przecież twoi bracia czynią już wszelkie przygotowania. Cóż więcej mogę zrobić? Polecieś mi przecież wcześniej, bym pozostała przy tobie, bym słuchała cię i zapisywała twoje słowa. Dlaczego mnie teraz odsyłasz?

Labesse spojrział w dół i chwycił ręce dziewczyny, spoglądając na nią swymi niezwykłymi oczyma.

- Moi bracia przygotowują drogę dla mej terażniejszości. Ty musisz mi przygotować drogę na przyszłość.

Catherine potrząsnęła głową. Zdawało się, że jej włosy pojaśniały od słońca, chociaż była w Izraelu zaledwie cztery dni.

- Nie rozumiem - powiedziała.

Labesse uśmiechnął się, czym wprawił ją całą w drżenie. Rozejrzała się, nagle pomyślała, że jest po prostu głupia. Mężczyzna jeszcze mocniej ścisnął jej dłoń.

- Nadejdzie czas, kiedy zrozumiesz i wtedy ta wiedza stanie się twoją siłą.

- Czy sądzisz, że będę potrzebowała takiej siły?

- Więcej, niż jej posiadasz.

- Wtedy mogę się załamać.

Skóra wokół oczu Labesse zmarszczyła się, uwydatniając blizny na powiekach i na czole.

- Nie załamiesz się. Twoja miłość nie pozwoli ci ugiąć się pod żadnym położonym na twe barki ciężarem.

- Moja miłość do ciebie, Mistrzu?

- Twoje umiłowanie.

- Boję się.

- Czego?

- Boję się, gdyż wiem już Mistrzu, co może zostać ci uczynione, a wtedy może zabraknąć mi odwagi, by stanąć przy tobie.

Labesse przyciągnął ją do siebie i uściśnął. 170

- Będziesz ją miała.
- Tak jak Michael? - wyszeptała.
- Tak jak mój żołnierz - odparł Labesse i znów odwrócił twarz ku słońcu.

167

1.

Gdy chłopczyk dostrzegł ciało, było ono zaledwie wypukłością na grzbiecie fali, ciemną plamą na stalowoszarej powierzchni dzikiego, groźnego oceanu. Usiadł więc, przyglądając się cierpliwie. Nie czekało nań zbyt wiele zajęć, miał za to bardzo dużo czasu na rozmyślanie, podobnie jak wszyscy w tej części świata. Zwykle myślał o jedzeniu i o cieple. O jedzeniu, bo nigdy nie było go nawet tyle, by napelnić jego malutki żołądek, a o cieple dlatego, że nieustannie dokuczał mu chłód. Chłopiec myślał, że obie te rzeczy w jakiś sposób nierozdzielnie łączą się ze sobą. Jednak teraz całą uwagę skupił na ciemnym kształcie, powoli przybliżającym się do piaszczystego brzegu.

Chłopiec widział już wcześniej wielu topielców, po tym, jak zatopiono wielki okręt wojenny, nazwany imieniem bohatera narodowego. Widok umarłych nie budził w nim strachu. Nie bał się nawet takich ciał, które długo leżały w słonej wodzie i nie były już podobne do ludzkich zwłok. Czegóż miałby się lękać? Zwłoki były czasem ubrane, a ubrania oznaczały ciepło. To było najważniejsze i chłopiec bardzo dobrze zdawał sobie z tego sprawę.

Pamiętał, że niektóre spośród starszych dzieci miały szczęście znaleźć ciała marynarzy, których odzież nie była podarta lub spalona. Część ubrań nie była nawet za bardzo uszkodzona przez słoną wodę ani przez to, co żyło w wodach oceanu. Ksiądz przyłapał swych wychowanków na obdzieraniu zwłok i upomniał ich surowo. Ponieważ był litościwy, pozwolił im jednak zatrzymać przemoczone, poszarpane kawałki materiału, które kiedyś były marynarskimi mundurami. Zebrał porozrzucane strzępy odzienia, a słona woda zmoczyła jego zniszczone buty. Po wysuszeniu ubrań przy ognisku ojciec poszedł do oddalonej o dwie mile wioski, do kobiet, które znały się na szyciu ubrań.

Chłopczyk poszedł tam razem z nim i słyszał, jak ojciec prosił kobiety, by te zgodziły się przemienić tę stertę szmat w odzież dla jego malej, lecz wciąż powiększającej się gromadki sierot. Chłopiec był pod wrażeniem tych zabiegów, jak zresztą wszystkiego, co łączyło się z osobą ich księdza.

175

Jeśli chodzi o zawartość kieszeni ubrań po poległych marynarzach, sprawy przybierały zupełnie inny obrót. Ksiądz był tutaj nieustępliwy, wręcz surowy. 'Te rzeczy - powiedział dzieciom o łańcuszkach i obrączkach znalezionych przy zabitych - muszą zostać przekazane władzom". Ostrzegł również kobiety z wioski, na wypadek, gdyby znalazły coś zaszytego w kawałkach materiału. Jedna z kobiet zapytała kiedyś, dlaczego ksiądz nie weźmie pieniędzy dla siebie i swojej gromadki obdartusów. Popatrzył wtedy na nią z obrzydzeniem, jakby była robakiem, którego można rozgnieść obcasem buta. Ona przez chwilę mamrotała coś pod nosem, a potem zaczęła szyć szybciej niż inne.

Podczas długiej wędrówki z powrotem chłopiec zapytał, kto otrzyma pieniądze ze wszystkich znalezionych portfeli. Ksiądz zatrzymał się, wciąż trzymając go za rękę, przykucnął i odpowiedział: "Dzieci zabitych i ich matki". Wtedy chłopiec rozplakał się na myśl o swojej dawno utraconej matce, o mamie. Ksiądz wziął go "na barana" i niósł tak przez resztę drogi.

Następnego dnia dzieci wraz ze wszystkimi mieszkańcami wioski przyglądały się, jak ksiądz wsiada do rozklekotanego autobusu, zabierając ze sobą te wszystkie cenne przedmioty, zamknięte w pe-katej, skórzanej walizeczce. Wyruszył w długą, męczącą podróż na południe, tam, gdzie stacjonowali ludzie, latający wielkim srebrzystymi samolotami i pływający na ogromnych okrętach. Przed wejściem do autobusu ksiądz oświadczył wszystkim zgromadzonym, że stamtąd władze odeślą te rzeczy rodzinom poległych.

Podróż oczywiście była kosztowna. Ksiądz wierzył jednak, że władze zwrócą mu pieniądze za przejazd. Coś niesłychanego! Był cudzoziemcem i do tego trochę stukniętym, i dlatego można się było po nim czegoś podobnego spodziewać. 'Trzeba być szalonym - mówili niektórzy, gdy autobus zniknął już w oddali - by dobrowolnie podjąć się roli strażnika i opiekuna dzieci, których nikt przecież nie chciał tutaj, w tej zapomnianej przez Boga krainie".

Chłopiec obruszył się, słysząc taką zniewagę i razem z kilkoma odważniejszymi kolegami rzucił się na ludzi, którzy mieli śmiałość mówić takie rzeczy o księdzu, ich opiekunie, obrońcy i żywicielu. O ich "padre" - ojcu.

Wieśniacy przepędzili sieroty. Nie było to wcale dziwne. Potem jeszcze raz doszli do wniosku, że ksiądz nie miał prawa sprowadzić 176

w te strony tyłu bachorów jakichś obcych ludzi. Zaraz wszyscy przypomnieli sobie pogłoski, że duchowny powiązany jest z terrorystami w miastach na północy i że sieroty to nikt inny, jak potomstwo "desaparacedos" - ludzi, którzy zniknęli. Oczywiście rozmawiano o tym szeptem, gdyż takie historie niebezpiecznie było opowiadać na głos. Nie ośmielali się nawet wyobrazić sobie, co groziłoby im, gdyby zostali podsłuchani. Czyż to nie oni pozwolili księdzu osiedlić się w małym, opuszczonym kościółku, który potem własnoręcznie wyremontował? Czyż nie dostarczali mu materiałów potrzebnych do tej pracy i do budowy małego domku dla dzieci? Ksiądz kupował od nich żywność, czyż nie tak? Co gorsza, mieszkańcy wsi chodzili do jego kościoła! "Lepiej zostawić całą tę sprawę w spokoju - radzili mądrzejsi. - Trzeba skończyć z tymi niebezpiecznymi rozmowami, albo będziemy mieli na karku jednocześnie i władze, i partyzantów. Wszystko pokaże czas". Czasu nie brakowało przecież nikomu. Ciemny kształt znalazł się teraz na grzbiecie fali, która miała go wyrzucić na brzeg. Chłopiec wstał i, unikając fali, z całej siły chwycił ciało, zanim zostało ono ponownie zmyte przez morze. Zwłoki były zwęglone. Nie miały butów, nie miały w ogóle nóg, lecz tułów wraz z rękoma zachował się całości. Głowa wyglądała jak cokolwiek, ale nie jak głowa. Chłopiec stał nad spalonym ciałem, krzywiąc się z niezadowolenia i odrazy. Czuł się rozczarowany. Nie było ubrania, nie było ciepła. Pochylił się, by zepchnąć okaleczone szczątki z powrotem do morza, lecz nagle dostrzegł błysk złota na osmolonym palcu. Wyciągnął zwęglony korpus na brzeg, tak daleko, jak tylko potrafił. Potem przykucnął obok i ostrożnie odsłonił pierścień, oddzielając delikatnie płaty spalonej skóry. Wiele myśli kłębiło mu się w głowie, gdy oglądał nieoczekiwany podarek ofiarowany mu przez morze. Chciał zerwać go z wykrzywionej kończyny i uciec. Uciec daleko, tam gdzie ciepłe ubranie i pożywienie były czymś normalnym, gdzie nie było codziennej walki o przetrwanie. Z całej duszy pragnął to zrobić, lecz coś go powstrzymywało. Gdzieś głęboko w nim tkwiło uczucie miłości i szacunku dla księdza, jego przybranego ojca. Obejrzał przedmiot z bliska. Wyglądał na pierścień, który powinien nosić duchowny. Chłopiec wiedział, że już nigdy więcej nie

będzie mógł ofiarować tak cennej rzeczy człowiekowi, którego kocha. Wahając się, chwycił za pierścień. Zamknął oczy i szarpnął. Gdy znów otworzył oczy, ciężki klejnot pozostał w jego dłoni, a na piasku leżał zwęglony palec.

Chłopczyk rozejrzał się w obawie, że ktoś mógł być świadkiem jego czynu, lecz w zasięgu wzroku nie było nikogo. Szybko wytarł pierścień do czysta w połę swojej flanelowej kurtki, zrobionej ze starego marynarskiego munduru. Potem głęboko schował swój skarb.

Osobny problem stanowiło teraz ciało. Kiedy ksiądz otrzyma pierścień w podarunku, odgadnie natychmiast, skąd pochodzi ów dar. Było oczywiste, że tak cenny przedmiot nie mógł należeć do żadnego z dzieci czy też do ludzi z wioski. Było także pewne, że ksiądz będzie się gniewał i każe się zaprowadzić do miejsca, gdzie leży ciało.

Chłopiec spojrział na zimne fale. Wiedział, że wrzucone do morza ciało przyływ znów wyrzuci na brzeg. Można było zrobić tylko jedno.

Należało pochować zwłoki. Czy będzie miał na to dość siły?

Znalazł w sobie siłę. Częściowo z obawy przed gniewem księdza, a częściowo z chęci okazania przez cenny podarunek miłości temu, który dla niego i dla tylu innych dzieci był jak rodzony ojciec.

Spróbował najpierw ciągnąć zwłoki, potem je pchać, lecz nie przynosiło to żadnego rezultatu. W końcu udało mu się przetoczyć powoli ciało, tak jak czyniły to morskie fale, do miejsca, gdzie ocean nie mógł już dosięgnąć zwęglonych szczątków. Gołymi rękami wygrzebał w piasku płytki grób, który oznaczył kilkoma kamieniami. Zadowolony ze swego dzieła, choć trochę zmęczony, wyjął ponownie pierścień i tak długo polerował go rękawem kurtki, aż złoty krzyż pośrodku zaśnił w słońcu.

Nie wytrzymał ani chwili dłużej, pobiegł szybko, by ofiarować swój dar człowiekowi, którego kochał najbardziej ze wszystkich na świecie. Odszukał księdza, gdy ten, pogrążony w modlitwie, klęczał przed ubogim ołtarzem w kaplicy. Chłopczyk, czekając cierpliwie, usiadł na jednej z prostych ławek, które ksiądz zrobił własnoręcznie

nie z surowego drewna. Malec najchętniej zostawiłby pierścień na ołtarzu do chwili, gdy kapłan przyjdzie, by jak zwykle poprowadzić wieczorną modlitwę. Chłopiec cieszył się na myśl, że nareszcie na ich ołtarzu, oprócz drewna i żelaza kutego przez wiejskiego kowala, znalazłoby się coś cennego, podobnie jak w innych, nie tak biednych kościołach. Miało jednak być inaczej. Pierścień znajdował się w kieszeni kurtki dziecka, a ksiądz był już w kaplicy.

Upłynęła chyba cała wieczność zanim ksiądz powstał z klęczek, przeżegnał się i odwrócił od ołtarza. Uśmiechnął się i chłopiec poczuł, jak jego malutkie serce wypełnia radość. Nieczęsto dane mu było widzieć uśmiech na tej twarzy.

- Mały Eduardo - zaniepokoił się ksiądz. - Dlaczego siedzisz samotnie? Może chcesz modlić się razem ze mną?

- Ojcie, nie chcę się modlić. Czekałem.

- Czekaleś? Na kogo?

- Na ciebie, ojcie. Czekałem, aż skończysz modlitwę.

Gdy chłopiec włożył rękę do kieszeni, aby wydobyć pierścień, wszystkie słowa, tak starannie przygotowane na tą chwilę, uleciały mu z pamięci. Przepadło wszystko, co tak bardzo chciał powiedzieć: słowa wdzięczności, słowa uwielbienia i szacunku. Wszystko to i wiele jeszcze więcej uleciało jak smużki dymu z gaszonych świec.

Zamiast przygotowanego przemówienia wykrztusił więc tylko:

- Ojcie, kocham cię - i wyciągnął w stronę księdza dłoń z leżącym na niej przedmiotem.

Ksiądz zmrużył oczy i pobladł nagle. Jego twarz stała się tak kredowobiała, że chłopcu przypominała ona oblicze zmarłego niedawno starego kowala z wioski. Powoli krew zaróżowiła nieco policzki ojca Thomasa i chłopiec podziękował w duchu Najświętszej Paniency za to, że ksiądz jeszcze żyje. Duchowny przychodził do siebie. Po chwili, dziwnym głosem powiedział do malca:

- Mały Eduardo! Nie dbam o to, ile razy w przeszłości zdarzyło ci się skłamać. Nie obchodzi mnie nawet, czy jeszcze nadal kłamiesz. Ale teraz mów szczerze. Gdzie znalazłeś ten pierścień?

- To dla ciebie, ojcie. Żebyś go nosił. To piękny pierścień dla księdza. Chyba na całym świecie nie ma drugiego takiego!

Ksiądz przytaknął.

- Tak. Wszystko to prawda. Przyjmuję go od ciebie razem z twoją miłością. Doceniam i pierścień, i miłość całym moim sercem. Muszę jednak wiedzieć, Eduardo, gdzie to znalazłeś.

- Czy zatrzymasz pierścień? To prezent ode mnie. Zatrzymaj go dla kościoła. Przecież nie mamy złota.

Znów ksiądz skinął potakująco głową. Chociaż oczy patrzyły łagodnie, nie było w nich uśmiechu.

- Zatrzymam go dla kościoła. Gdzie? Gdzie, Mały Eduardo? Chłopiec wskazał w stronę ołtarza.

Ksiądz pokręcił głową.

- Nie. Gdzie to znalazłeś?

Eduardo wzruszył wąskimi, wychudzonymi ramionami.

- Tam gdzie znajduje się pierścienie i obrączki. Na ręce. Chyba zatonął następny wielki okręt wojenny. Tak myślę. Może będzie więcej ubrań dla nas?

Mówił to bez tchu, gdyż ksiądz wziął go pod pachę i biegł w stronę plaży.

- Ojcie! - wykrzyknął chłopiec. - Pochowałem go! Czy to źle? Ojciec Thomas w biegu pogłaskał chłopca po głowie. Po chwili byli już nad morzem. Zapadał zmierzch i z każdą chwilą niebo stawało się coraz ciemniejsze.

- Tam! - zawołał chłopiec. - Tam gdzie ten kopczyk z kamieni.

Ksiądz postawił Eduarda na ziemi i pognął we wskazanym kierunku. Gorączkowo zaczął kopać dłońmi w piasku. Malec przyniósł duży, płaski kamień mogący służyć jako łopatka, lecz płytko zakopane ciało było już widoczne.

- O! Mój Boże! - wykrzyknął ksiądz po angielsku. Zrozpaczony opuścił głowę i cicho zapłakał. Chłopiec był tym zdumiony.

- Ojcie! Znasz tego człowieka?

Ksiądz popatrzył na niego swymi załzawionymi oczyma.

- Jak ja jestem ojcem dla ciebie, tak on jest ojcem dla mnie. Był...

- To dlatego znalazłeś ten pierścień! - ciekawym głosem zawołał malec. - Twoje oczy powiedziały mi, że go znasz!

Ksiądz spróbował podnieść ciało, lecz natychmiast zrozumiał, że było to bezcelowe. Spalony człowiek nie żył już od dawna. Ojciec Thomas chwycił chłopca za ramiona.

- Mały Eduardo, zrób to dla innie. Zawołaj wszystkie dzieci i nazbierajcie drewna. Suchego drewna. Przenieście je tutaj. Przynieś mi też kanister benzyny, której używamy do małego silnika. Pójdiesz potem do kościoła i przyniesiesz mi święte przedmioty, które widziałeś tego dnia, kiedy chowaliśmy ojca kowala. Pamiętasz, gdzie je trzymam?

- Tak, ojciec. W małej szafce koło ołtarza. Czy będzie ci potrzebna również twoja Biblia?

Ksiądz przytaknął, wciąż wstrząśnięty tym, co ujrział.

- Pójdiesz ze mną, ojciec? - prosił chłopczyk. - Może inne dzieci nie będą chciały mnie posłuchać?

- Powiesz im, że czekam na wszystkich tutaj na plaży. Nie ruszę się stąd, zanim nie przyjdą.

- Pozostaniesz przy swoim tacie, tak jak syn kowala?

- Tak, Mały Eduardo. Zostanę z moim ojcem. Idź już i pośpiesz się! Pośród ciemnej nocy dzieci zebrały się cichutko, jakby dane im było stać się uczestnikami jakiejś wielkiej, niepojętej tajemnicy. Klęczały wraz z księdzem, gdy ten podpalił zwęglone zwłoki, dopełniając tego, czego wcześniej nie zdołała uczynić eksplozja i płomień.

Obserwowały go spod spuszczonej powiek. Widziały jego twarz, teraz kamienną maskę, pod którą ukrywał żal. Wydało im się później, że jego smutek zastąpiła żarliwość w modlitwie za zmarłego, gdyż bez wątpienia podczas tej ceremonii ich kapłan zachowywał się bardziej uroczyście i z większym namaszczeniem niż wtedy, gdy grzebano starego kowala. Zresztą gdyby nie ów patos, spędzenie tak długiego czasu na chłodzie wydałoby się dzieciom całkiem bezcelowe. Z ciała pozostało przecież tak niewiele. Myślały, że skoro Bóg miał otrzymać tylko połowę zwłok, to i cała ceremonia powinna chyba zostać skrócona. Pomimo to, znosiły chłód bez skargi. Chodziło tu przecież o ojca ich ukochanego księdza. Pierścień, który kapłan trzymał przez cały czas, był tego najlepszym dowodem. Ksiądz nigdy jednak, ani razu, nie nałożył tego pierścienia na swój palec, chociaż jako syn miał przecież do tego prawo!

Gdy kremacja została zakończona, ojciec Thomas zebrał najmniejsze nawet kawałeczki kości. Umieścił prochy w glinianym dzbanku, którego pokrywkę obwiązał drutem kupionym kiedyś do odbudowy kościoła. Kości owinał kawałkiem papy używanej do pokrywania dachu. Wraz z dziećmi poszedł następnie do kaplicy, przenosząc tam również oba pakunki. Przy akompaniamencie westchnień i wielu stłumionych ziewnięć dzieci przeprowadził kolejne obrzędy. W czasie ich trwania pierścień leżał na ołtarzu, lśniąc w blasku świec. Mały Eduardo cały promieniał. Na pewno żaden inny kościół na świecie nie miał tak pięknej ozdoby.

Straszny cios nastąpił dopiero wtedy, gdy dzieci były już tak zmęczone, że musiały szczypać się nawzajem, by nie zasnąć tam, gdzie klęczały.

Ojciec Thomas obrócił się w ich stronę z twarzą surową jak patagońska pustynia, na skraju której dane im było żyć. Powiedział dzieciom, że musi je opuścić.

Nastąpiła cisza. Straszliwa wiadomość powoli docierała do przemęczonych dziecięcych umysłów. Przerażone tym, że znowu ktoś je porzuci maluchy rozplakały się. Płacz ucichł dopiero dzięki wysiłkom starszych dzieci, a także na widok przygnębienia malującego się na twarzy kapłana.

- Nie na zawsze - pocieszał ojciec Thomas. - Tylko na jakiś czas, ale nie na zawsze. Wróć. Jestem przecież za was odpowiedzialny i nie mogę was opuścić.

Spośród swoich wychowanków wybrał dwoje najstarszych: Dużego Eduardo i Marię Rosę. Poprosił ich, by dopilnowali utrzymania kościoła i mieszkań dzieci, a także codziennych lekcji. Wszystkich zaś prosił o modlitwę w intencji jego zmarłego ojca oraz o bezpieczną podróż i szczęśliwy powrót ich opiekuna.

Dokąd wyjeżdżał? To pytanie pragnęli zadać księdzu wszyscy. Żadne z dzieci nie śmiało jednak tego uczynić, obawiając się, że cel podróży może być tak daleki, iż ich samotność stać się może przez to jeszcze gorsza. Prawdopodobnie duchowny zdawał sobie sprawę z tych obaw, gdyż nie wspomniał ani słowem o tym, dokąd chce się udać. Na koniec ojciec Thomas dał Dużemu Eduardo trochę pieniędzy na żywność i na wszelkie inne nagłe potrzeby. Zamiast zapewnić dzieciom poczucie bezpieczeństwa, wywołało to tylko kolejny wybuch płaczu. Surowo zganił więc swe pociechy za 182

brak wiary w Opatrzność Boską. To powstrzymało płacz. Dzieci potrzebowały w tej chwili ojcowskiej surowości, powodowanej przecież miłością.

Przywróciwszy spokój, ksiądz dopilnował, by wszyscy znaleźli się w łóżkach. Pobłogosławił wszystkie dzieci. Wydawało się, że nie płakał. Tylko najmłodsza dziewczynka - z twarzą poznaną strasznymi oparzeniami po wybuchu bomby benzynowej, która zniszczyła jej dom i rodzinę - przysięgała potem, że gdy ojciec Thomas ją pocałował, zostawił na jej twarzy słony i mokry ślad. Zapewniała później, że jeśli nawet były to łzy, to ksiądz przeznaczył je dla wszystkich dzieci, nie tylko dla niej. W skrytości ducha wierzyła jednak, nie bez powodu, że to właśnie ona była ulubienicą księdza.

Ksiądz siedział do świtu, patrząc na swe dzieci, a wcześniej rano, w towarzystwie całej swej gromadki poszedł do warsztatu kowala. Kupił tam małą, metalową skrzyneczkę z mocnym zamkiem. Wewnątrz umieścił pozostałości po swym ojcu, kilkakrotnie sprawdzając zamknięcie, gdyż kowal, podobnie jak inni mieszkańcy, był niesolidny w pracy.

Przez całą długą drogę do wioski Duży Eduardo niósł skórzaną walizeczkę księdza. Mały Eduardo był o to bardzo zazdrosny, chociaż, oczywiście, mały nie mógłby sam nieść tego bagażu zbyt daleko. Po wizycie u kowala udali się na przystanek autobusowy.

Wieśniacy gromadzili się powoli, jak zwykle ciekawi dokąd tym razem udaje się ksiądz, lecz ojciec Thomas nie wyjaśnił im nic prócz tego, że jego przyjaciele w dużych miastach na północy chcieliby dowiedzieć się, jak dobrze wypełnia on swe obowiązki. "Lub jak źle" - dodał złowieszczo.

Gdy w końcu przyjechał autobus, pozostawione pod opieką Dużego Eduardo dzieci pożegnały się z księdzem dzielnie, bez łez. Płacz słyhać było tylko za plecami Marii Rosy. Ojciec Thomas stanął na chwiejnym stopniu i spojrzał w stronę wieśniaków tym swoim lodowatym wzrokiem, którego oni tak się obawiali. Wszyscy zgodzili się później, że było to kategoryczne ostrzeżenie pod ich adresem. W autobusie usiadł oddzielnie, daleko od innych pasażerów. Obejrzał się tylko raz, gdy autobus ruszył. Podniósł rękę i pobłogosławił dzieci na pożegnanie.

Gdy rozklekotany pojazd zniknął już za szczytem wzniesienia, dzieci wybuchnęły płaczem i wieśniacy podeszli, by je uspokoić. Nie wiadomo, czy postąpili tak ze szczerego współczucia dla nieszczęśliwych sierot, czy też ze strachu przed niemą groźbą ich opiekuna.

Jedno było za to na pewno wiadome: znacznie mniej obawiali się samego Pana, niż gniewu ciemnowłosego, zamyślonego księdza, którego ze względu na jego zdecydowanie i wyprostowaną postawę nazywali "El Soldado de Deus" - Żołnierz Boga.

Baza Fuerza Aerea Argentina w Rio Gallegos była strzeżona tak, jakby była co najmniej ostatnią reductą w bitwie o Armageddon. Działka przeciwlotnicze celowały w szare puste niebo w pełnej gotowości do odparcia ataku z powietrza. Wokół bazy rozmieszczono stanowiska bojowe, osłonięte workami z piaskiem.

Argentyńczycy bali się brytyjskiej inwazji. Ich strach narastał z każdym startem myśliwców bombardujących uzbrojonych w śmiertcionośne rakiety.

Na wieży kontrolnej obserwatorzy śledzili niebo przez silne lornetki. Radary wypełniały to samo zadanie za pomocą elektroniki, o wiele bardziej skutecznie i na większych obszarach.

Strach nie był jednak spowodowany możliwością powietrznego uderzenia samolotów Royal Air Force. Wszyscy żołnierze i oficerowie byli przekonani, że z atakiem RAF-u potrafiliby sobie skutecznie poradzić. Źródłem strachu była legenda komandosów ze Special Air Service. "Niewidzialne diabły z SAS" - nie uważano ich bowiem za zwykłych ludzi - mogły pojawić się nagle jak widma. Zabijali bezgłośnie. Celem ich ataku mogły być samoloty, lecz ponieważ ludzie na ziemi bronili tych samolotów, musieliby także zginąć. Żołnierze wierzyli, że nikt kto widział spadochroniarza z SAS, nie pozostał żywy. Ludzie ginęli tam gdzie stali i nawet sanitariuszy trzeba było zmuszać, by zbliżyli się do ofiar. Nie z obawy przed pułapkami, choć i takie mogły być zastawione, lecz po prostu z racji panicznego, prawie zabobonnego lęku przed kontaktem z tymi, którzy zginęli z rąk diabłów.

Wartownicy wiedzieli, że muszą być niezwykle ostrożni. Napastnicy z SAS atakowali w przebraniu. Był to ich częsty sposób

działania. Dlatego żołnierze nie mogli ufać nikomu, gdyż w przeciwnym razie mogli zginąć nieświadomi tego, że umierają. Nic więc dziwnego, że gdy w pobliżu zewnętrznych posterunków dostrzeżono księdza z walizeczką i metalowym pudełkiem, został on bez ostrzeżenia ostrzelany z karabinów maszynowych. Podejrzenia żołnierzy co do jego osoby zdawały się potwierdzać. Ubrany w czarną sutannę mężczyzna zniknął zaraz po tym, jak pierwsze kule uderzyły w ziemię tuż przed nim. Ksiądz błyskawicznie przypadł do ziemi i ukrył się za małym kopczykiem. Gdyby nie zawołał w ich stronę, żołnierze nigdy nie dowiedzieliby się, gdzie leżał, schowany przed ich wzrokiem.

Oczywiście, nie wierzyli wcale, że jest księdzem. Zasypali go więc gradem kul, by powiedział prawdę. Ale mężczyzny w sutannie już tam nie było i kurz powstały w skutek uderzeń pocisków zasłonił tylko pole widzenia tak, że teraz wartownicy w panice ostrzeliwali każdy centymetr gruntu w zasięgu wzroku, podczas, gdy ksiądz zaszedł ich od tyłu. Znajdował się w tej chwili w ich wartowni osłoniętej workami z piaskiem.

Ich ciężki karabin maszynowy M-60 był unieruchomiony przez worki z piaskiem. Kiedy za nimi odezwał się niespodziewanie głos księdza, nie mogli zwrócić broni w jego stronę. Sami mogli się jednak swobodnie poruszać. Zainicjowali więc szybką akcję. Przez moment mogli marzyć o sławie bohaterów, opiewanych w pieśniach. Jeden z wartowników ruszył na księdza z bagnetem, drugi chciał chwycić karabin maszynowy. Obaj żołnierze musieli jednak zrezygnować z marzeń o sławie. Reakcja księdza była tak błyskawiczna, że nie zdążyli zauważyć jego ruchu. Spodziewali się zaatakować człowieka w sutannie, siedzącego w kucki za ich plecami. Nie było go tam. Tylko ręka twarda jak żelazo uderzyła w gardło człowieka z bagnetem, a ciężki zniszczony but księdza kopnął w brzuch żołnierza z karabinem. Cios był precyzyjny, miał nie uszkodzić serca, a tylko pozbawić wroga oddechu i unieruchomić. Żołnierze leżeli teraz na plecach, nie zdając sobie sprawy z tego, czym i jak zostali pokonani. Wydawało im się, że są martwi. Duchowny wyciągnął rękę do jednego z nich. W tym momencie upadł nieprzytomny na wartownika, powalony ciosem od tyłu.

Żaden z żołnierzy nie ośmieliłby się dotknąć metalowego pudełka i skórzanej walizeczki. Przedmioty te nadal leżały w miejscu,

gdzie ksiądz schronił się po raz pierwszy. Oucili go więc, uderzając po twarzy i zmusili, by niósł swój bagaż. Kroczył dziesięć jardów przed nimi, gdy prowadzili go do bazy. Kiedy upadł, podbiegali by go kopać, potem uciekali szybko. Wierzyli, że nadal może ich zabić, jeśli podejda zbyt blisko. Krzywdzenie leżącego i bezbronnoego było sposobem na odreagowanie strachu.

Komendant bazy pamiętał ojca Thomasa z jego poprzedniej wizyty miłosierdzia, kiedy to ksiądz przywiózł numerki identyfikacyjne i rzeczy osobiste należące do utopionych marynarzy z "Generała Belgrano". Zaczął więc natychmiast przeproszać księdza.

- Człowieka, który podjął tak długą podróż w tak szczytnych celach, nie mógłbym zapomnieć - zapewniał entuzjastycznie, dzwoniąc do oficera medycznego. - Strażnicy są z nowego poboru. Młodzi, prosto ze szkoły. Głupi, śmiertelnie przerażeni chłopcy. Wydawało im się, że obcy w sutannie to jeden z "czarnych diabłów" w przebraniu. Niech im ojciec wybaczy - prosił.

Lekarz spóźniał się, lecz przyszedł wreszcie i spojrzał z wyrzutem na ojca Thomasa.

- Jak na duchownego ma ksiądz ciężką rękę - zauważył. - Jeden z ludzi, z którym ksiądz walczył, ma złamane dwa żebra, drugi przez jakiś czas nie będzie mógł mówić.

Ksiądz obejrzał swe dłonie i powiedział:

- Jestem budowniczym i rolnikiem tak samo jak księdzem. Delikatne dłonie szybko twardnieją przy takiej pracy.

Doktor chrząknął znacząco i zbadał ranę zadaną kapłanowi kolbą karabinu w tył głowy.

- Będzie trochę księdza bolała głowa - zauważył.

- Już mnie boli - spokojnie przyznał duchowny.

- Niech ojciec to weźmie - poradził lekarz, wkładając kilka tabletek w dłoń Thomasa. - Trzeba założyć kilka szwów - powiedział i zabrał się do pracy.

Ojciec Thomas pozostał nieporuszony podczas całego zabiegu, nie reagując nawet wtedy, gdy igła przebijała skórę. Lekarz poklepał go po ramieniu.

- Zrobione. Chciałbym, żeby inni moi pacjenci siedzieli tak spokojnie.

- To młodzi chłopcy - wtrącił komendant. - Dajmy im jeszcze czas...

Doktor spakował torbę i zatrzymał się przy drzwiach. . Ci "chłopcy", których ksiądz uderzył, myśleli, że zabili księdza. Wciąż nie potrafią zrozumieć, jak to się stało, że ksiądz żyje.

- Prawie im się udało - odparł Thomas. - Nie miałem wyboru. Proszę im powiedzieć, że bardzo mi przykro, iż muszą przeze mnie cierpieć.

- Od kiedy walkę wręcz włączono do reguły Towarzystwa Jezusowego?

- Nie nauczyłem się tego w zakonie jezuitów, doktorze - uśmiechnął się Thomas. - W college'u, zanim trafiłem do zakonu, interesowałem się bardziej wschodnimi sztukami walki niż tak popularnymi na Zachodzie grammi zespołowymi.

- W takim razie niczego ksiądz nie zapomniał, jeżeli można tak powiedzieć.

Lekarz wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Co mogę dla ojca zrobić? - zapytał komendant, spoglądając na metalowe pudełko trzymane przez księdza. - Nie są to z pewnością przedmioty należące do naszych marynarzy?

Thomas pokręcił głową i skrzywił się z bólu.

- Czy mogę pana o coś zapytać, komendancie?

- Ależ oczywiście, proszę bardzo! - odrzekł oficer.

- Moja parafia nie ma żadnego kontaktu z otaczającym światem.

Mieszkam wśród rolników i nie mamy ani radia, ani telegrafu.

- Komunikacja stała się teraz bardzo trudna - przerwał mu komendant, marszcząc brwi. - Udostępniłbym ojcu nasze środki łączności, lecz musi ojciec zrozumieć naszą sytuację. Obowiązuje nas cisza radiowa, gdyż Brytyjczycy mogliby wykorzystywać nasze sygnały do celów wywiadowczych. Jesteśmy w bazie uderzeniowej, ojcze.

- Rozumiem. Może mógłby mi pan zrelacjonować jakieś wiadomości ze świata? Jakieś... oświadczenie... z Rzymu?

- Z Rzymu? - Komendant poruszył ramionami. - Nawet gdyby była jakaś wiadomość z Waszyngtonu lub Londynu, nie wiedziałbym o tym. - Uśmiechnął się. - Ojcze, obecnie rządzi nami junta wojskowa. To twarda grupa, która uważa, że w obecnej sytuacji wszelkie wiadomości z zewnątrz, osłabiłyby nasze morale. Bez wątplenia w Buenos Aires można usłyszeć audycje BBC czy też Głosu Ameryki, lecz nawet nasze własne programy są teraz cenzu

rowane. Gdybym włączył teraz to, co nadaje nasza stolica, usłyszałby ojciec muzykę wojskową i mnóstwo propagandy. Ponadto, proszę mi to wybaczyć, Kościół nie jest przez naszych przywódców zbyt lubiany. Bardzo wielu księży - ojca oczywiście wyłączam - jest głęboko zaangażowanych w działalność rewolucyjną. Ojciec swoim postępowaniem udowodnił patriotyzm, lecz inni księża? Przykro mi to stwierdzić, ale wielu katolickich duchownych zostało ostatnio aresztowanych za współpracę z rewolucjonistami. Kościół nie powinien wtrącać się do polityki. Rzym powinien wreszcie zrozumieć, że wolność należy chronić nawet za pomocą środków, które Kościołowi mogą się wydawać nie do przyjęcia.

Ojciec Thomas ostrożnie zbadł palcami swą ranę na głowie.

- Nie jestem politykiem, lecz bez wątpienia wolność nie może być chroniona. Z definicji musi być wolna, by dopiero mogła być atakowana. Chronić należy prawo do obrony wolności.

Komendant uśmiechnął się.

- Jak na kogoś, kto nie zajmuje się polityką, wygłosił ojciec zaskakująco polityczne stwierdzenie.

- Czy mogę prosić o papierosa? - zapytał zakonnik.

- Proszę bardzo, są w tym pudełku przed ojcem. Brytyjskie. To dziwne, wciąż palę papierosy przeciwnika. Niech ojciec sobie weźmie, ile potrzeba - pochylił się z zapalniczką nad biurkiem. - A więc? - zapytał. - W jaki jeszcze sposób mogę księdzu pomóc?

Thomas głęboko zaciągnął się papierosem, nie spuszczaając wzroku z oficera.

- Potrzebny mi transport. Samolot do Buenos Aires lub przynajmniej do waszej następnej bazy na północy.

Wojskowy wstał i wyraźnie zakłopotany podszedł do okna.

- Jesteśmy w stanie najwyższej gotowości, możemy być zmuszeni do natychmiastowej reakcji - wyjaśnił. - Wydarzył się zbrojny incydent między Brytyjczykami a nami. Straciliśmy jeden samolot Mirage, taki jakie ojciec tam widzi. Gdyby nasi piloci byli mniej doświadczeni, utracilibyśmy następne dwa. Uciekali przed wrogiem w najgorszych warunkach atmosferycznych. Chyba Bóg jest po naszej stronie - dodał, obserwując przez okno teren swojej jednostki.

W szybie widział odbicie postaci księdza. Zastanawiał go ten człowiek. Mężczyzna około czterdziestki, lecz z pewnością bardzo sprawny. Dlaczego wybrał stan duchowny, służbę Bogu i te inne niemożliwe do wykonania rzeczy? Taki człowiek powinien cieszyć się życiem. Kobiety nie byłyby przecież dla niego problemem. Jednak komendant już wcześniej zrozumiał, że nikt nie powinien zagłębiać się zbyt w dociekania o przeszłość księdza. Któż może powiedzieć lub zrozumieć, co skłania człowieka do porzucenia w imię ideału wszystkiego, co obiecywał los? Oczywiście sam był katolikiem i szczerze wierzył w Boga, Najświętszą Panienkę, Jezusa, jednakże były przecież pewne granice! Do służenia Bogu nadawali się inni ludzie, lepsi, mający do tego powołanie. Ten ksiądz wyglądał na człowieka, który trafił na łono Kościoła bardziej z adopcji niż z przekonania. Takie określenie nie było może dokładne, lecz najlepiej odzwierciedlało osobowość tego jezuitę. Twardy, mocny mężczyzna - nie muskularny, nie budzący strachu groźną posturą, lecz twardy. Twardy i cichy, jakby zamknięty w swoim wnętrzu. Jak miecz: najpierw dokładnie wyostrzony, a potem schowany do pochwy.

Ksiądz musiał być kiedyś świadkiem czyjejś nagłej śmierci. Tego komendant był pewny. Pozostawało pytanie, czy był tylko świadkiem, czy uczestnikiem wydarzeń. "Powołany - stwierdził oficer. - Ten ksiądz został w pewnym momencie powołany przez Boga i wtedy nastąpiła ta adopcja." Wyglądało jednak na to, iż nawet teraz pozostały w nim takie cechy, jak swoista dzikość i okrucieństwo, powściągane wewnętrzną dyscypliną. Były one zresztą o wiele bardziej niebezpieczne niż ślepa siła, na co wskazywał stan obu wartowników. Komendant odwrócił się w stronę księdza, siedzącego wciąż bardzo spokojnie i ściskającego kurczowo blaszane pudełko.

- Widzę tam, na zewnątrz samolot transportowy F 27 - odezwał się Thomas.

Komendant usiadł i uniósł brwi.

- Ach! Więc zna się ojciec na samolotach? Są moją pasją. Wszystkie typy. Od dwupłatowców po B-52. Czy ksiądz sam latał w przeszłości?

- Nie, ale jak wielu mężczyzn w moim wieku, mam za sobą okres służby wojskowej.

- Czy sprawiało to księdzu przyjemność?
- Komendancie, ten F 27 - nalegał Thomas, ignorując pytanie. Komendant wyjął pióro i na kartce z brulionu bardzo dokładnie narysował sylwetkę samolotu Fokker Friendship.
- To kwestia zasad. W jaki sposób będę mógł wyjaśnić swoim przełożonym, że pozwoliłem zwykłemu księdzu - proszę mi wybaczyć, ojciec - dać się przekonać, bym uszczuplił swe siły? Tak, wiem, F 27 nie przedstawia sobą żadnej wartości bojowej, lecz ojciec chyba jest w stanie mnie zrozumieć? Jestem wdzięczny za to, co ojciec uczynił kiedyś dla nas. Rodziny ofiar również są wdzięczne, ale...
- Czy jest pan katolikiem? - zapytał ojciec Thomas. Komendant uśmiechnął się słabo, zakłopotany nieco pytaniem, które odczuł jako próbę wywarcia moralnej presji.
- Oczywiście. Któż nie jest? Wszyscy są katolikami - usiłował zażartować, lecz oczy księdza nagle spoważniały. Wojskowy zaczął podnosić się z krzesła, sięgając równocześnie ręką w stronę interkomu, aby wezwać adiutanta.
- Thomas pochylił się do przodu i powstrzymał go.
- Nie zostawia mi pan innego wyboru, jak tylko opowiedzieć panu o wszystkim, choć wolałbym tego nie robić. Jeśli pan mi nie pomoże, złożę brzemię na pańskie ramiona.
- Ojciec, proszę!
- To ciężar, którym nie będzie się pan mógł podzielić nawet z pańskim najwyższym przełożonym.
- Przepraszam ojciec, może to ta ojca rana...
- To co będę zmuszony panu powiedzieć, może być bezpośrednio związane z tym wszystkim, co się w tej chwili tutaj dzieje, a może i z najgłębszym sensem potencjalnej wojny. Najpierw proszę mi jednak przysiąc, że nie wyjawisz pan nikomu tego, co powiem, zanim nie dotrę do celu mojej podróży.
- Komendant wpatrywał się w księdza, prawie całkowicie przekonany, że ma do czynienia z szaleńcem.
- Jestem przecież odpowiedzialny za...
- Ta odpowiedzialność jest większa. Obiecuję, że gdy z pańską pomocą osiągnę cel mojej podróży, będzie pan mógł wyjawić to, co panu muszę teraz powiedzieć.
- Co to za cel?

- Rzym, Watykan.
 - Dlaczego ojciec przychodzi tutaj, do mnie? Przecież może ojciec wybrać się pociągiem do stolicy i tam...
 - To trwałoby zbyt długo. Muszę lecieć zaraz! Wzrok komendanta spoczął na żelaznej skrzyneczce.
 - Trzyma ojciec to pudełko, jakby chodziło co najmniej o ojca życie. Czy właśnie to "coś" jest powodem podróży do Rzymu? Cóż takiego jest w środku, że oni muszą mieć to natychmiast?
 - Pańska przysięga, komendancie?
 - Nie mogę zgodzić się na coś takiego. Proszę mi wszystko powiedzieć, jeśli ksiądz musi, lecz przysięgać nie mogę.
- Thomas zastanawiał się przez chwilę.
- Dobrze - szepnął. Sięgnął pod swoją zabłoconą sutannę i położył na biurku, na brudnopisie, złoty pierścień. - Proszę tego nie dotykać! - uprzedził.
- Komendant wpatrywał się w lśniący przedmiot, jakby chciał dotknąć nadtopionego pierścienia.
- Czy poznaje pan ten pierścień? - pochylając się do przodu, zapytał Thomas, a jego pytanie było tak ciche, że być może wojskowy odczytał je tylko z wyrazu oczu księdza.
 - Ja... ja nie wiem? Krzyż? Wygląda na pierścień duchownego.
 - Więcej. To Pierścień Świętego Piotra. Pierścień wykonany dla Ojca Świętego w dniu jego wyboru. Tak dopasowany, że może być zdjęty srebrnymi szczypcami dopiero po śmierci papieża.
 - Niemożliwe!
 - Tak! To jest Pierścień Rybaka. Został zdjęty z ręki właściciela przez dziecko, zbyt małe, by mogło brać udział w jakiejś zмовie. Widziałem ostatniej nocy ciało, szczątki Ojca Świętego. Zwłoki były spalone tak, że nie można ich było rozpoznać, lecz ów pierścień pochodzi z ręki tego zmarłego.
 - Spalone? A więc może?
 - To był on. Znam ten pierścień. Całowałem go tutaj, w Argentynie, gdy papież odbywał pielgrzymkę do Ameryki Południowej. Nie mam żadnych wątpliwości, panie komendancie. Człowiek z pierścieniem był Ojcem Świętym. Zginął od jakiejś eksplozji, od bardzo gwałtownego wybuchu. Wydaje mi się, że była to jakaś katastrofa, podczas której eksplodowało łatwopalne paliwo, na przykład benzyna lotnicza.

Twarz komendanta stała się tak biała, jak kartka z notatnika, na którym leżał pierścień.

- Matko Boska - wyszeptał oficer. - Nasz zaginiony Mirage...

Brytyjczycy przesłali nam notę, w której stwierdzają, że nasz myśliwiec wziął udział w kolizji z niezidentyfikowanym samolotem. Nie uwierzyliśmy im. Nasi piloci, którzy wtedy stamtąd wrócili, przysięgali, że to brytyjska rakietka trafiła naszego Mirage.

- Oni kłamią - powiedział Thomas.

Komendant, mimo że przyszedł już do siebie, nadal się nie poruszył. Siedział cicho, prawie nie oddychając. Po chwili skrył twarz w dłoniach i zaczął cicho coś mówić. Thomas siedział w milczeniu, zamknawszy oczy, podczas gdy oficer się modlił.

Po kilku minutach ksiądz wyciągnął rękę i położył ją na głowie wojskowego. Komendant wolno podniósł wzrok.

- Ten ciągły stan pogotowia. Jesteśmy wszyscy u kresu... Ci piloci...

- To już się stało. Nic nie jest w stanie zmienić tego, co się wydarzyło.

- Przecież nie zostaliśmy powiadomieni o przyjeździe papieża.

Dlaczego leciał tutaj bez żadnego uprzedzenia? To istne szaleństwo!

- Może właśnie w ten sposób chciał zapobiec szaleństwu? Skoro pan nic nie wie o tej sprawie, a przecież wypadek nastąpić musiał w obszarze powietrznym pod pańskim nadzorem, możliwe, iż również w Buenos Aires i Londynie nic o tym nie wiedzą. Czy rozpoczęlibyście lotniczy atak na Malwiny, gdyby istniałyby choćby tylko przypuszczenia, że on tam przebywa?

- Nigdy. Junta nie ośmieliłaby się. Na pewno nie, gdyby samolot papieża tam wylądował i gdyby Ojciec Święty przez radio zawiadomił, że znajduje się na wyspach.

- A więc może to właśnie chciał uczynić w sekrecie. -1 jeden z moich pilotów go zabił! Dobry Boże!

- To wola nieba. Czy teraz mi pan pomoże?

- Oczywiście! - powiedział komendant, wpatrując się w żelazną skrzyneczkę.

- To jego prochy - wyjaśnił ojciec Thomas, uprzedzając jego pytanie.

- Jeśli papież naprawdę nie żyje, to dlaczego nie płacze po nim cały świat? - komendant pochylił się i wcisnął jakiś przycisk. Rozległa się muzyka wojskowa. Wyłączył radio ze złością. - Dlaczego wciąż to grają? Czy nie zdają sobie z niczego sprawy? A może to my się mylimy, ojcze?

Thomas zaprzeczył ruchem głowy.

- Wierzę, że oni nic nie wiedzą. Możliwe, że nawet cały świat nic nie wie. Jeśli była to sekretna misja pokojowa, to tylko kilka osób w samym Watykanie zostało o niej poinformowanych. Nie zdecydują się na żadne oficjalne oświadczenie w tej sprawie, zanim nie będą mieli niezbitego dowodu, że papież nie żyje. Dlatego bez zwłoki muszę lecieć do Rzymu.

- Dlatego też - dodał komendant - nie powinienem nic wyjaśniać władzom w Buenos Aires. Zaraz coś wymyślimy.

Przez interkom dowódca wydał swemu adiutantowi rozkazy w sprawie przygotowania do startu transportowego F 27 i trasy lotu do Buenos Aires. Gdy skończył, zwolnił przycisk mikrofonu i wziął kartkę papieru.

- To będzie ojciec powodem twojej podróży - mówił pisząc. - Pudelko, które ojciec trzyma, zawiera doczesne szczątki jednego z moich podwładnych. Mielśmy ostatnio śmiertelny wypadek podczas pracy przy ciężkim sprzęcie w głównym hangarze. Nasz mechanik został już pochowany, tutaj, w Rio Gallegos, lecz to nie ma najmniejszego znaczenia. Wypisuję właśnie specjalny rozkaz, dający ojcu prawo do oficjalnego użycia transportu wojskowego. Dołączę do tego kopię świadectwa zgonu. Zaznaczę w rozkazie, że zmarły był głęboko wierzącym katolikiem i życzył sobie, by jego prochy przewieziono do Rzymu. Ojciec na moją prośbę zgodził się dostarczyć tam urnę. Gdyby żądano dodatkowych wyjaśnień, niech ojciec powie, że jedzie do Rzymu z jakiegokolwiek innego powodu i że przy okazji zgodził się spełnić ostatnią wolę zmarłego. Na moją prośbę. Proszę nie zdradzać zbyt wielu szczegółów. Umysł wojskowego działa lepiej, mając do czynienia z bezpośrednim rozkazem. Taki właśnie rozkaz ojcu daję. - Postukał palcem w kartkę i ponownie wydał polecenia przez interkom. Tym razem nakazał, by natychmiast przygotowano kopię świadectwa zgonu mechanika lotniczego Josego Lucero. Znów zwrócił się ku Thomasowi.

- Zostanie ojciec przewieziony do bazy VII Brygady Lotniczej w Moron, dzielnicy Buenos Aires, a tam zażąda wojskowego transportu oraz eskorty podczas odprawy granicznej i celnej. Proszę mi wierzyć, że będzie to konieczne, jeśli zamierza ojciec przenieść przez granicę w tak niespokojnym czasie ten zamknięty, metalowy pojemnik.

Wszystko to jest tutaj, na piśmie, w moim rozkazie. Wystarczy pokazać te dokumenty i nie będzie żadnych kłopotów. Czy ma ojciec jakieś pytania? Może potrzeba pieniędzy? Niech mi będzie wolno ofiarować sumę wystarczającą przynajmniej na przelot do Europy. Nie, proszę się nie sprzeciwiać. Powinienem bez trudu uzyskać zwrot kosztów u mojego płatnika.

- Mam na wszelki wypadek trochę amerykańskich dolarów - zaczął duchowny. Oficer natychmiast mu przerwał.

- Więc proszę je zachować na inne wydatki. Dam księdzu tyle pieniędzy, że wystarczy na bilet powrotny. Mam nadzieję, że przyjedzie ojciec z powrotem?

- Oczywiście.

- Więc proszę wrócić wtedy tutaj i wszystko mi opowiedzieć. Teraz już czas się pożegnać.

Thomas wstał.

- Przykro mi, że musiałem pana obarczyć taką odpowiedzialnością, komendancie. Nie miałem jednak innego wyjścia.

Wojskowy odpowiedział na to machnięciem ręki, ponagłając księdza do wyjścia i wkładając w rękę duchownego podpisany i opieczętowny rozkaz oraz kopertę z banknotami. Na podziękowania ze strony ojca Thomasa zareagował ponownie niecierpliwym gestem dłoni.

W sąsiednim biurze, dowódca podniesionym głosem zażądał kopii aktu zgonu mechanika Lucero. Natychmiast otrzymał ten dokument i również wręczył go księdzu.

- Czy ojciec na pewno jest w stanie polecieć? A ta rana na głowie? - zapytał z niepokojem oficer, gdy wyszli z budynku komendantury.

- Proszę mnie tylko zaprowadzić do samolotu - odparł Thomas, wychodząc za wojskowym na pas startowy.

Dwusilnikowy Fokker F 27 stał oddalony o trzysta metrów od myśliwców.

- Pozwól mi ponieść twoją skrzyneczkę, ojcze - zaproponował komendant, gdy pośpiesznie zdążali w stronę samolotu. Thomas odmówił.

- Czwartym ślubem jezuitów jest całkowite posłuszeństwo papieżowi i obowiązek podjęcia wszystkich zleconych przez Ojca Świętego zadań. Ponieważ jego ciało trafiło do mnie, jestem z nim związany, tak samo z żywym, jak i umarłym. Nie mogę zrzec się tej odpowiedzialności. To moje brzemie, komendancie. Pan dźwiga swoje.

Gdy dotarli do samolotu, podwójne, turbośmigłowe silniki już pracowały. Załoga czekała na pokładzie. Przy schodkach komendant krzyknął:

- Pobłogosław mnie, ojcze!

Gdy Thomas uniósł swą dłoń, oficer przycisnął wargi do zimnego, metalowego pojemnika. Po raz pierwszy od chwili, kiedy poznał prawdę, stracił panowanie nad sobą i do oczu napłynęły mu łzy.

Jeszcze długo po starcie komendant stał na krawędzi pasa czekając, aż stalowy ptak zniknie w chmurach.

- Niech Bóg pomoże ci nieść tve brzemie, ojcze - powiedział półgłosem.

Port lotniczy Ezeiza koło Buenos Aires przypominał wielki statek pasażerski, który już za chwilę ma się pogrążyć w głębinach oceanu. Opętani strachem pasażerowie opuszczali tonący okręt, a na pokładzie pozostawała tylko załoga, zdenerwowana i wątpiąca w możliwość ocalenia.

Podróźni oblegali urzędników, którzy bardzo dokładnie sprawdzali wszystkie dokumenty. Posiadaczy brytyjskich paszportów odprawiano przy oddzielnym stanowisku. Spotykały ich tam wszelkie możliwe przykrości, zdarzały się nawet rękoczynny.

Jeden z tak potraktowanych pasażerów podnosił właśnie swój paszport z podłogi. Krew ze zmiążdżonych palców plamiła kartki dokumentu. Mężczyzna nie mógł wstać, nie pozwalał mu na to ból w okolicy nerek, skutek uderzenia tą samą pałką, którą okaleczono mu ręce. Nagle zauważył obok siebie czubki zniszczonych butów, wystające spod czarnego materiału i jakaś silna ręka pomogła mu się wyprostować na tyle, ile w tej chwili potrafił. Anglik obwiązał sobie zakrwawione palce chusteczką.

- Wielkie dzięki, ojczcie - powiedział Hanes-Aubury i zaczął rozcierać sobie posiniaczony kark i ramiona. - Wojny nie zaczynają się jednak na polach bitew - mówił, krzywiąc się z bólu. - Ci tutaj, rozpoczęli ją na lotnisku, kiedy tacy biedni głupcy jak ja postanowili się wreszcie stąd wynieść. Jestem na tyle dorosły, że powinienem być trochę mądrzejszy i wiedzieć, iż trzeba zwiewać wcześniej. Jezu! Potrafią zdrowo przyłożyć. Przepraszam, ojczcie, jeśli przypadkiem uraziłem. Mówi ksiądz po angielsku, prawda? Nie gadam czasem sam do siebie jak jakiś wariat?

- Odprowadzić pana do samolotu? - zaproponował ojciec Thomas.

- Jeśli kiedykolwiek zastanawiał się ksiądz, co stało się z Hitlerjugend, to oni wszyscy są teraz tutaj. Tyle, że już jako dorośli mężczyźni. O choroba! Ksiądz jest z opozycją. Przepraszam, że to powiedziałem. Thomas odwrócił się nieznacznie w stronę ubranego w lotniczy mundur żołnierza, który przywiózł go z bazy Moron.

- On nie zna ani słowa po angielsku. To tylko eskorta. Gdzie jest pański bagaż?
- Och, wysłano go już do sprawdzenia. Liczę na to, że coś jednak z niego zostanie. Co jest w tym stalowym pudełku na kapelusze? Potrójna korona?
- Którym samolotem pan leci? - ignorując kpiny Anglika, zapytał Thomas. Chciał już iść dalej. Lotnik stojący obok poruszył się niespokojnie, najwyraźniej nie chciał mieć nic wspólnego z człowiekiem, który naraził się władzom.
- Tym samym co i ksiądz, jak mi się zdaje, tylko wysiadam nieco wcześniej. Czy to nowy sposób na niepokornych duchownych; wyprowadzić pod eskortą z miasta? Zbliżył się ksiądz do lewego krawężnika?
- Muszę już iść, bardzo mi przykro.
- I ja też muszę, stary. Chodźmy. Nie wiem, czy dam radę wgra-molić się do autobusu.
- Gdy ruszyli w stronę wyjścia na płytę lotniska, żołnierz zaczął mówić coś po hiszpańsku.
- Denerwuje się, co? - zaciekawiał się Hanes-Aubury.
- Nastaly trudne czasy dla wszystkich - odparł Thomas.
- No cóż. Wszystkiemu jesteśmy winni my, Brytyjczycy.
- Na ostatnim z punktów kontrolnych, przed wejściem do samolotu, Thomas podziękował młodemu lotnikowi, który chyba poprosił o błogosławieństwo, gdyż ksiądz uczynił ręką znak krzyża nad głową żołnierza.
- Spodziewa się jakichś kłopotów? - dopytywał się Anglik, gdy wchodzili na pokład Boeinga 747.
- Wierzy, że brytyjska łódź podwodna z głowicami nuklearnymi otrzymała rozkaz zajęcia pozycji w pobliżu Buenos Aires.
- Jeśli oni w to wierzą, to nic dziwnego, że dostałem w skórę -wymamrotał ponuro Hanes-Aubury. Usiadł obok Thomasa, samowolnie zmieniając przydzielone mu miejsce. Spowodowało to kłótnię z jakimś spoconym Holendrem. Wreszcie dopchał się do nich steward, który już tutaj na ziemi zdawał się być kompletnie wyczerpany.
- Słabe serce - skłamał Hanes-Aubury. - Ksiądz tu obok będzie miał na mnie oko, gdybym czasem miał ochotę się przekręcić i gdybym potrzebował polecającego słówka do Pana Boga na drogę.

Proszę dać mu moje miejsce, przecież to nie stanowi żadnej różnicy. Steward odprowadził rozgniewanego Holendra, a Hanes-Aubury zapiął pasy.

- Ma może ksiądz jakiś kubek? - zapytał, wydobywając ze swej pogniecionej marynarki płaską, metalową buteleczkę.

Thomas zaprzeczył ruchem głowy i zamknął oczy. Silniki jęknęły podczas uruchamiania elektronicznego rozrusznika. Potem zagrzmiały, wprawiając samolot w drżenie, gdy ich ton stopniowo narastał.

Hanes-Aubury zerknął na swego leżącego bezwładnie w fotelu sąsiada, przechylił się ku niemu i zapiął klamrę pasa.

- Argentyńczycy chyba dali ci popalić, bratku! - mruknął i spróbował zdjąć stalowe pudełko z kolan duchownego. Pomimo kamiennego snu palce księdza były kurczowo zaciśnięte na uchwycie kasetki. - W porządku, chciałem tylko, żeby było ojcu wygodniej, to wszystko. To nie żadna kradzież.

Thomas tylko coś wymamrotał i spał dalej. Odrzutowiec ruszył wzdłuż pasa startowego i uniósł się ociężale w niebo.

Ojciec Thomas obudził się. Odwrócił głowę w lewo. Powoli wracał do siebie.

- W porządku ojcie - odezwał się Hanes-Aubury. - Wciąż lecimy. Kostucha nas jeszcze nie zabrała.

Thomas potarł swój kark i skrzywił się z bólu. Dotknął rany z tyłu głowy.

- Też księdzu przyłożyli, co? - powiedział Anglik. - Proszę wypić. Trzeba się trochę wzmocnić i przy okazji przepłukać gardło. Jesteśmy w powietrzu już pięć godzin. Czas leci!

Thomas odchylił się na siedzeniu i zerknął przez iluminator. Na zewnątrz było ciemno. Sięgnął do kieszeni w fałdach sutanny i znalazł tabletki przeciwbólowe, które dostał od lekarza na lotnisku wojskowym w Rio Gallegos. Połknął jedną, odmawiając przyjęcia podsuwanej przez współtowarzysza butelki.

- Poznajmy się - zaproponował Anglik. - Hanes-Aubury, Ber-tram, tak samo jak Russel. A ksiądz?

- Thomas. -A dalej?

- Po prostu Thomas. Ojciec Thomas.
- 1 słusznie, po co komu więcej. Moje nazwisko wygląda dość okazale, bo rodzice mieli wygórowane ambicje. Zabrakło im jednak cierpliwości. Co to za banda zdzieliła ojca po głowie?
- To nie ma znaczenia - znużonym głosem odpowiedział ksiądz.
- Dla ojca może nie, dla mnie tak. - Hanes-Aubury wyciągnął wizytówkę. Widniała na niej informacja, że jest on korespondentem znanej brytyjskiej gazety.
- Przykro mi - powiedział Thomas i znów zaczął masować swój kark. - Nie mam dla pana nic ciekawego.
- Szkoda.
- Jezuita przytaknął i obrócił się.
- Dlaczego pan jedzie do Włoch, panie Aubury? Czy zbiera pan informacje do jakiegoś artykułu?
- Anglik wyciągnął srebrną piersiówkę. Otworzył ją.
- Ksiądz dalej nic? - zapytał, potem wzruszył ramionami i pociągnął głęboki łyk whisky. - To taka gonitwa za niczym - powiedział. - Wyrzucili mnie Argentyńcy, więc pomyślałem sobie, że powinienem pójść innym śladem. Kolega przebywający w Rio kupił od pracownika tamtejszego lotniska pewną informację. Samolot Lockheed Jetstar zatrzymał się tam dla uzupełnienia paliwa. W ostatnią sobotę. Prywatny odrzutowiec, wersja dyrektorska, zarejestrowany w Mediolanie. Pod skrzydłami miał dodatkowe zbiorniki paliwa. Załoga pozostała na pokładzie. Światło w głównej kabinie było zgaszone, a pasażerowie spali podczas tankowania. Człowiek wlewający benzynę musiał wejść na skrzydło i zerknął do środka. Zasłony wszystkich iluminatorów były zasunięte, lecz w jednej z nich była szpara i udało mu się zajrzeć do środka, a może ktoś wyjrzał na zewnątrz. W każdym razie, według tego człowieka od paliwa, gość, którego udało mu się zobaczyć w samolocie, to był ojca szef. Teraz wydaje się to co najmniej dziwne, bo jak ojciec pewnie wie, on nie pokazuje się od soboty, a Watykan niezmiennie ogłasza światu, że papież jest przeziębiony.
- Nie wiedziałem - powiedział obojętnie Thomas. - Moja parafia leży daleko na południu, w Patagonii. Wiadomości z trudem tam docierają.
- Jak w całej Argentynie, ojciec. Jeśli się nie mylę ta cholerna strzelanina może się znowu zacząć.

Thomas wygrzebał z kieszeni pudełko papierosów i poczęstował Anglika.

- Nie widzę powodów, dla których Rzym miałby ogłaszać fałszywe wiadomości o chorobie Ojca Świętego.

- A może papież próbował bawić się w tę starą grę z rozbrojeniem? Może wybrał się po kryjomu do Buenos Aires, wyblagać coś w imię Boga i rozsądku? Junta tego nie posłucha, ojciec. Ta nowa banda jest gorsza niż w Chile. Wiem coś o tym.

- Więc co pan teraz planuje uczynić? - dociekał Thomas, wciąż patrząc uważnie na Anglika.

Hanes-Aubury znów pociągnął z butelki.

- Zrobić sobie przystanek w Mediolanie. Sprawdzić właściciela jetstara, przycisnąć go do muru, a potem dostać nagrodę Pulitzera. Thomas skinął głową i zgasił papierosa w popielniczce.

- Słyszał ojciec o tym waszym "zmartwychwstałym świętym?"

- zapytał wesoło Hanes-Aubury.

- Proszę?

- To mnich. Twierdzi, że jest świętym. Beatyfikowany, kanonizowany, był w niebie, gadał z Wszechmogącym i wrócił. Niedawno udzielał wywiadu. Coś wspaniałego.

- Nie rozumiem - powiedział Thomas zakłopotany.

- Trochę za dużo wypilem, przepraszam. No i ta wysokość. Zawsze tak jest.

- Co z tym mnichem?

- Świętym - poprawił Anglik. - Zszedł z tego świata, potem zmienił zdanie. Myślę, że to zwykła pomyłka lekarzy. Często tak się zdarza, proszę sprawdzić w szpitalach. Niech ojciec sobie wyobrazi, że on ładnie to wykorzystał. Stygmaty, wiadomość od Boga

- cytuję - "Niebiosa są tutaj", nie bójcie się ludzie, wszystko będzie w porządku - obrócił się nagle nieoczekiwanie bardzo rozzłoszczony. - Guzik prawda! Nic nie będzie w porządku. Widział ojciec przecież sam. Był tam ojciec! Religia? Przepraszam, ale chyba lepiej niech ksiądz po prostu sprzedaje odkurzacze - wciągną te parę grzechów i wyjdzie na to samo.

- Przykro mi, że pan tak to czuje - powiedział Thomas. - Staramy się czynić, ile tylko potrafimy. Widocznie to nie wystarcza.

Dziennikarz opadł na fotel. Był pod wyraźnym wpływem alkoholu.

. Gdzie przebywa ten zakonnik? - zapytał Thomas, domyślając się, że jego rozmówca musiał już wcześniej sporo wypić. '- Który?

. Właśnie pan o nim wspominał.

- On? W Jerozolimie, gdzieżby indziej? Mówilem, że to sobie zaplanował. Najlepsze miejsce na świecie, jeśli się chce zmartwychwstać. Planuje też przybyć do Rzymu. Ojciec się z nim spotka - zamknął oczy. - Proszę go pozdrowić. On pewnie myśli, że Watykan zapewni mu prawo do świętości oficjalnie i z pieczętą. Niestety! Nic podobnego. Oni postąpili z nim jak Piłat, umyli ręce: "Zamykamy sklep, przepraszamy, proszę wyjść drzwiami dla dostawców. Żadnych dowcipnisiów, żadnych nie chcianych świętych, dziękujemy!". Muszę się teraz trochę zdrzemnąć, ojcie. Proszę obudzić mnie w Mediolanie, albo jak będą podawali za darmo coś do picia.

- Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej - powiedział Thomas. - Franciszkanin, Padre Pio, miał również stygmaty i dar jasnowidzenia, lecz jego przepowiednie odczytano jako apokryfy, ich boskie pochodzenie nie zostało uznane. Nie ma powodu, dla którego Watykan miałby inaczej potraktować tego mnicha. Czy pańska gazeta przyjąłaby do druku notatkę, za którą nie stałyby żadne fakty? Nie wydaje mi się. Nie można obwiniać Rzymu za odmowę uznania lub skomentowania przepowiedni tego człowieka. To postawiłoby pod znakiem zapytania wszystko, do czego dąży Kościół.

- Tak, to prawda, co ojciec mówi - wymamrotał Hanes-Aubury zasypiając. Lot ciągnął się w nieskończoność i ojciec Thomas spał także do chwili, gdy został obudzony na posiłek. Jadł w milczeniu, podczas gdy jego towarzysz mlaskał obok, zamawiając dodatkową whisky, którą pochłaniał w nieprawdopodobnych ilościach. Po raz drugi obudzili się podczas międzylądowania w Dakarze.

W końcu koła potężnego jumbo-jeta uderzyły o beton lotniska w Mediolanie i Thomas pożegnał się z przepitym dziennikarzem, życząc mu powodzenia. Życzenia te były chyba jednak nie całkiem szczerze. Ksiądz czuł się teraz kiepsko. Prawie dwadzieścia cztery godziny minęły od chwili, gdy wsiadł na pokład 747 w Buenos Aires. Usiadł wygodniej w fotelu przed ostatnim etapem lotu do międzynarodowego portu lotniczego Fiumicino.

Pochylony w kierunku iluminatora spojrział na Wieczne Miasto, skąpane w jesiennym słońcu. W dole trasy komunikacyjne rozbiegały się we wszystkich kierunkach, mijając po drodze starożytne pomniki i budowle, którym udało się jakoś na razie przetrwać mimo starań ludzi usiłujących zniszczyć je i siebie samych.

Thomas przestawił swój zegarek na czas rzymski, dowiadując się, że jest już po szesnastej. Po paru minutach samolot dotknął kołami płyty lotniska Fiumicino. Ksiądz odpiął pas, ze schowka nad głową wyjął walizeczkę i ruszył powoli w stronę schodków.

Minęło wiele lat i wrócił tu znowu. Ucieszyłoby go to może, gdyby nie kasetka, którą przyciskał do piersi. Wrócił pogrążony w żalu.

Wkrótce to miasto wraz z całym światem podzieli jego smutek.

Kroczył przed siebie. Czuł się tak strasznie samotny i tęsknił do swoich dzieci.

Gdy ojciec Thomas wsiadał do taksówki na postoju przed głównym budynkiem dworca lotniczego, Catherine Weston przeszła właśnie przez odprawę celną po przylocie samolotu El Al z Tel Avivu. Gdyby nie zatrzymywała się po drodze, aby wymienić niewielką sumę w szterlingach na liry, którymi chciała zapłacić za taksówkę, widziałaby odjeżdżającego księdza.

Jak się okazało, wzięła trzecią z kolei taksówkę po tej, którą odjechał ojciec Thomas. Poleciała kierowcy zawieźć się najpierw do hotelu i poczekać tam, aż ona się zamelduje. Uporała się z tym bardzo szybko.

Nie oglądała pokoju, odświeżyła się tylko i wróciła do taksówki.

Wydała kierowcy następne polecenia dotyczące odwiedzin w kilku redakcjach różnych rzymskich gazet, a także w miejscowym przedstawicielstwie znanej agencji informacyjnej. Załatwiwszy wreszcie wszystkie sprawy w imieniu człowieka, który przez kilka ostatnich krótkich dni tak nieoczekiwanie zmienił i odnowił jej życie, poleciała teraz kierowcy zawieźć się przez Via della Conzililazione na plac Świętego Piotra. Wysiadła tam z samochodu i przez dziesięć minut przyglądała się słynnemu miejscu. Plac ów nie ma kształtu prostokąta, krawędzie są zaokrąglone, a zachodnia strona przechodzi w podłużny, szeroki dziedziniec przed Bazyliką Świętego Piotra. Z lotu ptaka plac przypomina pękatą butelkę lub antyczną wazę.

Podczas gdy kierowca czekał cierpliwie, ciesząc się z rosnącego rachunku, który miała zapłacić piękna signorina, Catherine przeszła wzdłuż kolumny Berniniego, na południu zaokrąglonej części placu, potem znów zbliżyła się ku środkowi, mijając monumentalny obelisk Kaliguli, sterczący w górę jak oskarżający palec Boga. Tylko jeden raz, gdy wsiadała znów do taksówki, spojrzała na mury Watykanu. "Goliat - pomyślała na wpeł rozbawiona - a ja przygotuję drogę dla Dawida."

- Papież chory - powiedział taksówkarz, wskazując na tłum gromadzący się pod oknami papieskich apartamentów. - Oni czekają. Kiedy poczuje się lepiej, wszędzie tutaj będzie pełno. Może pół miliona ludzi przyjedzie... Zbyt wielu ludzi.

"Może przyjadą wcześniej" - pomyślała Catherine i poleciała odwieźć się z powrotem do hotelu. Odwróciła się, by spojrzeć przez okno na pozostający z tyłu plac i poczuła nagle niepokojący, przerażający wręcz skurcz serca. Zamknęła oczy. "Mistrzu - przygotowałam ci drogę" - powiedziała w myśli, kierując swe słowa ku Jerozolimie. Ojciec Thomas pojechał wprost do Watykanu. Znalazł się na miejscu, znacznie wcześniej. Na małej uliczce Via del Belvedere zapłacił kierowcy w dolarach, nie mając przy sobie włoskich pieniędzy i podszedł do szwajcarskiego gwardzisty. Strażnik nie był ubrany w ceremonialny strój, nosił zwykły, niebiesko-czarny mundur, gdyż wejście na teren Watykanu od strony Porta Santa Anna uważane jest za podrzędne w porównaniu do Spiżowej Bramy Pałacu Apostolskiego i Łuku Dzwonów. Ku zaniepokojeniu strażnika Thomas poprosił, by jeden z ludzi watykańskiego Centralnego Biura Ochrony - tutejszej brygady antyterrorystycznej - odprowadził go do siedziby Sekretariatu Stanu. Szwajcarski gwardzista zerknął na zamknięte metalowe pudełko i ruszył w stronę telefonu. Mężczyzna podający się za jezuitę, brodaty i o dzikim wyglądzie, został zatrzymany w strażnicy na czas rozmowy.

Ojciec Thomas celowo wybrał tylne wejście. Zdawał sobie sprawę, że użycie któregoś innego mogłoby spowodować kłopoty, gdyż w żadnym wypadku nie zamierzał ujawnić celu swego przyjazdu jakiemuś mało znaczącemu duchownemu. Był tylko jeden człowiek, z którym chciał się zobaczyć i aby to osiągnąć nie miał

innego wyboru, jak tylko spowodować coś w rodzaju alarmu. Użyciem tego samego sposobu przy zatłoczonej Spiżowej Bramie lub przy Łuku Dzwonów zwróciłoby na siebie uwagę wielu ludzi. Jego sprawa przestałaby być sekretem.

Żądanie ojca Thomasa zostało spełnione. Niejeden, lecz trzech mężczyzn w szarobrązowych mundurach przybiegło i stanęło dookoła niego. Zachowywali się tak, że przypadkowy widz nie zorientowałby się, że chodzi im właśnie o dziwnego księdza. On zaś wiedział, iż ma do czynienia z profesjonalistami, którzy zabiliby go, gdyby zaistniała taka konieczność. Bez wahania podał im więc swoją walizeczkę i metalowe pudełko, potem wyjął paszport, dokumenty kościelne i wreszcie powrotny bilet lotniczy do stolicy Argentyny.

Dla ludzi z ochrony było oczywiste, że człowiek, którego zatrzymali, był terrorystą, albo, jeśli był prawdziwym księdzem, to na pewno związanym z ruchem socjalistycznym. W metalowej skrzynce przybysza mogła się znajdować bomba, a jeśli jej tam nawet nie było, człowiek sympatyzujący z marksizmem, jak wszyscy teologowie wyzwolenia, ktoś, kto być może walczył ramię w ramię z lewicowymi partyzantami w Ameryce Łacińskiej, mógłby nieźle narozrabiać pozostawiony "bez opieki" wśród zagorzałych konserwatystów watykańskich. Ochrona Stolicy Apostolskiej nie mogła podejmować takiego ryzyka, dlatego trzech mężczyźni potraktowali przybysza bez zbędnej uprzejmości.

Jeden z agentów, chyba najstarszy stopniem, sprawdził dokładnie każdy dokument ojca Thomasa, podczas gdy pozostali dwaj rozglądali się czujnie dookoła. Pod ich bluzami rysowały się wyraźnie pistolety schowane w kaburach pod pachą.

Dowódca przyjrzał się uważnie jezuitcie, porównując twarz Thomasa ze zdjęciem w paszporcie. To, co ujrzał, wprawilo go w zakłopotanie. Stał przed mężczyzną więcej niż średniego wzrostu, ubranym w zakurzoną, miejscami powycieraną sutannę z brudną koloratką.

Broda człowieka na fotografii była mniejsza i twarz młodsza o jakieś pięć lat, lecz bez wątplenia był to ten sam ojciec Thomas. Zdradzały to natychmiast oczy, ciemne, skrywające jakąś ponurą tajemnicę - aparat fotograficzny uchwycił to doskonale.

Spojrzenie tych oczu trudno było określić. Było twarde i jednocześnie bez wyrazu, spokojne, ale z iskrą dzikości. Zbyt wiele tych przeciwieństw.

Dowódca obrzucił ulicę szybkim spojrzeniem. Zapadał już zmierzch i w pobliżu kręciło się zaledwie kilka osób. Niewielka grupka turystów z kamerami filmowymi i aparatami fotograficznymi zdradzała wyraźnie zainteresowanie tym, co zaszło.

- Zrobimy mu kontrolę osobistą, ale musimy najpierw zejść z ulicy - powiedział oficer ochrony. - Lepiej, żeby ci gapie niczego nie filmowali. No! Ojczy, jeśli rzeczywiście jesteś księdzem, to żadnych sztuczek, bo się pogniewamy. Zrozumiano?

Thomas przytaknął całkiem spokojnie, co jeszcze bardziej zaniepokoiło agentów ochrony. Wiedzieli, jak deprymująca może być ich obecność dla podejrzanego. A ten dziwny człowiek zdawał się tym nie przejmować. Wyglądało na to, że zaplanował wszystko dokładnie, przewidując z wyprzedzeniem ich poczynania.

- Chodźmy - odezwał się jeden ze strażników.

- Stać! - rzucił szybko ich dowódca. - Ta skrzynka. Nie mam zamiaru jej otwierać, zanim nie zostanie sprawdzona przez specjalistów od ładunków wybuchowych. Na razie niech to zostanie tutaj. Będziemy musieli usunąć turystów.

- Jeśli zaangażujecie w to kogokolwiek z zewnątrz, nawet policję lub wojsko, obiecuję wam, że już jutro będziecie bez pracy - odezwał się Thomas. - Mam na szyi klucz do tej kłódki, lecz użyć go może jedynie kardynał sekretarz stanu. Zawartość pudełka przeznaczona jest tylko do jego wglądu. Radzę wam zadzwonić do jego sostituto i poinformować go o tym.

Dowódca skinął głową, uśmiechając się lekko.

- Oczywiście. Tylko kardynał sekretarz. My zaniesiemy to do niego i nagle pozostanie z kardynała tylko wielka, czerwona plama na dziełach Michała Anioła. I za to, że do tego nie dopuścimy, mamy stracić pracę? Ojczy, jesteś tak śmieszny, że rozbawiłbyś do lez moją żonę. Dziękuję ci jednak. Potwierdziłeś, że to co masz w tej skrzynce na pewno nie jest niczym dobrym. Wezwiemy specjalistów, by rozmontowali to gdzieś w bezpiecznym miejscu. Masz kłopoty, przyjacielu. - Sięgnął do telefonu.

Thomas popatrzył na niego spokojnie i oświadczył:

- Powiedziałem prawdę. Jeżeli postanowiliście nie wierzyć mi, nie jestem w stanie zmienić waszego zdania. Mogę zrobić tylko jedno. W chwili gdy pan połączy się z zewnętrznymi władzami, mogę pana zabić, nawet gdyby dwu pańskich ludzi trzymało mnie na celowniku. Zdążę również unieszkodliwić jednego z nich, zanim drugi mnie wykończy.

- Jesteś duchownym, ojcze! - kpiąco zaśmiał się dowódca. - Musisz przestrzegać szóstego przykazania.

- To wariat - powiedział inny ze strażników.

- Możliwe - zmęczonym głosem rzekł Thomas. - Dotarłem już blisko celu, a to, o co mi chodzi, jest zbyt ważne.

Oficer dotknął telefonu, jego oczy spotkały się ze spojrzeniem księdza. Musiał dostrzec w źrenicach zatrzymanego coś, co sprawiło, że nie uniósł słuchawki.

- Co jest w pudełku? - zapytał ostrożnie.

- Tylko kardynał sekretarz może to wiedzieć.

- Nie zostawiasz mi wyboru, ojcze. Thomas zawahał się i powiedział:

- Zadzwońcie do sostituto. Powiedzcie mu, że zatrzymaliście tutaj jezuitę i że do wyłącznej wiadomości kardynała sekretarza stanu przekazuję te słowa: "Spełniam czwarty ślub Towarzystwa Jezusowego, nawet w obliczu śmierci". Zróbcie to. Możecie mi wierzyć, że nie będziecie żałować.

Mężczyzna nieufnie obserwował Thomasa. W końcu skinął potakująco głową. Podniósł słuchawkę i poprosił sostituto. Gdy Marco podszedł do telefonu, oficer powtórzył to, co mu powiedziano.

Poinformował również, że Thomas przybył z Argentyny i jest bez wątplenia niebezpieczny. Przez jakiś czas w słuchawce panowała cisza, wreszcie głos Marco rzucił coś szybko w odpowiedzi. Dowódca skinął głową, jego czoło zmarszczyło się. Po chwili powiedział:

- Monsignore, ten człowiek ma paczkę. Odmawia wyjawienia jej zawartości i twierdzi, że otworzyć ją może jedynie kardynał sekretarz. To takie metalowe pudełko, monsignore, zamknięte na klucz. Może tam być bomba. - Wysłuchał odpowiedzi, potem podał mikrotelefon Thomasowi. - Sostituto chce mówić z ojcem.

Thomas podniósł słuchawkę do ucha.

- Co jest w pudełku, ojcze? - nagle zapytał sostituto.

- Dowód - wyjaśnił krótko Thomas.

- Proszę dać mi ponownie oficera ochrony - rzekł Marco. Mężczyzna wziął mikrotelefon z ręki księdza i przez chwilę słuchał uważnie. Potem odłożył słuchawkę na widelki.

- Dobrze. Idziemy na górę - powiedział trochę zaniepokojony, wciąż nie mogąc wyzbyć się podejrzeń. - Zanim to zrobimy, zatrzymamy się jeszcze i zapakujemy to do pojemnika z piaskiem.

- Świetnie - zgodził się Thomas - lecz to ja będę niósł pudełko. Oficer obejrzał skrzyneczkę dokładnie, badając jej powierzchnię opuszkami palców w poszukiwaniu ukrytego detonatora. Potem sam sprawdził jeszcze raz wszystkie kieszenie Thomasa. Tylko częściowo uspokojony cofnął się i ponownie zmierzył wzrokiem postać jezuitę. Sięgnął przed siebie i odpiął metalową bransoletkę zegarka księdza.

- Nadmiar ostrożności nie zawadzi - rzekł. - Urządzenie do zdalnego odpalania ładunków można obecnie zamontować wszędzie. Dobrze, proszę bardzo, ojcze. Możesz nieść skrzynkę. Chodźmy przekonać się, co ma do powiedzenia monsignore sostituto. Jeśli uczynisz coś, co mi się nie spodoba, możemy zrobić ci krzywdę. Jasne? On chce z tobą rozmawiać, więc żebyś nie stracił głosu, będziemy strzelali poniżej pasa. Ja nie żartuję!

Zwartą grupą wyszli ze strażnicy przy bramie, obserwowani przez turystów, zmierzając w stronę przejścia podziemnego do Gortilo del Belvedere. Przeszli przez dziedziniec i weszli do Pałacu Apostolskiego. Zatrzymali się tutaj. Dwu z agentów przyniosło wiadra przeciwpożarowe wypełnione piaskiem. Położyli pudełko w jednym i przykryli drugim, odwracając je tak, że nie rozsypało się zbyt wiele piasku.

- Myślisz, że uniesiesz to, ojcze? A może będziesz jednak potrzebował pomocy? - zaśmiał się jeden ze strażników.

Thomas spojrzął na mówiącego, przykucnął, objął ramionami dolne wiadro i wyprostował się bez wysiłku.

- Dobrze - powiedział dowódca - trzecie piętro. Monsignore Marco powiedział, że będzie czekał.

Gdy wsiedli do windy, wszyscy trzej agenci ochrony wydobyli z kabur swoje automatyczne beretty i trzymali teraz pistolety w dłoniach.

- Tam na górze - oficer mruknął tuż przy uchu Thomasa - nasza odpowiedzialność jest maksymalna, nie bawimy się już w okaleczanie. Zabijamy. Nawet jeśli istnieje ryzyko popełnienia pomyłki. Jeśli cokolwiek wyda się nam podejrzane, będziemy strzelać, aby zabić. Każdy z nas. Nigdy nie uda ci się ominąć agentów ochrony i dotrzeć na najwyższe piętro. Nikomu nie uda się dosięgnąć papieża.

Thomas czuł świdrujący wzrok dowódcy stojącego tak, jak i on, przy tylnej ścianie kabiny. Patrzył jednak wciąż na dwu strażników przed sobą, trzymających pistolety w wyprostowanych rękach. Jeden z mężczyzn mierzył w jego głowę, drugi celował niżej, w pierś, ponad wiadrami z piaskiem. Gdy winda zatrzymała się, jezuita poczuł zimny ucisk za lewym uchem. Usłyszał szcęk odwodzonego kurka tak wyraźnie, jakby dźwięk ten rozlegał się wewnątrz głowy.

- Idź powoli i spokojnie - ostrzegł oficer.

Sostituto Benito Marco czekał przed windą. Stał w bezpiecznej odległości.

- Dokładnie przeszukany? - zapytał.

- Nie aż do samej skóry, monsignore. Nie mieliśmy czasu.

- Ojcze, proszę wnieść to do mojego biura - polecił Marco i wskazał drogę. We wnętrzu Thomas będący wciąż pod lufami pistoletów, postawił swoje brzemie na dywanie. Piasek zaczął wysypywać się ze szczeliny pomiędzy wiadrami.

Marco pogratulował oficerowi z uśmiechem.

- Mądry środek ostrożności - powiedział. - proszę teraz objąć straż za drzwiami.

Oficer zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy. Marco uśmiechnął się.

Jeśli przeciwko komukolwiek został przygotowany zamach, grozi to tylko Ojcu Świętemu. Aby tego dokonać, ten człowiek musiałby przejść przez drzwi i obok was. Chciałbym pomówić z przyprorowadzonym przez was księdzem na osobności. Jeśli jest zamachowcem, zabije mnie, lecz wam nie ujdzie. A to jest właśnie ważne. Zostańcie proszę za drzwiami.

Trzyosobowa grupka niechętnie opuściła pokój. Dowódca wyjął klucz z zamka w drzwiach.

- Monsignore, przykro mi, lecz muszę teraz zamknąć to pomieszczenie od zewnątrz. Ostrzegam, że jeśli ten mężczyzna weźmie

monsignore jako zakładnika, będziemy strzelać, nawet gdyby kule musiały przejść przez ciało waszej eminencji.

Marco odpowiedział na to przerażające ostrzeżenie niedbałym ruchem głowy i poczekał, aż klucz przekręci się w zamku. Spojrzał na Thomasa.

- Czwarty ślub zakonu jezuitów dotyczy specjalnego posłuszeństwa papieżowi i podejmowania wszelkich zadań zleconych przez niego. Przekazałeś mi słowa, w których twierdzisz, że wypełniasz to zobowiązanie w obliczu śmierci. Jeżeli sam żyjesz, chociaż wyglądasz niezbyt dobrze, nie chodzi tu o spełnienie tego ślubu wobec jakiegoś zagrożenia twojego życia. Tak więc chodzi tu o kogoś znacznie ważniejszego niż ty sam. Wybacz mi, ojcze, moje brutalne, chociaż prawidłowe rozumowanie. Wspomniałeś o jakimś dowodzie?

- Chcę widzieć się z kardynałem sekretarzem stanu - oświadczył Thomas.

Marco spojrział twardo na podwładnego.

- Zaszedłeś już daleko i nie pójdziesz ani kroku dalej, dopóki nie będę przekonany, że istnieje taka potrzeba. Proszę o ten dowód?

Thomas przez chwilę nie reagował, potem westchnął ciężko, jakby kończąc jakąś walkę wewnętrzną. Wydobył z piasku stalowe pudełko. Sięgnął pod sutannę, pociągnął mocno i wyjął kluczyk od kłódki, wiszący na sznurku założonym na szyję. Otworzył skrzynkę. Z wnętrza wyjął papieski pierścień i położył go na wyciągniętej dłoni *sostituto*.

Marco zapalił lampę na biurku, przybliżył pierścień do żarówki i przez chwilę przyglądał mu się z bliska. Po jakimś czasie wyprostował się, a jego oczy spoczęły na pudełku.

- A reszta? - spytał cichym głosem.

- Jego prochy.

Marco przeżegnał się szybko i opuścił głowę, szepcząc słowa modlitwy. Thomas uczynił to samo. *Sostituto* uniósł wzrok.

- Kto jeszcze wie? - zapytał.

- Pewien Argentyńczyk, komendant bazy lotniczej w Rio Gallegos. Nie miałem innego wyjścia, musiałem mu powiedzieć. Potrzebowałem pilnie transportu. Gdyby nie to, w tej chwili siedziałbym jeszcze w pociągu. Nie powie ani słowa. Jest wierzący.

- Jesteś pewien? -Tak.

- Więc tylko on?

- Czy mogę usiąść? - zapytał Thomas, zataczając się nagle. Marco podszedł bliżej niego. Ojciec Thomas skulił się na krześle, opuszczając głowę na kolana.

- Miałeś wypadek, ojcze? - zapytał sostituto, oglądając świeżo zaszytą ranę na głowie siedzącego. - Potrzebujesz lekarza?

Thomas spojrział na pytającego.

- Argentyna jest w stanie pełnej mobilizacji. Strażnicy w bazie sądzili, że jestem Brytyjczykiem.

- Możliwe, iż doznałeś lekkiego wstrząsu, ojcze. To szczęście, że nie zasłabłeś podczas podróży.

- Musiałem ją odbyć - odezwał się Thomas. Jego wzrok spoczął na metalowym pudełku, potem znów na twarzy Marco.

- W samolocie był pewien człowiek, Brytyjczyk. Jego wizytówka jest w moim paszporcie. On sprawdza wiadomość, że Ojca Świętego widziano w prywatnym odrzutowcu w Rio de Janeiro podczas tankowania, jak mi powiedział.

- Ten ktoś jest tutaj? - zapytał ostrożnie Marco. - W Rzymie?

- W Mediolanie. Odrzutowiec był rejestrowany we Włoszech. Ustalono, że właściciel mieszka w Mediolanie.

Marco głośno syknął przez zaciśnięte zęby. Thomas znów spojrział na niego.

- On ma rację, prawda? - zapytał. Marco potwierdził.

- Dlaczego? - wyrzucił z siebie Thomas. - Dlaczego nie ogłosiliście żadnego oświadczenia w tej sprawie?!

Marco położył mu rękę na ramieniu, potem podszedł do sekre-tarzyka i nalał do kieliszka odrobinę brandy.

- Wypij trochę tego, ojcze, a potem wezwę lekarza, by cię zbadał. Thomas przyjął drinka i wypił go jednym haustem.

- Dlaczego? - powtórzył. - Mam prawo wiedzieć. Przywiozłem go do was.

- Nie masz żadnego prawa - surowo odparł Marco. - To czego dokonałeś, nie daje ci wcale prawa do poznawania sekretów wielkiej polityki. Wystarczy jeśli ci powiem, że Ojciec Święty odbywał misję, której nie chciał nadawać rozgłosu. Samolot wiozący go, 210 uległ wypadkowi - tak przypuszczamy - i jego ciało, dzięki Opatrzności zostało przez ciebie znalezione.

- Przez jedno z moich dzieci - wtrącił Thomas. - Prowadzę mały sierociniec.

- Czy to dziecko rozpoznało ciało? A inne dzieci?
 - Nie. Zwłoki były całkowicie zwięzłe. Niemożliwe do rozpoznania. Dzieci nie zdają sobie z niczego sprawy.
 - Postąpiłeś słusznie, ojcze. Twe oddanie Kościołowi nie pozostanie bez nagrody.
 - Nie oczekuję nagród. Marco podszedł do drzwi.
 - Jak sądzicie, czy długo uda się wam utrzymać to w tajemnicy? - zapytał Thomas.
- Sostituto zatrzymał się.
- Nie mogę rozmawiać dalej na ten temat. To już nie twój problem. Ale powinieneś wiedzieć, że sytuacja na świecie jest w tej chwili bardzo groźna. Utrata najbardziej popularnego, cieszącego się największym od długiego czasu zaufaniem autorytetu religijnego byłaby w tej chwili katastrofą. - Marco odwrócił się i zastukał do drzwi.
 - Proszę otworzyć! - zawołał. - Wszystko w porządku!
- Oficer ochrony ostrożnie otworzył drzwi i obrzucił pokój szybkim spojrzeniem. Odprężył się. Ksiądz siedział nieruchomo na krześle, a sostituto stał przy biurku, zamykając szufladę na klucz. Metalowa skrzyneczka z pewnością była otwierana, gdyż kłódka leżała w piasku. Wieko było jednak zamknięte. Czekał, aż sostituto skończy przeglądać dokumenty księdza.
- Marco odezwał się.
- Ojciec Thomas potrzebuje pomocy lekarskiej. Proszę to zaraz zorganizować. Tymczasowo należy go umieścić w moim pokoju wypoczynkowym, w apartamentach kardynała sekretarza stanu. Życzę sobie, by przed drzwiami stał strażnik, aż do odwołania. W żadnym wypadku ojcu Thomasowi nie wolno z nikim rozmawiać. Nawet ze strażnikiem. Czy to jasne?
 - Tak monsignore - przytaknął oficer. Marco zwrócił się do Thomasa.
 - Rozumiesz ojcze, że środki ostrożności są niezbędne. Thomas niepokornie stanął na nogach.

- Tak - odpowiedział.
- Groził, że nas zabije - powiedział oficer, nie całkiem jeszcze przekonany, iż wszystko jest naprawdę w porządku. Czuł, że coś jednak było nie tak.
- On doznał wstrząsu. Chyba nie wiedział, co mówi. Dopilnujcie, by znalazł się pod opieką lekarzy.
- Wiedział doskonale - zauważył oficer i pomógł Thomasowi opuścić pokój.
- Proszę przysłać kogoś, by uprzątnął ten piasek - rzekł Marco, kartkując argentyński paszport Thomasa.

Poczekał, aż drzwi wreszcie się zamkną i natychmiast chwycił za słuchawkę telefonu. Poprosił siostrę zakonną, pełniącą dyżur w watykańskiej centrali, o międzynarodową rozmowę z Buenos Aires w Argentynie, podając nazwisko kardynała arcybiskupa, odpowiedzialnego za największą diecezję katolicką na świecie - prawie dziesięć milionów wiernych. Marco potrzebował informacji o jednym z nich. Sostituto ponownie zajął się paszportem. Człowiek, który przywiózł do Rzymu Ojca Świętego, nosił nazwisko Leslie James Bar-rett. Imię Thomas było zapisane, jako obrane w związku z powołaniem zakonnym. Marco nigdy nie ufał faktom, które zdają się być wygodne i zbyt łatwo pasują do konkretnych okoliczności.

Kiedy sostituto czekał na rozmowę, do gabinetu wszedł jeden ze strażników w towarzystwie zakonnicy i oboje uprzątnęli wilgotny piasek z dywanu, na którym pozostała brudna plama. Na jej widok Marco z niezadowoleniem zmarszczył brwi. Wiedział, że powinien zadzwonić do kardynała sekretarza stanu, lecz opóźniał ten moment, czekając najpierw na połączenie z Argentyną. Gdy w końcu telefon zadzwieczał, sostituto natychmiast podniósł słuchawkę.

- Benito! - odezwał się głos z drugiej półkuli. - Jak się czujesz? Co z papieżem? Słyszałem, że jest chory. Myślę, że nie masz żadnej złej wiadomości?

Marco przeszedł na hiszpański, gdyż włoski kardynała arcybiskupa był fatalny.

- Absolutnie nie. Potrzebuję tylko informacji, jeśli eminencja byłby tak uprzejmy. Tak. Ojciec Święty nie czuje się najlepiej, ale

to nic poważnego. Zapewniam. Co u was? Słyszałem, że nadchodzą dla Argentyny złe czasy.

. Nie nadchodzą, Benito. Już tutaj są. Ta nacjonalistyczna gorączka w argentyńskiej krwi to przekleństwo. Nie mogę powiedzieć zbyt dużo, Benito. Rozumiesz mnie?

- Oczywiście! - odparł Marco, krzycząc prawie, gdyż połączenie nagle zanikło, a w słuchawce odezwały się trzaski. Przerwał więc, odsuwając słuchawkę od ucha i poczekał, aż hałas ucichnie.

Wiedział, że rozmowa jest rejestrowana przez juntę.

- Eminencjo! - rozpoczął znowu. - Jest pewien jezuita, którego kardynał sekretarz stanu chciałby mieć u siebie. Wspaniały człowiek, dobrze poradziłby sobie w Rzymie. Chcąc być szczerym, muszę przyznać, że ów jezuita akurat jest tutaj z krótką wizytą. Kardynał Cinalli chciałby go zatrzymać w Watykanie, ów człowiek również tego pragnie.

- Następny jezuita! - wykrzyknął Argentyńczyk. On sam nie był członkiem Towarzystwa Jezusowego. - Zatrzymaj go, Benito!

- roześmiał się. - Niech Rzym zostanie zawojowany przez jezuitów. I tak jest ich tutaj, w Ameryce Łacińskiej, zbyt wielu. Cóż chciałbyś wiedzieć?

- Wszystko o nim, eminencjo!

- Co się stało? Czy generał zakonu zgubił gdzieś swe kartoteki? -

Znów słyhać było śmiech. - A więc chcesz poznać jego referencje? Nie powinno być z tym wielkiego kłopotu. - W głosie arcybiskupa brzmiała nutka nieufności. - Nie był on czasem zaangażowany w jakąś działalność poza Kościołem? Nie wchodzi tutaj w grę jakieś problemy polityczne?

- Absolutnie żadne. Jest dobrym kapłanem, nie związanym z polityką. Wiem, że prowadzi sierociniec w Patagonii.

- Biedny człowiek. Życie jest tam bardzo trudne. Nic dziwnego, że chce zostać w Rzymie. Mam nadzieję, że jeśli tak się stanie, pomyśli się też o dzieciach?

- Osobiście znajdę kogoś, eminencjo, rzecz jasna po uprzednim uzgodnieniu z tobą. Dzieci nie mogą w żaden sposób ucierpieć.

- Bardzo dobrze. Podaj mi dane tego jezuity.

- Nosi angielskie nazwisko.

- Podobnie jak większość naszych banków? - zażartował Argentyńczyk.

Marco roześmiał się wraz z nim, lecz jego oczy nie zdradzały wcale rozbawienia. Było w nich napięcie.

Odczytał wszystkie informacje uzyskane z dokumentów Thomasa.

Wiedział, że jeśli ksiądz miał coś wspólnego z polityką, w razie powrotu do kraju czekały go poważne kłopoty, bowiem na pewno zwrócono już na niego uwagę. Rozmowa bez wątpienia była kontrolowana. Jej treść została nagrana i wszystko co dotyczy Thomasa będzie dokładnie sprawdzone przez argentyńską tajną policję. Marco zlekceważył w myśli taką możliwość. Ojciec Thomas był tylko pionkiem przygotowanym do poświęcenia w wielkiej grze, nieoczekiwanym elementem, nad którego wykorzystaniem należało się jeszcze zastanowić.

- Moi ludzie zajmą się tym! - krzyknął kardynał arcybiskup.

-Otrzymasz wszystkie szczegóły w ciągu kilku dni. Ostrzegam cię tylko, że poczta działa teraz fatalnie.

- Nie! - Marco powiedział szybko. - To zbyt długo potrwa. Wolałbym byś ty, eminencjo, lub ktoś z twoich współpracowników przekazał informację telefonicznie. Ojciec Thomas ma wyjechać jutro wieczorem i muszę działać bez zwłoki. Przynajmniej, by oznajmić mu naszą decyzję, czy pozostaje z nami.

Argentyńczyk zawahał się i powiedział?

- Bardzo dobrze. Dopilnuję tego. A teraz powiedz mi, czy jesteś naprawdę pewien, że zdrowiu papieża nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

- Żadne! - zawołał Marco, a połączenie znów zostało zakłócone. -

Proszę o telefon. Zadzwońcie do mnie tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. - Coś na linii trzasnęło i połączenie zostało przerwane.

Marco odłożył słuchawkę, przygotował sobie drinka, usiadł znów za biurkiem i wybrał kolejny numer telefonu. Tym razem miejscowy.

- Eminencjo - powiedział. - Muszę się z eminencją natychmiast zobaczyć. Wynikła bardzo pilna sprawa.

Rozłączył się, wypił resztę brandy i otworzył szufladę. Wydobył pierścień Rybaka. Stalowa skrzyneczka stała na biurku. Otworzył ją i włożył pierścień do środka, potem dołączył dokumenty Thomasa. Opuścił przykrywkę kasetki, zostawiając na biurku znaną w paszporcie kartę wizytową angielskiego dziennikarza.

Kardynał sekretarz stanu Giorgio Cinalli siedział w swym olbrzymim fotelu. Pudełko ojca Thomasa, zawierające prochy papieża, stało przed kardynałem na marmurowym blacie niskiego stolika. Dotąd wydawało się Cinallemu, że gdy ta chwila nadejdzie, będzie na nią przygotowany i pozostanie nieugięty w swoim postanowieniu skrywania prawdy. Teraz, mając przed sobą dowód, poczuł się jednak wstrząśnięty. Nagle opuściła go dotąd nieodparta chęć kontynuowania całej tej brudnej intrygi. Poczuł, że nawet jego otyłe ciało zaczyna odmawiać posłuszeństwa, jakby chciało wypłynąć na zewnątrz sutanny. Wspominał swe własne twarde słowa, wypowiedziane na tajnym spotkaniu. Usiłował wyobrazić sobie, jak wówczas wyglądał - silny, potężny i władczy jak byk. Był wtedy zupełnie innym człowiekiem. Teraz opanowała go pokusa, by wreszcie się poddać. Czemuż Bóg nie poparł go, czemu nie wspomógł?

Stojący naprzeciwko swego zwierzchnika sostituto widział, jak sekretarz powoli słabnie. Było to coś, czego chwilami się spodziewał. Nigdy nie był do końca przekonany, że Cinalli jest w stanie osiąść pełnię władzy. Okazało się teraz, że wątpliwości były słuszne.

- Eminencjo - powiedział Marco - zanim wasza eminencja zadecyduje, proszę rozważyć to, co powiem. Nic się nie zmieniło...

- Nic się nie zmieniło?! - wykrzyknął Cinalli. - Tutaj, w tym zwykłym metalowym pudełku, leżą prochy papieża, a ty śmiesz twierdzić, że nic się nie zmieniło?

- Eminencjo, błagam, proszę mnie wysłuchać. To co pozostało z Ojca Świętego po kremacji i papieski pierścień, to rzeczywiście dowody jego śmierci. W ten sposób potwierdzają się tylko ustalenia eminencji i innych kardynałów. Teraz mamy po prostu pewność, że papież nie żyje. Wciąż jednak twierdzą, że niczego to nie pienia. Labesse wciąż żyje i nadal zagraża Kościołowi. A kontro-^a nad Kościołem i troska o jego bezpieczeństwo spoczywa w rękach waszej eminencji. Labesse szykuje się w tej chwili do ataku a Rzym. Przybędzie tutaj w niedzielę.

- W niedzielę? Jesteś pewien?

- Otrzymałem absolutnie pewne informacje od naszych ludzi z prasy, zanim jeszcze przyszedłem tutaj. Labesse wysłał pewną kobietę do Rzymu, by zorganizowała mu tutaj konferencję prasową. Skontaktowała się już ze wszystkimi większymi gazetami, stacjami radiowymi i telewizyjnymi, a także z międzynarodowymi agencjami informacyjnymi. Labesse zamierza szerzyć swoją herezję, przemawiając publicznie w niedzielę wieczorem. Ta kobieta zna się na rzeczy. Stara się zapewnić obecność maksymalnej liczby przedstawicieli środków masowego przekazu. Zapowiedziała, że Labesse będzie głosił "prawdziwe słowo Boże". Eminencjo, to objawienie ma dokonać się na placu Świętego Piotra.

- Nie ośmieli się! - wybuchnął Cinalli.

- Labesse jest katolickim zakonikiem. Ma prawo tam przemawiać, nawet w samej bazylice.

- Wcześniej go ekskomunikujemy! - ryknął Cinalli w furii.

- To wymagałoby potwierdzenia przez Ojca Świętego. A może wasza eminencja uważa, że powinniśmy ogłosić światu śmierć papieża? - Marco przerwał. - Przecież musiałby umrzeć w Watykanie, a nie zginąć nad południowym Atlantykiem? Czy zawartość tego pudełka będzie mogła zostać wystawiona na widok publiczny?

Cinalli opadł z powrotem na fotel.

- Wpadliśmy w sidła własnej nieuczciwości. Sostituto usiadł przed Cinallim.

- Mamy prawie dwa dni, by znaleźć właściwe rozwiązanie. Nie wolno nam zmarnować tego czasu. Niech wasza eminencja przypomni sobie swoje własne słowa: "Cokolwiek uczynimy, uczynimy w imię Boże". Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, trzeba byś znalazł w sobie wiarę w słuszność drogi, którą wytyczył przed tobą Pan. Eminencjo! To On cię wyznaczył, byś bronił Jego Kościoła! Rozumiem, że wielki żal nadwątlił twoje siły. Ja również to odczuwam. Teraz jednak nie wolno nam ulegać emocjom. Szatan jest już prawie pod naszymi murami, zamierzając uczynić w nich wyłom. Jeśli teraz wasza eminencja zdecyduje się na odwrót, będzie to zdrada Boga.

- Cóż innego mogę uczynić?

Marco sięgnął przed siebie i położył swe dłonie na pokrywce metalowego pudełka.

- Eminencjo, daj mi trochę czasu. Niech ciężar, który dźwigasz, spadnie na mnie. Ja poniosę odpowiedzialność przed Bogiem za swoje poczynania. Tylko i wyłącznie ja.

Cinalli zajrzał głęboko w oczy sostituto, potem odwrócił się i milczał, patrząc na płonące w kominku węgle. Płomienie rzucały na jego twarz migotliwy odbłask.

Marco wstał i cicho wyszedł. Nie potrzebował odpowiedzi.

Ojciec Thomas znajdował się jeszcze pod wpływem środków nasennych, gdy zgodnie z poleceniami sostituto został przeniesiony do małego, ciasnego pokoiku u szczytu długich, kręconych schodów we wschodnim skrzydle Pałacu Apostolskiego. Zakonnica, która pielęgnowała Thomasa w apartamentach Marco, sprzeciwiła się gwałtownie temu przeniesieniu, lecz oficer ochrony zignorował ją zupełnie, zadowolony, że sostituto wreszcie zmadrał. Niezależnie od tego, czy ów brodaty mężczyzna rzeczywiście jest księdzem, czy też nie, na pewno jest niezrównoważony psychicznie, a może i niebezpieczny. Pokój był wręcz wymarzonym miejscem odosobnienia, celą. Okrągły, z dwoma podłużnymi oknami, wypełnionymi taflami z grubego szkła, wydawał się być wnętrzem wieżyczki. Poniżej okien, gdyby nawet jakiś wyjątkowo szczupły człowiek zdołał stłuc stare, grube szyby i przecisnąć się na zewnątrz, była pionowa ściana, opadająca na mały brukowany dziedziniec, odwiedzany tylko przez mieszkańców pałacu i to bardzo rzadko.

Z izdebki można było się wydostać tylko jedną drogą: przez solidne drzwi oddzielające ją od krętych schodów. Na tych zimnych, kamiennych stopniach objął służbę uzbrojony strażnik.

Okrągły pokój nie miał żadnej ponurej przeszłości. Był dotąd jedynie rupieciarnią, zapomnianym zakamarkiem rozległego pałacu.

Przechowywane tu przedmioty usunięto, wstawiając składane polowe łóżko oraz przenośną umywalkę, miednicę i wiadro z wodą.

Gdy to wszystko przygotowywano, Marco rozmawiał w swoim biurze z pielęgniarką zakonną, wyjaśniając jej, że nieszczęsny jezuita wycierpiał wiele z rąk rządowych oprawców w Argentynie i na skutek tego częściowo postradał zmysły. W chwili obecnej musi

być pod stałym działaniem środków uspokajających i pod ścisłym nadzorem do czasu, gdy będzie można powziąć jakieś dalsze kroki. Siostra sprzeciwiła się takiej decyzji. Z pełnym szacunkiem argumentowała, że w takim przypadku chory powinien zostać natychmiast skierowany do odpowiednio wyposażonego szpitala psychiatrycznego. Marco uciął rozmowę, stwierdzając, że możliwość taka w żadnym wypadku nie wchodzi w rachubę. Dał jej delikatnie do zrozumienia, że ojciec Thomas jest w posiadaniu pewnych niezwykle istotnych informacji dotyczących argentyńskiej junty oraz jej powiązań z wysokimi dostojnikami kościelnymi w Ameryce Łacińskiej. W szpitalu, w malignie, nieszczęsny ksiądz mógłby wyjawiać te niezwyklej wagi tajemnice. Watykan nie może dopuścić, aby takie informacje przedostały się do lewicowej prasy, tak skłonnej do krytyki. Marco był pewien, że siostra jest na tyle inteligentna, by zrozumieć problemy, wynikające z pozakościelnej działalności niektórych duchownych w różnych częściach świata. Niestety, ojciec Thomas musi pozostać w odosobnieniu. To prawda, że nie zapewniono mu praktycznie żadnych wygód, ale przecież chodzi przede wszystkim o to, by chory nie zrobił sobie krzywdy w napadzie szału.

Taki niespodziewany atak, o czym siostra powinna wiedzieć, zawsze zagraża ludziom wytraconym z równowagi psychicznej. Siostra nieśmiało zasugerowała, by postarać się o jakieś dodatkowe wygody dla chorego. Słyszac to Marco zmarszczył z niezadowolenia brwi. Musiał przypomnieć zakonniczy, że biedni, nawet tu, w Rzymie, zmuszeni są egzystować w znacznie gorszych warunkach.

Po wyjściu pielęgniarki Marco uśmiechnął się przekonany, że do rana po całym Watykanie rozejdzie się plotka o jakimś na wpół obłąkanym księdzu, mogącym być i bohaterem, i łajdakiem, trzymanym pod strażą w Pałacu Apostolskim. Pogłoski te mogły przekroczyć mury Watykanu. Sostituto nie martwił się tym wcale, gdyż takie właśnie plotki mogły wspaniale służyć jego celom.

Tej nocy Marco spał w pałacu. Położył się w wygodnym łóżku w swoim pokoju wypoczynkowym. W rzeczywistości był to mały, luksusowo wyposażony apartament. Myśli sostituto pobiegły natychmiast ku człowiekowi, o którym sądził, że jest śmiertelnym zagrożeniem dla Kościoła i dla jego własnej kariery. Później przypomniał sobie o księdzu, którego szczere oddanie sprawie Kościoła, 218

pchnęło na drogę cierpienia, o człowieku, który będąc na granicy utraty przytomności, przebył pół świata i groził śmiercią strażnikom próbującym skorzystać z zewnętrznej pomocy. Pomoc taka bez wątpienia wymagałaby wyjaśnień, co z kolei doprowadziłoby, jak słusznie domyślił się ów ksiądz, do ujawnienia skrywanej przez Watykan tajemnicy. Ojciec Thomas dokonał tego, nie znając przecież przyczyny milczenia zwierzchników Kościoła. Taki człowiek był potencjalną bronią i pojawił się w chwili, gdy Kościół potrzebował go najbardziej. Jakby zesłał go sam Pan Bóg. 'Teraz trzeba tylko znaleźć sposób na przekonanie ojca Thomasa, iż on właśnie jest narzędziem w ręku Pana - pomyślał Marco i wyłączył stojącą obok łóżka nocną lampkę. - Jutro zastanowię się, jak tego dokonać.'

Odpowiedź przyszła wkrótce, już po pierwszej godzinie nowego dnia. Telefon dzwonił natarczywie, aż wreszcie dźwięk ten dotarł do pogrążonego we śnie sostituto. Marco przebudził się i podniósł słuchawkę, pociągając też za sznureczek wyłącznika lampy. Spojrzał na zegarek. Było pięć po pierwszej.

W Buenos Aires minęła ósma wieczorem.

Dźwięczny, młodzieńczy głos- perfekcyjnie mówiący po włosku z rzymskim akcentem, poprosił o potwierdzenie, iż rzeczywiście rozmawia z monsignore Benito Marco, sostituto jego eminencji kardynała sekretarza stanu Giorgio Cinallego. Marco potwierdził. Wówczas młody człowiek przedstawił się jako osobisty sekretarz jego eminencji kardynała arcybiskupa Juana Carlosa Mendozy i powiedział, że telefonuje z Argentyny, by przekazać pewne informacje, o które prosił monsignore.

Marco podczas tych formalności zapalił papierosa. Zastanawiał się, czy młody ksiądz zdawał sobie sprawę z kosztów rozmowy. W końcu współpracownik Mendozy zaczął podawać oczekiwane szczegóły. Marco sięgnął po papier i ołówek i stenografując zapisał każde słowo informacji. Po kilkunastu minutach podziękował rozmówcy, pogratulował mu skrupulatności, obiecał zapamiętać nazwisko młodego człowieka i odłożył słuchawkę.

Przez chwilę leżał paląc, później zgasił niedopalek, wstał z łóżka i, wyjąwszy z lodówki oszronioną butelkę, nalał sobie kieliszek wina reńskiego. Zapalił następnego papierosa. Usiadł przy małym biurku. Położył swe zapiski pod nisko umieszczoną lampą i korzy

stając z małej maszyny do pisania, zamienił stenograficzne znaki w słowa. Później uważnie przeczytał maszynopis.

Zakończywszy czytanie przeniósł telefon na biurko i poprosił siostrę pełniącą nocny dyżur w centrali o połączenie z zastrzeżonym numerem domowym nadinspektora Charlesa Harrisona z Wydziału Specjalnego brytyjskiej Thames Valley Police.

- Tak - potwierdził w odpowiedzi na pytanie siostry - zdaję sobie sprawę z tego, która godzina jest teraz w Anglii.

Po kilku minutach uzyskał połączenie. Odstawił na bok opróżniony do połowy kieliszek z winem, gdy usłyszał głęboki, zaskakująco przytomny głos.

- Monsignore? - poważnym tonem zapytał Harrison. Wiedział, że człowiek, z którym rozmawia, nie dzwoni nigdy, nawet w stosownej porze, w celach wyłącznie towarzyskich. - Potrzebuje monsignore mojej pomocy? Mam nadzieję, że nic złego się nie stało?

Marco rozpoczął bez zbędnych wstępów i wyjaśnień.

- Mam nazwisko i numer brytyjskiego paszportu wydanego w Londynie w 1970 roku. Chciałbym możliwie najszybciej wiedzieć, czy ten dokument jest prawdziwy, czy też sfalszowany. Jeśli okaże się, że w grę wchodzi tutaj fałszerstwo, potrzebuję wszelkich możliwych informacji o posiadaczu tego dokumentu. Musi również znajdować się gdzieś duplikat fotografii tego człowieka. Proszę o sporządzenie odbitki i zabranie jej ze sobą do pewnego katolickiego kościoła w centrum Londynu. Proszę, by zajął się pan tym osobiście, bez wtajemniczania w to współpracowników. Adres kościoła podam panu za chwilę. Jeśli obecny proboszcz prowadził tę parafię w 1970 roku, może zapamiętał twarz z fotografii. A gdyby proboszcza z 1970 roku już tam nie było, proszę go odszukać. Mam jego nazwisko, co powinno ułatwić pańskie zadanie. Oczywiście mógłbym odnaleźć go sam, korzystając z naszych archiwów, lecz to również wymaga współpracy z kimś z Wielkiej Brytanii. Ponieważ pójdzie pan sam do tego kościoła, myślę, że uda się panu dotrzeć do owego proboszcza szybciej niż mnie. Wszystkie te informacje potrzebne są mi najpóźniej jutro wieczorem, ostatecznie w niedzielę rano. To nasza sprawa wewnętrzna i wolalbym, aby ta rozmowa pozostała między nami. Przynajmniej przez dwa dni. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby udało się opóźnić do poniedziałku przekazanie oficjalnego raportu o tych poszukiwaniach.

Czy

mogę liczyć na pańską współpracę? Zapewniam, że cała ta sprawa ma dla Kościoła najwyższe znaczenie.

Harrison nie odpowiadał, lecz Marco słyszał szelest przekładanych kartek papieru. Począł, aż policjant zapisze sobie wszystko to, o co Marco poprosił.

Wreszcie Harrison odezwał się.

- Zadzwoń, gdy tylko uzyskam jakieś informacje. Najpierw z wiadomościami o paszporcie, potem o księdzu. Proszę mi podać wszystko, co jest wam wiadome. Pełne dane z paszportu, nazwisko proboszcza oraz nazwę kościoła.

Sostituto odczytał odpowiedni fragment swego maszynopisu. Harrison zapisał szybko dane i powiedział:

- Monsignore, wchodzi tutaj w grę cztery możliwości. Ten paszport może być autentycznym dokumentem, wydanym legalnie prawowitemu właścicielowi albo został skradziony i znajduje się teraz w posiadaniu złodzieja czy kogoś innego. Może też być wydany legalnie, lecz na podstawie sfalszowanych dokumentów. Ostatnia możliwość to typowe fałszerstwo. Czy ten paszport znajduje się w waszym posiadaniu?

- Nie. Wszystko co mam, to te dane, które panu podałem.

- Czy one na pewno są ściśle i czy monsignore jest pewien, że ów dokument istnieje?

- Istniał kiedyś. Teraz tego nie gwarantuję. Informacje są jednak absolutnie dokładne. Zostały spisane z oryginału.

- Bardzo dobrze. Pierwsze trzy przypadki, które wymieniałem, można sprawdzić, nie posiadając tego dokumentu, lecz ostatnia możliwość - fałszerstwo, nie może zostać udowodniona bez przeprowadzenia badań. Powiedzmy inaczej. Nie będziemy mogli udowodnić nikomu fałszerstwa, nie posiadając dowodu. Możemy jedynie stwierdzić, że ten konkretny paszport nigdy nie został wydany przez rząd Jej Królewskiej Mości, musi więc wchodzić w grę fałszerstwo.

- Właśnie o to mi chodzi - powiedział Marco. - Oczekuję jedynie stwierdzenia autentyczności dokumentu.

- Wobec tego rozpocznę pracę natychmiast - odparł Harrison.

- Oczywiście, mogę przetrzymać oficjalne sprawozdanie do poniedziałku... może wtorku. Ale jeśli paszport został podrobiony, po upływie tego czasu będą musiały zostać podjęte odpowiednie dzia

łania i wówczas nie uda mi się zachować tajemnicy. Dam znać wkrótce.

Sostituto odłożył słuchawkę, dopił wino, które zdążyło już się ogrzać i ponownie nappełnił kieliszek. Usiadł w fotelu. Próbował zebrać myśli. Ojciec Thomas, inaczej Leslie James Barret, podążał do stanu kapłańskiego zawiłą, można wręcz powiedzieć: "okreźną" drogą. Dlaczego Anglik, mający przy sobie brytyjski paszport i list polecający od zwykłego księdza, prowadzącego zapomnianą parafię w Londynie, podąża do Argentyny i tam natychmiast prosi o przyjęcie do jezuickiego seminarium w Buenos Aires? Po latach udaje mu się uzyskać argentyńskie obywatelstwo i argentyński paszport, leżący teraz przed Marco. Czemu Ameryka Łacińska? Dlaczego nie Północna? Czemu nie Wielka Brytania lub Europa? Było oczywiste, że ojciec Thomas świetnie znał włoski, również hiszpański i angielski. Taki człowiek poradziłby sobie nawet w Watykanie! Dlaczego? Marco wypił łyk wina i zapalił następnego papierosa. Odpowiedź wydawała się oczywista. Thomas czy też Barret, a może w ogóle ktoś inny, skrywał w swej przeszłości tajemnicę, która pozostała nieujawniona przez ponad dziesięć lat.

"Dobrze - pomyślał Marco - trzeba odsłonić ten sekret, a wówczas znajdzie się sposób. Jeśli ojciec Thomas, oddany i wierny sługa Pana, nie da się namówić do roli narzędzia Boskiego gniewu, wówczas użyje się innych środków perswazji. Z Bożą pomocą Charles Harrison odkryje dla mnie tę tajemnicę. Oby jak najszybciej."

Marco zerknął na blat biurka i zauważył wizytówkę pana Ber-trama Hanesa-Aubury, którą wcześniej przyniósł tutaj ze swego biura. Zamyślony, dotknął delikatnie kartonika. Znow sięgnął po telefon. Łączył się z numerem we Włoszech, mógł więc wybierać bezpośrednio. Głos, który mu odpowiedział, był, w przeciwieństwie do głosu Harrisona, ochryply i rozespany.

- Angelo - powiedział sostituto - mówi Benito Marco. Obudź się.

- Chwileczkę. Daj mi minutę albo dwie. - Słychać było głośnie stuknięcie, gdy słuchawka uderzyła o coś, potem rozległ się szelest.

Głos odezwał się znowu. - Przepraszam, spałem bardzo mocno. To

przez te tabletki. Nie mogę bez nich się obejść. Czy wiesz, że jest środek nocy?

- Jest już rano - poprawił go Marco. - Słuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia. Nie mogę mówić wprost, więc proszę, skup się. Chodzi o sprawę twojego samolotu, który potrzebuje poważnych napraw.

- Rozumiem - odparł głos w słuchawce, nadal niewyraźny, chociaż jego właściciel jakby nagle otrzeźwiał.

- Pewien Anglik będzie chciał zobaczyć się z tobą w sprawie samolotu. Jest bardzo zaintrygowany tą sprawą. Chodzi mu o znajomego, który podobno miał lecieć tym samolotem.

- Już był tutaj. Przyjechał prosto... jak mi się wydaje... ze swojej firmy w Londynie. To jakiś lepszy pijaczyna. Miałem do ciebie zadzwonić w tej sprawie.

- Dobrze - powiedział Marco spokojnie. -1 udało ci się go przekonać, że jego przyjaciel nie podróżował twoim samolotem?

- Tak mi się wydaje. Nalegał jednak, bym pozwolił mu zobaczyć mojego jetstara. Mówił mi, że jego...przyjaciel...był widziany na pokładzie mojego odrzutowca w Rio. Oczywiście wyjaśniłem, że w samolocie nie było nikogo, kogo ów Anglik mógłby znać. Leciało nim dwóch moich dyrektorów. Zasugerowałem też, że jeden z nich mógł być podobny do jego przyjaciela.

Marco nie odzywał się.

- Halo? - zawołał głos.

- Czy powiedziałaś mu, dokąd samolot poleciał z Rio?

- Oczywiście. Przecież to w niczym nie zaszkodzi. Buenos Aires. Tak napisano zresztą w planie lotu. Wydawało mi się, że to najlepsze, co mogę powiedzieć.

- Najgorsze - Marco powiedział chłodno. - On stamtąd właśnie przybył. Z Buenos Aires, nie z Londynu, jak przypuszczałeś.

Na drugim końcu linii zapadła cisza. Wreszcie głos zapytał chrapliwie:

- Co mam robić?

Marco popatrzył na swoje paznokcie. Jeden z nich był pęknięty w poprzek. Nie pamiętał, kiedy to się stało.

- Przekonaj go, by przynajmniej do poniedziałku nie wyjawiał nikomu tej historii.

- Jak mam to zrobić?

- To zależy od ciebie - Marco odłożył słuchawkę. Zaczął skubać uszkodzony paznokieć, aż złamana część upadła na pokryty skórą blat. Popatrzył na okruch i niecierpliwym ruchem strącił go z biurka. Nalał sobie jeszcze kieliszek wina. Wypił szybko, skrzywił się, przelękając ogrzany już teraz, lekko gorzkawy płyn. Wstał z fotela i położył się na łóżku.

Marco był w Watykanie uważany za autorytet w sprawach poezji.

Podziwiał Szekspira, a najbardziej z jego dzieł cenił "Makbeta".

Teraz, po raz pierwszy w życiu pojął, nie tylko zrozumiał, lecz pojął, ostrzeżenie zawarte w tej tragedii. Gdy zbrodniczy czyn zostanie popełniony, nie można się już cofnąć ani odwrócić biegu wydarzeń.

Można jedynie brnąć jeszcze dalej i głębiej.

Wyłączył światło i zamknął oczy. Nie zasnął jednak.

Ojciec Thomas spał niespokojnie. Działanie środków uspokajających przewyciężyły myśli kłębiące się w jego głowie. W krótkich chwilach przebudzeń widział przyćmione światło księżyca wpadające do wnętrza przez wąskie okna i ścielące się srebrną mgiełką na kamiennych płytach podłogi. Nie mógł zrozumieć, gdzie jest i jak trafił do tego obcego, zimnego pomieszczenia. Dwukrotnie wymiotował do umywalki, kiedy łoskot w jego głowie stawał się nie do wytrzymania.

Zapadł wreszcie w błogosławiony, głęboki sen. Spał jeszcze, gdy światło księżyca zastąpiły pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Spał nawet wtedy, gdy zakonnica umyła go i zmieniła wodę w umywalce. Nie przebudził się również, gdy zatroskana pielęgniarka pod czujnym spojrzeniem małych, podkrążonych oczu *sostituto Benito Marco* wstrzykiwała mu następną dawkę środka nasennego.

Tego samego sobotniego ranka w Londynie, Jonathan Barton odebrał dwa telefony. Pierwsza zadzwoniła Mary Edgington informując go, że brak już miejsc w samolotach lecących w sobotę i niedzielę do Rzymu. Był to skutek wczorajszej wiadomości przekazanej w dzienniku ITN, że Pierre Labesse, zmartwychwstały święty, w niedzielę po południu będzie przemawiał na Placu Świętego Piotra. W związku z tym ekipa dziennikarzy mających relacjonować to wydarzenie nie miała innego wyjścia, jak tylko lecieć czarterem.

Barton nie wydawał się specjalnie zaskoczony.

- A więc przynajmniej dla linii lotniczych nastał już raj na ziemi - wymamrotał niewyraźnie do słuchawki. Niezupełnie rozbudził się. Zapytał, czy nastąpiły w nocy jakieś inne wydarzenia, które mogły wstrząsnąć światem. Mary oświadczyła wówczas, że pan Bertram Hanes-Aubury, dziennikarz, został wczoraj porwany z hotelu w Mediolanie. Słyszając to Barton parsknął głośnym śmiechem. Gotów był założyć się o całe pięć funtów, że rzekomo porwany dziennikarz gdzieś się po prostu zapodział po nadużyciu alkoholu. Pocałował Mary przez słuchawkę i opadł na poduszki.

Rudowłosa osiemnastolatka leżąca obok niego obróciła się na plecy, prosząc Bartona, by kontynuował wczorajszą rozkoszną bitwę.

Następny telefon usprawiedliwiał jego odwrót.

- Zostaw tę dziwkę i wybierz się zaraz na przejażdżkę okrężną linią metra - odezwał się radosny głos Jamesa Auslaire'a. W słuchawce rozległ się trzask i rozmówca rozłączył się.

Barton wyskoczył z łóżka, zapominając o dziewczynie. Włączył ekspres do kawy, ogolił się szybko i spojrzawszy przez okno, założył ciepłe ubranie. Nalał sobie kawy i, jedząc szwedzki chrupki chleb posmarowany bezcukrową marmoladą, napisał kartkę do dziewczyny, której imienia nie mógł sobie przypomnieć. Porwał płaszcz i kapelusz z wieszaka, po czym wypadł na ulicę i przywołał taksówkę.

"Linia okrężna" była ustalonym hasłem Bartona i Auslaire'a, oznaczającym konieczność nawiązania natychmiastowego konta

ktu w celu przekazania pilnej informacji. Określone było wówczas także miejsce spotkania - stacja Baker Street, przejście nad torami. Urzędnik Ministerstwa Obrony czekał już, przeglądając kieszonkowy plan siatki metra. Pozwolił Bartonowi przejść obok siebie, potem powoli ruszył za nim na peron akurat w chwili, gdy nadjechał pociąg. Wsiadli do oddzielnych wagonów i przejechali kilka stacji, zanim wreszcie po dwu przesiadkach Auslaire usiadł obok dziennikarza.

Barton odłożył czytana właśnie gazetę i zapytał:

- Jak tam twoja firma? Nie grozi wam czasem bankructwo?

- Jeszcze mnie będziesz potrzebował, kolego - uśmiechnął się Auslaire. Był sobotni poranek i pociąg nie był zatłoczony. Barton uniósł pytająco brwi.

Auslaire wziął gazetę z kolan Bartona i wskazał palcem artykuł u dołu pierwszej strony.

- Mówi się, że twój kumpel, dziennikarz miał dodatkowego pracodawcę. Niektórzy twierdzą, że najważniejszego.

- Century House? - spytał Barton, używając nazwy budynku, w którym mieściła się siedziba SIS - Secret Intelligence Service - brytyjskiego wywiadu.

- Zdziwiasz mnie. Myślałem, że Aubury jest tak samo zdolny do zachowania tajemnicy, jak pięcioletnie dziecko.

Auslaire uśmiechnął się.

- Tak myślało też wielu innych ludzi. On ma dobre pochodzenie. Przed dziennikarzem z kilkoma litrami błękitnej krwi w żyłach otwierają się drzwi, które pozostają zamknięte dla was, plebejuszy.

- Czy to na pewno o niego chodzi?

- Z pewnością, Jonty.

- A porwanie? Motywy polityczne czy dla okupu?

- Nie podano, lecz wróble ćwierkają, że polityczne, a te małe ptaszki są zwykle dobrze poinformowane. Nie jest to jednak robota lewicy - raczej przeciwnie.

- Prawica? A więc to nie tak źle. Będzie do nich pasował. Są po tej samej stronie politycznego płotu.

- W tym przypadku nie.

Barton poczekał chwilę, potem powiedział:

- W co on był zamieszany?

- Opuścił właśnie w pośpiechu Buenos Aires. Miał przywieźć do kraju prezent dla mamusi.
- 1 SIS sądzi, że Argentyńczycy go nakryli? Po co on u diabła zatrzymał się w Mediolanie? Chyba nie tam miał składać swój raport? Auslaire potrząsnął głową. Kosmyk falistych włosów zsunął mu się na czoło, więc je poprawił.
- Tutaj właśnie jest główna atrakcja tej całej historii. Będiesz mógł to wykorzystać na prawach wyłączności, ale dopiero wtedy, gdy dam ci znać. W zależności od sytuacji może to nastąpić niedługo. Umowa?
- Umowa, jeśli rzeczywiście coś warte.
- Spodoba ci się. Szef brazylijskiej delegatury SIS kupił informację, że naszego, jakoby chorego, przyjaciela z Rzymu widziano całego i zdrowego we wnętrzu pewnego dyrektorskiego odrzutowca, tankującego na międzynarodowym lotnisku w Rio, w zeszłą sobotę. Pamiętasz naszą rozmowę o samolotach?
- Barton patrzył na swego rozmówcę. Hałas pociągu przejeżdżającego po sąsiednim torze skojarzył mu się nagle z przeciągłym grzmotem eksplozji. Wyprostował się na siedzeniu, delikatnie kołysząc się w rytm ruchu wagonów.
- Sobota - powiedział wreszcie Barton. Miał wyschnięte wargi. - A czynnik czasu?
- Wszystko pasuje - zaznaczył Auslaire. - Gdyby odrzutowiec gnał jak błyskawica - pasuje!
- Ten samolot był oczywiście zarejestrowany w Mediolanie -odgadł Barton. - Hanes-Aubury dowiedział się o całej sprawie poprzez swój kontakt z SIS i postanowił pobawić się w dziennikarza, nawet jeśli informacja była kupiona i prawdopodobnie fałszywa. Zatrzymał się w Mediolanie, by sprawdzić właściciela odrzutowca.
- To Angelo Segretti, arystokrata, przemysłowiec, multimilioner, licząc nie tylko we włoskich lirach, a także zasłużony członek Opus Dei. Jest to...
- Wiem, czym jest Opus Dei - przerwał mu Barton. - Prawicowe, elitarne stowarzyszenie, działające w sekrecie, założone w Hiszpanii w 1928 roku przez księdza z dziennikarskim doświadczeniem, Jose Maria Escriva Balaguer y Albas. Organizacja ta odgrywa olbrzymią, zakulisową rolę w Kościele Rzymskokatolickim. Aby

stać się jednym z numeraries - to jakby ich najwyższy stopień wojskowy - należy być kawalerem, mieć odpowiednie wykształcenie lub pozycję i być przygotowanym do poświęcenia mnóstwa czasu sprawom organizacji. Istnieją też i niższe stopnie, obejmujące między innymi współpracowników organizacji. Są oni wykluczeni ze spotkań, nie muszą odbywać dorocznych rekolekcji w klasztorze, czego wymaga się od tych na szczycie. Nie muszą nawet być chrześcijanami! Nazwa Opus Dei w tłumaczeniu znaczy: Dzieło Boże.

- Oszczędziłeś mi wiele gadania - powiedział Auslaire. - Jednak niepotrzebnie straciłem godzinę czasu na wykucie tego wszystkiego.

-1 to właśnie Opus Dei stoi za tym porwaniem?

- Tak mówią plotki - potwierdził Auslaire.

- Zapewne dlatego, że Segretti jest członkiem tej organizacji?

- Na samym jej szczycie, w stratosferze. Może jego komórkom mózgowym zabrakło tlenu?

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mi mówisz? Jeśli Opus Dei macza w tym palce, na pewno stoi za tym również Watykan.

- Tak to chyba należy rozumieć. Prawdziwa afera Watergate U z makaronem.

Barton potrząsnął głową. Na jego twarzy widać było niezadowolenie.

- Nie mogę z tego skorzystać, James. Bez niepodważalnych dowodów nie mogę. - Spojrzenie dziennikarza spoczęło na twarzy Auslaire'a.

Wydawało się, że Barton wciąż jest senny, lecz jego umysł pracował w tej chwili na najwyższych obrotach. - To zostało ukartowane, prawda? Historia jest dobra, nawet prawdopodobna, ale to są śmiecie? Próbują nas wykorzystać do swoich celów. Century House. Hanes-Aubury miał coś, co jest im potrzebne i oni chcą go mieć z powrotem. W całości.

Auslaire wyjrzał przez okno, za którym przesuwała się brudna ściana tunelu.

- Przepraszam. Rozkazy. Ostrzegalem ich, że przejrzysz z łatwością tę grę. Przysięgali jednak uparcie, że naprawdę kupili tę wiadomość w Rio.

- Czego dowiedział się Ambury?

- Nie wiem. Nie sądzę też, by on sam to wiedział.

. A więc jest kurierem, który dokonał podjęcia przesyłki, może rutynowej, i zamiast wrócić do domu jak przystało na grzecznego chłopca, zrobił skok w bok. W porządku. Załóżmy czysto teoretycznie, że wiadomość z Rio może być prawdziwa. Teraz SIS nie jest w stanie ustalić, czy ich wysłannik został porwany w związku z tym, co przewoził, czy też z racji zadawania kłopotliwych pytań na temat papieża. Opus Dei jest organizacją wystarczająco prawicową, by wspierać nową argentyńską juntę. W żyłach wielu Argentyńczyków płynie włoska krew. Opus Dei ma też wystarczająco wiele różnych sposobów, żeby uciszyć kogoś, kto domyślił się ich mistyfikacji. Niezły problem, James, i wydaje mi się, iż ci panowie z SIS chcieli po prostu użyć ITN dla wywarcia nacisku. Albo dostaną Hanesa-Aubury nietkniętego, plus przewożoną przezeń przesyłkę, albo ITN powie światu, że Watykan przy udziale, cytuję: "tajnego, prawicowego stowarzyszenia fanatycznych katolików", zamieszany jest w konspiracyjną działalność, mającą ukryć fakt śmierci papieża. Czy mam rację, ujmując to w ten sposób?

- Powiedzmy, że tak - zgodził się Auslaire.

- Nasz redakcyjny prawnik na pewno pobłogosławiłby mnie, gdybym podał taką historię. Dlaczego do diabła SIS nie pójdzie z tym do BBC? Oni są chyba najbardziej wiarygodnym źródłem informacji?

- Zbyt wiele jest przeciwko temu argumentów. Słyszałeś taki dowcip? Moskwa wołałaby mieć jednego leniwego agenta w BBC niż dwu asów wywiadu w rządzie.

- Dobrze, przykro mi - twardo powiedział Barton. - Przekaż swoim przyjaciółom, że BBC jest w stanie do dnia Sądu Ostatecznego płacić grzywny, my nie. Mamy akcjonariuszy i raczej puste kieszenie.

- Powiem im to.

- Muszą wymyślić coś innego, żeby wyciągnąć tego swojego człowieka, lub będą musieli użyć mięśni.

- Oczywiście - zgodził się Auslaire.

- Czy wierzysz, że papież był rzeczywiście w tamtym samolocie, czy to tylko spece z SIS stworzyli taką bajeczkę, dostosowując ją do rzeczywistych wydarzeń?

- Chodzi ci o to, żebym powiedział, czy Ojciec Święty odmawia właśnie zdrowaśki z rybkami na dnie południowego Atlantyku?

Bóg jeden wie. Moim zdaniem cały nasz cholerny świat zwariował. Zmartwychwstali święci, zamieszanie, jedna trzecia krajów walczy ze sobą. Niech wreszcie rozpocznie się bitwa o Armageddon! Idę do domu poczytać Księgę Apokalipsy.

- Jim - powiedział Barton nadal śmiertelnie poważny. - Przykro mi, ale nie mogę zwrócić się do rady nadzorczej o zgodę na wysuwanie takich sugestii pod adresem Watykanu - zaśmiał się. - Może i u nas w radzie zasiadają członkowie Opus Dei?

- Słusznie. Nigdy nie wiadomo, z kim możesz mieć do czynienia w tych czasach. Może się na przykład przypadkiem zdarzyć, że do twojej wspaniałej firmy zostanie doręczona nota, przeznaczona wyłącznie dla twoich błękitnych oczu. Znajdziesz w niej ostrzeżenie, iż wszystko to, co usłyszałeś podczas tej przejażdżki donikąd, podlega ustawie o ochronie tajemnicy państwowej i wykorzystywanie tych informacji jest karane. Uważaj więc na siebie.

- Wspaniale! - powiedział Barton z ironią w głosie.

- Takie jest życie, kolego. Nigdy do końca nie wiesz, jakich masz przyjaciół.

- To zabawne - powiedział dziennikarz. - Nasza kochana Mary jest przekonana, że Watykan coś knuje, ale ona uważa, że ich intryga skierowana jest w całości przeciwko osobie Pierre'a Labesse'a. Wiesz, Jim, co chyba zrobić? Zasugeruję redakcji, byśmy podali informację, że Watykan mógł zataić wiadomość o zgonie papieża tak, jak zrobił to Kreml po śmierci Andropowa. Stosują politykę dezinformacji, podczas gdy za murami trwa walka o władzę. Może to zmusiłoby ich do wyjawienia, czy papież żyje, czy nie.

- Jeśli lepiej się wtedy poczujesz... - ze złośliwym uśmiechem powiedział Auslaire. - Uważaj, przyjacielu, gdzie i jak chodzisz. Nie nadepnij czasem na minę.

- Chodzę prosto i uczciwie. Nie ma obaw! - zawołał Barton, gdy pracownik Ministerstwa Obrony zniknął w tłumie na peronie. Barton został w wagonie, przejeżdżając jeszcze kilka stacji. Zastanawiał się, czy człowiek tak umiłowany i podziwiany na całym świecie rzeczywiście spoczywa teraz na dnie Atlantyku, czy też leży chory w swych watykańskich apartamentach. Jeśli papież był martwy, to kto mógł mieć nadzieję na zajęcie jego miejsca? Dziennikarz nie był w stanie wymienić nikogo. Postanowił w końcu do czasu wyjaśnienia całej tej sprawy wierzyć, że Ojciec Święty żyje. 230

Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo był blisko odkrycia prawdy.

Nadinspektor Charles Harrison z Wydziału Specjalnego zadzwonił do sostituto Benito Marco w sobotę. Telefonował ze swojego biura w komendanturze policji Thames Valley w Kidlington koło Oxfordu.

Była za pięć dziesiąta i niemal w tym samym momencie Jonathan Barton z ITN wysiadał z wagonu okrężnej linii metra na stacji Baker Street.

Również Harrison zauważył w gazecie artykuł opisujący bez podania bliższych szczegółów porwanie brytyjskiego dziennikarza z hotelu w Madiolanie. Wiadomość ta wzbudziła w policjancie jedynie zawodową ciekawość. W tej chwili skoncentrowany był wyłącznie na dyrektywach Benito Marco, które, jak się okazało, nie były łatwe do realizacji.

Harrison miał pięćdziesiąt dwa lata i żył w separacji ze swą pierwszą i jedyną żoną. Winą za taki stan rzeczy obarczał bezpośrednio swój zawód. Wciąż jednak niezłomnie trwał w przekonaniu, że małżeństwo, pomimo trudności i nieporozumień, może zostać rozwiązane tylko przez śmierć. Był głęboko wierzącym katolikiem i rozwód ani przez chwilę nie przyszedł mu na myśl niezależnie od tego, co sądziła na ten temat jego małżonka. Od momentu separacji, spowodowanej odkryciem w jego małżeńskim łóżu pewnego, teraz już byłego, oficera policji, policjant całkowicie poświęcił się Bogu i swej pracy.

Nadinspektor znał Benito Marco od wielu lat. Pierwszy raz spotkał sostituto podczas pielgrzymki do Watykanu. Osobowość tego duchownego od pierwszego momentu ich znajomości zafascynowała Harrisona. Dał temu wyraz, prosząc Marco, by pralał wygłosił przemówienie na dorocznym uroczystym obiedzie wydanym przez Policyjne Stowarzyszenie Katolickie. Sostituto zgodził się, widząc w tym możliwość realizacji swych własnych zamiarów. Policjant zdawał sobie sprawę z machiawelizmu kryjącego się w postępowaniu jezuitę, lecz pomimo to był szczęśliwy i dumny. W następnym roku nadinspektora wybrano jednogłośnie wiceprzewodniczącym stowarzyszenia i w ten sposób Benito Marco pozyskał kolejnego sojusznika.

Harrison musiał chwilę poczekać, cierpliwie trzymał więc słuchawkę przy uchu i ssał powoli cukierka. Słodczyce pomagały mu od czasu, gdy rzucił palenie. Był zadowolony, że działa już połączenie automatyczne z Watykanem. Nie chciał, by rozmowa przechodziła przez ręczną centralę, gdyż wyznawał pogląd, że wówczas treść tak poufnej przecież rozmowy mogłaby równie dobrze zostać ogłoszona przez radiowęzeł.

Usłyszał wreszcie słaby głos.

- Tak? Mówi Marco. Czy ma pan to, na co czekam? Harrison zakaszał i wypluł lepki cukierek do kosza na śmieci.

- Jeśli chodzi o pierwsze polecenie - tak, lecz obawiam się, że zaistniały pewne komplikacje.

- Naprawdę?

- Dokument, o który nam chodzi, nie należy do żadnej z pierwszych trzech wspomnianych przeze mnie ostatnio kategorii. Nie mieści się on również całkowicie w czwartej, ostatniej grupie.

- Czy mówiąc to ma pan na myśli fałszerstwo? - zapytał sostituto. - Czy ów dokument został podrobiony?

- Zgadza się. Pojawia się jednak zasadnicze pytanie: przez kogo? Niektóre fałszerstwa mogą zostać usankcjonowane, uznane przez rząd Jej Królewskiej Mości za zgodne z racją stanu, chociaż zawsze, jeżeli sytuacja będzie tego wymagała, można udawać, że się nic o nich nie wie.

- Zrozumiałem, na przykład w przypadku instytucji rządowych, powołanych do zadań specjalnych.

- Niekoniecznie musi tu chodzić o instytucje podległe naszemu rządowi. W grę mogą wchodzić także rządy innych, zaprzyjaźnionych państw. Sojusznika nie można przecież oskarżać o fałszerstwo, zwłaszcza, jeśli dokonuje się go także w interesie Zjednoczonego Królestwa.

- Więc ów paszport został "wyprodukowany" i wydany któremuś z ich ludzi, człowiekowi zwerbowanemu na przykład przez jedną ze służb specjalnych?

- Dokładnie tak. Konkretnie. Ten dokument był jednym z takiej specjalnej, wyczerpanej już serii.

- A nazwisko człowieka, któremu go wydano?

- Właśnie w tym tkwi problem. Nie można dotrzeć do tej informacji bez nadania całej sprawie oficjalnego charakteru i przepro-232

wadzenia dochodzenia na znacznie wyższym szczeblu. Prawdopodobnie odbyłoby się to poza moją kontrolą i w ogóle poza moimi kompetencjami. Oczywiście jest, że próbując sięgnąć głębiej, straciłbym orientację w rozwoju wypadków. Ponadto nie ma wcale gwarancji, że w końcu udałoby się ustalić tożsamość tego człowieka. Wprost przeciwnie. Jestem prawie pewien, że tak prowadzone dochodzenie mogłoby zakończyć się fiaskiem. Mam kontakt z kimś, kto pracuje w pewnej ważnej służbie w ich londyńskiej ambasadzie. Ten mój znajomy stracił nagle chęć współpracy, gdy poprosiłem go o pomoc w sprawie tego dokumentu. Właściwie skończyło się na tym, że to on zaczął zadawać mi pytania, na które oczywiście nie miałem odpowiedzi. Jest wysoce prawdopodobne, iż oni zażądają pewnych wyjaśnień, chociaż nalegałem, by moją prośbę potraktowano nieoficjalnie.

- Tak, ale to zajmie im trochę czasu. W razie konieczności jestem w stanie zapewnić odpowiednie uzasadnienie, które powinno zapobiec wszelkim ewentualnym nieprzyjemnościom, jakie mogłyby pana spotkać w związku z tą sprawą. Na razie pozostawmy wszystko tak, jak jest.

- To może pomóc.

- A co z drugą kwestią?

Harrison nieświadomie włożył do ust drugiego cukierka.

- Wkrótce wyjeżdżam, by się nią zająć. Ten ksiądz wciąż tam jest. Sprawdziłem to w naszych kartotekach, zaznaczywszy oczywiście, że chodzi tu o sprawę osobistą. Zadzwonię ponownie z domu, gdy tylko spotkam się z proboszczem. Tak się nieszczęśliwie składa, że nie będę w stanie pokazać fotografii posiadacza sprawdzanego przeze mnie paszportu. Nie ma jej w aktach. Nic w tym dziwnego. Oczywiście jego byli pracodawcy na pewno mają jakieś zdjęcie, lecz prosząc ich o odbitkę, nic nie osiągniemy. Czy monsignore wie, jak mógł wyglądać ów człowiek?

Marco zawahał się. Harrison pomyślał sobie, że za chwilę sostituto go okłamie. Wreszcie duchowny odezwał się:

- Znam tego człowieka.

- Rozumiem - powiedział ostrożnie policjant.

- Wcale pan nie rozumie - odparł Marco. - Powinien pan sobie uświadomić, iż z tego co nam wiadomo, śledztwo to ma szczególne znaczenie dla dalszego istnienia Kościoła.

Harrison zmarszczył brwi i poruszył się niespokojnie na krześle.

- Byłoby mi ciężko złamać prawo, monsignore, nawet w imię wiary - Nie miał wcale ochoty na taką próbę.

- Nie oczekujemy tego, nadinspektorze. W żadnym przypadku. Policjant odetchnął z ulgą, starając się ukryć przed rozmówcą swe narastające obawy. Odezwał się, pilnując, by w jego głosie nadal było słyhać pewność siebie.

- Więc mogę liczyć na dokładny opis interesującego nas człowieka? To bardzo ułatwi sprawę.

- Przez piętnaście lat człowiek zmienia się i przypuszczam, że ten ktoś, o kogo nam chodzi, zmienił się więcej niż bardzo. Mogę opisać szczegółowo jego obecny wygląd, ale nie polegałbym raczej na tym. Zwłaszcza, że teraz wiele zależy od proboszcza, który też musiał się bardzo postarzyć i może nie skojarzyć mojego opisu z konkretną osobą. Niech pan, nadinspektorze, oprze swoje dochodzenie na fakcie, iż ksiądz ów napisał odręczny list, nie maszynopis, który wręczył temu dwudziestopięcio- może dwudziestosześcioletniemu mężczyźnie. Wiek ustaliłem na podstawie sfalszowanego paszportu, gdzie przecież i daty mogą być fałszywe. List był pismem polecającym, adresowanym do wszystkich zaintereso-wawnych. Stwierdzono w nim, że okaziciel owego pisma godzien jest przyjęcia w szeregi duchownych Kościoła Rzymskokatolickiego. Właściwie nie można tego nazwać opinią ani osobistą prośbą o protekcję. Słowa księdza, autora listu, wyraźnie wskazują na to, że bardzo mało znał on człowieka, za którym się wstawiał. W każdym razie była to jedna wielka prośba o umożliwienie zainteresowanemu przyjęcia święceń kapłańskich. Proboszcz musiał być zapewne pod wrażeniem tego młodego mężczyzny. Widocznie przecucie mówiło mu, że ów człowiek ma wiele do zaoferowania Kościołowi. Nie mylił się. Ten ktoś może dać z siebie Kościołowi więcej niż ktokolwiek inny.

Harrison dokończył zapisywanie tego wszystkiego, co Marco mu powiedział, potem zapytał:

- Czy mogę przyjąć, że również ten list został napisany w roku 1970?

- Został datowany drugiego października 1970 roku. Nie ma przyczyny, by uważać, iż data ta nie jest dokładna.

- Czy list również mógł zostać spreparowany? 234

- Nie widzę ku temu powodów. Obecnie raczej niewielu ludzi obiera stan kapłański. Z wielu względów dokument ten wydaje się autentyczny.

Harrison nie odzywał się i Marco wyczuł, że prawdopodobnie policjant waha się, chcąc wypowiedzieć jakąś osobistą opinię. Sostituto ostrożnie zapytał nadinspektora:

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? Harrison zaczął skubać siwiejące wąsy.

- Można by to nazwać ostrzeżeniem.

- Proszę mówić...

- Wspomniałem wcześniej, że ta seria paszportów została wyczerpana. Uzyskałem informację, iż część z nich wydano jako czyste druki.

Ludzie otrzymujący takie nie wypełnione paszporty są przeważnie specjalistami od rozmaitych dziwnych rzeczy. Potrafią w razie konieczności własnoręcznie wypisać dokument. Otrzymują w tym celu specjalny zestaw: odpowiedni atrament, suchą pieczęć, szczegółowe instrukcje postępowania, a także komplet perfekcyjnie wykonanych pieczętek wizowych i granicznych. O co mi tu chodzi: może właśnie ów człowiek, którego monsignore zna, otrzymał taki czysty paszport. W takim przypadku, choćby był teraz nawet kapłanem, proszę mi wierzyć, że w przeszłości był kimś zupełnie innym. Proszę zdać sobie z tego sprawę. Podejrzewam, że chodzi tu o kogoś, kto przed laty był świetnie wyszkolonym zabójcą albo żołnierzem - najemnikiem.

Przez kilka sekund Marco rozważał to zaskakujące stwierdzenie. Po chwili odezwał się:

- Nie chcę tego przesądzać, ale oczywiście dziękuję, że pan o tym wspomniał. Rzecz jasna, w odpowiednim czasie weźmiemy to pod uwagę.

Harrison wreszcie poczuł się trochę lepiej. Starał się odgadnąć intencje Marco i doszedł w końcu do wniosku, że ksiądz, którego paszport polecono mu sprawdzić, podlegał jakiejś sankcji dyscyplinarnej Watykanu. Na własny użytek policjant przyjął przypadkiem wyjaśnienie całkiem zbliżone do tego, które Marco wmówił zakonniczy. Uważał, że chodzi tu o duchownego, uwikłanego w politykę w jednym z krajów Trzeciego Świata. Takiej aktywności księży Harrison był zdecydowanie przeciwny.

- To chyba już wszystko z mojej strony. Pojadę teraz zobaczyć się z proboszczem.

- Proszę zadzwonić do mnie, nadinspektorze, gdy tylko dowie się pan czegoś nowego - przypomniał Marco.

- Monsignore, jak czuje się Ojciec Święty? Wiadomości o stanie jego zdrowia są takie ogólnikowe.

- Kardynał sekretarz stanu zapewnia mnie, że robi się wszystko, co możliwe. Ja sam nie widziałem papieża, a jego życie, tak jak życie każdego z nas, jest w rękach Pana - poważnie powiedział Marco, zostawiając sobie w ten sposób możliwość odwrotu.

Nadinspektor dodał jeszcze kilka słów troski i ze smutkiem odłożył słuchawkę.

Charles Harrison spokojnie i pewnie prowadził w strugach deszczu swego rovera. Jechało mu się nieźle, jeśli nie liczyć kilku korków ulicznych, normalnych na przedmieściach w soboty, kiedy wszyscy potencjalni klienci zjeżdżali się do sklepów. Gdy tylko mógł, starał się więc korzystać z bocznych dróg, jadąc pomiędzy szeregami ponurych, podobnych do siebie domów. Dziękował Bogu, że nie musi tu mieszkać. Jego dom w Henley-on-Thames stał na uboczu, na małym kawałku własnej ziemi, z dala od wszystkich. Harrison często powtarzał sobie, że tak właśnie jest najlepiej. Policjant nie jest w stanie żyć się z sąsiadami. Zrozumiał już dawno, że mieszkający w pobliżu ludzie traktują stróżów prawa bądź protekcjonalnie, bądź z obawą, a często wręcz ich unikają.

Dotarł do Euston i skierował się ku Kings Cross i Pentonville Road. W jednej z przecznic odnalazł kościół. Zatrzymał się, lekceważąc namalowaną przy krawężniku linię zabraniającą parkowania.

Wyłączył silnik i starannie zamknął drzwiczki samochodu. Musiał bardzo mocno pchnąć, zanim zardzewiała, metalowa furtka ustąpiła z przeraźliwym zgrzytem. Drzwi kościoła były zamknięte na klucz.

"Znak naszych czasów" - pomyślał policjant ze złością, obchodząc dookoła zaniedbany budynek. Znalazł zakrystię, a w niej księdza.

Tak jak przewidywał Marco, proboszcz był bardzo starym człowiekiem. Zbyt starym, by ponosić ciężar odpowiedzialności za jakąkolwiek parafię, a zwłaszcza za tę właśnie. Praca w tym miejscu mogła zakończyć się jedynie atakiem serca. Wszystko wokół było 236 %

ponure: podwórko, kościół i oczy człowieka, który tutaj służył Bogu. Kościół przestał być znakiem nadziei. Jej miejsce zajęła rewolucja i namalowane hasła głoszące nadejście nowych idei. Kościołowi oraz temu starym człowiekowi pozostawała jedynie wiara i cierpliwe znoszenie przeciwności.

Harrisona powitano z wylewną serdecznością, zwykłą u ludzi samotnych.

- Ojciec D'Arcy? - upewnił się, trzymając swój kapelusz w dłoni pomimo deszczu.

- Przyszedł pan! Dobrze, dobrze. Zmókl pan, zapraszam do środka. Przykro powiedzieć, ale nie przychodzi tutaj wielu policjantów. Pewnie zbyt są zajęci innymi problemami!

Ksiądz był wychudzony, jego skóra przywodziła na myśl pognieciony papier. Powycierana na brzegach i rękawach sutanna duchownego miała na łokciach ponaszywane starannie łaty z czarnego materiału. Proboszcz trzymał w dłoniach słoik po dzemie wypełniony mętną, żółtawą cieczą i ociekający pędzel. Odłożył to na stół pokryty gazetami.

- Używają farb w spray'u - wyjaśnił. - Jednego dnia wymalują coś na ogrodzeniu, innego dnia na ścianach, czasem nawet na drzwiach świątyni. A jakie słowa wypisują! Nie uwierzyłby mi pan, gdybym panu powiedział.

- Uwierzyłbym - odparł z przekonaniem Harrison.

- Ach! Myślę, że tak. Ma pan do czynienia z takimi brudami na co dzień. Pytam czasem, dlaczego? Co ja im takiego zrobiłem? W moim wieku wolno mi już powiedzieć, iż mam czasem takie uczucie, że Bóg patrzy teraz gdzie indziej, odwraca się od nas. Też już tego nie może znieść.

- Robią to dlatego, że to, co im obiecywano, nie spełniło się.

- Tak pan uważa? - zapytał D'Arcy, unosząc brwi wysoko ponad zakrzywione oprawki okularów. - Czy tak jest? Obawiam się, że na tym naszym świecie rzeczywiście nie będzie już w co wierzyć. Może jednak jestem trochę staroświecki i nie potrafię zrozumieć ducha nowych czasów?

Harrison potrząsnął głową. Zdjął płaszcz i pozwolił starym księdzu go wziąć.

D'Arcy powiesił okrycie na jednym z wieszaków, strząsając wcześniej gwałtownym ruchem krople wody. Wskazał gościowi krzesło i sam usiadł naprzeciwko.

- Jak mogę panu pomóc w pańskich poszukiwaniach? - uśmiechnął się. Harrison również uśmiechnął się w odpowiedzi i wyjął notes z zewnętrznej kieszeni marynarki.

- Jak wspominałem, gdy telefonowałem, by sprawdzić, czy ojciec jest tutaj, interesuje mnie pewne wydarzenie sprzed wielu lat. Ktoś się tutaj z księdzem spotkał, pewien mężczyzna, w październiku 1970 roku. Miał dwadzieścia kilka lat. Musiał przeżywać jakiś szczególny niepokój... tak mi się wydaje, skoro właśnie do księdza przyszedł z prośbą o wprowadzenie go w stan kapłański.

- Jest pan nazbyt uprzejmy, inspektorze. Chciał pan powiedzieć, że ten ktoś musiał być naprawdę w stanie wielkiego wewnętrznego niepokoju, skoro przyszedł do tego na wpół opuszczonego kościoła, zamiast wybrać jakąś inną świątynię, po której przynajmniej byłoby widać, że ktoś się nią zajmuje.

Harrison uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Oczywiście, mam rację - łagodnie powiedział D'Arcy. - Pan jednak również się nie pomylił. On rzeczywiście był pełen niepokoju. Był... zagubiony. To chyba lepsze słowo na określenie jego stanu ducha.

- Czyli ojciec go pamięta?

- Oczywiście. Wszedł wieczorem prosto z ulicy. Padał wtedy deszcz, tak jak dzisiaj. Było ciemno, właśnie zapalałem świece.

- Czy może ojciec przekazać mi jakieś informacje o nim? Na przykład jego nazwisko?

- Gdy widziałem się z nim po raz pierwszy, nie powiedział jak się nazywa. Nie zmuszałem go do przedstawienia się. Ludzie wchodzący nagle, prosto z ulicy do kościoła, do którego nie uczęszczają, jeśli w ogóle chodzą do jakiegoś kościoła, są zwykle mniej otwarci i nie chcą mówić zbyt wiele o sobie.

- Więc spotkał go ojciec więcej niż jeden raz?

- Rozmawialiśmy, jeśli mam być dokładny, trzykrotnie. Za każdym razem wyglądał coraz gorzej. Wydawało mi się, że coś go prześladowuje. Dokładnie to co mówię. Obawiałem się jego zdrowie tak samo, jak i o duszę.

- Czy poznał ojciec ten jego problem?
- . Z pewnością rozumie pan, że nie mogę panu tego powiedzieć?
Harrison skinął potwierdzająco głową.
- . A więc był katolikiem. Wypowiadał się przed księdzem?
- Był katolikiem, tak. Nie mogę panu powiedzieć nic więcej. Pan też wyznaje naszą wiarę?
- Tak.
- Wobec tego w pełni zdaje pan sobie sprawę z mojej sytuacji.
- Czy sprawi to jakąś różnicę, jeśli powiem, że mojego dochodzenia nie prowadzi policja, lecz... pewna ważna osobistość... w Watykanie?
D'Arcy przyjął tę wiadomość ze spokojem.
- Obawiam się, że musiałbym odmówić nawet wtedy, gdyby ta "ważna osobistość" siedziała tutaj na pańskim miejscu i żądała ujawnienia tej informacji.
- Nawet gdyby powiedziano księdzu, że ma to, cytuję: "szczególne znaczenie dla dalszego istnienia Kościoła"?
- D'Arcy westchnął i wygładził fałdy sutanny.
- Ten młody człowiek przyszedł do mnie wprost z deszczu, niespodziewanie. Był dręczony przez... coś, co tkwiło w jego umyśle i szukał mojej pomocy. Powierzył mi swe śmiertelne grzechy. Jego spowiedź mną wstrząsnęła. Myślałem, że do tamtej pory było mi już dane poznać wszystkie najgorsze ludzkie czyny, lecz to była prawdziwa litania okrucieństwa. W imieniu Pana udzieliłem rozgrzeszenia, wyznaczając pokutę i przekazując słowa nauki moralnej. Przyjąłem odpowiedzialność za odpuszczenie grzechów, wiedząc, że nie będę mógł ich nigdy nikomu wyjawić. Powiedziałem już i tak zbyt wiele. Moja odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: Kościół ustanowił prawa i sam musi ich teraz przestrzegać. Jeśli dla własnych interesów zacznie je lekceważyć, to rzeczywiście jego dalsze istnienie jest zagrożone.
- Zgadza się z tym - Harrison zawiesił głos. - Dano mi do zrozumienia, że zaopatrzył ksiądz owego człowieka w pewien list, swoiste pismo polecające na wypadek, gdyby rzeczywiście pragnął on wstąpić w stan kapłański. Chciałbym zapytać, czy ów człowiek Przychodząc tutaj, nosił się już z zamiarem zostania księdzem, czy też postanowił to sobie dopiero po rozmowie z ojcem?

- Jest pan prawdziwym policjantem, nadinspektorze. Próbuje mnie pan zmusić, bym wyznał, że może to ja właśnie zasugerowałem mu, iż poświęcenie życia w służbie Chrystusowi byłoby odpowiednią pokutą. Mój drogi - nie! On był już wówczas w trzech czwartych drogi do Chrystusa. - D'Arcy zamyślił się na chwilę. -Może inaczej: gdy spojrzę wstecz, wydaje mi się, że już wtedy odnalazł on Pana, lecz jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Czasem Chrystus pociąga nas mocno ku sobie, a my po prostu nie zdajemy sobie z tego sprawy. Myślę, że ja popchnąłem go tylko właśnie w takim momencie i w odpowiednim kierunku.

Harrison przytaknął ze zrozumieniem.

- Proszę mi powiedzieć - zagadnął D'Arcy. - Ten pański wpływowy przyjaciel w Rzymie? Czy on uważa, że człowiek, o którym mówimy, zagraża mu? Czy jest dla niego osobistym zagrożeniem?

- Rozważałem taką możliwość. Prawdę mówiąc, udało mi się zgromadzić trochę dowodów, zdających się potwierdzać to, co wynikać może z... tego, czego ksiądz mi nie powiedział... Ostrzegłem tę osobę, że może mieć do czynienia z kimś, kto posiada, powiedzmy... burzliwą przeszłość.

D'Arcy z aprobatą pokiwał głową.

- Lepiej, by potraktowano pańskie ostrzeżenie poważnie. Harrison wstał, szykując się do wyjścia.

- Och! Naprawdę musi pan już iść? - zawołał stary proboszcz. -Proszę zostać, zapraszam na herbatę.

- Zgodziłbym się z przyjemnością, ale czekają na mnie obowiązki.

- Wobec policji czy Rzymu? - zapytał D'Arcy z uniesionymi wysoko brwiami.

Harrison uśmiechnął się.

- Będę wpadał tu co jakiś czas, by zobaczyć się z księdzem - obiecał. - Spróbuję też spowodować, żeby chłopcy z tutejszego komisariatu pokazywali się u księdza częściej. Oszczędzi to ojcu trochę pracy przy usuwaniu farby.

D'Arcy otworzył drzwi. Pogoda na dworze nadal była wstrętna.

- Właściwie, to nie mam im tego za złe. W pewien sposób te napisy udowadniają, że ci, którzy tak piszą, wciąż boją się Boga. To tylko rozzłoszczone, pozbawione złudzeń dzieci, czekające na

to, by ich Ojciec, Stwórca, skarcił je i udowodnił, że wciąż jest gdzieś w pobliżu.

Harrison wyjął portfel i wsunął w dłoń księdza banknot o wysokim nominale.

- Chciałbym pomóc w utrzymaniu kościoła - powiedział odwracając się. - Jest nadal piękny na swój sposób...

D'Arcy złożył banknot i schował pieniądze do kieszeni.

- Dziękuję - powiedział z wdzięcznością. - Dziękuję. - Popatrzył na poczerńiałe mury. - Tak, na swój sposób jest piękny.

Harrison pożegnał się z księdzem i ruszył w stronę samochodu. Gdy odjeżdżał, D'Arcy stał w otwartych drzwiach jak samotny strażnik pilnujący murów zapomnianej fortecy.

Ułożony wcześniej plan zajęć sostituto Benito Marco zaczął się komplikować tuż po zakończeniu telefonicznej rozmowy z Char-lesem Harrisonem.

Najpierw odebrał telefon od zdenerwowanej osobistej sekretarki Angelo Segrettiego dzwoniącej, by poinformować, że przemysłowiec właśnie wyleciał do Rzymu na pokładzie jednego ze swoich prywatnych samolotów. Zapytała, czy monsignore Marco spotka się z jej pracodawcą w restauracji " L'Eau Vive" na Via Monterone.

Signor Segretti polecił jej upewnić się, czy specjalny stolik w tylnej części sali został zarezerwowany na czas południowego posiłku. Miała także prosić, by monsignore zjawił się tam o dwunastej trzydziści.

Zarezerwowała już ów stolik telefonicznie przed rozmową z sostituto i błagalnym głosem wyrażała nadzieję, że monsignore odwoła wszelkie kolidujące z tym spotkania. Signore Segretti miał do przedyskutowania pewne pilne kwestie, które w żadnym wypadku nie mogą być omawiane przez telefon.

Marco przejrzał swój terminarz. Mógł odwołać rutynowe posiedzenie w IOR - Institute per la Opera Religiosa - czyli w Instytucie Dziel Pobożnych. Był to watykański bank. Sostituto zaniepokojony zgodził się. Nie lubił nagłych komplikacji i kryzysów, a to wyglądało właśnie na coś takiego. Piętnaście minut później, gdy udało mu się przejrzeć najnowszą prasę, niepokój przerodził się w obawę. Zniknięcie Hanesa-Auburego pojawiło się, chociaż nie jako najważniejsza informacja, na pierwszych stronach wszystkich głównych włoskich dzienników.

Wspominały też o tym takie zagranicz-

ne autorytety prasowe jak "The Times" i "Herald Tribune". Artykuł wstępny we wszystkich włoskich gazetach dotyczył, tak jak Marco się tego spodziewał, wyrażonego przez Pierre'a Labesse'a zamiaru przybycia do Rzymu i wygłoszenia publicznego przemówienia na Placu Świętego Piotra. W Londynie i Nowym Yorku informacje o Labesse umieszczono również na pierwszej stronie, lecz wiadomości o zmartwychwstałym świętym musiały ustąpić pierwszeństwa komunikatom o narastającym kryzysie wokół Falklandów, a także o wojskowych stratach Stanów Zjednoczonych w Nikaragui. Notatki o chorobie papieża, we wszystkich gazetach, oprócz "Catholic Times'a", trafiły dopiero na drugą stronę.

Marco rzucił prasę na biurko. Poczul się osaczony i zapragnął nagle wyrwać się z niewidzialnych kleszczy, które powoli zaciskały się wokół niego.

Uspokoił w końcu jakoś swe rozbiegane myśli i poprosił o kawę oraz lekkie śniadanie. Chciał coś zjeść, by móc dalej sprawnie pracować. Gdy skończył jeść, powrócił do sprawy Segrettiego i jego pochopnego działania w sprawie brytyjskiego dziennikarza. Sostituto wiedział, że inspiratorem uprowadzenia był Segretti. Któż inny mógłby tak dobrze orientować się w sytuacji? "Może to nie było nawet takie złe? - myślał Marco. - Cóż innego można było zrobić, z wyjątkiem tego, o czym nie wolno nawet pomyśleć? Przekupstwo? Nie! Jakaś nieudana próba przekupienia tego człowieka mogłaby tylko skłonić go, by szukał głębiej. Przecież włoska policja miała bardzo słabe wyniki jeśli chodzi o uwalnianie ofiar porwań i wykrywanie sprawców takich czynów. Uprowadzenia stały się we Włoszech tak powszechne, że obecnie były już prawie instytucją, a nie przestępstwem. Może Segretti okazał się przewidujący. Może nie był aż tak głupi. Jeśli jeszcze przekupił kogo trzeba w policji!..." Marco poczul się znacznie lepiej. Sprawy znajdowały się nadal pod kontrolą. A to paniczne zaproszenie na lunch? Przemysłowiec musiał zdać sobie sprawę z tego, że cała historia pojawi się w gazetach - jak zwykle przesadzona - i chciał osobiście zapewnić Marco, że wszystko przebiega bez przeszkód. Marco postanowił, że do południa nie będzie zaprzętał sobie tym głowy. Skierował teraz swe myśli ku osobie Pierre'a Labesse'a. Przenikliwy umysł sostituto gorączkowo szukał właściwego rozwiązania-242

nia. "Najefektywniejszą metodą pozbycia się wroga - myślał - jest sprowadzenie go do swego własnego obozu i uczynienie go sojusznikiem." Inne, bardziej radykalne rozwiązanie mogło z kolei wymagać wykreowania męczennika. W przypadku Labesse zadanie mu fizycznego cierpienia wydawało się być nie tyle możliwe, co wręcz absolutnie konieczne. Nieprzyjaciel zbliżył się już do bram twierdzy, deklarując wolę jej zdobycia i uzyskując coraz większe poparcie. Nie było takiego sposobu zaproszenia go do środka, który nie wyglądałby na kapitulację. To stanowczo przekreślało pierwszą możliwość. Marco musiał znaleźć inną drogę, w przeciwnym wypadku pozostawało tylko rozwiązanie ostateczne. Nie wzbraniał się przed nim, uważał przecież Labesse'a za śmiertelnego wroga. W historii Kościoła było wystarczająco wiele takich precedensów. Ludzie byli jednak obecnie świątlijsi. "Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu" - tak brzmi starożytne powiedzenie. Należało uważać, by i podejrzania wszystkich nie skierowały się czasem w tę stronę. Niezależnie od ostatecznego wyboru drogi postępowania, nie pozostawało nic innego, jak tylko działać. Odwrót nie był możliwy. Wróg nadchodził i nie można było pozostawić fortecy bez obrony. Czas nieuchronnie mijał.

Zadzwonił wewnętrzny telefon. Kardynał sekretarz stanu wzywał Marco do siebie. Na razie sostituto spróbował więc odsunąć na bok swe zmartwienia. Bezskutecznie.

Znalazł się w pobliżu biura Cinallego akurat w odpowiednim momencie, by ujrzeć, jak człowiek w szarym, wełnianym habicie wychodzi z gabinetu, zamyka za sobą podwójne drzwi, odwraca się i przechodzi obok, kłaniając się zdumionemu sostituto z szacunkiem. Marco zwolnił kroku, wstrząśnięty - natychmiast rozpoznał twarz mnicha z telewizyjnego sprawozdania z wydarzeń w Jerozolimie. Wiedział od razu i bez najmniejszej wątpliwości, że minął go właśnie przeor klasztoru, będącego miejscem zmartwychwstania Labesse'a. Marco zastukał krótko w rzeźbione drzwi i od razu wszedł do środka, do gabinetu człowieka dzierżącego w tej chwili najwyższą władzę w Kościele. Wchodząc zastanawiał się, czy ta władza nie była czasem sprawowana w sposób ułatwiający tylko zadanie wrogom Kościoła. Cinalli ruchem ręki polecił Marco usiąść w fotelu.

- Czy wiesz, kto był u mnie przed chwilą?

Marco przytaknął ruchem głowy, przyglądając się uważnie swemu zwierzchnikowi.

W ostrym świetle dnia kardynał wyglądał jeszcze gorzej niż poprzedniego wieczora. Jego zwykle żywe i przenikliwe oczy były teraz puste i zaczerwienione, jakby sekretarz stanu przez całą noc płakał. Oczy miał podkrążone i zapadnięte, twarz ziemistą, z dwoma plamami czerwieni na policzkach. Zdawać się mogło, że trawi go jakaś wewnętrzna gorączka. Wąskie wargi kardynała, teraz wyschnięte i popękane, uśmiechały się.

Marco poczuł nagły napływ niepohamowanego gniewu. Wyczuł wyraźnie w tym pomieszczeniu słabość, nawet rezygnację. Nie chciał mieć w tym udziału.

Cinalli podniósł z biurka list i ostrożnie podał go swemu podwładnemu. Marco nie wyciągnął jednak ręki. Nie chciał tego dotykać. - To posłanie od ojca Labesse - powiedział sekretarz stanu, trzymając wciąż list w wyciągniętej dłoni.

Marco przelknął ślinę, lecz nie drgnął nawet. Cinalli odłożył list z powrotem na biurko i rozprostował kartkę dłonią.

- Napisał do mnie, używając słów Świętego Pawła: " Dlaczego potępiasz swego brata? Albo: Dlaczego gardzisz swoim bratem?

Wszyscy przecież staniemy przed trybunałem Boga. Przestańmy więc wyrokować jeden o drugim, a raczej zawyrokujmy tak, by nie dawać swym braciom sposobności do upadku lub zgorzenia. Nie odważę się wspominać niczego ponad to, co przekazał mi Pan. Nie chcę budować na fundamencie położonym przez kogo innego, lecz zgodnie z tym, co napisane, Ci, którym o Nim nie mówiono, zobaczą Go i ci, którzy o Nim nie słyszeli, poznają Go "...

Cinalli spojrział na swego sostituto. Na twarzy Marco widać było hamowane z trudnością oburzenie.

- On ośmiela się przedrzeźniać Pawła Apostoła?! Cinalli odwrócił głowę w stronę wysokich okien komnaty.

- Ci, którzy byli przy nim blisko, są skłonni uważać, iż on ma takie prawo. Według nich może on być... kimś więcej niż Paweł.

- To znaczy, że zostali oni opętani przez Zło. Świętość tego człowieka pochodzi tylko od nas. To my go kanonizowaliśmy.

Cinalli wtrącił ostro:

- Ustanawiamy świętych w imię Boga. Dał nam moc czynienia tego w Jego Kościele.

- Musisz zrozumieć w pełni to, co napisał, eminencjo. On prosi cię, lub raczej poleca ci, byś usunął się na bok i pozwolił mu zniszczyć podstawy wiary. Mówi przecież jasno: "Nie chcę budować na fundamentach wzniesionych przez kogo innego". Na naszych fundamentach. Oczywiście, że tego nie chce. Jak dotąd każde wypowiedziane przezeń słowo kruszy to, na czym stoimy. Czy mamy stać tak dalej czekając, aż zawali się na nas świątynia? Bo tego właśnie on od nas chce. To przecież chyba oczywiste. Jego bracia ulegli wpływowi głoszonoego przez Labesse'a zła. Ciebie, eminencjo, także to dotknęło.

- Nieprawda! - ryknął Cinalli.

- Więc wyrzeknij się go, tak jak uczynił to Chrystus, kuszony przez szatana! - Marco stał teraz, pochylając się nad biurkiem. Furia zwyciężyła u niego nad respektem wobec zwierzchnika. Uderzył wyprostowanym palcem w leżący przed nim list. - On obiecuje ci pokój, tylko że to nie jest rozejm, a kapitulacja. "Zaakceptuj mnie" - mówi. - "Siedź spokojnie i nie rób nic, pozwól mi cię zniszczyć" - oto sens jego słów. - Marco podniósł list i trzymał go teraz tuż przed twarzą Cinallego. - Odejdź ode mnie szatanie! - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Kardynał sekretarz stanu wpatrywał się w list, odchylając głowę, gdy kartka zbliżyła się do jego twarzy. Nie patrząc na sostituto, chwycił papier i porwał go na strzępy. Marco wziął je od niego, jakby obawiając się, że pozostawienie Cinallemu nawet najmniejszego skrawka listu może skalać kardynała.

- Widzisz eminencjo? - odezwał się Marco. - Nie udało mu się. Teraz musimy go zniszczyć. - Odwrócił się i wyszedł, pozostawiając za sobą wyczerpanego psychicznie, tak silnego dotąd człowieka. Człowieka, którego kiedyś znał. Wiedział od tej chwili, że to właśnie on, Benito Marco, dzierży w swych rękach władzę nad Kościołem.

Restauracja "L'Eau Vive" jest wyjątkiem wśród lokali gastronomicznych na całym świecie. Prowadzi ją pewien zakon żeński i dlatego wysocy dostojnicy Kościoła otaczają to miejsce szczególną opieką. Siostry pełniące rolę kelnerek nie noszą tutaj swych za

konnych habitów, lecz eleganckie sukienki. Pracują tu przeważnie młode i ładne kobiety. Jedynie po krzyżkach na szyi przybysz z zewnątrz mógłby się domyślić, że te młode kobiety poświęciły swe życie Chrystusowi.

"L'Eau Vive" znajduje się z dala od szlaków turystycznych, przy bocznej ulicy, blisko Panteonu, świątyni zbudowanej przez Agrypę w 27 roku p.n.e.

We wnętrzu lokalu roztrzęsiony Angelo Segretti oczekiwał na przybycie Benito Marco.

Segrettiego dobrze znano w "L'Eau Vive" i dlatego nie było żadnych trudności z rezerwacją stolika w tylnej sali restauracji, gdzie zwykle jadali najwyżsi dostojnicy Kościoła. Chociaż było dopiero dwadzieścia po dwunastej, w pomieszczeniu zaczynało się już robić tłoczno.

Segretti w zdenerwowaniu nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że pije aperitif. Pierwszy raz w życiu był tak przerażony. Potrafił wyobrazić sobie ze wszystkimi szczegółami moment, w którym dosięgnie go ręka sprawiedliwości i dorobek całego życia legnie w gruzach. Utraci wszystko, nawet wolność. Spojrzał na swój platynowy zegarek i podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy srebrne wskazówki pokazały oczekiwaną godzinę. Ujrzał sostituto Benito Marco zbliżającego się do stolika.

Siostra zakonna - kierowniczką sali ruszyła na powitanie Marco.

Zapytała jaki alkohol podać przed jedzeniem i oddaliła się taktownie.

Potrafiła doskonale wyczuć, kiedy goście pragną porozmawiać na osobności. Sostituto przysunął bliżej swoje krzesło.

- Wyglądasz na chorego - powiedział cicho. - Stało się. Musimy przeżyć jakoś te kilka dni.

- Nie - jęknął Segretti. - Ty nic nie rozumiesz...

Marco spojrzął prosto w twarz Segrettiego. Ujrzał w jego oczach skrajne przerażenie.

- Nie wierzę! - rzucił ochryplym szeptem.

- To nie była niczyja wina, przysięgam!

- Opanuj się. Wypij coś... Teraz mi wszystko opowiedz. Podano zamówiony przez Marco aperitif. Sostituto uśmiechnął się do pięknej kelnerki w podziękowaniu. Wypił trochę i znów pochylił się nad stołem.

- Dlaczego wybrałeś właśnie to miejsce?

Udręczony Segretti poruszył głową, jakby zaprzeczył swoim własnym myślom.

- Nie potrafiłem myśleć logicznie. Po prostu przypomniała mi się ta restauracja. Sądziłem, że lepiej nie spotykać się w Watykanie.
- Słusznie - szybko powiedział Marco. - Jak to się stało?
- Dla bezpieczeństwa był związany. To chyba zrozumiałe? -Tak?
- Wcześniej bardzo się upił. W hotelu moi ludzie z trudem zdołali go podnieść. Nawet gdy już wywieźli go na wieś, nadal był nieprzytomny. Nie był też zdrowy. Miał wielki siniec nad nerkami. Widziałem ciało...
- To twoi ludzie tak go pobili?
- Przysięgają, że nie.
- A więc? Na Boga! Jak zmarł?
- Musiał kilkakrotnie wymiotować przez sen, a strażnicy tego nie zauważyli. Może spali?
- A on zakrztusił się wymiocinami i nastąpiło uduszenie? Czy twoi ludzie to imbecyle?!

Segretti znów zaczął rozpaczliwie kręcić głową.

- Przestań - warknął Marco. - Zaraz zamówimy coś i będziemy jedli. Musimy sprawiać wrażenie, że jesteśmy tu tylko dla przyjemności. Słyszysz mnie? To uważaj! Musisz uporać się z tą całą sprawą tak samo skutecznie, jak radzisz sobie z kłopotami w interesach. Potrzebny ci dokładny plan działania, by ocalić swą skórę, a potem zrealizować te postanowienia. Jesteś zbyt potężny, by ponieść karę. Starczy ci bogactwa, by opłacić jakiegoś nieszczęśnika, który weźmie winę na siebie. Znajdź kogoś takiego i po prostu zapłać mu. Zapłać dobrze, bo będziesz kupował także jego milczenie. Jeśli okaże się, że ma rodzinę, zadbaj o jego bliskich. Daj im tyle, ile będzie trzeba i jeszcze więcej. Tylko wówczas wyjdiesz z tego czysty i uratujesz nazwisko. Słyszałeś, co ci powiedziałem?

Segretti spojrział na Marco, potem wziął do ręki menu i założył okulary w złotej oprawce.

- Słyszałem wszystko - powiedział. - Uczynię dokładnie tak, jak powiedziałaś. Co z ciałem? - Dłonie trzymające menu drżały. Marco spojrział na niego jakby zaskoczony.
- Z jakim ciałem? Nie wiesz nic o żadnym. Człowiek, któremu zapłacisz, powinien wiedzieć. Ty jesteś Angelo Segretti.

- Ten Anglik był przecież u mnie...
- A ty się z nim widziałeś. Rozmawiał z tobą, zadawał pytania, jak to zwykle czynią dziennikarze, wypił kilka kieliszków i opuścił twój dom. Czyż nie tak było?
- Stało się dokładnie tak, jak mówisz - odparł Segretti, nie spuszczać oczu z twarzy Marco.
- A więc skończmy z tym. Teraz musimy coś zamówić.
- Tak... - odparł przemysłowiec. - Oczywiście. Cokolwiek. Sostituto uniósł swój kieliszek i rozejrzał się dookoła. Zauważył dwóch kardynałów, z szacunkiem skinął głową w ich stronę, potem odwrócił się bokiem do Segrettiego.
- Za Rzym! - powiedział głośno. -1 za Kościół Święty! W całej sali wzniesiono kieliszki, by spełnić jego toast.

5.

Postanowiła w końcu zwiedzić to miejsce, zaznać turystycznych atrakcji, skoro już się tu znalazła. Nie miała jednak zamiaru przyjmować roli zwykłej turystki i pozwolić, by przepędzono ją z miejsca na miejsce jak owcę w stadzie. Chciała chodzić bez pasterza, własnymi drogami. Samotnie przekroczyła bramę twierdzy. Miała nadzieję, że znajdzie w tym miejscu Boga. Udało się jej spotkać tylko człowieka. Czyż Bogu potrzebne są okazałe budowle z marmuru i kamienia? Czy potrzebne Mu złoto, posągi i zapierające dech w piersiach dzieła artystów? Były to przecież nieudolne próby stworzenia nieba na ziemi albo przynajmniej pokazanie ludzkiego wyobrażenia Raju. Jakże bardzo mylili się twórcy tych dzieł. Teraz o tym wiedziała. To dzięki niemu zrozumiała, że niebo istnieje. On miał pokazać jej niewidoczną, nieustanną obecność Raju dookoła. "Codziennie przebywasz w niebie - mówił - tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy". Czasem wydawał się być niezwykle naukowcem, zajmującym się dziedziną wiedzy wykraczającą daleko poza obecne, a nawet przyszłe możliwości intelektu. Innym razem dążył do sprostowania poplątanych ścieżek życia. Uczył ją, jak uczy się małe dziecko, alfabetu istnienia i wiedział, że znaczenia słów i gramatyki życia nigdy nie będzie mogła zrozumieć. Zawsze był częścią Boga. Boża moc promieniowała z niego całego. Catherine doznawała jego obecności prawie ponadzmysłowo. Bóg prowadził go teraz, czyniąc zeń swoje narzędzie. Wezwał go przed Swoje oblicze i odesłał z powrotem jako posłańca. Nazywała go swoim Mistrzem, panem, podobnie czynili też bracia zakonni. Została umiłowana przez niego tak, jak on był umiłowany przez Boga. Ta właśnie świadomość sprawiała, że z rozpromienioną twarzą przemierzała pewnym krokiem korytarze i komnaty twierdzy. Odczuwała wyraźnie, że otaczające ją martwe przedmioty z marmuru i złota są wobec niej wrogie. "Wszystko na świecie posiada zdolność odczuwania - nauczał Mistrz, niczym wszechwiedzący emisariusz z dalekiej przyszłości. - Wszystko żyje, ponieważ od atomu do Wszechświata wszystko jest częścią całości i każda część jest całością. Istota stworzenia jest jednocześnie skończona i nieskończona." Kiedyś podał jej mały kamień, pro-

sząc, by powiedziała, z czego składa się ów okruch skały. Odmówiła odpowiedzi, wiedząc, że dla niego każda jej myśl będzie niemądra. 'To jesteś ty - powiedział po chwili milczenia. - To jesteś ja. I Bóg.'

"Jestem Catherine Weston - mówiła sama do siebie. - Jestem kamieniem i jestem Bogiem. Jestem jednak nadal ślepa. Ale każdego dnia przynosi mi kolejny promyk światła. Michaelu, dlaczego nie poczekałeś, aż zdejmą mi bandaż?"

Ojciec Thomas stał przy wąskim oknie swej okrągłej celi. By chory, wyczerpany i chyba rzeczywiście szalony, jak twierdzili wszyscy. W dole widać było brukowany dziedziniec, pokryty zielonym nalotem ze spływającej tam rynnymi wody. Zwieszone nisko, sine niebo ze smugami białych chmur wyglądało jak dziecięca tabliczka do rysowania, poznaczona przypadkowymi kreskami mi położonego płasko kawałka kredy. Chmara szpaków zataczających koła nad dziedzińcem, to pojawiała się, to nikła z pola widzenia. Na wprost okna widać było szczyty dachów i pomniki, które dawno już zapomniały o swej świetności. Z tyłu, za plecami Thomasa, znajdowały się solidne drzwi, zamknięte na klucz, pilnowane przez uzbrojonego strażnika.

Thomas przypuszczał, że wszyscy nadal byli wobec niego podejrzliwi. Nie było to wcale takie zaskakujące, biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności. Przyjmował więc potulnie ich postępowanie. Wierzył, że lojalnością i poświęceniem zdoła ich w końcu przekonać.

Strażnik trzykrotnie tego dnia otwierał drzwi tylko po to, by przyjrzeć się Thomasowi uważnie i bez słowa znów je zamknąć. Dwa razy odwiedziła go zakonnica kontrolująca temperaturę i, czym dobrze wiedział, stan jego umysłu. Lekarstwa, które mu wstrzykiwała, sprawiały, że język stawał się dziwnie ociężały, myśl lekka. Kłębili mu się wówczas w głowie tysiące pytań, ni był w stanie żadnego z nich wypowiedzieć.

Zbliżał się już wieczór, a pielęgniarka jeszcze się nie pojawiła by zrobić mu trzeci zastrzyk. Lekarstwa szybko przestawały działać, jak wszystkie tego typu środki przyjmowane systematycznie w nadmiarze. Zdawał sobie sprawę z tego, że siostra już nie przyjdzie. Przynajmniej nie po to, by go znów uśpić. Wiedział, że to s' 250

już skończyło. Pozostawiono go teraz samemu sobie, aby mógł odzyskać dawną jasność rozumu. Jego umysł dzięki postowi miał stać się bystry i chłonny - dlatego nie dostał nic do jedzenia.

Już wkrótce powinien przyjść *sostituto*, którego dla jego gładkich, czarnych włosów i ostrych, wyrazistych rysów twarzy Thomas w swych narkotycznych snach nazywał krukiem.

Zdawał sobie sprawę z tego, że Marco powie mu niedługo dlaczego... A przecież nie miał prawa tego wiedzieć.

W Jerozolimie zapadła już noc. Dziennikarze odeszli spod klasztoru na Górze Oliwnej, nie spodziewając się już żadnych rewelacji o zmartwychwstałym świętym, przynajmniej do czasu jego wyjazdu do Rzymu. Kilku izraelskich policjantów nadal trzymało straż przed budynkiem. Stróże prawa byli teraz znacznie spokojniejsi. Gawędzili beztrudnie z gromadzącymi się wciąż pielgrzymami. Unikali ostatnich, zatwardziałych w swoim uporze reporterów, którzy najwyraźniej postanowili nie poddawać się, pomimo rozporządzeń mnichów.

W północno-wschodniej ścianie klasztoru znajdowała się niewielka furтка, prowadząca do ogrodu klasztornego. Stał przy niej samotny policjant zadowolony ze służby w miejscu, gdzie, przez nikogo nie widziany, mógł palić do woli. Nagle niespodziewanie rozległ się za jego plecami szum otwieranego zamka. Mężczyzna rzucił błyskawicznie papierosa na ziemię, przydeptał niedopałek obcasem i odsunął się od drewnianych drzwi. Na zewnątrz wyszło dwóch ludzi. Nawet w ciemności widać było od razu, że pierwszy z nich, szczupły i drobny, jest chłopcem. Drugi był wysoki i musiał pochylić nisko głowę przechodząc przez furtkę. Ubrani byli w szare habity, na głowy naciągnęli kaptury.

Policjant skinąwszy głową w geście pozdrowienia, chciał się odwrócić, lecz coś go powstrzymało. Wysoki mnich patrzył na niego i później policjant opowiadał wszystkim, że twarz zakonnika jaśniała, jakby promieniowało z niej jakieś nieziemskie, płonące w oczach światło. - Chodź - powiedział Pierre Labesse. - Pójdź z nami.

Policjant ruszył za nimi.

Wchodzili na Górę Oliwną, aż dotarli do meczetu na szczycie i do leżącego tam małego, okrągłego kościółka Wniebowstąpienia.

Policjant zaniepokoił się. Pragnął czym prędzej odejść i jednocześnie chciał zostać jak najbliżej wysokiego zakapturzonego człowieka. Nienawidził braku zdecydowania. Teraz jednak sam wahał się, przerażony świadomością, że jego decyzją może kierować ktoś inny. Labesse zatrzymał się i zdjął kaptur, obracając się w stronę policjanta. Stali wśród rzymskich kolumn. Dookoła nich czerniała przepaść Kosmosu. Rój gwiazd zdawał się wirować ponad głową zakonnika. Niebo patrzyło na nich z bliska jak cudowna twarz potężnej istoty.

- Dawid stał tutaj - oznajmił Labesse. -1 Syn Boży. W tym miejscu stał też wielki prorok islamu. Stąd Bóg zabrał do siebie swoje go Syna. Tutaj pojawi się Mesjasz. W tym splocie zdarzeń wid prawdę ich nierozdzielności.

Policjant wierzył najpierw, że słowa mnicha są skierowane wyłącznie do niego. Dopiero później zobaczył innych. Widział ciemne, brodate postacie z długimi, kręconymi pejsami, kapłanów jego własnej wiary, dwóch muzułmańskich mullów, posępnych i czujnych, brodatego tak jak rabini patriarchę Kościoła Greckiego. Byli tam też inni - katolicki ksiądz z kościoła Wniebowstąpienia, kapłan koptyjski z kościoła Grobu Świętego, Syryjczyk i Ormianin.

Policjant zaczął zastanawiać się, jakim cudem oni wszyscy pojawili się tu tak nagle, aż uświadomił sobie, że czekali tutaj na zakonnika. Nie zauważył ich. Widział jedynie postać wysokiego mnicha, którego głowę przyozdabiała korona z gwiazd.

Labesse przemówił znowu. Nikt o nic nie pytał. Gdy skończył wszyscy obecni przyklękali, kolejno całując jego dłoń. Potem opuścił ich, kierując się ku klasztorowi.

Policjant kroczył obok niego z sercem pełnym obaw. Lękał się życia, śmierci nie będzie się bał już nigdy.

Gdy już wszyscy się rozeszli, na szczycie góry pozostał tylko ksiądz katolicki. Stał samotnie, patrząc z niepokojem w stronę starego miasta. Pamiętał każde wypowiedziane przez Labesse'a słowo. Tego nie można było zapomnieć. Szczególnie jeden wyraz utkwiał boleśnie w pamięci księdza, raniąc duszę jak kłamstwo wypowiedziane przez kogoś bliskiego. "Nierozdzielne". Tak nie mógł być. Islam, judaizm, chrześcijaństwo. Islam widział w Chrystusi proroka. Żydzi go ukrzyżowali. Tutaj stał Dawid i Jezus. Stąd rów 252

niez zejść ma na ziemię Mesjasz. To święte miejsce wszystkich wierzeń. Ale "nierozdzielne"? To było bluźnierstwo. Bluźnierstwo wypowiedziane przez anioła.

Pelen sprzecznych uczuć ksiądz spojrział ku gwiazdom. "Ktoś inny stał tutaj również - pomyślał. - Judasz Iskariota. Biedny, nikczemny, udęczony człowiek. Współczuję mu teraz i rozumiem. Zdrada jest przyjęciem na siebie odpowiedzialności za miłość. Za miłość, jeśli miłuje się więcej niż inni i jest się świadomym, że ktoś umiłowany opacznie zrozumie nasze działania, a jednak poświęca się wszystko w imię tej miłości."

Podjął wreszcie decyzję. Rzym musi dowiedzieć się, co ma zostać powiedziane u jego bram.

247

6.

Sostituto wrócił do Watykanu na czas. Zdążył nawet odebrać rozmowę z nadinspektorem Charlesem Harrisonem.

- Nic z tego - powiedział policjant. - Proboszcz nie będzie mówił.

Uważa, że to wszystko, co ów człowiek opowiedział mu o sobie powinno pozostać w konfesjonale. Jest stary, uparty i nawet osobiste polecenie Ojca Świętego nie jest w stanie zmienić tego postanowienia.

Ja też się z tym zgadzam. Jeden fakt wydaje mi się jednak oczywisty - Harrison mówił z naciskiem, jego słowa były jak precyzyjnie wymierzone uderzenia. - Ten człowiek ma... przeszłość. Z kimś o takiej przeszłości nie można żartować. Monsignore nie udzielił mi dokładniejszych informacji, nie pytałem wcale o nie. Teraz jednak muszę zadać pewne pytanie: Czy otrzymaliście ostrzeżenie, iż ów Barret, czy jak tam on się naprawdę nazywa, może stanowić zagrożenie dla życia papieża? Po wizycie u ojca D'Arcy, w samochodzie przyszło mi do głowy, że właśnie to może być przyczyną waszej prośby.

- Zapewniam, że nie - z przekonaniem odparł Marco.

- To dobrze, bo gdybym zgadł, należałoby czym prędzej sprawdzić wasz system bezpieczeństwa.

- Jest więc pan przekonany, że mamy tu do czynienia z kimś, kto mógł być niegdyś... terrorystą?

- Ze wszystkich zgromadzonych przeze mnie pogłosek i dowodów można przypuszczać, że tak. Zamachowiec - najemnik najgorszego rodzaju. Oficjalny, rządowy.

- Czy ojciec D'Arcy powiedział coś, co pozwoliłoby wyrobić sobie jakąś pewniejszą opinię o tym człowieku, na przykład jaki on był?

- Wzburzony. Coraz bardziej rozbity wewnątrz w miarę kolejnych trzech wizyt. Ratunku szukał w rozgrzeszeniu. Stąd też jego kapłaństwo. Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że gdy ktoś taki załamuje się, to przebiega to szybko. Tak szybko, że on sam nie może zdać sobie z tego sprawy. Winien jednak jestem ostrzeżenie: nie ma nawróconych zawodowych morderców, są tylko tacy, którzy się zmienili. On mógł poznać Pana, mógł go nawet teraz przyjąć całą duszą, lecz to Szatan był jego pierwszym nauczycielem. Proszę o tym pamiętać, cokolwiek macie z nim do czynienia-254

nia. Czy na pewno monsignore nie chce powiedzieć mi nic więcej?
Mogę pomóc. Jestem także zawodowcem.

- Dziękuję, to nie będzie konieczne.

- Według życzenia - z powątpiewaniem powiedział Harrison.

-Pozostaję w każdym razie do usług.

Marco odłożył słuchawkę. "Wszystko zależy teraz ode mnie - pomyślał. - Eminencjo Giorgio Cinalli, kardynał i sekretarzu stanu Stolicy Apostolskiej, także ty będziesz musiał w tym uczestniczyć."

Sięgnął po telefon i poprosił o połączenie z Paryżem.

Marco postanowił poinformować kardynała sekretarza stanu o swej decyzji natychmiast ze względu na czas. Istniało oczywiście niebezpieczeństwo, że im dłużej Cinalli będzie to wszystko rozważał, tym bardziej prawdopodobna stanie się możliwość, iż ponownie zmieni on zdanie. Marco był jednak przekonany, że potrafi sobie z tym poradzić. Gdy człowiek wplącze się głęboko w jakąś konspirację czy intrygę, trudno jest podjąć decyzję o odwrocie, niezależnie od tego, jak ważne stoją za nią pobudki. Czasami łatwiej jest ustąpić i pozwolić się pociągnąć naprzód.

Odnalazł Cinallego w jego apartamentach. Zdawało się, że kardynał śpi. W rzeczywistości jednak leżał on tylko na łóżku. Otworzył oczy, słysząc pukanie, wymamrotał słowa przyzwolenia i zgodził się, by Marco pomógł mu przejść do gabinetu.

Benito Marco postanowił rozegrać wszystko delikatnie, nie dając Cinallemu żadnej szansy odmowy lub odwrotu. Miał ku temu środki - groźby, do użycia których był w pełni przygotowany. Wiedział, że nawet kompletnie załamani ludzie mogą okazać się niezwykle oporni.

- Modliłem się o wsparcie i radę - siadając w swym wielkim fotelu, oświadczył Cinalli. - Wiele też myślałem...

- Eminencja nie czuje się zbyt dobrze. Nie należy się tak przemęczać - poradził Marco.

- Może odrobinę wina? - zapytał nieoczekiwanie Cinalli.

- Na razie nie, dziękuję. Może eminencja ma ochotę? Cinalli pokręcił głową powoli, jakby zmęczony jej ciężarem.

- Chciałbym porozmawiać z tobą poważnie, eminencjo - rzekł sostituto.

- Czy w obecnych dniach kiedykolwiek rozmawiamy inaczej? -zapytał Cinalli.

- To coś poważniejszego niż wszelkie nasze dotychczasowe rozmowy. Cinalli zdawał się go nie słyszeć.

- Miałeś rację, upominając mnie. Szukałem łatwiejszej drogi. Przeorowi z Jerozolimy może wydawać się człowiekiem stojącym ponad innymi ludźmi. Po rozmowie z zakonnikiem byłem o tym prawie przekonany.

- Jeśli Labesse jest człowiekiem będącym ponad innymi, to staje się dla nas podwójnie niebezpieczny - zaznaczył Marco.

- Proszę! - Cinalli ruchem dłoni poprosił go, by mówił. - Przyszedłeś tu, by ze mną porozmawiać. Zacząłeś nawet. Mów dalej.

Marco z szacunkiem skinął głową i rozpoczął:

- Prochy Świętego umieściłem w bezpiecznym miejscu.

- Gdzie? - zapytał Cinalli. Wstrząsnęło nim wspomnienie fizycznego dowodu intrygi, w którą był zamieszany, chociaż teraz bał się do tego przyznać. Jego reakcja przekształciła się w gniew skierowany przeciwko samemu sobie.

Marco zawahał się trochę.

- W kaplicy Borgii.

- W kaplicy Borgii?! - wykrzyknął Cinalli. - Dlaczego tam?

- Ponieważ kaplica mieści się w Tajnym Archiwum, które należy bezpośrednio do papieża i nikt nie może wejść tam bez jego osobistego pozwolenia. Zważywszy te okoliczności, jest to najbezpieczniejsze miejsce.

- Ale to przecież miejsce modlitw takiego... strasznego człowieka! Niegodziwca!

- To kaplica. Jej poprzednie przeznaczenie jest teraz bez znaczenia. - Marco nie wspomniał, że pewien związek z Borgiami ma tutaj decydujące znaczenie. Postanowił podjąć tę kwestię później.

Cinalli rozłożył dłonie w geście rezygnacji. Marco mówił dalej.

- Dzisiaj miały miejsce pewne wypadki, którymi nie chciałem zaprzętać twojej uwagi, eminencjo. Miałem tutaj na względzie głównie stan twego zdrowia. Stało się jednak teraz konieczne, byś usłyszał o wszystkim.

Słyszając to, Cinalli przesunął dłonią po swej twarzy, wyraźnie bojąc się słów, które miały teraz nastąpić. Nie miał już innego wyboru, jak tylko słuchać, chyba, że zrezygnuje ze swego urzędu.

250

Nawet i to jednak nie wybawiłoby go z kłopotów. Znalazł się w pułapce własnych knowań, których nie można już było odpokutować. Dał Marco znak, by ten mówił dalej.

- Chodzi tu o dwie sprawy. Pierwsza dotyczy śmierci Ojca Świętego i twojej decyzji, eminencjo, podjętej w porozumieniu z wybranymi kardynałami, żeby zachować ten fakt w tajemnicy. Druga kwestia wiąże się z człowiekiem, którego... "wskrzeszenie" spowodowało konieczność podjęcia pewnych kroków. - Marco przerwał i zapytał:

- Czy eminencja czytał dzisiejsze gazety?

- Przeglądałem pobieżnie - powiedział półgłosem Cinalli.

- Więc może zauważył eminencja artykuł o porwaniu brytyjskiego dziennikarza w Mediolanie?

Cinalli wzruszył ramionami, potem skinął głową.

- To porwanie zostało przeprowadzone na polecenie jednego z członków Opus Dei. - Cinalli zdumiony tym chciał coś powiedzieć, lecz Marco ciągnął dalej. - Nie było wyboru. To posunięcie chronić miało ciebie, eminencjo. Ow dziennikarz zdobył informację, że na lotnisku w Rio de Janeiro ktoś widział papieża. Ojciec Święty przebywał na pokładzie prywatnego samolotu. Sposób, w jaki ten Anglik się o tym dowiedział, jest tutaj bez znaczenia. Ważne jest za to, że podjęta w Mediolanie akcja miała go powstrzymać przed próbami sprawdzenia tej wiadomości. Gdyby mu się powiodło, gdyby zdobył jakiegokolwiek potwierdzające ją fakty, cała ta historia widniałaby teraz na pierwszych stronach gazet. Był już bardzo bliski odkrycia prawdy. Jego informator w Rio podał mu numer samolotu i dzięki temu dziennikarz dotarł do Angelo Segrettiego. Spotkał się nawet z Segrettim, który zatelefonował, by nas ostrzec.

- Segretti powinien wszystkiemu zaprzeczyć! - rzucił Cinalli.

- Tak też uczynił, lecz ten człowiek mu nie wierzył. Samolot wylądował w Rio. Pozostał tam w dokumentach numer rejestracyjny i wyprzeć się tego teraz nie można. Ponadto z wyprzedzeniem został zgłoszony plan lotu, o czym eminencja na pewno nie wie. Uzasadnieniem zmiany kursu i lotu na Falklandy miała być rzekoma awaria pokładowych urządzeń nawigacyjnych. Tak to zostało uzgodnione z Ojcem Świętym, tylko w ten sposób można było utrzymać całą misję w tajemnicy, aż do chwili przybycia papieża na wyspy. Niestety, nie było wolą Pana Naszego, by tak się stało. -

Najbardziej przerażającą wiadomość zawierało ostatnie zdanie opowieści *sostituto*: - Ten dziennikarz nie żyje. Zdawało się, że Cinalli nie zrozumiał go, gdyż nadal nieruchomo patrzył przed siebie.

Marco powtórzył raz jeszcze:

- Ten dziennikarz nie żyje. Był pijany do nieprzytomności. Z informacji, jakie posiadam, wynika, że musiał on zacząć wymiotować i udławił się własnymi wymiocinami. Związano go, więc możliwym jest, że nie mógł się ruszać.

Cinalli wyszeptał kilka słów modlitwy do Matki Boskiej. Uczynił to bezgłośnie, lecz Marco domyślił się, że kardynał błaga o przebaczenie i o duchowe wsparcie.

- A Segretti? - zapytał.

- Jest bezpieczny. Nadal cię ochrania, eminencjo. Będzie milczał.

- Jest wiernym sługą Kościoła - Cinalli wypowiedział te słowa tak, jakby nic się nie wydarzyło.

- Ciało dziennikarza może zostać odnalezione - ostrzegł Marco. - Segretti ma dopilnować, by eminencji w żaden sposób nie łączono z uprowadzeniem tego człowieka... ani z jego tragiczną śmiercią.

- Za wszelką cenę należy ochraniać Kościół - powiedział głucho Cinalli.

Marco wiedział, że jego rozmówca zamknął się teraz w sobie. Musiał temu przeciwdziałać, jeśli kardynał miał jeszcze cokolwiek uczynić.

- Eminencjo, musisz teraz uważnie wysłuchać tego, co powiem.

Postaraj się, proszę, dokładnie mnie zrozumieć.

Cinalli westchnął głęboko, uniósł swe dłonie z poręczy fotela, potem opuścił je znowu, jakby zabrakło mu już sił.

- Dobrze - zgodził się półgłosem.

Oczy Marco patrzyły stanowczo, prosto w twarz sekretarza stanu.

- Mam najświeższe wiadomości z Jerozolimy. Ksiądz z kościoła Wniebowstąpienia telefonował dzisiaj, prosząc o rozmowę z Jego Świętobliwością. Labesse polecił swym braciom przygotować spotkanie przedstawicieli różnych wyznań. Spotkanie odbyło się wczoraj w nocy na szczycie Góry Oliwnej. Wyjawiał tam część tego, co zamierza ogłosić po przybyciu do Rzymu.

Cinalli ożywił się.

- Mów dalej.

. powiedział wiele. To, o czym powiem za chwilę, jest jednak najważniejszym z jego stwierdzeń. Oświadczył, że wszystkie religie świata są nierozdzielne. Muzułmański prorok Mahomet i Chrystus to ta sama istota boska w dwu różnych postaciach. Powiedział też, iż Bóg wielokrotnie zsyłał Swego Syna pod wieloma takimi postaciami. Jezus Chrystus, Pan Nasz, był tylko jednym z takich wcieleń. Za każdym razem byliśmy poddawani przez Boga próbie i zawsze sprawialiśmy zawód. Albo nie rozpoznawaliśmy naszego "zbawcy", albo niszczyliśmy go, tak jak Żydzi uczynili z Jezusem. Nie ma żadnego prawdziwego Kościoła Chrystusa. Wszystkie wyznania mają jednakową wartość. Musimy uświadomić sobie, że chrześcijaństwo, islam i judaizm są nierozdzielne. Głoszona przez Labesse'a herezja rozrasta się z godziny na godzinę. On musi być powstrzymany! Eminencjo, wiem, co należy z nim uczynić.

Cinalli skrył swą twarz w dłoniach.

- On jest naszym Szawłem - wyszeptał i spojrzał przenikliwie w twarz swego sostituto. - On nas zniszczy! - Oczy kardynała napęły się strachem, choć wciąż jeszcze można w nich było dostrzec nadzieję. - Ręka Pana dotknęła jednak Szawła...

- To nie ręka Boga dotknęła Labesse'a, eminencjo.

Rozległ się dzwonek telefonu. Cinalli spojrzał na Marco. Sostituto siedział jednak nieporuszony, jakby nie słyszał natarczywego dźwięku. Sekretarz stanu zrozumiał, że jego podwładny nie ma wcale zamiaru przeprowadzać tej rozmowy. Kardynał wstał więc ociężale z fotela i sam podniósł słuchawkę. Rozległa się seria trzasków, następnie połączenie poprawiło się. W słuchawce dało się słyszeć mówiący po włosku z wyraźnym francuskim akcentem głos, który wymienił nazwisko Cinallego.

Dzwoniący z Paryża francuski kardynał mówił ostrożnie, świadomy, po wcześniejszej rozmowie telefonicznej z Marco, tego w jakim stanie ducha i umysłu znajdował się sekretarz stanu.

- Giorgio. Pamiętasz o czym mówiliśmy podczas naszego ostatniego spotkania? - pytał Francuz. - Powiedziałem ci wtedy: "Bóg powierzył swój Kościół w nasze ręce. Jesteśmy jego strażnikami". Czy nadal się ze mną zgadzasz?

Cinalli skinął głową, jakby stał przed swoim rozmówcą, potem odpowiedział cicho:

- Pamiętam.

- Czy pamiętasz też, dlaczego tak powiedziałem, Giorgio? Czy przypominasz sobie, że obawialiśmy się - my, strażnicy Kościoła Bożego - że możemy nie mieć dość siły, by powstrzymać Labesse'a?

- Pamiętam - powtórzył Cinalli.

- Labesse przyjeżdża jutro do Rzymu - rzekł Francuz.

- Wiem o tym.

- Giorgio, proszę przypomnij sobie jeszcze swoje ostatnie słowa. To co powiedziałeś mi, gdy byliśmy sami.

Cinalli stał, lekko chwiejąc się na nogach. Był zbyt zmęczony, by myśleć. Nagle przypomniały mu się słowa, które przysły mu na myśl podczas tej pamiętnej rozmowy z Francuzem. Wypowiedział je powoli:

- "Szatan obudził swego sługę, my musimy znaleźć naszego".

- Tak, o te słowa mi chodziło - potwierdził francuski kardynał. Co miałeś na myśli, wypowiadając je?

Cinalli oparł się o piękny stolik w stylu Ludwika XV.

- Mówiłem o ostatecznym rozwiązaniu, o zniszczeniu go.

- O zniszczeniu Labesse'a? - zapytał Francuz, chcąc zmusić Cinallego, by ten wypowiedział głośno to nazwisko.

- Tak, Labesse'a.

- Kardynale sekretarzu - odezwał się Francuz, używając teraz oficjalnego tonu. - Twój sostituto znalazł naszego rycerza... sługę niebios.

Cinalli obrócił się stronę Benito Marco i nagle, wydało mu się, że zimny głos w słuchawce i nieruchome oczy przed nim należą do tego samego człowieka. W każdym razie była to zмова. Było już za późno. Musiał ustąpić.

- Słuchaj tego, co on będzie miał ci do powiedzenia - mówił do Cinallego Francuz. - Zrób też to, co trzeba będzie uczynić. Nie ma możliwości odwrotu.

"Nie ma też ucieczki" - pomyślał Cinalli, gdy połączenie zostało przerwane. Zastanawiał się, dlaczego jest teraz taki słaby. Przecież dotąd uważano go zawsze za "twardego człowieka". "To były tylko pozory, udawanie. Moje ręce pocą się, zbiera mi się na wymioty.

Pogrążam się, zamiast płynąć do brzegu. Cóż takiego utraciłem, co było we mnie wcześniej? Co pozwoliło mi zaplanować to wszystko?

Czy to na pewno był Bóg? Czy teraz Bóg mnie opuścił i dlatego jestem jak Samson, gdy go ostrzyżono: słaby i godny po-260

żałowania? Panie, przywróć mi siłę. Pozwól mi iść naprzód. Spraw, bym wykonał wszystko to, co musi zostać zrobione. Dla Ciebie." Czekał w milczeniu, jakby na odpowiedź, albo znak z nieba. Na próżno. Wreszcie wydusił z siebie to, co musiał powiedzieć:

- Co zatem mam uczynić?

Marco zaczął mówić.

Na polecenie *sostituto* zakonnica przyniosła ojcu Thomasowi nowe ubranie. Miała go też wykapać. Ale więzień nie mógł opuszczać okrągłego pokoiku.

Thomas spał, gdy weszła, a za nią siostra - nowicjuszka z miednicą pełną ciepłej wody i ręcznikami. Zakonnica zaraz odesłała nowicjuskę, pamiętała bowiem o czystości obowiązującej zakonnice i wiedziała, że widok nagiego mężczyzny kosztowałby ją wiele dziewiczego wstydu. Starsza siostra poznała mężczyzn, zanim Chrystus powołał ją na swą służebnicę i męskie ciało nie było dla niej tajemnicą.

Powietrze w izdebce było gęste i zatęchłe, gdyż okna nie otwierały się. Siostra kazała więc strażnikowi otworzyć na pięć minut szeroko drzwi, a sama przyniosła inne potrzebne rzeczy. Przygotowawszy już wszystko, zamknęła drzwi i uklękła przy połowym łóżku, by pomodlić się przez chwilę w intencji leżącego. Mężczyzna przebudził się i otworzył oczy. Nie poruszył się jednak.

Po skończeniu modłów siostra uniosła wzrok i spojrzała na Thomasa. Mężczyzna uśmiechnął się do niej i z przyjemnością zauważyła jego piękne, białe zęby. Najdłużej jednak pozostać jej miało w pamięci jego mroczne, przenikliwe spojrzenie. Zarazem współczujące i niebezpieczne.

Opuściła oczy i zaczęła zdejmować zeń ubranie. Nie przeciwstawiał się, lecz również i nie pomagał. Ustępował, jakby były to jakieś niezbędne przygotowania, którym musiał się poddać.

Nagość mężczyzny nie mogła jej zdziwić, wstrząsnęły nią jednak jego blizny - stare i zbyt okrutne, by mogły zostać spowodowane przez nieszczęśliwy wypadek. Białawe gwiazdki, rozmieszczone w równych odstępach od ramienia do pachwiny. Zagojone głębokie nacięcia o pomarszczonych brzegach.

Gdy go umyła i wytarła do sucha, podała mu rękę, a on ujął jej dłoń i wstał o własnych siłach, choć potrzebował jeszcze siostry jako przewodnika. Gdy ubierał się w przyniesioną przez nią bieli-

znę, patrzyła na jego muskularną pierś, owłosioną aż do płaskiego brzucha. Gdy był młodszy, musiał być szczuplejszy i gibki, jak zgrabna dziewczyna. Był potężny i piękny, jakby wyszedł spod dłuta rzeźbiarza.

Sam zajął się doprowadzaniem do porządku gęstej brody, lecz pozwolił zakonnicy rozczesać swoje grube, czarne włosy. Siedział nieruchomo jak posąg, podczas gdy siostra walczyła ze splątanymi kosmykami. Stał potem wyprostowany, w nowej, dostarczonej przez Marco czarnej sutannie. Wysoki i silny, lekko zwrócony w stronę wąskiego okna, wyglądał jak czujny, pełniący wartę strażnik. "Prawdziwy jezuita - pomyślała siostra zakonna, przelewając nań, przez krótką chwilę, swą miłość do Chrystusa. - Jego wiemy żołnierz."

Gdy wychodziła stał nadal, czujny i groźny. Czekał.

Benito Marco postanowił, że ojciec Thomas powinien spotkać się z Cinallim w miejscu znacznie skromniejszym niż luksusowe apartamenty sekretarza stanu. Thomas znał nędzę Patagonii i sostituto wiedząc o tym, nie chciał, by ksiądz stał się jego potencjalnym wrogiem. Dla uzyskania zamierzonego efektu niezbędne było też poczucie obecności Boga. Thomas poświęcił Bogu wszystko, opuścił nawet swoje sieroty. Dawało to Marco jeszcze jeden argument, jeszcze jedną możliwość perswazji.

Brodaty ksiądz zdawał się spodziewać przybycia sostituto, gdy ten oddalwszy strażnika wszedł do ciasnej, okrągłej izdebki.

- Chodź ze mną - polecił Marco, stając w drzwiach, i poprowadził Thomasa obok ociągającego się z odejściem strażnika ku budynkowi, na którym co prawda nie widniała żadna tabliczka informacyjna, lecz który wszyscy znali jako L'Archivio Segreto Vaticano - Tajne Archiwum Watykanu.

Był już późny wieczór i w środku nie spotkali nikogo, jeśli nie liczyć kustosa archiwum siedzącego ze szerokim stołem w pokoju wykładanym boazerią. Był to oczywiście duchowny. Jedną jego ręką spoczywała na otwartej księdze meldunkowej, w drugiej dłoni trzymał przygotowane wieczne pióro. Zatrzymali się na chwilę, gdy Marco składał w książce podpis pozwalający im przejść dalej. Kustosz przyciszonym głosem poinformował sostituto, że kardynał oczekuje ich wewnątrz gmachu.

Ruszyli dalej, posuwając się w głąb budynku korytarzami, gdzie ściany były pełne regalów wypełnionych spleśniałymi ze starości 262

pergaminami. Wszędzie dookoła znajdowały się tajemnice. Czasami tak kontrowersyjne i niebezpieczne, że miał do nich dostęp jedynie każdy kolejny papież. Podobno tutaj znajdował się pergamin zawierający objawioną przez Boga datę końca świata. Żaden z obu mężczyzn nie chciał posiąść tego sekretu. Przyszli tutaj, by zobaczyć się z człowiekiem, nie ze swym Stwórcą.

Kardynał Giorgio Cinalli klęczał w małej kaplicy Borgii przy jednym z zastawionych regałami korytarzy. Wnętrze kaplicy oświetlone było przyćmionym elektrycznym światłem. W świeczniku na ołtarzu, stały co prawda świece, lecz nie były one nigdy zapalane. Niebezpieczeństwo pożaru było w tym budynku zbyt wielkie. Sekretarz stanu zakończył modlitwę i odwrócił się ku dwu oczekującym w drzwiach mężczyznom.

Na twarzy Cinallego wciąż widać było wyraźne ślady wyczerpania i wewnętrznego niepokoju, lecz kardynał trzymał się prosto i ostatkiem sił starał się wyciszyć głos sumienia. Oczy sekretarza stanu zdawały się być wypełnione nową siłą, której obecność odkrył w sobie od razu, gdy tylko przezwyciężył rozterki i brak zdecydowania. Jego droga wydawała się teraz prosta. Cinalli czuł, że prowadzi go światło Boga. W jego oczach przeistoczeniu uległa nawet szczupła, ascetyczna postać jego *sostituto*, który w minionych dniach zdawał się być upiorem przeznaczenia. Marco stał się teraz towarzyszem, współuczestnikiem wędrówki, przewodnikiem nawet. Razem kroczyli drogą prawdy i odrodzenia. Bóg podjął za niego decyzję i Bóg mu wybaczy. Wzrok Cinallego spoczął na drugim zesłanym mu przez Pana człowieku.

"Tak - pomyślał - to on!"

"Nie anioł płonący w chwale - człowiek. Ponury, mocny, oddany Bogu." W tym mężczyźnie drzemała jakaś groźna siła. Był jak dzikie zwierzę, przykute łańcuchem i zamknięte w klatce. Niegroźne tylko dlatego, że pogodzone z niewolą. Zwracał uwagę jego ciągły stan gotowości, ta skrywająca napięcie złowroga cisza. "Jestem posłuszny mojemu Panu - mówiły oczy - lecz by go słuchać, muszę najpierw Go rozpoznać."

"Jeśli samowolnie ubierasz się w Jego szaty, to czynisz to na własne ryzyko" - wydawał się myślami odpowiadać Cinalli.

"Dzika bestia, zesłana przez niebiosy - pomyślał. -1 tylko mogę spuścić tę bestię z łańcucha."

Sekretarz stanu wyciągnął rękę. Thomas zbliżył się powoli, | czym pochylony przycisnął wargi do kardynalskiego pierścienia Cinalli położył dłoń na głowie księdza. Gdy Thomas wyproś'wał się, kardynał polecił ruchem dłoni, by brodaty jezuita ukl wraz z nim. Na ołtarzu umieszczono prochy papieża, nadal mknęte w metalowym pudełku. Marco uklął obok i wraz z' masem powtarzać zaczął za Cinallim słowa modlitwy.

Później, zakończywszy modły za duszę zmarłego, pozostali na kolanach w milczeniu. Sekretarz stanu wstał pierwszy, sklonił się przed ołtarzem i odszedł na bok. Marco i Thomas uczynili to samo. W kaplicy znajdowały się cztery rzeźbione krzesła o wysokich oparciach, wyściełane wyblakłym aksamitem. Cinalli wskazał Thomasowi jedno z nich. Marco bezszelestnie wyszedł z kaplicy. Cinalli odezwał się:

- Zaszczynie wypełnił ojciec swój obowiązek wobec Pana.**
- Jestem Jego sługą - odrzekł Thomas. Cinalli odwrócił się i położył dłoń na metalowym pudełku.**
- Usłyszałeś Jego głos i odpowiedziałeś na to wezwanie, mówi teraz do ciebie ponownie przeze mnie.**
- Jeśli On mnie znów wzywa, to usłyszę Jego wołanie - pewn głosem odparł Thomas.**

Cinalli spojrział w bok, ku freskowi Vasariego. Zatrzymał wzrok na malowidle jakby w podziwieniu, jednak naprawdę to nie dzieło sztuki było przedmiotem jego uwagi. Wszystko, czego był świadomy w tej chwili, to ów ksiądz zesłany mu przez Boga w tak niezwykłych okolicznościach.

Kardynał odezwał się, nie spuszczać oczu z fresku na ściana
- Bóg widzi wnętrze twojej duszy, ojciec. Zna twoje grzechy wszystkie twoje tajemnice. Wie doskonale, kim byłeś, kim jesteś kim będziesz. Twoje grzechy zadają mi ból, a twe czyny, dokonywane w Jego świętym imieniu są dlań radością. Wyznaj teraz przed nim grzechy, które ukryłeś, wstępując do grona sług Jego Kościoła. A ja, w Jego imieniu wyznacę ci pokutę.

Kardynał sekretarz obrócił się do tyłu i patrzył teraz wprost oczy brodatego księdza, widząc jak pojawia się w nich błysk gniewu. Po krótkiej chwili ów niebezpieczny płomień przygasł, jakby 264

nieprzerwana wewnętrzna walka, którą Thomas toczył z samym sobą tak długo, została przezeń przegrana w tej jednej, wstrząsającej całą jego duszą chwili. Zdawało się, że nawet teraz brak mu siły, by uświadomić sobie przegraną.

- Potrzebowałem Go - powiedział ochryplym głosem Thomas. -1 On przyszedł do ciebie, mój synu. Widział w tobie tylko prawdę, a czyż ty Go nie okłamałeś?

Thomas potrząsnął głową, a razem z nią zadrżało całe jego ciało, tak jakby znalazł się pod działaniem jakiejś niewidzialnej siły. W ruchu tym była rozpacz, wyparcie się wszystkiego i udręka.

- On znał moje grzechy! Przyjął mnie jednak do swego Kościoła. On wiedział!

Głos Cinallego z każdym słowem stawał się bardziej surowy.

- On oczekuje od ciebie, skoro przychodzisz doń jako Jego sługa, byś wyznał wszystkie swoje grzechy. Zamiast tego, ty chowasz w swoim sercu tajemnicę. Zataiłeś swe przewinienia przed tymi, którzy wprowadzili cię do Jego domu.

- Jeśli tak, to on mnie za to ukarze - z opuszczoną nisko głową wymamrotał Thomas.

- Czyż już tego nie uczynił, mój synu? - łagodniejszym tonem zapytał Cinalli i położył dłoń na ramieniu Thomasa. Pod palcami wyczuł drżenie.

- Tysiąc razy, eminencjo.

Cinalli ze zrozumieniem skinął głową. -1 jeśli sienie wypowiedasz, skarci cię następny tysiąc razy.

- Spowiadałem się - powiedział Thomas, lecz w głosie jego nie było sprzeciwu.

- Tak, zanim przyszedłeś do Niego. Zanim stałeś się częścią Jego Mistycznego Ciała, członkiem Kościoła. Abyś mógł jednak pozostać w Jego domu, musisz wypowiadać się raz jeszcze. Teraz, przede mną. Thomas uniósł swą gniewną twarz. Jego oczy patrzyły błagalnie.

- Istnieję tylko dla Niego. Jeśli wykluczysz mnie z Jego Kościoła, strącisz mnie prosto do piekła, eminencjo.

- Jesteś w piekle już teraz, mój synu. Nawet będąc sługą Kościoła. Wypowiadaj się.

Głowa Thomasa pochyliła się. Jego słowa były prawieniesły-szalne.

- Moje grzechy sprowadzą na mnie wieczne potępienie.
- Wyspowiadaj się! - Cinalli uniósł głos. Thomas upadł na kolana, jakby uderzony głosem kardynała. Cinalli pochylił się nad swym penitentem.
- Wyspowiadaj się! - wyszeptał rozkazująco. Musiała upłynąć jeszcze wieczność, nim wreszcie z ust klęczącego powoli popłynęły urywane słowa. Tak jak przed laty ojciec D'Arcy w Londynie, tak teraz kardynał sekretarz stanu słuchał przerażony. Wstrząsnął nim ogrom okrucieństw będących treścią tej opowieści. Dowiedział się o zabójstwach, których ofiar było tak wiele, że ich liczba straciła jakiegokolwiek znaczenie; o torturach przeprowadzanych z nieludzkim, bezlitosnym wyrafinowaniem; o barbarzyństwie uzupełnionym najnowszymi, naukowymi metodami zadawania bólu. W porównaniu z tym wszystkim najstraszliwsze okropieństwa minionych wieków zdawały się być niczym. Była to historia, w której główną rolę grała śmierć. Zadawano ją, nie oszczędzając nikogo: mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci.
Gdy Thomas wreszcie umilkł, Cinalli odwrócił się, nie mógł ani chwili dłużej przebywać w pobliżu pokutnika. Uciekł przed ołtarz i padł tam na kolana, pogrążając się w cichej modlitwie. Prośbę przecież, by Pan zesłał mu swoje światło, nadzieję, swego wojownika. W odpowiedzi na te prośby zjawił się sługa Szatana.
Sekretarz stanu usłyszał z tyłu, za sobą, głęboki szloch i Thomas padł krzyżem obok modlącego się kardynała. Cinalli pełen współczucia położył obie dłonie na głowie leżącego.
- Czy szukasz bożego przebaczenia tych wszystkich śmiertelnych grzechów? - zapytał z wysiłkiem kardynał.
Thomas skinął głową.
- Żałuj za swoje grzechy i proś o ich odpuszczenie! - polecił Cinalli.
- Boże, bądź miłości w mnie grzesznemu! - krzyknął Thomas.
- Twoja pokuta może być tak okrutna jak twoje czyny - powiedział Cinalli z naciskiem.
- Niech tak będzie! - wyszeptał Thomas. - Niech tak będzie. Cinalli chwycił mocno leżącego twarzą w dół księdza i używając całej swej siły zmusił go, by ten stanął na nogi. Wciąż trzymając grzesznika za ramiona, zajął mu głęboko w oczy, szukając prawdy.

chwili kardynał puścił Thomasa i podał mu zdjętą z ołtarza urnę. Ksiądz, chwając się lekko, wziął ją i mocno przycisnął do siebie.

- Czy byłeś gotów nawet zabić, by bronić tej tajemnicy? - stanowczym tonem zapytał Cinalli.

Thomas uważnie wpatrywał się w kardynała.

- Powiedziałem, że zrobiłbym to.

-1 mówiąc to, rzeczywiście tak myślałeś? Thomas próbował odwrócić twarz, lecz Cinalli chwycił go i odwrócił z powrotem ku sobie.

- Gdy to mówiłem... tak.

- A gdyby on żył nadal, czy zabiłbyś, by go ocalić?

- Oddałbym za niego swoje życie.

- Czy zabiłbyś w jego obronie?

Thomas nie widział ucieczki przed wpatrującym się weń człowiekiem w purpurze.

- Odpowiedz! - Cinalli prawie krzyknął.

- Tak - wydusił z siebie Thomas. Wiedział już w tej chwili, że pograżył siebie samego.

-1 zabiłbyś by ochronić istnienie naszego Kościoła Świętego, Matki Naszej?

- Poświęciłbym życie, walcząc w Jego imieniu. -1 zabiłbyś dla Niego? - Cinalli nie ustępował.

- Gdyby taka była wola Pana...

- Czy uznajesz we mnie głowę Kościoła? Teraz, gdy Ojciec Święty nie żyje?

-Tak!

- Czy widzisz we mnie również narzędzie woli Pana? -Tak!

Czekający w pogotowiu Benito Marco wszedł do kaplicy, trzymając płaską, srebrną, przyozdobioną kunsztownie złotem szkatułkę. Sostituto zatrzymał się obok Thomasa i otworzył wieko. Wewnątrz, na purpurowym aksamicie, leżał duży, srebrny krucyfiks. Postać ukrzyżowanego Chrystusa wykonana była z niewiarygodną wręcz dokładnością. Oddano wiernie nawet pojedyncze kolce cierniowej korony. Jej środkowy cień był dłuższy niż pozostałe i ostry jak igła.

- Krzyż Borgii, eminencjo - powiedział Marco.

Thomas wpatrywał się w piękny krucyfiks, lecz Cinalli nie spojrzał nawet w tę stronę. Wciąż trzymając dłonie na ramionach Thomasa, gwałtownie potrząsnął księdzem.

- Słuchaj mnie! - polecił.

Thomas odwrócił się ku niemu. Czuł się osaczony przez tych dwóch mężczyzn, sprawujących najwyższą władzę w Kościele. Cinalli pociągnął księdza ku sobie. Ich twarze przybliżyły się.

- Kościół jest w tej chwili pozbawiony Namiestnika Chrystusowego. Jest rozszarpywany na części i pozbawiony swego arcycpa-sterza. Na mnie spada teraz odpowiedzialność za podtrzymanie ciągłości istnienia Kościoła Świętej Matki Naszej. Jego życie spoczywa w moich rękach... i w twoich również.

Thomas nie odpowiedział. Znow panował nad sobą.

- Przypominam ci o twych kłamstwach wobec Boga. Przypominam ci o spowiedzi. Przypominam ci, że zgodziłeś się przyjąć pokutę tak okrutną, jak twe potworne uczynki.

- Czego ode mnie żądacie? - zapytał Thomas.

- To Bóg chce tego od ciebie, mój synu.

Thomas milczał, oczekując chwili prawdy, o której wiedział, że nieuchronnie musi teraz nastąpić.

Cinalli przemówił drżącym głosem. Jego oczy wyrażały jednak przekonanie o słuszności sprawy.

- Mordowałeś z okrucieństwem i bez skrępowań w imię Szatana.

Żądam teraz, byś zabił raz jeszcze, tym razem - w imię Boga.

Thomas słuchał słów Cinalliego w skupieniu. W końcu zapytał:

- Czy to właśnie ma być moja pokuta?

- Taka jest Jego wola, po to nam cię tutaj przysłał.

- Po to? Bym złamał Jego przykazanie?

- Właśnie dla zachowania Jego przykazań. Nie do ciebie należy zrozumienie tego. Jesteś tylko narzędziem Jego woli. Będziesz działał z Jego błogosławieństwem i z błogosławieństwem Kościoła.

Thomas przeniósł swój wzrok na Marco, potem znow spojrzał na kardynała sekretarza.

- W Jego święte imię? - zapytał. - Przysięgnijcie! Przysięgnijcie, że mam to uczynić w Jego święte imię!

- Przysięgam. W Jego święte imię - odpowiedział mu Cinalli. Thomas znow odwrócił się w stronę Marco.

- Słyszałeś? 268

- Słyszałem - przytaknął sostituto. -1 zgadzasz się z tym?

- Zgadzam się.

- Zgadzasz się z tym, czego zażądano ode mnie?

Oczy Marco uciekły w bok na chwilę, potem znów spojrzwały prosto w twarz Thomasa.

- Zgadzam się - powiedział wyraźnie.

Thomas odwrócił teraz twarz w stronę ołtarza. Stał nieruchomo, jakby na coś oczekując. Po chwili wstąpił powoli na stopień i położył żelazną skrzyneczkę na ołtarzu. Przyklęknął i przeżegnał się.

Cinalli dotknął ramienia księdza.

- Zostało niewiele czasu, mój synu. Thomas spojrzął w stronę sostituto.

- A to? - zapytał, dotykając lśniącego, srebrnego krzyża Borgii.

- To broń Pana - odparł Marco.

Palce Thomasa dotykały figurki Ukrzyżowanego, posuwając się powoli ku górze, od gwoździ przebijających stopy, do cierniowej korony na głowie. Przycisnął kciukiem wystający, środkowy kolec i na skórze pojawiła się natychmiast kropelka krwi.

- Kto ma zginać? - zapytał Thomas.

- Pokażemy ci go jutro - odparł Cinalli.

- Gdzie?

- W Rzymie. Przybywa tu do nas.

Thomas wyjął ciężki krucyfiks i odwrócił go. Wpatrywał się w pojedynczy, sterczący ku górze rubin, umieszczony w miejscu, gdzie zbiegały się ramiona krzyża.

- Kto skazał tego człowieka? - zapytał.

- On sam wydał na siebie wyrok - odparł Cinalli. - On skazał się sam, skazały go jego słowa.

Thomas odłożył krzyż na miejsce i zamknął srebrne, zdobione złotem wieko szkatułki.

- Tak jak Chrystus - powiedział.

- Bóg go skazał - beznamiętnie rzekł Marco. - Poprzez swój Kościół.

Thomas spojrzął na sostituto.

- Będę się więc modlił, by Kościół nie został za ten czyn potępiony, gdy to się już stanie.

Z rąk Marco wziął krzyż Borgii.

Tego samego wieczora w Mediolanie dwóch mężczyzn wchodziło po schodach prowadzących do miejskiej kostnicy. Sądząc po ubiorze, mogli to być Brytyjczycy. Zgłosili się u dyżurnego urzędnika. Zostali skierowani do obskurnego, zimnego pokoju, w którym znajdowała się jedynie połamana ławka i wisząca krzywo na ścianie figurka Madonny.

Mężczyźni usiedli na ławce osobno. Nie rozmawiali. Jeden z nich wstał i spróbował poprawić Madonnę na ścianie. Figurka na stałe była jednak przytwierdzona w takiej pozycji. Zrezygnował więc, westchnął i usiadł z powrotem.

- To normalne - wyszeptał. Jego towarzysz uniósł tylko brwi.

Do pomieszczenia wszedł trzeci mężczyzna, jasnowłosy, o bladej cerze. Jego zielony, chirurgiczny fartuch był bardzo poplamiony. Niektóre z plam były śladami krwi. Chirurg znacząco spojrzał na swe ręce. Nie podał na powitanie dłoni.

- Jestem Rossi - przedstawił się. - Wejdźcie panowie. Anglicy ruszyli za nim wzdłuż mrocznego korytarza. Rossi

otworzył drzwi i przepuścił ich przodem. Znaleźli się w małym pomieszczeniu, stanowiącym jakby wycinek tunelu, gdyż dwie dłuższe ściany zbiegały się u góry, tworząc łukowate sklepienie. Wzdłuż pomieszczenia biegły dwie głębokie rynny w podłodze, służące jako kanały ściekowe. Ściany i sufit pomalowano farbą olejną. Śmierdziało formaliną i ludzkimi wnętrznościami, a chłód panujący w pomieszczeniu wyostrzał jeszcze ten szczególny zapach.

Na środku pokoju stał drewniany stół, na którym spoczywało ciało mężczyzny. Okrywające je prześcieradło zostało odsłonięte aż do genitaliów.

Jeden z Anglików przyłożył do nosa chusteczkę, drugiemu zapach śmierci zdawał się nie przeszkadzać.

Mężczyzna trzymający chustkę z wysiłkiem skinął głową.

- Tak, to on - potwierdził drugi.

Lekarz wyjął z kieszeni fartucha małą kartkę papieru.

- Bertram Hanes-Aubury - przeczytał, wymawiając bezbłędnie obco brzmiące nazwisko. - Bardzo dobrze. Jak panowie widzą, musiałem otworzyć ciało. Obawiam się, że mojej pracy nie można nazwać delikatną. On zmarł na skutek uduszenia własnymi wymiocinami. To nic przyjemnego, ale on nic nie czuł, musiał być wtedy nieprzytom-270

ny. Przy okazji, jego wątroba to okaz muzealny. Chyba najgorsza, jaką widziałem. Ten człowiek musiał wypić morze alkoholu.

- Czy możemy już stąd wyjść? - spytał mężczyzna z chusteczką.

- Są panowie usatysfakcjonowani? - zaciekał się Rossi.

- Proszę! Wyjdźmy!

Drugi mężczyzna przytaknął.

- Świetnie - powiedział Rossi i przykrył zwłoki prześcieradłem. - Jest tu jeszcze ktoś, kto chciałby porozmawiać z panami przed waszym odejściem.

- Kto? - zapytał bardziej wytrzymały mężczyzna.

- Jest na zewnątrz, w moim biurze - odpowiedział wymijająco Rossi.

Lekarz i tym razem wskazał im drogę, lecz nie wszedł z nimi do środka.

Siedzący za pełnym papierów biurkiem mężczyzna powstał.

Wyciągnął rękę na powitanie. Anglik trzymając nadal chustkę przy nosie zignorował go i usiadł na wolnym krześle, spuszczać głowę pomiędzy kolana. Jego towarzysz uściskał podaną dłoń.

- Carlishlie. Z konsulatu brytyjskiego. Ten tutaj, to Manton. On zachorował. - rzekł.

- Niektórzy się przejmują - powiedział stojący nadal za biurkiem śniady Włoch. W jego głosie nie było ani odrobiny współczucia. Nie przedstawił się.

- Chciał pan z nami rozmawiać? - zapytał mężczyzna, który przedstawił się jako Carlishlie.

Włoch skinął głową i usiadł. Rzucił na biurko coś małego i twardego.

- Rossi znalazł to podczas sekcji - spojrzał najpierw na mały przedmiot, przypominający zaokrągloną na obu końcach kulę pistoletową, potem na obu Anglików.

- Kim pan jest? - zapytał Manton. Zdążył już w międzyczasie przyjść do siebie.

- Powiedzmy... oficerem łącznikowym - uśmiechnął się Włoch.

- To nam nic nie mówi! - rzucił Manton.

Włoch zmarszczył brwi z niezadowoleniem i znów się uśmiechnął.

- Wszyscy mamy swoich przełożonych i swoje rozkazy.

- Gdzie to zostało znalezione? - zapytał Carlisle. Włoch ciągle się uśmiechał.

- W najbardziej nieprzyjemnym miejscu.

- Czy ktoś to otwierał? - pytał dalej Carlisle.
Włoch wydobył z kieszeni wstążkę naświetlonego mikrofilmu i podał ją Anglikowi.
- To przypadek. Kapsuła otworzyła się w sterylizatorze.
- A więc nie wie pan, co było na tym filmie?
- Niestety nie, chociaż bardzo chcieliśmy to wiedzieć. Zwłaszcza jeśli to miało jakikolwiek związek z nami.
- Absolutnie nie! - rzucił Manton. - To była prywatna własność obywatela brytyjskiego.
- Mam nadzieję - odparł Włoch, a uśmiech znikł z jego twarzy. - To wszystko, panowie. Nie chcę przeszkadzać wam w waszych... zajęciach konsularnych. Bądźcie, proszę, tak uprzejmi i przekażcie swoim przełożonym, że nie życzymy sobie żadnych akcji obcego wywiadu na naszym terenie.
- Powiedzieliśmy panu - odezwał się Carlisle. - To nie ma z wami nic wspólnego.
- Oczywiście - odparł Włoch.
Manton wrzucił do kosza naświetlony film, podczas gdy Carlisle schował kapsułkę doodbytniczą. Odwrócili się w kierunku drzwi.
- Jeszcze jedno - powiedział Włoch. - Signor Angelo Segre powiesił się przed godziną. Wynika tak przynajmniej z dotychczasowych ustaleń. Mam nadzieję, że to naprawdę było samobójstwo.
- Segretti nie miał z nami nic wspólnego - ostrożnie powiedział Carlisle.
- Ale ten wasz człowiek, tego wieczora zanim został porwany, odwiedził Segrettiego.
- Był dziennikarzem, może chciał przeprowadzić jakiś wywiad.
- O czym brytyjski dziennikarz miałby rozmawiać z włoskim milionerem? O czym chciałby pisać? O bogactwie? O władzy?
- Nie mam pojęcia. Proszę zapytać o to w redakcji jego gazety.
- Nie trzeba - zaśmiał się Włoch. - Człowiek, którego przyłapaliśmy, gdy usiłował zakopać ciało tego dziennikarza, wyśpiewał całe libretto tej szczególnej opery. To było wyjątkowe przedstawienie, specjalnie dla naszych uszu. Mamy już wszystkich, którzy byli w to zamieszani.
- Do czego was to doprowadziło? - zapytał Carlisle.

- Do pewnych podejrzeń. Ale jedyny człowiek, który mógł potwierdzić nasze hipotezy, założył sobie pętlę na szyję.
- Więc ta sprawa jest już zamknięta.
- Och, wydaje mi się, że i tak byłaby zamknięta - cierpko zauważył Włoch. - Czasami pewne względy są ważniejsze niż sprawiedliwość. Myślę, że panowie doskonale wiedzą, o co mi chodzi.
- Do widzenia - powiedział Carlishlie.
- To dziwne - obojętnie rzucił Włoch. - Dwaj piloci signore Segrettiego ostatnio także przepadli bez wieści. Zniknął jeden z jego samolotów. Czy nie sądzicie panowie, że i oni mieli z tym wszystkim coś wspólnego?
- To wasz problem - ironicznie odparł Carlishlie.
- Chcę stąd wyjść, zaraz! - jęknął Manton.
- Znowu pan się źle czuje? - zatroskał się Włoch.
- Do widzenia - powtórzył Carlishlie.
- Arrivederci - odpowiedział Włoch, uśmiechając się szeroko. Kiedy znaleźli się znów na świeżym powietrzu, Manton przez chwilę oddychał głęboko, zanim ruszyli ulicą zalaną żółtym światłem latarni w stronę zaparkowanego nie opodal samochodu.
- Ten cholerny facet wie o wszystkim - wybuchnął Manton, siedząc już w samochodzie.
- O czym wie? - zapytał Carlishlie z sarkazmem. Uruchomił silnik, lecz nie ruszył z miejsca.
- Czy wy nie możecie żadnej sprawy zostawić w spokoju?!
- Jest pan dyplomatą, Manton - powiedział Carlishlie, odjeżdżając gwałtownie z postoju. - Działa pan od frontu, otwarcie ale delikatnie, zachowując wszelkie pozory wobec "ludzi, którzy coś znaczą". W porządku, proszę dalej postępować otwarcie, lecz niech pan pamięta, że to właśnie tacy, jak ja dostarczają informacji, dzięki którym może pan prowadzić swoją dyplomatyczną grę. Bez nas nikt nie byłby w stanie targować się, torować sobie drogi pochlebstwem lub szantażem. Nic by pan nie wskórał beze mnie i innych, byłby pan bezużyteczny.
- Nie musi pan być taki napastliwy.
- Tak, nie muszę, to prawda. Odkryliśmy chyba wielką mistyfikację w Watykanie i dlatego czuje się pan zakłopotany. Trudno. Jeśli papież nie żyje, jest to bardzo przykre, lecz przecież nie ma to dla nas większego znaczenia. Czyż nie tak?

- To jest dla nas ważne. Nasze samoloty mogły być w to zamieszane. Cała sytuacja jest bardzo delikatna.

- Delikatna! Chryste! Niech pan mnie posłucha, panie Manton*1 Hanes-Aubury miał czopek w tyłku, tak? Nasz agent w Buenos Aires, który wykonał ten nieszczęśliwie wysterylizowany film, jest -teraz, tak samo jak Aubury martwy. Pewnie pokroili go żywcem i kawalki! Bóg jeden wie, ile i co im powiedział. I tylko Bóg wie, co było na tej cholernej kliszy! Nie mamy już nikogo tak dobrze umię szczonego, jak tamten człowiek. Po jego śmierci jesteśmy ślepi głusi. Wiemy, że wróg coś planuje. Ale nikt nam nie uwierzy, je powiemy, że tym razem będzie to coś więcej niż tylko inwazja wyspy. Oni już raz tego próbowali i przegrali. Nie zaryzykują nowej klęski, wie pan o tym! Sytuacja jest diabelnie niebezpieczna, panie Manton. Dlatego nic mnie to nie obchodzi, czym zajmuje się w tej chwili Watykan. Nie obchodzi mnie również to, czy papież żyje, czy też jest martwy. Interesują mnie Falklandy i Antarktyd Pan również powinien myśleć wyłącznie o tym. Właśnie tamte rejony świata może stać się dla pana i dla całej dyplomacji jak przetargowa na najbliższe pięćdziesiąt lat. Czy sądzi pan, że za dowaliliśmy tam kosztem biliona funtów fortecę po to tylko, by br nic paru pasterzy owiec? Na Boga, Manton, to właśnie jest prawdziwe oblicze świata. - Carlisle ze złością wrzucił biec i gwałtownie puścił sprzęgło.

- Jedzie pan zbyt szybko - zauważył Manton. Kierowca zwolnił trochę.

- Co teraz będzie? - zagadnął Manton.

- Nic. Włosi schowają głowę w piasek. Opus Dei to nie człowiekowie mafii, których można pozamykać lub deportować. To członkowie ich cholernego rządu.

- Watykan zostanie poinformowany o tym, że dowiedziałem się wszystkiego.

- Musimy wobec tego jak zwykle skłamać i dla świętego spokoju wyprzeć się tej wiedzy.

- Chyba powinniśmy tak właśnie zrobić. Carlisle przestał na chwilę obserwować drogę przed samochodem i spojrzał na swego rozmówcę.

- Powiedzieć panu, co myślę? Myślę, że tylko ludzie na samim kim szczycie w Watykanie wiedzą, co się naprawdę stało. Zdaje 274

się, że zaplątali się w jakieś wewnętrzne rozgrywki i nie ośmielają się ogłosić śmierci papieża, zanim sobie z tym nie poradzą. To wielka polityka i wielka władza. Pan jest katolikiem. Może pan mógłby mi więc powiedzieć, kto taki może zastąpić obecnego... może raczej byłego papieża?

- Nie wiem. Od tego, by znaleźć jego następcę jest konklawe. Carlisle uśmiechnął się ironicznie.

- Panie Manton, cóż konklawe oznacza dla Kościoła? Nie, niech mi pan nie mówi. Ja panu to powiem. Wygląda to tak, jakby Amerykanie utracili jednocześnie prezydenta i wiceprezydenta. Ich rząd zamknąłby się w jakimś niedostępnym miejscu na czas bliżej nieokreślony, aby wybrać nowego przywódcę. Wszyscy posiadający jakąś władzę ludzie zajęliby się tylko tą sprawą i nie wolno byłoby im przeszkadzać. Unieruchomione wszelkie systemy obronne i ośrodki władzy. A teraz niech pan sobie wyobrazi nagłą inwazję Rosjan w takiej sytuacji. W takiej samej sytuacji znalazłby się dziś Kościół podczas konklawe.

- To zabawne porównanie - zaprotestował Manton. - Watykan jest szczególną instytucją. Nie da się z niczym porównać.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ Watykan to coś więcej niż tylko ośrodek władzy. Watykan stoi na straży wyznawanej w całym świecie religii.

- I sądzi pan, że katolicyzm nie może być zagrożony?

- Zagrożony tak, lecz nie zniszczony, jak pan to sugeruje w swoim... przykładzie. Kościół nie ma godnego siebie przeciwnika. Nawet komunizm i islam nie stanowią przecież obecnie realnego zagrożenia dla Kościoła.

- To, co pan mówi, wyjaśnia dlaczego pan jest dyplomatą, a ja szpiegiem. Pan w poszukiwaniu ewentualnych wrogów rozgląda się dookoła siebie, a ja patrzę na istotę wydarzeń, staram się poznać wszystko i wszystkich od wewnątrz. - Carlisle przerwał na chwilę. - Panie Manton, czy zauważył pan dziś wieczorem coś szczególnego w Mediolanie?

- Szczególnego?

- Proszę się rozejrzeć.

- To po prostu... Mediolan!

- Bardzo spokojny Mediolan. Sobota, późny wieczór i, o dziwo, nie ugrzęźliśmy dotąd w żadnym korku ulicznym!

Manton wzruszył ramionami.

- Może Italia gra dzisiaj jakiś międzynarodowy mecz piłki nożnej? - zgadywał nieśmiało.

- Wszyscy pojechali do Rzymu, panie Manton. I to na pewno nie na żaden mecz piłkarski - Carlishlie włączył radio. - Akurat mamy porę dzienników - powiedział i szybko zaczął zmieniać stacje, zatrzymując się przy każdej z ruch na chwilę, tak, by można było usłyszeć fragment nadawanych wiadomości. Wyłączył wreszcie radio. - A więc? Jaka jest najważniejsza dzisiejsza informacja? -zapytał, przyspieszając gwałtownie.

- Pierre Labesse. To ostatnia sensacja. Włosi kochają świętych. Proszę zwolnić - rzekł Manton.

- To zmartwychwstały święty.

- Nie jestem zwolennikiem tej teorii.

- Pan może nie, ale wygląda na to, że połowa mieszkańców Mediolanu w nią wierzy. Pojechali do Rzymu, aby go zobaczyć. Jutro przyjeżdża.

- Nie przesadzajmy. Mogła wyjechać zaledwie mała część ogółu mieszkańców.

- Proszę pomnożyć tę "małą część ogółu" przez liczbę miast i krajów świata, a otrzyma pan całkiem sporą rzeszę katolików, mających zamiar zobaczyć i usłyszeć człowieka, który otwarcie głosi nową formułę ich wiary. Pańskiej wiary.

- Labesse to nic więcej jak tylko kilkudniowa atrakcja - rzucił Manton.

Carlishlie skręcił w podjazd brytyjskiego konsulatu, wyłączył silnik i światła. Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciemności. Carlishlie pierwszy przerwał milczenie.

- To zabawne, ale podobne słowa, tyle, że po łacinie, słyszano już kiedyś w Rzymie, bardzo dawno temu.

Manton spojrział w jego stronę.

- Nie sądziłem, że należy pan do ludzi wierzących.

- Nie jestem wierzący. Potrafię jednak, patrząc z boku na to wszystko, dostrzec jakąś pierwotną, naturalną siłę. Mogę też, nawet pod wiatr i z tysiąca jardów wywahać wielką intrygę. Pan też powinien chyba odczuwać coś takiego. - Niecierpliwie otworzył drzwiczki samochodu.

- Chodźmy, ocalmy to, co jeszcze pozostało z brytyjskiego imperium. Ci w Rzymie poradzą sobie sami. 276

7.

Była niedziela, pogodny, wspaniały dzień nadziei. Słońce lśniło złościście jakby na powitanie króla. Ludzie również byli pogodni i pewni siebie, jak zagubieni wędrowcy, którym nareszcie udało się odnaleźć drogę do domu. Wszędzie pełno było kwiatów, jakby starożytne miasto w ciągu jednej nocy jakimś niepojętym sposobem przeistoczyło się w pachnący ogród. Ci, którym nie udało się zdobyć kwiatów, nieśli nad głowami gałązki z zielonymi liśćmi. Ludzie tańczyli i śmiali się. Nikt nie naruszał porządku. Policjanci zdumieni, że nie muszą nic robić, stali z boku i przyglądali się rozradowanym tłumom. Oni także się uśmiechali, gdyż był to dzień i czas szczególny, jakiego nikt nie pamiętał. Nieznane uczucie szczęścia, jakby wszyscy stanęli nagle u bram nieba.

Plac już przed południem był niemal całkowicie zapelniony, obelisk Kaliguli stał się jakby osią, dookoła której kręciło się gigantyczne koło tłumów. Pod balkonem papieskich apartamentów część zgromadzonych skandowała "Papa!, Papa!", lecz odpowiedzią na ich wołanie była jedynie cisza. Zasłony w oknach pozostawały opuszczone. Posiadacze tranzystorów, którzy nastawili swe aparaty na fale Radia Watykańskiego, usłyszeć mogli komunikaty, zawiadamiające, że papież wciąż czuje się źle i nie pojawi się dzisiaj w oknie Biblioteki. Nadawano także bezskutecznie prośby o spokój na placu Świętego Piotra. Ani razu jednak, w programie radiostacji z Santa Maria di Galeria nie padło nazwisko Pierre'a Labesse'a.

Gdy na zadziwiająco czystym i błękitnym niebie pojawił się samolot, na placu rozległ się okrzyk tłumów, skandujących w różnych językach to samo imię.

- Piętro! Pierre! Peter! Piotr!

Wraz z okrzykiem wznosiły się górze gałązki i kwiaty, tworząc, jakby za sprawą jakiejś czarodziejskiej sztuki, falujący dywan zieleni przetykanej kwieciami.

Duże telewizyjne wozy transmisyjne znajdowały się już na miejscu, zajmując wydzielony barierkami sektor w południowej części placu przed kolumnadą Berniniego. Krzatali się tam technicy włoskiej telewizji państwowej RAI, transmitującej wydarzenia

na cały obszar Włoch i za pośrednictwem łączy Eurowizji również do wielu innych krajów. Tuż przy barierkach kręcili się zagraniczni reporterzy, szukający ciekawostek i starający się wyłowić z tłumu słowa wypowiedane w ich ojczystym języku, po to, by zaraz rzucić się z mikrofonem w stronę mówiącego. W każdej sekundzie usłyszeć można było na placu dwanaście języków, a każde wypowiedane słowo pełne było uduchowania.

Był to dzień uroczysty, dzień światła, w którym wszystko miało narodzić się na nowo.

Wysoko ponad poziomem placu, za zasłonami dwu narożnych okien najwyższego piętra Pałacu Apostolskiego nie było radości. Siostra Luciana wygładziła narzutę na pustym łóżku w małej sypialni. Właściwie nie było to potrzebne, gdyż posłanie to było dzisiaj tak samo nietknięte i dokładnie zaścielone jak wczoraj i we wszystkie dni minionego tygodnia. Zakonnica krzątała się w ciszy po pokoju, szukając daremnie czegoś, co pozostało jeszcze do zrobienia. Jej ukochany papież był daleko, nie wiedziała gdzie, więc z zazdrością i gniewem przysłuchiwała się odgłosom zgromadzonego na zewnątrz tłumu. Tak wielkie uwielbienie należeć się mogło jedynie Ojcu Świętemu, a nie uzurpatorowi roszczącemu sobie prawo do papieskiego tronu - tak myślała o Labesse. Święty, czy nie święty, wybrał swój moment z przebiegłością.

- Tak - szeptała zakonnica - przybywasz akurat teraz! Teraz, gdy Ojciec Święty nie może być tutaj, by pokrzyżować twe plany. Papież wróci jednak, gdy tylko jego tajna, niezwykle doniosła misja zostanie wypełniona - taką właśnie historię usłyszała od Cinallego, który zażądał od niej absolutnego zachowania tajemnicy - i zapewne wówczas ekskomunikuje tego sługę piekła.

Podreptała w stronę zasłon, po drodze dotykając troskliwie ołtarzyka i bardzo ostrożnie uchyliła zasłony. Z oburzeniem przyglądała się narastającym dumom. "Szaleńcy - pomyślała. - Szatan wodzi was za nos, jak chce. Tańce! Śpiewy! Bachanalia i orgie tutaj, u wrót tego świętego miejsca. Tak! Któż inny jak nie Szatan maczał w tym palce? Poczekajcie tylko, aż papież wróci!" - podeszła znów do łóżka i jeszcze raz poprawiła narzutę, wygładzając jakąś niewidoczną fałdkę. Nagle otarnął ją strach, że świat, który знаła od tak dawna, jej jedyny świat, to wielkie miasto Boga, zaczyna drzeć w posadach i może się zawalić.

Z gabinetu dobiegły ją czyjeś głosy. Z bijącym sercem pośpieszyła w tę stronę. Był to tylko kardynał sekretarz stanu, a z nim ten drugi, któremu nie ufała - szczupły, sprytny. Zawsze pojawiał się w szczególnie ważnych chwilach, przeważnie jednak zamykał się gdzieś na trzecim piętrze. Przyszedł z nimi jeszcze jeden mężczyzna - wysoki nieznajomy, którego brodata twarz była bardzo zmęczona, jakby po dalekiej podróży lub bezsennej nocy. Mimo to widać było, że jest niezwykle silny i opanowany. Nieznajomy uważnie obserwował otoczenie. Ale w jego oczach nie widać było lęku i respektu dla władzy, którego przecież można było spodziewać się u prostego księdza znajdującego się w tak szczególnym miejscu. Luciana zauważyła, że gdy spojrział na nią, w jego oczach pojawił się uśmiech, chociaż jego twarz pozostała nieporuszona. "Papież na pewno polubił cię, brodaczu - pomyślała zakonnica pod adresem Thomasa. - Polubiłby cię bardzo. Tak jak on widziałeś cierpienie, doświadczyłeś go sam, podobnie jak i nasz papież. Los nie szczędził ci przeciwności, lecz ty nie ugiąłeś się pod ich ciężarem. To wszystko można wyczytać z twoich oczu!"

- Czy to już wszystko, siostrze? - głębokim głosem zapytał Cinalli.

Luciana skłoniła się.

- Niewiele mam tutaj do roboty, eminencjo - odpowiedziała, patrząc w stronę Benito Marco, który w tym czasie włączył duży kolorowy telewizor. Właśnie zaczęła się transmisja. "Sprytny jesteś - pomyślała.

- Ja podpatruję tłumy na placu ukradkiem, przez szparę w zasłonach, a ty możesz ujrzeć wszystko po wciśnięciu guzika. Jesteś bezczelny i pewny siebie. Zgaś telewizor! Nie należy do ciebie i nigdy nie będzie twój."

- W takim razie, zostaw nas samych - polecił jej Cinalli.

- Eminencjo... - półgłosem powiedziała Luciana i ruszyła ku drzwiom.

W połowie drogi zatrzymała się.

- Siostrze? - zaniepokoił się sostituto.

Luciana zignorowała go, zwracając się do kardynała sekretarza.

- Eminencjo, kiedy wróci Ojciec Święty?

- Dowiesz się o tym w odpowiednim czasie - odparł Cinalli.

- Muszę poczynić pewne przygotowania...

- Wszystko w swoim czasie! - rzucił Cinalli i Luciana wyczuła w jego głosie zdenerwowanie.

"Jesteś tak samo przerażony jak ja - pomyślała wstrząśnięta. - Myślę, że mnie okłamujesz. Ojciec Święty, proszę wróć. Matko Boska, zachowaj naszego papieża w zdrowiu i miej go w swojej opiece."

- Idź już! - Poleciał niecierpliwie Cinalli.

Luciana pozostała za zamkniętymi drzwiami nasłuchując. Z gabinetu nie dochodził jednak żaden dźwięk. Ujrzała jak klamka porusza się i szybko odeszła do swego pokoju naprzeciwko windy. Czowała, że Sostituto ją śledzi.

Benito Marco zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Odeszła - powiedział.

Cinalli skinął głową, marszcząc brwi.

- Te stare kobiety... - mruknął.

Marco podszedł do środkowego okna gabinetu, otworzył je i lekko uchylił okiennice. Usłyszeli gwar wielotysięcznego tłumu. Sostituto skinął na Thomasa.

- Według naszych informatorów będzie on przemawiał do wschodu, stojąc twarzą do bazyliki.

- Nie ma tam żadnej trybuny, żadnego nagłośnienia - zaciekawiał się Thomas.

- Wszystko zostało wcześniej obmyślane. Bariery przy wylocie Via delia Conzililazione wytyczają trasę przejazdu Labesse'a. Tuż przed wjazdem uzurpatora na Plac Św. Piotra wjadą trzy niskie ciężarówki. To na nich zostanie zbudowana trybuna i ustawione nagłośnienie. Będzie tam także łoża prasowa.

- Sprawnie zorganizowane - zauważył Thomas. Marco pokręcił głową.

- Labesse nie organizował niczego. Sieci radiowe i telewizyjne dostarczyły to wszystko bezpłatnie. Wiemy z pewnego źródła, że spodziewana liczba widzów i słuchaczy będzie wprost wyjątkowa. Wielokrotnie większa niż zakończenie konklawe.

Thomas zamknął okno.

- Dlaczego nie chcecie, by przemawiał?

- Dlaczego nie śmiemy pozwolić mu mówić - poprawił go Marco.

- Cóż on takiego zamierza powiedzieć?

- Tylko on jeden to wie. Jesteśmy jednak pewni, że jego słowa będą zgorszeniem dla prawdziwie wierzących katolików.

- Wygłosi następne herezje - wykrzyknął Cinalli. - I bluźnierstwa. Jego intencją jest zniszczenie jedynej i objawionej przez Pana wiary.
- Jeden człowiek? - zastanawiał się Thomas. - Czy jeden człowiek jest w stanie to uczynić?

Cinalli i Marco zamilkli.

- Kim jest ów człowiek, który wzbudza w was tak wiele obaw? - Thomas zapytał zakłopotany.

- To ciebie, ojczy, nie dotyczy - odparł Marco.

- Lepiej byś tego nie wiedział - dodał Cinalli. - Czyn, który przyjdzie ci popęlić będzie wystarczającym ciężarem dla twego sumienia, mój synu.

- Czy to ten mnich z Jerozolimy, który uważa się za świętego?

- Co o nim wiesz? - Marco zagadnął ostrożnie.

- Nic. Dziennikarz, z którym rozmawiałem w samolocie, wspomniał o mnichu z Jerozolimy. Ten zakonnik miał twierdzić, że jest święty i ponoć zapowiedział swój przyjazd do Rzymu. Podobno miał też umrzeć i potem zostać wskrzeszony. Ale tamten dziennikarz był pijany i gadał od rzeczy. Jedyne co się trzymało kupy, to historia dotycząca Ojca Świętego.

Cinalli zdumiony, spojrział na Marco, lecz sustituto pozostał niewzruszony. Thomas źle odczytał spontaniczną reakcję kardynała sekretarza i pomyślał tylko, że po prostu trafnie odgadł tożsamość człowieka, którego polecono mu zabić. Nie wiedział, że Cinalli nie miał pojęcia o obecności Hanesa-Aubury'ego na pokładzie samolotu lecącego z Buenos Aires - Marco rozmyślnie nie wspominał o tym, świadom tego, w jakim stanie znajdują się nerwy kardynała sekretarza.

- Tak, to ten człowiek - potwierdził Marco. - Twierdzi, że podczas swej "śmierci" zasiadł u boku Boga i że otrzymał od Pana posłanie, które teraz musi ogłosić światu.

- "Niebiosy są tutaj"? - zacytował Thomas.

- Słuchałeś go? - zapytał ostro Marco.

- Takich właśnie słów użył tamten dziennikarz.

- Te słowa są rzeczywiście wyznaniem herezji głoszonej przez tego mnicha - rzekł Marco.

- Mogą one przecież równie dobrze oznaczać wszystko i nic? Kościół ma w swoich szeregach radykalnych księży, którzy cza

sem wygłaszają stwierdzenia czysto heretyckie. Rzym ich wtedy upomina. Po cóż od razu zabijać tego człowieka?

Marco przez chwilę przyglądał się twarzy Thomasa, potem powiedział:

- To właśnie dwuznaczność tych słów czyni je tak niebezpiecznymi.

Ojciec jest po prostu nieświadomy tego, co się dzieje. Cóż ojciec tam u siebie, w Patagonii słyszał o tym, co się dzieje na świecie?

- Bardzo niewiele, czasami nic. W tej chwili w Buenos Aires wszelkie wiadomości podlegają bardzo ostrej cenzurze.

- Wyjaśnię więc ojcu trochę dokładniej istotę tej sprawy. Nazwisko tego zakonnika brzmi Pierre Labesse. Jest z pochodzenia Francuzem. Zrzędzeniem losu ma on prawo do kanonizacji. Papież nierozważnie podjął decyzję o rozopczęciu procesu beatyfikacyjnego, gdy Labesse jeszcze żył, lecz leżał pogrążony w głębokiej śpiączce. Ojciec Święty wierzył, zupełnie szczerze, że postępuje zgodnie z wolą Boga. Wiedział, że Labesse miał pozostać w śpiączce do końca swych dni lub do końca tego, co współczesna medycyna pozwala nazwać życiem. Mnicha utrzymywano przy życiu sztucznymi metodami dopóty, dopóki nie wystąpiła tak zwana śmierć mózgowa. Gdy to się stało, papież wydał polecenie odłączenia wszelkich urządzeń podtrzymujących życie. Labesse miał wówczas ostatecznie umrzeć. Stało się to w minioną sobotę minutę po północy.

- Ale on nie umarł jednak ?

- Umarł, a przynajmniej wydawało się, że nie żyje. Potem, tak jak ojciec powiedział, został wskrzeszony.

- Po jak długim czasie?

- Po dziewięciu godzinach.

- Reanimowano go! Marco wzruszył ramionami.

- Nie jesteśmy pewni, co się stało - skłamał bez zmrużenia oka. -

Możliwe, że to błąd w sztuce lekarskiej. Rzeczywiście, dziewięć godzin to zbyt długo.

- On byłby już przecież... rośliną. Nastąpiłyby nieodwracalne uszkodzenia mózgu.

- Właśnie, a więc nie mógł on naprawdę umrzeć! Odłączenie urządzeń podtrzymujących życie obudziło go ze śpiączki. Wiem, że takie przypadki zdarzały się już wcześniej.

- Sądzicie jednak, że on jest wariatem?

-1 to niebezpiecznym. Nazywa siebie "Boskim Pocieszycielem" i twierdzi, że doktryna Kościoła jest zła i tylko on jeden zna prawdziwe słowo Pana, przynajmniej tak twierdzi, i przybywa dzisiaj do Rzymu, by je ogłosić.

Thomas patrzył przez chwilę na ekran telewizora i falujące tłumy, potem zapytał:

-1 ci wszyscy ludzie mu wierzą?

- Ojciec Święty kanonizował go z chwilą "śmierci". Ta "śmierć" została orzeczona i potwierdzona oficjalnie przez izraelskiego lekarza, który odmówił odwołania swojej diagnozy. Tak, ci ludzie wierzą, iż Labesse został wskrzeszony z martwych, że jest świętym i że każde wypowiedziane przezeń słowo pochodzi wprost od Boga.

Thomas oderwał wzrok od ekranu i spojrzał w stronę obu mężczyzn.

- Czy eminencja przemyślał swoje postanowienie? - zapytał Ci-nallego.

- Długo i dokładnie, mój synu. Nie ma innej drogi. Thomas potrząsnął głową.

- Kiedy ów mnich umrze, uczynią z niego męczennika. Jego słowa będą miały jeszcze większą moc niż teraz.

Marco odezwał się pośpiesznie.

- Zdawaliśmy sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa. Uwzględniliśmy je w naszych planach. Wybitni lekarze orzekną, że powodem jego śmierci był guz mózgu. Potwierdzą ponadto, że uszkodzenia komórek mózgowych nastąpiły na skutek braku tlenku w okresie jego "śmierci". Słowa Labesse'a, to jego "objawienie", zostaną uznane za wytwór chorego umysłu. Wówczas wszyscy ci złąkam nieszczęśnicy, tańczący teraz na placu, powrócą do Kościoła pełni obawy o swe dusze.

- Kiedy ogłosimy wiadomość o śmierci Ojca Świętego, Pierre Labesse nie będzie dla ludzi znaczył nic - dodał Cinalli. - Smutek wiernych okaże się zapewne tak wielki, że przesłoni wszystko inne.

- Kiedy to ogłosicie, eminencjo?
- Gdy już to się stanie i ojciec będzie za granicą - Marco wyręczył swego zwierzchnika w odpowiedzi.
- Czy uda mi się wyjechać? - zapytał ostrożnie Thomas.
- Oczywiście, ojczu. Nie będzie niczego, co wskazywałoby na twój związek ze śmiercią Labesse'a.

Thomas raz jeszcze zerknął na ekran.

- Ciężarówki wjeżdżają już na plac - powiedział.
- Cinalli dostrzegł to również i teraz wpatrywał się uporczywie w ekran. Poblądł nagle, jak skazaniec na widok szafotu. Przeżegnał się. Marco podszedł do odbiornika i wyłączył telewizor.

- Eminencja potrzebuje wypoczynku - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

"I uciezki - pomyślał Thomas. - Doprowadzasz mnie w imię Boga tak daleko pełen zdecydowania, a gdy czas próby się zbliża, okazuje się, że jesteś pusty, jak wnętrze spalonego kościoła. Twe wątpliwości wiszą w powietrzu jak ostry swąd spalenizny. Odejdę - mówił do siebie. - Gdy zaprowadzą mnie do bramy wyjdę przez nią i będę szedł dalej, w dum. Zignoruję tych tutaj i człowieka, który będzie tam stał samotny, wierząc w swoim szalaństwie, iż został posłany przez Boga." Thomas wiedział jednak dobrze, że tak nie uczyni. Zrobi dokładnie to, co polecił mu Marco. Przejdzie długą drogę przez dum, przeciskając się aż do stóp podwyższenia. Będzie tam czekał z krzyżem Borgii, by przekazać heretykowi Chrystusa wiecznie trwające życie i śmierć, zawatre w jednym sekretnym ruchu, który mieści w sobie więcej zdrady niż uniesiony za plecami ofiary miecz zamachowca. Dlaczego? Odpowiedź była prosta. Jeżeli ich nie posłucha, przestanie im wierzyć. Oznaczałoby to dla niego powrót na krętą ścieżkę, na którą nie chciał dobrowolnie wracać. Kościół przygarnął go, gdy był nieszczęśliwy i zagubiony. Kościół wziął go za rękę, gdy ślepy błądził w nieprzeniknionej ciemności. Nie był przygotowany na to, by znów szukać drogi. Zrobi tę jedną, jedyną rzecz i odejdzie. Wróci z powrotem do swoich dzieci, będących jego nagrodą i błogosławieństwem. "Jeden człowiek musi umrzeć, by moja wiara mogła żyć" - pomyślał w końcu. Było to zarazem i stwierdzenie, i pytanie. Tylko czekając z krzyżem Borgii u stóp trybuny, pozna prawdę.

- Czy jesteś gotów, ojcze? - spytał Marco.

"Jeśli nie teraz, to kiedy?" - Thomas zapytał w duszy samego siebie.

Zwracając się do Marco, odpowiedział pewnie:

- Tak. Jestem gotów!

Tłum na lotnisku Fiumicino gęstniał, gdy popołudniowe słońce zaczęło już chylić się ku zachodowi. Przybywali tutaj wszyscy, którzy nie mogli być na Placu Świętego Piotra.

Catherine Weston siedziała w miękkim fotelu w specjalnej poczekalni dla ważnych osobistości, pijąc kawę i paląc papierosa. Zerknęła na ekran telewizora umieszczonego pod sufitem, a ekipa techniczna ITN z Londynu rozstawiała wokół niej sprzęt oświadczeniowy i mikrofony. Żałowała, że nie ma jej teraz na placu, gdzie spędziła początek dnia, upajając się radością tłumów. Pozostała jeszcze godzina do chwili, gdy samolot El Al z Jerozolimy miał wylądować na włoskiej ziemi.

- Za parę minut będziemy gotowi - powiedział Richard Bailey, reporter ITN, który poprzedniego dnia przyleciał z Jerozolimy po przekazaniu stamtąd relacji z "tego całego cyrku", jak ekipa techniczna określiła sprawę Labesse.

Bailey widział Catherine już wcześniej w Jerozolimie, kiedy pojawiła się u boku świętego. Miało to miejsce tuż po tym, gdy wpuszczono ją do klasztoru jako jedynego dziennikarza i w ogóle jako jedyną osobę z zewnątrz, wykluczając doktora Levina. Tuż po jej pierwszej rozmowie ze zmartwychwstałym świętym, Bailey ustalił, że wyjechała z Jerozolimy do Rzymu. Postanowił wówczas odszukać ją i przeprowadzić z nią wywiad. Jego przeczucia sprawdziły się w stu procentach - czekała w poczekalni na lotnisku Fiumicino, by powitać Pierre'a Labesse'a.

Z początku dziewczyna była niechętna zaproponowanemu przez Bailey'a wywiadowi. Może nawet trochę nieuprzejma. Powiedziała, że tylko "Mistrz" może udzielić odpowiedzi na to pytanie. Reporter jednak nalegał i w końcu Catherine zgodziła się na krótką rozmowę przed kamerą.

- Gotowe, panno Weston - powiedział Bailey. - Możemy zaczynać, kiedy tylko pani zechce.

Catherine zgasła papierosa.

- Wspaniale - powiedziała cicho, gdy reporter usiadł obok niej.

Bailey spojrział w stronę kamery i wygłosił krótkie wprowadzenie, potem odwrócił się do Catherine.

- Panno Weston, jest pani jedyną znaną nam osobą, której dane było rozmawiać z człowiekiem nazywanym przez środki przekazu i ludzi na całym świecie "zmarłychwstałym świętym" z ojcem La-besse'em.

Cóż on pani powiedział?

- Poprosił mnie, bym poszła za nim.

-I tak też pani uczyniła. W rzeczywistości nawet go pani wyprzedziła, przybywając przed nim do Rzymu. Dlaczego tak się stało?

- Chodzi tu o zorganizowanie jak największego udziału środków przekazu w tym, co ma dzisiaj nastąpić.

- Panno Weston, osobiście przeprowadzałem w przeszłości wywiady z wieloma kaznodziejami i reformatorami chrześcijaństwa. Muszę przyznać, że wszyscy oni mieli... raczej interesowne podejście do swoich publicznych wystąpień. Wydaje mi się jednak, że w przypadku Labesse'a sprawa wygląda inaczej?

Catherine uśmiechnęła się szeroko.

- Chciałby pan wiedzieć, dlaczego nie sprzedajemy biletów? Bailey również uśmiechnął się w odpowiedzi.

- A więc mówiąc bez ogródek, pieniądze czy też może datki, jeśli pani woli, ofiary, nie mają znaczenia?

- Pieniądze nigdy nie były brane pod uwagę.

- Czyż nie jest jednak faktem - Bailey kontynuował ostrożnie - że do klasztoru w Jerozolimie, należącego do zgromadzenia zakonnego, którego członkiem był Labesse napływają duże sumy pieniędzy.

Mamy sprawdzone informacje, że łączna suma tych wpływów wynosi blisko pół miliona funtów.

Catherine skinęła głową.

- Ludzie z całego świata przysyłają pieniądze. Duże i małe sumy. Nie mam pojęcia, ile się tego razem uzbierało.

- Na pewno pół miliona, może więcej - powiedział Bailey.

- Niezależnie od tego, ile jest tych pieniędzy, wszystkie zostaną przekazane Kościołowi.

- Kościołowi Katolickiemu? - spytał z niedowierzaniem Bailey.

- Tak, oczywiście. Ten zakon jest częścią Kościoła Katolickiego.

- Czyż nie jest jednak prawdą, że Watykan zignorował ojca Labesse'a, wręcz się go wyparł? Odmówiono potwierdzenia aktu jego kanonizacji, chociaż sam przeor klasztoru potwierdził to wyraźnie.
- To dostojnicy Kościoła go odrzucili, nie sam Kościół.
- Mówiąc "dostojnicy" ma pani na myśli Watykan?
- Myślę o niektórych ludziach w Watykanie, ale i oni się zmieniają.
- Zmieniają się? Zmieniają swój stosunek do ojca Labesse?
- Całkowicie. Przywitają go z radością. Rozpoznają go.
- Kogo w nim rozpoznają?
- Tego, kim faktycznie jest.
- A kim on jest, według pani, panno Weston? Wydaje się, że oddała mu pani swoje życie. Musi więc pani mieć bardzo konkretne zdanie na temat tego człowieka?
- To prawda, lecz chyba będzie lepiej, gdy inni sami wyrobią sobie własne poglądy na tę sprawę.

Bailey przerwał na chwilę.

- Panno Weston. Niemożliwym jest nie pokusić się o porównanie tego, czego jesteśmy teraz świadkami, z wydarzeniami opisanymi w Nowym Testamencie. Chodzi mi o podobne, dumne powitanie, przypadkiem również w niedzielę. Chodzi mi tu oczywiście o Niedzielę Palmową. Czy można prosić panią o skomentowanie tego zbiegu okoliczności?
- To pan dokonuje takiego porównania, nie ja - powiedziała Catherine, spoglądając na ekran telewizora. Pokazywano właśnie nagrane wcześniej sceny, ukazujące Labesse'a wsiadającego do samolotu i towarzyszące temu owacje wielotysięcznego tłumy. Odwróciła się znów do kamery. - Sądzę, iż ludzie w takich chwilach reagują spontanicznie.

Bailey pochylił się do przodu, starając się teraz, by jego słowa wywarły na rozmówczyni jak największe wrażenie.

- Jeśli zgodzi się pani, że moje porównanie jest uzasadnione, chociaż może w trochę niepojęty sposób, to czy nie przychodzi pani na myśl, iż krótko po Niedzieli Palmowej nastąpiło inne, tym razem straszliwe wydarzenie na Kalwarii?

Na ułamek sekundy Catherine utraciła pewność siebie, po chwili jednak uśmiechnęła się znowu.

- Wydaje mi się, że od tamtego czasu czegoś się nauczyliśmy. Chyba pan też tak uważa, panie Bailey?

Reporter wolał nie odpowiadać. Zamiast tego podziękował swej rozmówczyni i odwracając się do kamery zakończył wywiad.

Wyłączono reflektory i technicy rozpoczęli składanie sprzętu gotowi do przenosin w inne miejsce.

Bailey nadal siedział w fotelu obok Catherine, która zapaliła papierosa.

- Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że wielu ludzi na całym świecie widzi w nim kogoś w rodzaju Mesjasza? Jest pani dziennikarką, powinna pani być tego świadoma.

Catherine zaciągnęła się głęboko.

- To środki masowego przekazu wykreowały jego obraz. Wy... my... jesteśmy w stanie sterować odczuciami ludzi. Potrafimy z najdrobniejszego wydarzenia w ciągu kilku godzin, uczynić sprawę światowej wagi. My już nie przekazujemy wiadomości. My je tworzymy.

- Fenomen Labesse'a nie został wymyślony przez środki przekazu - sprzeciwił się Bailey. - On sam rozpoczął to wszystko, powstając z martwych. Watykan, niezależnie od tego, co mogą w tej chwili myśleć kardynałowie i pralaci, wykreował go na "zmartwychwstałego świętego". Labesse sam był autorem historyjki pod tytułem: "Byłem gościem Pana Boga". To również sam Labesse oświadczył, że jedzie do Rzymu, aby tutaj przekazać wszystkim swe "objawienie". Prasa i telewizja tylko oparły się na tym, co już miało miejsce.

Miły kobiecie głos zapowiedział przez głośniki przyłot samolotu linii Pan Am.

- Właśnie tak - powiedziała Catherine, gdy ucichły już słowa zapowiedzi. - Oparto się na tym, co zaistniało. Oparto się również na innych oczywistych faktach. Dokonano porównań, które potem rozdmuchano: ukrzyżowanie, zmartwychwstanie...

- Dodajmy jeszcze miejsce, gdzie to wszystko się stało - wtrącił Bailey.

- Jerozolima, Góra Oliwna. To wszystko było oczywiste od samego początku. Chrześcijanie ze łzami w oczach myślą o powrocie Mesjasza. Islam stał się znów agresywny. Na całym świecie zaczyna panować anarchia. Ludzie chcą wierzyć, że na Ziemi przebywa Syn Boży.

- A wy daliście ludziom to, czego chcieli. Pierre Labesse nigdy nie powiedział o sobie, że jest Synem Bożym.

Bailey rozmyślał przez dłuższą chwilę, oglądając swe opalone dłonie.

- Wie pani, uczciwie przyznaję, iż gdy to wszystko się zaczęło, tam w Jerozolimie, gdy pierwszy raz ujrzałem go i usłyszałem jak mówi, uwierzyłem w to, że on naprawdę może być... Mesjaszem -Reporter spojrział w stronę Catherine, uśmiechając się słabo. - Naprawdę...

- Dlaczego więc zmienił pan zdanie? - zapytała. Bailey wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że po prostu miałem czas, by sobie wszystko dokładnie przemyśleć, przewartościować... By spojrzeć na to realnie. Wtedy byłem przemęczony po długiej podróży, nie myślałem logicznie.

- I od tamtej pory nie widział go pan więcej? - zagadnęła Catherine.

- Nie widział go nikt z zewnątrz, oprócz pani. Czy pani wierzy, że on może być Mesjaszem? To brzmi zabawnie w naszych czasach, wiem o tym, lecz przecież tysiące ludzi tak już uważa.

- Panie Bailey, wierzę, że jest on czymś... kimś tak ważnym dla naszego zwariowanego świata popadającego w coraz większy chaos, że wynosząc go na piedestał lub usiłując widzieć w nim kogoś, kim w rzeczywistości nie jest, można podważyć jego wiarygodność, a nigdy się nie dowiemy, kim naprawdę jest.

- A kim jest?

- Nie wiem.

- Dlaczego nazywa go pani Mistrzem?

- Dlatego, że jest ponad nami. Jest nauczycielem, który wie to, co my chcielibyśmy wiedzieć i czego na razie nie jesteśmy w stanie pojąć.

- Jak guru?

Catherine uśmiechnęła się.

- Och, daleko więcej! Bailey przysunął się do niej.

- Powiedziała pani przed chwilą: "usiłując widzieć w nim kogoś, kim nie jest". Przecież nie wyklucza pani, że może on jednak być kimś więcej niż ten, za kogo go uważamy.

Catherine spojrzała reporterowi prosto w oczy.

- Nie próbuję zastanawiać się nad tym. Ta myśl mnie przeraża. Jestem z nim blisko. Znam go jako człowieka i myślenie o nim w jakichś... szerszych granicach mogłoby doprowadzić mnie do szaleństwa. Nie jestem na to przygotowana. Czy potrafi mnie pan zrozumieć?

- Stanąć twarzą twarz z Bogiem? Tak, potrafię to zrozumieć. Nikt z nas nie jest na to przygotowany. Czy pamięta pani, co powiedział: "Gdybyście stanęli w tej chwili przed Bogiem nie rozpoznalibyście Go, gdyż nie wiedzielibyście w ogóle co widzicie"?

- Tak, w Jerozolimie.

- Wiele myślałem nad tym zdaniem i mam teraz swoją własną teorię na temat tego, co miał na myśli, wypowiadając te słowa. Czy rozpoznalaby pani obcego, innego człowieka, gdyby go pani nigdy wcześniej nie widziała? Czy wiedziałaby pani kim on jest?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie znalazłbym go. Ponieważ byłby mi obcy.

- Skąd wiedziałaby pani, że to obcy?

- Dlatego, że bym go nie знаła. To brzmi jak jakaś szarada - Catherine roześmiała się.

- To jest szarada, zagadka - zgodził się Bailey. - Zagadka niemożliwa do rozwiązania. Nie rozpoznalaby go pani, bo każdy z nas jest inny. Wszyscy jesteśmy ludźmi. Mamy ręce, nogi i głowy ale równocześnie wszyscy jesteśmy inni. Obcy, to ktoś, kogo nie znamy, chociaż jest przecież tak jak i my człowiekiem.

Catherine była wyraźnie zaintrygowana słowami Bailey'a.

- Cóż z tego wynika? - zapytała.

- Dokładnie nie wiem. Jedno wydaje się bardzo oczywiste. Gdybym spotkał Boga idącego na przeciwko mnie pustą drogą i gdyby miał postać człowieka, nieznanego, to nawet przechodząc tuż obok Niego, nie rozpoznalbym w Nim Boga. Kogo zobaczyła pani, gdy pierwszy raz ujrzała pani Pierre'a Labesse'a?

- Nieznajomego.

- Nie znała go pani, lecz on zgodził się z panią spotkać?

- Wiedział, że przyjdę. Wydawało się, że mnie zna.

- Skąd?

- Nie wiem, tak po prostu... 290

- Chrześcijanie wierzą, że Chrystus zna każdego z nas.
- Nie! - rzuciła Catherine, nagle rozgniewana. - Zostaw go kim jest.
- Wydaje mi się, że środki masowego przekazu mają piNawo Dv starać się odgadnąć, kim może być Pierre Labesse. W tej d^wili ':est on już własnością całego świata, nawet jeśli to my, dzien^^^g doprowadziliśmy do tego.
Wdzięczny żeński głos znów odezwał się w głośnikach*.
- "Samolot El Al, lot numer 451 z Jerozolimy, podch^00-zj ^0 lądowania..."

Bailey poderwał się z fotela i ruszył biegiem w stronę dr^wj przed nim wybiegali z poczekalni technicy ze sprzętem.

Catherine nie poruszyła się jednak, gdyż Labesse był j uz . . ■ w jej wnętrzu. Poczula, jak jego siła zaczyna przewycięza stracn' kłębiący się w jej duszy. "Mistrzu, boję się. Mogę nie mieć odwaei by stanąć przy tobie." "Będiesz ją miała" - odpowiedział je: wewnętrzny głos.

Wysiadł w chwale z wielkiego, srebnego samolotu, u^,ranv w swój prosty wełniany habit, lśniący teraz biało w świede hakowych reflektorów i błyskach tysiąca fleszy. Kaptur był podniesiony Dra_ w podobnie w obawie przed wieczornym chłodem. Sr^cj'ajn:e dla kamer Labesse odsłonił jednak głowę, ukazując swe pi^-Qjg OD liczę, które nie było już teraz tamtą bladą twarzą na wpół nxa,»™», człowieka. Był opalony, a jego błękitne oczy patrzyły przez nuciowie i żywo. Te niezwykle oczy skrywały w sobie jednocześnie wrażliwość, dobroć i siłę. Na jego ustach pojawił się uśmiech, nit^ wiadomo dlaczego przywodzący na myśl rozgwieżdżone niebo.

Labesse nie powiedział ani słowa do przygotowanych r^niio-ofo. nów. Pozwolił zaprowadzić się do oczekującego autokaru.

Catherine stała przed drzwiami autobusu. Labesse uś^j^ ;a mocno, a ona przytuliła się do niego, jakby był jej k^ocharuV;jem lub cudownie odnalezionym ojcem, o którym myślała, że nie zv:e

Olbrzymie rozentuzjasmowane tłumy wyległy na powit^anje\^ bessę'a. Ulice wzdłuż trasy przejazdu autokaru zostały zas'ane kwiatami i zielenią. Za autokarem podążały dziesiątki naj^ .ozmajt

szych pojazdów. Gwar ciżby zgromadzonej na placu słyhać było z daleka.

- Teraz - powiedział milczący do tej pory Labesse.

W tej chwili Catherine ujrzała na jego piersi ten sam zakonny krzyż, który dała mu w klasztorze jerozolimskim. Labesse, widząc, że dziewczyna jest smutna, uściskiem dłoni dodał jej otuchy.

- Michael - powiedziała, a jej oczy napęłniły się łzami wzruszenia i tęsknoty. - Twój żołnierz...

Jego ręka ścisnęła jej dłoń jeszcze mocniej. Uśmiechał się do niej, by ją pocieszyć, nic jednak nie powiedział. Catherine nie potrzebowała jego słów. Ten uśmiech wystarczył.

Wtem z tysięcy gardeł zerwał się śpiew chwały. W pieśni tej tryumfalnie brzmiało imię świętego, powtarzane bez końca.

Catherine zadrżała. Wszystko to było tak radosne i podniosłe.

Niespodziewanie poczuła ogarniające ją przerażenie. Labesse znowu ścisnął jej dłoń, gdy nagle pojawił się przed nimi obelisk Kali-guli, wzniesiony niedaleko miejsca, gdzie ukrzyżowano Świętego Piotra. Z tyłu rysowała się wyraźnie złota kopuła bazyliki. Na placu płonęło trzysta tysięcy świec. Wszechświat zamarł w oczekiwaniu u bram Watykanu.

8.

287

Tablica na zewnątrz zaniedbanego niegdyś, londyńskiego kościoła była odnowiona. Lśniące złotem na polakierowanym drewnie napisy głosiły, że jest to katolicka świątynia pod wezwaniem Tomasza Apostoła. Umieszczono na niej porządek nabożeństw, w których przecież tak niewielu ludzi miało zamiar uczestniczyć. Nadinspektor Charles Harrison od razu dostrzegł nową tablicę i uśmiechnął się do siebie, zamykając drzwiczki swego rovera. Odgadł bez trudu, na co przeznaczone zostało dwadzieścia funtów, które ostatnio ofiarował staremu proboszczowi. Policjant schował kluczyki do kieszeni i wszedł przez otwartą bramę. Właśnie skończyło się wieczorne nabożeństwo i ojciec D'Arcy stał w otwartych drzwiach kościoła, życząc wiernym dobrej nocy. Ujrzawszy Harrisona przyspieszył swe pożegnania, jakby przynaglając swych parafian do szybszego odejścia. Gdy ostatni parafianin ojca D'Arcy oddalił się, ksiądz ujął policjanta za ramię i wprowadził go do kościoła.

- Dzięki Bogu, udało mi się z panem skontaktować - wyrzucił z siebie jednym tchem proboszcz.

- Nowa tablica wygląda bardzo dobrze - powiedział Harrison.

- Och, tak. Dziękuję. Rzeczywiście, to było bardzo wspaniałomyślne z pańskiej strony. - D'Arcy był uprzejmy, lecz wyraźnie zniecierpliwiony.

- Chciał się ojciec ze mną zobaczyć... prawda? Usiedli w ławce.

- Oczywiście wie pan, co dzisiaj wieczorem dzieje się w Rzymie? - zapytał ksiądz, ścisząc głos.

- W samochodzie słuchałam radia. To sprawia wrażenie zamętu, chociaż ten wielki tłum wydaje się być dobrze zorganizowany - również cicho odparł Harrison.

D'Arcy niecierpliwie machnął ręką.

- Chodzi o naszą rozmowę z zeszłego tygodnia. Jest coś, co jak mi się zdaje, powinien pan ode mnie usłyszeć. Może jestem już stary i boję się cieni w ciemności, które mogą poruszać się szybciej ode mnie, lecz muszę zwierzyć się przed panem z moich obaw.

- Proszę mówić - zachęcił go Harrison.

- To Labesse. A raczej - to dotyczy Labesse'a. Harrison skinął głową.

- To pańskie śledztwo na polecenie Rzymu powinno dać mi do myślenia już wcześniej... to właśnie są uroki mojego wieku.

- O co więc chodzi? - zapytał policjant. D'Arcy westchnął.

- Możliwy to nazwać zaistnieniem pewnego dodatkowego czynnika, pewnych okoliczności towarzyszących...

- Ojcie! - wyszeptał Harrison. - Musi ojciec mówić jaśniej. Ni mam pojęcia, co ojciec próbuje mi powiedzieć.

- Proszę mi wybaczyć. Niech pan słucha - D'Arcy ścisnął policjanta za ramię. Siła tego uścisku była zaskakująca. - Pańska., "ważna osobistość w Rzymie"... Musi pan tego kogoś powstrzymać. Proszę mu powiedzieć, że wybrał niewłaściwego człowieka. Myślę, że wiem, co oni... co Rzym zamierza zrobić. Nie osądź tego. Nie mam takiego prawa. Musi pan jednak im powiedzieć... wybrali niewłaściwego człowieka. Harrison pokręcił głową zdezorientowany. D'Arcy spojrzał na ołtarz w głębi kościoła, jakby prosząc Boga o radę. W końcu westchnął i powiedział:

- Nie mam innego wyjścia, jak tylko wszystko panu wyjawić. Niech Bóg mi przebaczy.

Ojciec Thomas klęczał w swej małej, okrągłej izdebce. Próbował się modlić, lecz w głowie miał zupełną pustkę, nie mógł skupić myśli. Słowa, które wymawiał z trudem, wydawały mu się pozbawione znaczenia, wręcz obce. Jak obcy język, niegdyś znany, a I raz zapomniany i niepotrzebny. "Znowu wracam do tego" - powiedział. W ostatecznym rozrachunku nic się nie zmieniło. Przy nim mu się obraz z przeszłości, tak dalekiej, że już całkiem obcy; jak biografia zupełnie innej osoby: Młody ciemnowłosy mężczyzna słuchający jak wykładowca czyta Wergiliusza. Ale wtedy zb~ mało wiedział o życiu i nie rozumiał tych słów.

Facilis descensus Averno.
Łatwo jest spaść do piekieł.

Thomas podniósł się z klęczek. Gwar tłumu rozsadzał mu czołuskę.

- Niech tak będzie! - powiedział do siebie zrezygnowany. 294

Wszedł Benito Marco. W ręce trzymał walizeczkę Thomasa.

- Już czas - powiedział. - Zaraz Labesse wjedzie na plac.

- Czy nadal mam być tak ubrany? - zapytał Thomas, wskazując na swą sutannę.

- Tak będzie najlepiej. Teraz ojcze, odprowadzę cię kawalek i pokażę, jak ominąć największy dum. Twój bagaż zostanie zabrany na posterunek straży przy Porta Santa Anna. Zabierzesz go stamtąd, gdy będzie już po wszystkim.

- A mój paszport? Bilet lotniczy?

- Są w środku. I trochę pieniędzy. Franki szwajcarskie. W razie kłopotów mogą być ci potrzebne. Co najważniejsze: pod żadnym pozorem nie wracaj na teren Watykanu. Idź na posterunek straży, zabierz swój bagaż i opuść Italię tak szybko, jak to tylko możliwe. Thomas uśmiechnął się ironicznie.

- Dlaczego uśmiechasz się, ojcze? - zapytał podejrzliwie sosti-tuto. Thomas potrząsnął przecząco głową, lecz ów dziwny uśmiech nadal pozostał na jego ustach.

- Chodź ze mną - powiedział Marco, stojąc w drzwiach. - Gdzie jest krucyfiks Borgii?

Thomas dotknął krzyża ukrytego pod sutanną. Marco podał mu zamszową torbę.

- Po spełnieniu twego zadania włożysz go tutaj. Przyniesie mi go strażnik z Portu Santa Anna.

Musieli się śpieszyć. Sostituto wciąż trzymał się nieco z przodu, jakby teraz, gdy nadszedł decydujący moment, wystraszył się człowieka idącego za nim. Minęli długie korytarze Pałacu Apostolskiego i krętymi schodami dotarli do podziemi. Droga przez niezliczone pomieszczenia i ganki była prawdziwą podziemną odyseją w czasie. Idąc przechodzili przez katakumby z czasów pierwszych chrześcijan, gdzie znaleziono kości świętego Piotra, a fundamenty, na których zbudowano Bazylikę, pamiętały czasy Imperium Ro-manum. Nagle usłyszeli jednostajny szum, jak gdyby falowało morze zamknięte w podziemnej grocie. To podwaliny kolumnady Berniniego, wprawione w rezonans, przenosiły odgłosy dobiegające z placu. Marco zatrzymał się.

- Zostawię cię tutaj, ojcze - powiedział. - Wyjdiesz schodami, które znajdują się sto metrów dalej. Wyprowadzą cię one na powie

rzchnię. Wzdłuż kolumnady dojdiesz do Via delia Concililazione. Pamiętaj, pokazywałem ci, gdzie ustawiono bariery wytyczające trasę przejazdu ciężarówek?

- Pamiętam - odparł beznamiętnie Thomas. Nagle poczuł dziwne odrętwienie.

- Gdy dojdiesz do tych barier, trzymaj krzyż na piersi. Nie osłaniaj go niczym. Jeśli dum będzie zbyt gęsty, podnieś krzyż w górę, a policjanci cię zauważą i pozwolą podejść do podwyższenia.

- Przygotowaliście to?

- Niczego nie przygotowałem! - rzucił Marco. - To zwykli policjanci, pełniący zwykle służbę poza Watykanem. Watykan to suwerenne państwo rządzone przez duchownego. Ty także jesteś duchownym. Czemuż mieliby cię zatrzymać?

Thomas uniósł ręce do ust i chuchał na nie dla rozgrzewki. W świecie latarki pojawił się obłoczek pary. Twarz księdza oświecona od dołu przyciśniętą do piersi latarką, wyglądała jak niesamowita, demoniczna maska.

- Zrób to, co musi być zrobione - powiedział sosUtuto i obrócił się na pięcie, odchodząc szybko, poprzedzany przez rozedrganą plamę światła.

- Do widzenia - mruknął Thomas. Ale nikt go już nie słyszał.

Otworzywszy drzwi swego prywatnego apartamentu, sostituto usłyszał dzwonek telefonu. Marco pośpiesznie podniósł słuchawkę. Dzwonił Harrison. Wiadomości z Londynu były dla prałata całkowitym zaskoczeniem. Przez chwilę oniemiał z wrażenia.

- Ten stary proboszcz musi być obłąkany. Kościół nie morduje swoich wrogów. To nie średniowiecze, panie nadinspektorze. Bardzo dziękuję jednak za pański telefon. - Marco odłożył słuchawkę. - Za późno... - powiedział do siebie.

- Ksiądz! - krzyknęła Catherine Weston, gdy autobus zbliżał się do wylotu Via delia Concililazione. Spojrzała na kroczącego wzdłuż barier brodatego duchownego, który odwrócił się na chwilę w jej stronę, kiedy autobus przejeżdżał tuż obok. Wydawało się, że ów ksiądz jest jakby w transie. Jego oczy patrzyły do przodu, nieruchomo. Można było pomyśleć, iż nie zdaje on sobie wcale sprawy z tego, że o wyciągnięcie ręki, za barierkami, tłoczą się ludzie i że autokar przejeżdża, ocierając się prawie o jego sutannę. Labesse

siedział pochylony, z twarzą skrytą w cieniu uniesionego kaptura, jakby pogrążony w modlitwie. Wtem odwrócił się do dziewczyny i skinął głową.

- Myślałam, że zabronili im przyjść tutaj pod karą natychmiastowej ekskomuniki - zauważyła Catherine.

Labesse uśmiechnął się, potem wyjrzał na zewnątrz. Właśnie autobus zatrzymał się przy dwu wielkich ciężarówkach. Catherine ujrzała, jak brodaty ksiądz znów przechodzi obok niej. Teraz poruszał się znacznie szybciej. Po chwili zniknął w tłumie. Uparcie przepychał się dalej - jego drogę znaczyły refleksy elektrycznego świda na dużym srebrnym krzyżu, który miał na piersi. Labesse wśród błysków fleszy wyszedł z autobusu. Odsłonił oczy i eskortowany przez policjantów zmierzał do przygotowanego dla niego podium. Thomas stał z przodu, przyciśnięty do trybuny przez napierający tłum, w miejscu, gdzie platformy obu ciężarówek łączyły się pod pokrytą dywanem podłogą. Sporym wysiłkiem, udało mu się wywalczyć dookoła siebie trochę wolnego miejsca, choć wywołało to gwałtowne protesty stojących w pobliżu ludzi. Poczul nagle piekący ból na karku. Sięgnął tam ręką, i poczul, że palce zlepil mu gorący wosk, spływający ze świecy. Gdy Labesse zbliżył się, dum znowu popchnął Thomasa do przodu. Twardy ucisk srebrnego krucyfiksu Borgii groził połamaniem żeber. Thomasowi przypomniały się słowa Marco: "Nie wolno mu przemówić" i prałat Cinalli wyrokujący: "Szatan go opętał. Ma moc sprowadzania świata na manowce. To Antychryst, którego przyjscie zapowiada Pismo".

"Drogi Boże, pomóż mi, Twojemu słudze. Wesprzyj mnie w tej godzinie próby" - pomyślał jezuita.

Labesse zbliżał się coraz bardziej. I teraz nawet Bóg nie mógłby uwolnić swego żołnierza przyciśniętego do trybuny. Nie można już było odwołać rozkazu. Pierre Labesse zatrzymał się i cofnął o krok od barierki. Stał teraz wyprostowany i spokojny, obserwując zgromadzony tłum. Po chwili odwrócił się i podszedł do mikrofonów. Jedną rękę uniósł ku gwiazdom, drugą zatoczył szeroki krąg nad głowami wiwatujących ludzi.

- Paradiso e qua! - zawołał. - Niebiosa są tutaj!

Plac eksplodował. Słuchaczy ogarnął szal. Krzyczeli, chórem powtarzając jego słowa.

- Paradiso e qua! Paradiso e qua!

Zdanie to zaczęło rozbrzmiewać w coraz to różnych językach. Wokół rozbrzmiewała teraz mowa wielu narodów, jakby na placu znaleźli się budowniczo wieży Babel. Thomas chciał cofnąć się i odejść, odepchnąwszy się od platformy, lecz siły nagle go opuściły. Poczul, że jakaś nadzmysłowa moc, trzyma go w miejscu i całkowicie bierze w swe władanie. Labesse uniósł w górę obie ręce i nagle zapadła cisza. Thomas poczul, że napór tłumów zelzał. Udało mu się głębiej odetchnąć, potem poczul mdłości. Znów spojrzal w górę, szukając zasłoniętej mikrofonami twarzy Labesse'a. Udało mu się dostrzec u niego jasne włosy zakonnika i białą bliznę na czole, częściowo osłoniętą włosami. Znów przypomniał mu się głos Cinallego: "On wziął słowa z Biblii i przekręcił je dla własnych, szatańskich celów. Przeczytaj Apokalipsę i poznaj prawdę - ostrzeżenie o jego nadejściu".

"I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza...

A Smok dał jej swą moc, swój tron i wielką władzę...

A cała ziemia powiodła okiem za bestią...

I ujrzałem jedną z jej głów jakby śmiertelnie zranioną, a rana jej śmiertelnie została uleczona".

Tłum zamarł w oczekiwaniu.

Thomas wspomniał słowa Marco: "Nie śmiemy pozwolić mu przemówić!".

I oto wśród głosów wypełniających całą jego świadomość Thomas usłyszał znajomy dźwięk. Bardzo znajomy, lecz pochodzący z innego życia. Poczul, że myśli uciekają mu gdzieś szybko. Odległy, miarowy łopot.

"Łatwo jest spaść do piekiel".

- Drogi Boże, ratuj moje dzieci! - jęknął. Ratuj dzieci?

Uniósł krzyż Borgii. Światło reflektora odbijało się od lśniącego srebra, rzucając biegające rozbłyski na stojących w pobliżu ludzi - ręka Thomasa drżała.

- Ciało Chrystusa! - krzyknął z całej siły. W panującej na placu ciszy jego głos został wychwycony przez mikrofony i zwielokrotniony przez głośniki. Pierre Labesse cofnął się od mikrofonów, obszedł je i stanął przed Thomasem. Zdjął z szyi wiszący na łańcuszku krzyżyk, potem przechyliwszy się przez barierkę założył go bro

datemu księdzu na szyję. Stojąca przy schodach Catherine Weston nie wierzyła własnym oczom.

- Michael - wyszeptała. Labesse dotknął głowy księdza.

- Wiemy żołnierz Boga - powiedział.

Miarowy lopot, który wciąż słyszał Thomas, zdawał się narastać, lecz może był to tylko wytwór udręczonego umysłu. Ksiądz spojrział na pochyloną nad sobą twarz, zobaczył jednak tylko krew. Ujrzał szlarlatną maskę, o zaskakująco błękitnych oczach, pełnych miłości i przebaczenia.

"Jestem teraz w innym miejscu, w innym czasie. Jestem centurionem sprzed wieków, rzymskim żołnierzem, który musi wykonać rozkaz. Nie mogę nic na to poradzić".

Labesse przyklęknął i wyciągnięte ręce położył na ramionach księdza. Rozległ się narastający szmer tłumu, rozproszone słowa, jakby liście szeleszczące na wietrze.

- Nadeszła właśnie godzina - powiedział Labesse, patrząc z bliska na Thomasa.

Krucyfik Borgii był teraz pomiędzy nimi, ksiądz ścisnął go w drżących dłoniach.

- Nie! - błagał Thomas.

Labesse puścił jego ramiona i chwycił go za ręce trzymające krzyż. Potem siłą zbliżył krucyfik do twarzy.

- Zrób to, co musisz uczynić. Zrób to szybko. Teraz! - przycisnął wargi do głowy figurki ukrzyżowanego Chrystusa, ciągle patrząc Thomasowi w oczy. Spojrzenie Labesse'a było dla Thomasa niezłomnym rozkazem.

Dla Cardina loskot monsunowego deszczu, bębniącego o zielony dach dżungli, stał się nagle jedynie odległym szumem, przez który usłyszeć mógł wyraźnie swój własny oddech. Dlaczego właśnie to m n i e umieszczono tutaj? - sam od siebie zażądał odpowiedzi. Nie wierzę. Nie wierzę w Boga, w miłość ani w pokój. Jestem tylko najemnikiem... I oto Gaillard - Kreol był przy nim, zamiast leżeć u stóp drzewa konający z upływu krwi.

- Zdejmij księdza - powiedział Gaillard.

- Sam nie dam rady tego zrobić - odpowiedział mu Michael.

- Musisz - mimo potwornego bólu wyksztusił Gaillard. Gdzieś tam umierał też San Li. Rent był już martwy.

- O co tu chodzi? - Rent żył, nieoczekiwanie. - Nie - wyszeptał, choć mógł to być również pomruk gniewu. - Nie ma żadnych szans.

- Muszę spróbować - powiedział Cardin. Sam z trudnością mógł wierzyć, że wypowiada te słowa. Nagle Rent odszedł, znikając gdzieś w dumie. Odezwał się Gaillard:

- "Skierował broń przeciwko nam" - Oczy Gaillarda wpatrywały się w polanę. Patrzył na ukrzyżowanego człowieka. Na twarz pochyloną nad Cardinem. Cardin spojrzał na Kreola.

- Dlaczego? - Gaillard powtórzył zadane mu przez Michaela pytanie. - Niektóre rzeczy nie mają powodu. Po prostu wiesz to i już. - Znow spojrzał na twarz ponad Cardinem.

- Pamiętaj o mnie - wyksztusił.

- Będiesz przy mnie na zawsze - obiecał Labesse.

- Uratowałem cię! - krzyknął Michael.

- Teraz ocalisz coś więcej, niż tylko moje życie - powiedział Labesse. - To nie jest koniec. To dopiero początek.

Jakby wbrew rozsądkowi i opanowaniu palec Michaela dotknął rubinu z tyłu krzyża. Z największego srebrnego kolca cierniowej korony wystrzeliła niewidoczna, cieniutka igielka i natychmiast cofnęła się. Na wardze Labesse'a pojawiła się kropelka zatrutej krwi. Trucizna zaatakowała najpierw błękitne oczy zakonnika i wydawało się, że niespodziewanie ujrzały coś przerażającego. Potem Labesse chwycił się za głowę, jakby miała ona zaraz pęknąć. Otworzył usta i zdawało się, że są pełne krwi. Później niektórzy mówili, że Labesse krzyknął z bólu, inni, że wezwał Boga. Nikt nie mógł jednak być tego pewnym, bowiem w jednej sekundzie dumy ogarnęła zwierzęca panika. Po wschodniej stronie placu ludzie rzucili się do wytyczonego barierkami przejścia i biegiem ruszyli w stronę ciężarówek tworzących trybunę. Wszędzie dookoła widać było padające postacie. Syreny policyjnych samochodów jękliwie zawodziły, a pojazdy bezskutecznie usiłowały przedostać się przez oszalały tłum. Błękitne, migające światła wygasły kolejno, jakby radiowozy tratowane były tysiącami stóp. Pomimo nieopisanego zamętu, ekipy telewizyjne kontynuowały transmisję. Przekaz pozbawiony był jednak dźwięku, gdyż kable mikrofonów umieszczonych na platformie i w innych punktach placu zostały pozrywane. Michael Cardin upadł, gdy uderzyła pierwsza fala oszalałego tiumu. Opadł na ło-300

kie i kolana, a leżący obok niego ludzie umierali stratowani przez tłum. Łzy ciekły mu po twarzy, gdy czołgał się pod ciężarówkami, kierując się ku schodom prowadzącym na trybunę. Wspiął się po nich, szukając tam schronienia. Balustrada drżała, lecz nie ustępowała pod naporem tłumu. Labesse leżał na wznak. Michael ujrzał klęczącą obok dziewczynę, pochylającą twarz nad mnichem, jakby w pocałunku. Hałas narastał. Ogłuszający ryk zdawał się wstrząsać całą trybuną. Jeden z towarzyszy Labesse próbował wspiąć się na podwyższenie, lecz upadł do tyłu, a jego habit przykrył głowy ludzi znajdujących się poniżej. Po chwili zniknął pod stopami biegnących ludzi. Michael podbiegł i stanął obok ciała Labesse. Dziewczyna spojrzała w górę ze łzami w oczach.

- Michael! - krzyknęła przeraźliwie.

Przez jedną krótką chwilę nie poznał jej, potem padł na kolana. Patrzył na dziewczynę z niedowierzaniem. Kompletnie oszłomiony, nie był w stanie uczynić najmniejszego mchu.

Potrząsnęła nim mocno.

- To ja! - zawołała. - To ja! Catherine!

Michael spojrzał na Labesse'a i położył rękę na sercu leżącego. Wciąż biło. Szybko. Zbyt szybko. Galopowało. Nadal nie mógł nic więcej zrobić. Świat dookoła walił się, lecz do niego to nie docierało. Pierwszy wstrząs już minął, a Michael nadal był jak martwy. Udało mu się jednak przemówić.

- On żyje - powiedział.

Catherine uderzyła Michaela w policzek.

- Obudź się! - wykrzyknęła. - Zrób coś! Pomóż mu!

Wysoko nad kopułą bazyliki pojawił się helikopter, potem zatoczył wokół placu krąg błyskając światłami, jak gdyby pilot dawał jakieś znaki. Śmigłowiec zbliżył się do trybuny i zawisł nad nią, schwytny w światła reflektorów, pośpiesznie skierowanych ku górze przez ekipy telewizyjne. Po chwili zaczął powoli opadać. Podmuchał wirnika wywrócił statywy mikrofonów. Helikopter zawisł tuż nad podwyższeniem, chwiejąc się lekko. Po obu stronach białej kabiny widniały papieskie krzyże.

Cardin usłyszał, jakby gdzieś z oddali, czyjś głos. Odwrócił się do helikoptera. Jakaś postać w helmie krzyczała w jego stronę szaleńczo, a obracająca się tuż obok lufa karabinu maszynowego wyrzucała strugi ognia.

- Ruszaj się, ty cholerny wariacie! Już po nich! Zostaw ich tam! - Michael Cardin uniósł bezwładne ciało księdza i przeniósł je do samolotu. Poczul, jak maszyna uniosła się lekko.

- Cholera! Poczekaj! - wrzasnął i wrócił po ciało Gaillarda. To Catherine klęczała teraz u jego stóp. Spojrzał na nią.

- Pomóż mu - powtórzyła.

Rozejrzał się, szukając Labesse'a. Trzymał go w ramionach.

- Ratuj go! - błagała dziewczyna.

Odwrócił się w stronę śmigłowca i ujrzał zakonnice w białym habicie, czekającą wewnątrz, by odebrać bezwładne ciało. Było tam też dwóch agentów ochrony. Zawahał się i nagle wzrok się wyostrzył, a oczy spojrzały twardo i pewnie.

- Porta Santa Anna! - wrzasnął do Catherine. - Brama Świętej Anny! Idź tam! Czekaj na mnie!

Nie czekając na jej odpowiedź, podał ciało Labesse do śmigłowca i wspiał się na najbliższą płożę podwozia, chwytając poziomą poręcz nad przesuwanymi drzwiami. Jeden ze strażników rzucił się w jego stronę, zamierzając zepchnąć intruza z powrotem na trybunę. Michael jednym szybkim ciosem złamał mężczyźnie ramię. Potem ogłuszył go uderzeniem w ramię. Pilot obrócił się w na swoim fotelu, niepewny tego, co się stało i helikopter niebezpiecznie zachwiał się zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą trybuny. Drugi strażnik wydobyl z kabury pistolet, lecz śmigłowiec przechylił się nagle i potężna siła wcisnęła go w fotel. Wirujące śmigło niebezpiecznie zbliżyło się do głów ludzi klębiących się obok podwyższenia. Michael kopnięciem w głowę strącił strażnika z fotela i rozbroił go. Wtem pilot gwałtownie poderwał maszynę do góry. Michael zawisł teraz na jednej ręce, musiał wypuścić zabrany strażnikowi pistolet i stawić opór podmuchowi powietrza spod wirnika maszyny. Spojrzał w dół. Niespodziewanie poczul zawroty głowy, zaś helikopter wznosił się szybko. Zaciśnięte kurczowo na poręczy palce powoli rozwierały się, siła ciężkości chciała wyrwać ramię z barku.

Plac poniżej był jednym, wielkim drgającym mrowiskiem. Czarne punkciki rozbiegały się w panicznej ucieczce. Po kilku rozpaczliwych próbach Michaelowi udało się oprzeć stopą o podwozie. Rozluźnił uchwyt, by odciążyć wreszcie omdlałą ze zmęczenia i bólu rękę. Nagle stracił równowagę i zawisł teraz głową w dół.

Oszalały w panice plac miał przed sobą. Kołysał się, wisząc na zaciśniętej kurczowo nodze, która już powoli zaczynała drętwieć. Z oddali słyszał wycie syren a na ulicach prowadzących do placu dostrzegł błyski niebieskich świateł. Musiały to być karetki pogotowia. W pewnej chwili pojedynczy, wąski strumień światła rozjaśnił ciemność wokół Michaela, lecz pozostał z tyłu, gdy helikopter zwiększył swą prędkość. Wyglądało to na reflektor jednej z ekip telewizyjnych. Michael spojrzął w górę i w otwartych drzwiach zobaczył białą jak kreda twarz zakonniczy. Jeszcze raz sięgnął ręką ku górze i uchwycił płożę akurat w chwili, gdy przelatywali nad kopułą Bazyliki Świętego Piotra. Nadludzkiem wysiłkiem podciągnął się w górę. Nie wyobrażał sobie, że w jego zmęczonych mięśniach drzemie jeszcze tyle siły. Twarz księdza znalazła się teraz na poziomie podłogi śmigłowca. Zobaczył Labesse'a leżącego nieruchomo, z wykrzywioną twarzą. "Wiedzieli! - pomyślał Michael. - Musieli wiedzieć! Zmusili mnie, bym zrobił to człowiekowi, którego wcześniej uratowałem. Człowiekowi, który pokazał mi, jak żyć. Wydostał mnie z piekła." Trzymał się teraz pewnie, obejmując rękoma pionowy wspornik podwozia, opierając nogi na płożie. W tej chwili poczuł, jak wreszcie przechodzi mu słabość, wracają siły i narasta gniew. Wybrali zabójcę, ale nigdy nie mieli zamiaru zabijać. Nie ośmieliliby się zabić tego człowieka. Martwy stałby się męczennikiem. Michael sam przecież to zauważył w rozmowie z Marco. Żywy, lecz będący jak roślina, z nieodwracalnie uszkodzonym mózgiem, Labesse dla nikogo nie stanowiłby zagrożenia. Jego objawienie zostałoby uznane za majaczenie szaleńca. "Przez cały czas musieli wiedzieć, kim jest dla mnie ten człowiek. Potrzebowali mordercy, więc będą go teraz mieli" - pomyślał Thomas. Poczuł, że helikopter obniża lot. Zbliżali się do Wzgórza Watykańskiego, przy zachodniej granicy miasta-państwa. Nie czekając na lądowanie, Michael zeskoczył na ziemię i skrył się w zaroślach. Zabójca, znów w najbliższym sobie środowisku. Po chwili usłyszał głos Benito Marco, który wołał: "Znaleźć go!", więc bezgłośnie pomknął w jego stronę i wkrótce dostrzegł grupkę postaci oświetlonych reflektorem śmigłowca. Zobaczył jak dwóch agentów ochrony wynosi z kabiny nosze z nieruchomym ciałem, a siostra idzie obok, prowadząc strażnika ze złamanym ramieniem. Uśpiony

Labesse leżał nieruchomo. Pozostali strażnicy uzbrojeni w rewolwery i latarki rozdzielili się i zaczęli przeczesywać zarośla. Dwu z nich zbliżyło się zanadto do Michaela śledzącego Marco i ludzi z noszami. Okaleczył jednego z mężczyzn i prawie zabił drugiego, absolutnie bezgłośnie. Nie mogli stawić mu czoła jako równorzędni partnerzy. Ani pojedynczo, ani w grupie. On był panem nocy i mistrzem skrytobójstwa. Nie widział sensu tego wszystkiego, ponieważ wciąż odzywała się w nim ta część jego osobowości, w której nadal jeszcze był księdzem. Wciąż wierzył, lecz już teraz nie myślał o tym, że znalazł drogę do Boga, co wtedy, po przeżyciach w dżungli wydawało mu się takie oczywiste. Kościół przyjął go i udzielił mu pomocy, lecz nie to wcale okazało się najważniejsze. Najważniejszy był ukrzyżowany człowiek. Zawsze tak było. Od momentu, gdy wyrwał zardzewiałe gwoździe z drzewa, aż do tej chwili. Teraz miał nastąpić koniec tego wszystkiego albo początek. Michael wierzył, że jest tylko częścią większego, boskiego planu, którego nigdy nie potrafiłby zrozumieć. Oni wybrali zabójcę i Bóg też go wybrał jako swoje narzędzie. Michael Cardin wiedział co ma uczynić. Złe czy dobre, musiało się dokonać. Zdejmując sutannę, raz na zawsze pozbył się wszelkich zasad moralnych. To było po prostu jego zadanie. Dobro lub Zło - tak właśnie musiało być. Głos Labesse'a dźwięczał teraz zadziwiająco wyraźnie: "Michael, wybrany żołnierz Boga". Nie kapłan. Żołnierz. Bestia, gotowa zabijać w imię Niebios, została spuszczone z smyczy. Ludzie Benito Marco szli wzdłuż muru Leona IV, potem dalej, aż ukazał się przed nimi tor nie używanej prawie kolei watykańskiej. Mała, staroświecka stacja wyglądała anachronicznie, zwłaszcza w porównaniu z pobliskim białym biurowcem, mieszczącym siedzibę Komisji Pontyfikacyjnej, czyli kierowanego przez papieża cywilnego rządu Citta del Vaticano.

Na peronie stało dwóch mężczyzn. Trzymali się osobno jak obcy sobie ludzie czekający na ten sam pociąg. Jeden z nich, wysoki, o trupim wyglądzie, z ubioru wyglądał na duchownego. Drugi był o wiele niższy, miał wydatny brzusek i trzymał skórzaną torbę, którą nerwowo przekładał z ręki do ręki, jakby był już spóźniony na jakieś ważne spotkanie. Również pociąg wyglądał dziwnie. Dieslowska lokomotywka z rozklekotanym silnikiem, a za nią dwa 304

wagony. Pierwszy z nich służył do przewozu osób, a drugi był wagonem towarowym, załadowanym już drewnianymi skrzynkami zawierającymi produkty watykańskich manufaktur. Inne skrzynki poustawiano na peronie w różnych miejscach. Czekwały na załadunek. Niższy mężczyzna podszedł do jednej ze skrzyń, postawił na niej swą torbę, potem rozpiął płaszcz. Z kieszeni kamizelki wydobyl złoty zegarek na łańcuszku i zmarszczył brwi. Ubrany był w prążkowany garnitur ręcznie szyty, o angielskim kroju. W twarzy tego mężczyzny dostrzec można było pewną wypielegnowaną miękkość, charakterystyczną dla ludzi bardzo bogatych. Mógłby być greckim magnatem okrętowym. Był jednak Włochem, sławnym lekarzem, członkiem Opus Dei. Stojący przy pociągu ojciec Philippe Recamier, francuski jezuita, zmrużył swe głęboko osadzone oczy i podszedł do końca peronu. Ujrzał wychodzącą z mroku grupkę osób z noszami. Najpierw ukazał się biały habit zakonnicy. Wyglądała jak widmo. Recamier poczuł nagle, że bardzo chciałby znaleźć się teraz gdzieś daleko od tej małej, upiornej stacji. Jak najdalej od Watykanu i przede wszystkim z dala od tej konspiracji. Tak chciałby znów być w cichym, podrzymskim klasztorze, gdzie kardynał Cinalli wysłał go ze starą zakonnica, przywiezioną z St. Malo. Tęsknił do pozostawionego w klasztornej celi spokoju i do samotności. Na polecenie kardynała sekretarza stanu miał udać się z siostrą Teresą do miejsca odosobnienia i tak też posłusznie uczynił. Po krótkim odpoczynku okazało się jednak, że do rozegrania pozostała jeszcze decydująca bitwa. Głównodowodzącym w tej brudnej wojnie nie był wcale kardynał Cinalli, lecz sostituto Benito Marco. To przecież Marco wezwał Recamiera do Watykanu.

- Jaki miałem wybór? - Francuz pytał teraz z goryczą sam siebie. - Pierwszy krok w konspiracji bywa trudny. Ostatniego nie można uniknąć.

- Nadchodzą, doktorze! - zawołał Recamier i ruszył wzdłuż peronu ku otyłemu lekarzowi. Ten pośpiesznie otworzył torbę i wydobyl z niej instrumenty, gotów jeszcze przed czasem, jakby nie mógł się doczekać, by leczyć, choć nie to przecież miało być jego zadaniem. Nie tej nocy. Ludzie z noszami szli wzdłuż peronu. Jeszcze zanim weszli w krąg słabego światła, Recamier rozpoznał Benito Marco. Prałat stawał małe, szybkie, prawie kobiece kroczy

ki. Jako doświadczony obserwator ludzi i zdarzeń, Francuz zauważył też od razu wyraźną zmianę w zachowaniu *sostituto*. Zniknęła gdzieś pewność siebie, czego dowodem był rozbiegany wzrok i nieustanne rozglądanie się dokoła. *Recamier* zobaczył wreszcie z bliska nieruchomą postać leżącego na noszach *Labesse'a*. Jezuicie przypomniał się bar w *St. Malo* i francuska dziwka *Simone*, kochająca człowieka, którego on pomagał teraz zniszczyć. Przypomniały mu się też papugi siedzące cicho na drążkach. "One nie mówią, *monsieur... Zrezygnowały*". Ptaki były po prostu uwiązane, uświadomił sobie to dopiero teraz. Cóż z tego, że ich łańcuszki były ze srebra. Były to tylko pęta, takie same, jak każde inne. Później pomyślał o starej siostrze. Widok jej ukochanego wychowanka, znajdującego się w takim stanie mógłby ją zabić. Staruszka zapewne umarłaby podczas gdy on musi żyć dalej. Każdego dnia budzić się będzie ze świadomością tego, co stać się ma teraz, za chwilę. Wiedział też, że za sprawą *Marco* zostanie na pewno odsunięty od pracy w *Radiu Watykańskim*. Przynajmniej do końca życia *Labesse'a*, o ile będzie to w ogóle można nazwać życiem. A może i do swej własnej śmierci? Człowiek znający niebezpieczną tajemnicę nie powinien nigdy mieć sposobności, by ogłosić ów sekret całemu światu. *Recamier* zobaczył, że jeden z agentów ochrony jest ledwie żywy z bólu. Śniada skóra strażnika pożółkła i lśniła od potu. Jedno ramię, nienaturalnie wykrzywione, zwisało bezwładnie w rękawie błękitnego munduru. *Marco* nie zwracał najmniejszej uwagi na cierpiącego. Natychmiast wezwał lekarza. Doktor przeprowadził pobieżne badania, skinął głową w milczeniu, a potem polecił zanieść nosze do pociągu. Strażnik ze złamaną ręką oparty o ścianę wymiotował. *Recamier* obserwował go z troską. Nagle jezuicie wydało się, że jakiś bezkształtny cień przemknął przez bocznice, prowadzącą do rampy towarowej i znikł pod czekającym pociągiem. To chyba światło było takie zwodnicze i przerażające. Zmysły miał nieco przytępione po pobycie w klasztorze. Przytaczała go też niesamowita świadomość tego, w czym musiał uczestniczyć. Zakonnica pociągnęła *sostituto* za ramię i wskazała na wymiotującego strażnika. *Marco* odepchnął ją niecierpliwie i ponaglił lekarza, by ten również wszedł do wagonu. Potem odwrócił się do *Recamiera*.

- Czy wszystko gotowe? - zapytał, penetrując oczyma rozciągający się za plecami Francuza mrok.
- Zgodnie z poleceniami - potwierdził Recamier.
- Masz być przy nim bez przerwy - polecił Marco. - Lekarz pozostanie również w klasztorze do czasu, aż stan chorego ustabilizuje się.
- Wylew krwi do mózgu - powiedział Recamier.
- Powodujący nieodwracalne uszkodzenia - dodał Marco. - Skutek odłączenia aparatury podtrzymującej życie. Jeśli ktoś będzie cię pytał, musisz tak właśnie odpowiadać.

Recamier skinął głową.

- Przygotowuję odpowiednie oświadczenie dla prasy - powiedział Marco. - Zaczna cię niepokoić dopiero wtedy, gdy uda im się przycisnąć mnie na tyle, że będę musiał wyjawic gdzie przetrzymujemy Labesse'a. Do tego czasu twoim zadaniem jest przebywać przy nim stale i słuchać. Dasz mi znać natychmiast, gdyby wystąpiły nawet najmniejsze oznaki poprawy, chociaż lekarz twierdzi, że to niemożliwe. W każdym razie, gdyby wymówił nawet jedno zdanie, albo tylko jedno zrozumiałe słowo, masz się ze mną skontaktować. Czy rozumiesz co mówię, ojcze?

Na trupiej twarzy Recamiera pojawił się ponury uśmiech.

- Jeśli przejawia jakiegokolwiek oznaki inteligencji, znów stanie się zagrożeniem. Zrozumiałem bardzo dobrze, monsignore.
- Ojcze! - Marco popatrzył na Recamiera surowo. - Pamiętaj zawsze o jednym: Utrzymanie władzy kierującej się miłością i dobrocią, wymaga czasem użycia środków, które mogą wydawać się bliższe złu. Watykan, Kościół, ma w swojej historii intrygę, spisek, zdradę, a nawet morderstwa. Wszystko dla jednego ideału, dla Słowa Wcielonego, dla wiary. Ten człowiek targnął się na Kościół Święty, odwieczny przybytek Pana i omal go nie zniszczył. Czy chciałbyś ojcze, bym stał z boku i przyglądał się temu beczynnim? Czy byłbym wtedy dobrym chrześcijaninem?

Recamier odwrócił się i wszedł do wagonu. Spojrzał na Marco przez opuszczone okno.

- A jeżeli to Bóg go przysłał?
- Wtedy to ja jestem sługą Zła - poważnie odpowiedział Marco. Cofnął się, spojrzął na lokomotywę i ruszył w jej stronę. Recamier odsunął się od okna. Sostituto podszedł do kabiny maszynisty i

zastukał w metalowe drzwiczki. Uderzył raz jeszcze, niecierpliwie, potem wspiął się po schodkach. Jego głowa znalazła się przed zamkniętym teraz, odsuwającym okienkiem. Nagle tuż przed oczami Marco szyba poruszyła się i krzyk zamarł mu w piersiach, gdy jego gardło zostało zgniecione w stalowym uścisku. Sostituto zdołał jeszcze ujrzeć drugą rękę, sięgającą ku jego twarzy. Nie poczuł nawet krótkiego ruchu, który przerwał mu rdzeń kręgowy. Nie widział twarzy zabójcy. Znał go jednak.

Ojciec Recamier szedł korytarzem, kierując się do ostatniego z czterech przedziałów. W trzecim ujrzał siedzących naprzeciwko siebie, przy oknie, dwóch agentów ochrony. Obaj drzemiali. W czwartym pomieszczeniu siedziała zakonnica. Jej wyprostowane nogi spoczywały na wygodnym siedzeniu, głowę opuściła na piersi. Był tu również lekarz. Siedział obok jej stóp i przez jedną sekundę, zanim zrozumiał wszystko, Recamierowi wydało się oburzające, że ręka lekarza spoczywa na łydce kobiety. Widział jak habit siostry w płytkim oddechu unosi się i opada na piersiach. Kamizelka lekarza, pod rozpiętą marynarką była zupełnie nieruchoma. Spojrzał teraz w stronę Labesse'a. Natychmiast zauważył łańcuszek krucyfiksu zaciągnięty mocno na odsłoniętej szyi leżącego. Pobiegnął po strażników. Obydwaj byli nieprzytomni. Nie udało mu się ich ocucić. Wyszedł na peron. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był teraz cichy warkot silnika lokomotywy. Recamier poczuł się bezbronny, odsłonięty, wystawiony na ciosy. Przeraził się. To tak, jakby zaatakował duch. Przypomnił sobie nieziemski chłód, towarzyszący mu w St. Malo.

Znalazł maszynistę w jego kabinie. Tak jak wszyscy agenci ochrony i zakonnica, kolejarz również był nieprzytomny. Marco leżał na torach, Recamier widział to przez przednią szybę. Ciało sostituto wydawało się dziwnie rozciągnięte i wykrzywione, jakby właśnie przez to okno zostało tam wyrzucone. Prałat był martwy. Jezuita zszedł z lokomotywy na peron i poczuł, że cały drży. Zatrzymał się oparty o ścianę wagonu i oddychał głęboko, usiłując się uspokoić. Próbował odzyskać głos. Po chwili wrócił do Labesse'a. Coś popychało go ku leżącemu na noszach człowiekowi. Czuł wewnętrzne nieodparte pragnienie, by upaść obok i umrzeć tutaj, jeśli tak będzie trzeba. Lepiej tutaj niż na peronie. Lepiej tutaj niż gdziekolwiek indziej. Stał w drzwiach przedziału, oparty o lśniące, la-308

kierowane drewno, wreszcie padł na kolana. Recamier nie wiedział, jak długo klęczał. Nie wiedział, czy świadomie się modlił, czy tylko w milczącej modlitwie wznosił całą duszę do Boga. Czas przestał istnieć. Uplęło kilka sekund, a może była to godzina. Wszystko co pamiętał później, to dotyk ręki, która spoczęła na jego głowie i gdy spojrzał w górę, błękitne, przebaczące oczy, zdawały się czekać na jego spojrzenie.

- Qui êtes vous? - Recamier wyszeptał zdumiony.

- Je suis Pierre - odpowiedział zmartwychwstały święty. - Na imię mi Piotr.

303

Catherine czekała przy Porta Santa Anna, długo po tym, gdy ucichło już zawroźenie karetok pogotowia i smutek przemienił się w absolutną ciszę, która jak zwykle przychodzi po wielkim nieszczęściu.

Nie myślała o niczym. Jej świat legł w gruzach i teraz chwyciła się ostatniej deski ratunku. "Przyjdź - błagała, czasem w myśli, czasem słabym głosem, ukrywając twarz w dłoniach. Nie opuszczaj mnie. Nie rób tego po raz drugi. Znów jestem ślepa i zagubiona."

Najpierw czekała na chodniku, stojąc samotnie z rozrzuconymi na twarzy jasnymi włosami. Były mokre, choć deszcz przecież nie padał. Szwajcarski gwardzista obserwował ją podejrzliwie. Samotna kobieta, nocą, na rzymskiej ulicy, nawet koło murów Watykanu nie mogła spodziewać się szacunku. Potem przyjechała taksówka - hiena, która okrążała plac, szukając resztek z jatki. Nic jednak nie pozostało.

Panika minęła, ofiary zabrano, a ci, którzy rozpaczali po człowieku będącym dla nich jedynym światłem w ciemności, czekali koło Łuku Dzwonów lub koło Spiżowej Bramy. Brama Świętej Anny była tylnym wejściem, dla dostawców i zagubionych kochanków.

Pomachała ręką, zatrzymując taksówkę. - Panie kierowco, proszę czekać, nawet w nieskończoność, jeśli będzie trzeba!

Taksówkarz zgodził się. Uruchomił licznik i odwrócił się. Obserwował Catherine pożądlivym wzrokiem, próbując z początku flirtować, wyraźnie z nadzieją na coś więcej. "Księża dziwka" -ocenił w końcu. Nie wierzył, by jakikolwiek ksiądz dochowywał celibatu. Oni jedzą, więc też i kochają. Na pewno są takie kobiety, którym tylko ksiądz potrafi dogodzić. W końcu kierowca poddał się i zasnął. Taksometr chrobotał w ciszy, jak bomba zegarowa zostawiona przez kogoś.

Ujrzała go najpierw w świetle padającym z budki strażników i przez chwilę wmawiała sobie, że to nie on, aby rozczarowanie było mniej bolesne. To jednak szedł Michael. Nie znała jego twarzy, ale to co pamiętała z dotyku powiedziało: TAK!

Teraz, podobnie jak w dniach gdy była niewidoma, jego obecność rozświetlała otaczające ciemności.

- Przekrzywiła ci się przepaska na włosach.

- Zostań, nie odchodź!

- Akurat w tej chwili nie zamierzam donikąd iść. Więc równie dobrze możemy posiedzieć razem.

- Och, ale ty musiałeś przecież dokądś odejść. Do Niego, lub raczej do tego, o czym myślałeś, że jest Nim. Michael, boję się, boję się o ciebie. Boję się też o siebie, dobry Boże! Czy będziesz mnie kochał? Nie, nie teraz, nie w łóżku. Myślę o prawdziwej miłości?

- Spróbuję, chcę tego. Łatwo mógłbym cię pokochać Catherine.

- Michaelu, jestem ślepa. Nie odtrącaj mnie. Czy wrócę, ślepa czy nie, nigdy już nie pozwolę ci mnie zostawić. On wiedział, że wrócisz do mnie, Mówił mi to, a ja nie słuchałam. Oddał mi swego żołnierza. To znaczy, że nie żyje.

Zrobił to, co miał uczynić. Nie jest mi smutno, bo on wciąż jest przy mnie. Tak jak powiedział: "Ktoś, kogo naprawdę kochasz, nie może odejść z twojego życia".

Michael wyszedł z budki strażnika, niosąc swą walizeczkę. Tę samą, z podwójnym dnem. "Myślałeś, że o tym nie wiem. Niewidomi mają fantastyczny dotyk, Michaelu Jakiś".

Ubrany był w szarą koszulę z krótkimi rękawami i jego ramiona

wyglądały w niej potężnie. "Czym się zajmujesz? Kruszysz skały?"

Koszulka nie miała kołnierzyka i szyja Michaela wydawała się być naga i odsłonięta, dziwnie czysta. Zdawało się, że właśnie wyszorował ją w kąpielni. Szedł tak, jakby wchodził nie w środek nocy, a w jasność poranka. Nie zwracał uwagi na przenikliwy chłód.

Podszedł prosto do niej, bez wahania, bez rozglądania się. Wprost do taksówki. Otworzył drzwi, usiadł przy Catherine i objął ją.

- Wykorzystali mnie, by go uciszyć. By go zniszczyć - powiedział. - Nic z niego nie zostało, więc go zabiłem. To wszystko, co kiedykolwiek o tym powiem. Jeśli chcesz, abyśmy byli razem - masz mnie. Jestem tutaj. Będziesz jednak musiała pojechać ze mną. Ja nie mogę iść z tobą. Nie mogę też dłużej być księdzem, lecz nadal czekają na mnie obowiązki.

Dotknęła jego dłoni i uśmiechnęła się. Przycisnął ją mocno do siebie i już nigdy nic nie miało ich rozdzielić.

Dzieci nigdy nie były aż tak szczęśliwe. Ich ojciec powrócił, tak jak obiecał przy wyjeździe. Przywiózł im też ze sobą mamę. Była piękna i dzieci natychmiast pokochały ją, a ona kochała je bardziej niż rodzona matka. Dziewczynki, gdy siedziała przy nich, godzinami dotykały jej włosów. Nigdy nie mogły się nadziwić ich pięknej, złotej barwie. Było to złoto cenniejsze nawet od wspaniałego pierścienia, który kiedyś należał do ojca ich taty.

Chłopcy z początku trzymali się na uboczu. Kochali ją, lecz wstydzili się okazywać tę miłość. Po pewnym czasie udało się jej jednak przełamać ich nieufność i zaleczyć bolesne wspomnienia przeszłości. Przyszli wreszcie do niej. Mały Eduardo zjawiał się ostatni, gdyż jego ból był największy, a wspomnienia matki najświeższe. Wkrótce jednak nowa, złota mama stała się i teraźniejszością, i przeszłością. Nie było już więcej w sercach dzieci smutku, chociaż przez pewien czas były trochę zakłopotane. Nie myślały o tym, by przypadkiem nie zniszczyć swego nowego szczęścia. Ich ojciec nie nosił już połatanej czarnej sutanny i białego kołnierzyka. Nie spędzał już tak wiele czasu w kościele. Czasem wydawał się zagubiony. W tych rzadkich momentach wchodził do świątyni i w milczeniu patrzył na ołtarz, na nowy srebrny krzyż, który przywiózł ze sobą z dalekiej podróży. Nie klękał. Przyglądał się tylko. Pewnego razu, najmłodsza dziewczynka, którą szczerze kochał, weszła tam razem z nim, przytuliła do jego kolan swą poznaczoną bliznami po oparzeniach twarz i ścisnęła go za rękę. Wziął ją na rękę, a z oczu popłynęły mu łzy. Choć ich tata wydawał się zawsze silny i twardy jak kamień.

Pod swą zimową kurtką nosił pistolet. Stary, dobrze wyczyszczony, z rękojeścią owiniętą, jak bandażem, białą taśmą. Dzieci myślały, że broń musiała kiedyś upaść i wtedy stała się jej jakaś krzywda.

Chłopcy uwielbiali ten pistolet. Gdy przychodzili partyzanci, zwykle w nocy, przyprowadzając kolejne dzieci, malcy zrywali się z łóżek i patrzyli, jak ich ojciec stoi pośród gości, strzelając do budzących grozę tekturowych postaci. Zauważyli z dumą, że

zawsze trafiał on dokładnie tam, gdzie skierował swą obandażowaną broń.

Lufa pistoletu stawiała się jego palcem, tyle że metalowym i czarnym. Partyzanci, niektórzy niewiele starsi od Dużego Eduardo, zawsze stawali wokół ojca, oczy płonęły im z ciekawości, a on z poważną twarzą uczył ich tego, co zrobić, by ich broń stała się jak wskazujący palec. Dzieci pamiętały, że właśnie tak wyglądał ojciec, gdy kiedyś uczył je o Bogu, Jezusie i Maryi. To było jednak wcześniej, zanim ojciec ich przewędrował pół świata poprzez ogień, by skonać na plaży u stóp syna. Teraz ich ojciec był inny, ale to nie miało żadnego znaczenia, gdyż zdawał się kochać je jeszcze bardziej. Dzieci również odpłacały mu miłością. Czyż nie przywiózł im ich ukochanej mamy? Nowo wybrany papież przeszedł z zakrystii do pomieszczenia obok balkonu Bazyliki Świętego Piotra. Na białej sutannie miał czerwoną, aksamitną mozzettę.

Kardynał Giorgio Cinalli ukląkł przed wchodzącym i przycisnął wargi do nowego pierścienia Rybaka. Cinalli był rozpromieniony. Był wybranym narzędziem Boga, doprowadził do tego, co się właśnie stało. Podczas konklawe, napelniony Duchem Świętym wstał i głośno wypowiedział imię człowieka, który obejmował teraz dziedzictwo Piotrowe. Pamiętał, jak zadrżał ze wzruszenia, gdy zgromadzeni kardynałowie chórem wykrzyknęli słowo "Eligo!" oznaczające ich zgodę.

Papież pochylił się i podniósł kardynała z klęczek, potem wziął go w objęcia i mocno uścisnął, zupełnie tak jakby zapomniał o tysiącach ludzi wiwatujących na placu Świętego Piotra.

Wysoki mężczyzna stojący z boku z grupką kardynałów, podszedł do dużego telewizora, przekazującego do tej chwili obraz zgromadzonych wiernych, którzy przybyli z całego wstrząsanego konfliktami świata, by złożyć uszanowanie nowemu Namiestnikowi Chrystusowemu.

Włączył dźwięk, ignorując protesty i oburzone spojrzenia kardynałów.

Papież puścił Giorgio Cinallego i uniósł ręk";, prosząc o ciszę, potem głową dał znak wysokiemu księdzu, by ten głośniej nastawił odbiornik, tak by lepiej było słyszeć nadzwyczajne wydanie dziennika telewizji RAI.

Spikier czytał:

...Junta oświadczyła, że użyto bomby neutronowej, broni wykorzystującej zjawisko syntezy termojądrowej i wytwarzającej zwiększone śmiertelne promieniowanie, podczas gdy niszczące działanie kuli ognistej i fali uderzeniowej jest znacznie mniejsze niż przy normalnej eksplozji nuklearnej. Bomba neutronowa zabija życie organiczne, zachowując przedmioty martwe, które niszczy jedynie w niewielkim promieniu od epicentrum wybuchu. W roku 1978 prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter wstrzymał produkcję bomby neutronowej. Argentyńscy nie ujawnili w jaki sposób weszli w jej posiadanie. Nie ma dotąd informacji o liczbie ofiar na Wyspach Falklandzkich, lecz zdaniem ekspertów, atak ten mogła przeżyć zaledwie garstka ludzi. Jak dotychczas nie było żadnej reakcji rządu Wielkiej Brytanii, ale bez wątpienia należy spodziewać się zbrojnego odwetu...

Obraz zmienił się i na ekranie znów pokazał się zatłoczony plac. Wysoki ksiądz ściszył telewizor, potem podszedł do papieża, przemykając się wśród gestykulujących i rozmawiających cicho kardynałów.

Na zewnątrz był piękny dzień i papież odwrócił się w stronę otwartych okien i wyjścia na balkon, gdzie za chwilę miał po raz pierwszy przemówić do swych wiernych jako papież.

Philippe Recamier zapytał:

- Co widzisz, Ojciec Święty?

Papież odpowiedział mu wciąż odwrócony, zdawało się, że jego wzrok przenika niebo.

- Szatan powstaje...

308

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA *Żołnierz*.....9

CZEŚĆ DRUGA *Zmartwychwstały święty*61

CZEŚĆ TRZECIA.....173

EPILOG.....313

Nakładem Wydawnictwa PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

ukazują się kryminały

COLINA DEXTERA

ZAGADKOWE

TAJEMNICZE O FASCYNUJĄCEJ FABULE UTKANEJ

MISTERNIE JAK

PAJĘCZA SIEĆ

Pisarz trzykrotnie uhonorowany nagrodą DAGGER przez Crime Writers Association

Dexter tak mówi o swojej twórczości:

Moje kryminały stawiają czytelnika przed zagadką, a zakończenie - mam nadzieje -jest zawsze zaskoczeniem.

Inspektor Morse nie jest moim odbiciem. Jedyne, co nas łączy, to miłość do krzyżówek, Wagnera i A.E.Housemana.

GERALD SEYMOUR

ŻYCIE ZA ŻYCIE

Prowokująca i seksowna, najgroźniejsza we Włoszech terrorystka została schwytana.

Jej szalony młody kochanek Giancarlo zrobi wszystko, żeby ją uwolnić.

Dyrektor wielkiej międzynarodowej spółki zostaje porwany.

Porywacze żądają okupu w wysokości dwóch milionów dolarów.

Żaden problem...

...Dopóki Giancarlo nie zorientuje się, że prezes ów może być środkiem przetargu, którego tak gorączkowo poszukuje.